

Piękna i poruszająca historia
o miłości i człowieczeństwie.
O okrucieństwie wojny i wzajemnej
nienawiści na tle pochodzenia.

A woman with her hair in a bun, wearing a green dress, is seen from behind, looking out a large window. The window is cracked and shows a dramatic sky with two biplanes flying, and a landscape below with fire and smoke. The room is lit by warm, glowing lamps on either side of the window.

MIŁOŚĆ W CZASACH WOJNY

Nowa powieść autorki bestsellerowej
Dziewczyny lotnika

NINA ZAWADZKA

FILIA

N I N A Z A W A D Z K A

MIŁOŚĆ
W CZASACH
WOJNY

FILIA

*Los musi się dopełnić, nie można go zmienić
ani uniknąć, choćby prowadził w przepaść.*

Ryszard Kapuściński

**13 lipca 2018 roku,
Oldrzychowice Kłodzkie**

– Dzień dobry, pani Zofio – rzuciła młoda dziewczyna, której imienia wciąż nie mogłam zapamiętać.

Uparcie próbowałam przywołać je w pamięci, wpatrując się w jej szare, błyszczące oczy. Tymczasem jedyne, co przychodziło mi do głowy, to to, że zawsze podobał mi się ten kolor tęczówek. Ostatnimi czasy widywałam go jednak tak rzadko, że miałam wrażenie, iż ludzie o takich oczach byli na wyginięciu.

Dziewczyna położyła torebkę obok fotela, po czym złożyła sobie na udach sukienkę, chcąc uchronić ją przed zagnieceniem, i opadła na siedzisko. Złapała za krańce kwiecistego materiału, kilkakrotnie wygładziła go na swoich szczupłych, opalonych nogach i uśmiechnęła się do mnie promiennie. W ciemnym pluszowym fotelu, niknącym na tle rzeźbionych hebanowych mebli, na których pyszniły się drogocenne posągi i wazy, wyglądała jak rajski, egzotyczny ptak.

– Lepiej się dziś pani czuje? – Obrzuciła mnie troskliwym, ciepłym spojrzeniem.

– Lepiej to już było, kruszynko – odpowiedziałam, odkładając łyżeczkę na stół.

Znów poszło mi to nieporadnie. Drżąca ręka z trudem położyła ją bezgłośnie i teraz ciszę między nami przeciął metaliczny dźwięk łyżeczki uderzającej o stolik przy moim fotelu.

Przyzwyczaiałam się już do odgłosów spadających przedmiotów, turlających się po podłodze długopisów czy cichego szelestu opadających chusteczek. Te ostatnie zawsze miałam przy sobie, ponieważ dzięki nim

czułam się pewnie i nie siedziałam w fotelu jak niechluj. Nie przystało mi wyglądać źle. Tym bardziej że stale czułam na sobie przenikliwy wzrok przodków z rodzinnych portretów. Zazwyczaj lubiłam patrzeć na te obrazy, wyobrażając sobie, jakie historie kryją się za tymi twarzami; ale przychodziły też takie dni, kiedy nie czułam się dobrze w tym otoczeniu. Miałam wtedy wrażenie, że ukryte w malowidłach spojrzenia przenikają mnie na wskroś, a nieporadność spowodowana umieraniem neuronów w moim mózgu budzi uśpione zaburzenia depresyjne.

– Chciałaby pani napić się herbaty, zanim zaczniemy? – spytała dziewczyna, ustawiając na stoliku między nami dyktafon.

– Herbaty nie chcę.

– To może coś innego? – Znów patrzyła na mnie z troską.

Przeszkadzała mi ta przesadna opiekuńczość. Dobrze wiedziałam, że jestem chora, i zdawałam sobie sprawę, że z każdym dniem wyglądałam coraz bardziej tragicznie, ale za wszelką cenę starałam się być samodzielna, więc każda oferta pomocy budziła we mnie bunt oraz narastającą złość. Teraz też czułam, jak serce przyspiesza swój rytm, a zęby mimowolnie zaciskają się z gniewu. Odetchnęłam głęboko, próbując odsunąć destrukcyjne emocje.

– Teraz już za późno na chcenie – powiedziałam powoli, przeżuując słowa i starając się, by przechodziły przez moje usta tak wyraźnie, jak słyszałam je w myślach.

Chciałam w życiu tylko jednego. Kochać szczęśliwie, czystą miłością. Pragnęłam pełnymi garściami czerpać z życia to, co mi daje, ale ono dawało nie wtedy, kiedy tego potrzebowałam, i nie w takiej formie, jaka była mi potrzebna. Obdarowywało mnie w złej kolejności, w niewłaściwym czasie. Zawsze na opak. Jakby odczytywało moje marzenia od końca. A może właśnie robiło to prawidłowo, tylko ja wykonywałam złe ruchy? Zupełnie jak teraz, gdy moje myśli są proste, ale ciało wygina się, tańczy w niezbyt zrozumiały dla otoczenia sposób, wierci się i kołysze, a przecież powinno powoli, spokojnie prowadzić mnie ku pogodnej starości.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, bo już nabrała powietrza, ale ostatecznie zrezygnowała. Zaczęła nerwowo grzebać w swojej torebce,

nie bacząc na tworzące się fałdy na sukience, którą chwilę wcześniej tak pieczołowicie wygładzała.

Jej zdenerwowanie budziło we mnie teraz nieuzasadniony lęk. Czułam, jak zimny dreszcz przeszywa mnie od cebulek włosowych aż po krańce palców. Przeniosłam wzrok na obrazy w salonie, próbując zmienić tor myśli i kolejny raz uspokoić bicie serca. Patrzyłam na ludzi, których życiorysów nie znałam, ale skoro zostali uwiecznieni przez malarza, to sądziłam, że ich decyzje z pewnością w znaczący sposób zaważyły na życiu rodziny. A może moja rodzina po prostu posiadała taki majątek, że kazała rzucać siebie na płótno tak często, jak teraz robi się zdjęcia – ot z czystych, narcystycznych pobudek? Nie wiedziałam, która z tych wersji jest prawdziwa, ale liczyłam na to, że w jesieni życia uda mi się odkryć sens swojego jestestwa w tych murach. Poza dokumentami potwierdzającymi przynależność do tego rodu, obrazami i kilkoma cennymi rzeczami nie miałam nic, co mogłoby odpowiedzieć na kłębiące się we mnie pytania, a czułam, że nie mogę opuścić tego świata, nie odkrywszy prawdy. Zarówno sekret rodzinny, jak i choroba były czymś, co stale zaprzętało moje myśli. Miałam nadzieję, że w końcu dojdę do źródła tego stanu.

– Dobrze. Zacznijmy od domu rodzinnego.

Dziewczyna wyrwała mnie z zamyślenia. Siedziała napięta jak struna, chociaż mogłaby się swobodnie usadowić w fotelu. Założyła nogę na nogę, a przed sobą położyła otwarty notes, co też wydawało mi się nonsensem, skoro zawsze nagrywała nasze rozmowy. Byłam ciekawa, czy w tym zeszycie rysuje szlaczki, by zabić ciężącą jej nudę spowodowaną spotkaniami ze mną, czy kreśli jakąś mapę myśli, która pomoże jej rozwikłać mój problem. Mimo wszystko nie odważyłam się o to zapytać.

– Czuję się jak na wykładzie z psychologii. – Uśmiechnęłam się, a dziewczyna spięła się w sobie jeszcze bardziej i delikatnie uniosła kącik ust, co sprawiło, że jej twarz wydeła się w kwaśnym grymasie.

– To zaczniemy od momentu, który był przełomowy.

Patrzyła na mnie ufnym wzrokiem, próbując skłonić do zwierzeń, ale moje neurony znów nie pracowały poprawnie. Myśli wędrowały nie w te

rejony, w które powinny, i zamiast przywoływać wspomnienia, lustrowałam wzrokiem jej postać.

Owal twarzy przesłaniały jasne, gęste włosy, nad czołem ujarzmione kwiecistą opaską. W niewinnej, wątlej postawie tej dziewczyny widziałam siebie z czasów młodości. Też lubiłam kwiaty i nosiłam podobne sukienki. Pomyślałam, że widocznie moda lubi wracać; być może tak często, jak moje myśli o przeszłości.

Marika. Tak, przede mną siedziała Marika. Dobrze przypomnieć sobie o tym na czas. Niepamięć była moją stałą towarzyszką od kilku lat. Zdawało mi się, że przypomnienie sobie tego, czego nie mogę sobie przypomnieć, stanowi cel moich dni. I chociaż zazwyczaj niezbyt dobrze szło mi przypominanie sobie tego, co robiłam wczoraj, dzisiaj czy przed godziną, to przeszłość odtwarzała się w mojej pamięci doskonale.

Marika była ósmą kobietą, która przyszła, żeby spisać moją historię i rozwikłać tajemnicę rodzinną, której ja nie potrafiłam odkryć. Kiedyś z całych sił próbowałam dowiedzieć się czegokolwiek o swoim rodzie, ale w trakcie poszukiwań odnajdywałam tylko imiona i nazwiska, które oprócz dobrego brzmienia nie wносиły do mojego życia nic.

Wszystko zmieniło się miesiąc temu, kiedy na moim ramieniu znów rozsiadła się depresja. Objęła za szyję i ścisnęła coraz mocniej. Była zadowolona, że w końcu nie zrzucam jej z siebie. Kiedy z bólem serca patrzyłam na wypełnioną tabletkami dłoń, ona coraz szczelniej trzymała mnie w swoim uścisku. Chciałam zniknąć, lecz jedna myśl trzymała mnie na tym marnym padole. Musiałam odkryć, dlaczego moje życie potoczyło się w ten sposób. Dlaczego zachorowałam na płasawicę Huntingtona? Kim byli ludzie, z którymi matka nie chciała utrzymywać kontaktów, a którzy byli przecież jej najbliższą rodziną?

Pewnego czerwcowego wieczoru, gdy siedziałam przy toalecie, spojrzałam na swoją obwisłą skórę, na pojaśniałe oczy i bardzo przerzedzone włosy, które dawniej były moją chlubą. Obserwowałam ciało poruszane nieustającymi tikami, kąciki ust falujące na zmęczonej twarzy i wiedziałam, że tylko poznanie historii i zrozumienie decyzji przodków pozwoli mi się uwolnić od tego świata w spokoju.

Następnego dnia poprosiłam moją opiekunkę – chociaż powinnam powiedzieć „przyjaciółkę” – by sporządziła listę młodych osób, które zajmują się genealogią i pomogłyby mi odkryć moje pochodzenie. Wierzyłam, że nadszedł moment, w którym uda mi się poznać prawdę, jakoś ją uczłowieczyć i w ten sposób sprawić, by w tej willi zamieszkały kiedyś moje wnuki. A jeśli nie, to chociaż umrę w przeświadczeniu, że zrobiłam wszystko, by tego dokonać.

– Dobrze – powiedziałam powoli do Mariki, która w skupieniu czekała, aż zacznę mówić. – To był początek marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku...

2

**3 marca 1997 roku,
Wrocław**

Gdy ostatni raz spojrzałam na niebo, słońce było już w zenicie. Delikatne, kłębiaste obłoki powoli sunęły po niebieskiej tafli i przybierały najdziwniejsze kształty. Zanim weszłam do DPS-u, zgasiłam papierosa. Staralam się maksymalnie przedłużyć tę chwilę na świeżym, choć mroźnym powietrzu. Zupełnie nie widziałam się w nowej roli, w której próbowało obsadzić mnie życie. Nie tak wyobrażałam sobie karierę naukową. Pamięć przywołała obrazy z początków mojej drogi, kiedy to wielkie nadzieje podczas składania papierów na medycynę rozviała niezbyt uprzejma pani w dziekanacie...

* * *

– Siedemdziesiąt osiem.

– Słucham?

– Właśnie nie słucha. Jak mówię, żeby pisała siedemdziesiąt osiem, to patrzy się jak cieleń na malowane wrota. – Starsza kobieta z ukreconymi na drobne wałki włosami sięgnęła po długopis, który przyczepiony rozciągliwą sprężynką do uchwytu dzielił na pół odległość między nami. W prawym rogu mojego podania nakreśliła sporych rozmiarów liczbę.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – powiedziałam, siląc się na uśmiech.

– Bogusia, trzymaj mnie, bo wyjdę z siebie – odparła, po czym spojrzała ostentacyjnie na swoją współpracownicę. – Co rok, to głupsze, czy jak?

– Jesteś siedemdziesiąta ósma w kolejce rezerwowych, dzieciно. – Bogusia patrzyła na mnie ze współczuciem.

– Na ile dostępnych miejsc? – spytałam po chwili.

– Na cztery! – sapnęła kobieta z baranią fryzurą. – Następny! – krzyknęła w stronę drzwi, które momentalnie się otworzyły i do niewielkiego pomieszczenia wlał się gwar rozmów przyszłych studentów, a zaraz za lawiną słów do dziekanatu wszedł chłopak, który niecierpliwym wzrokiem pospieszał mnie do wyjścia.

– Dziękuję – wydukałam i wyszłam na zewnątrz.

Skierowałam się do bocznego wyjścia, gdzie nieliczni studenci palili papierosy. Wyjęłam z torebki paczkę, wysunęłam jednego, drżącymi dłońmi zapaliłam i zaciągnęłam się głęboko, pozbawiając życia połowę tytoniu owiniętego bibułką. Dotarło do mnie, że nie mam szans na zostanie lekarzem. Wymarzona uczelnia wyrzuca mnie przez zaplecze jak obierki ziemniaków szykowanych na danie główne. Mnie pozostało gnicie w koszu – lub wymyślenie sposobu, dzięki któremu mogłabym mimo wszystko znaleźć się razem z tymi szczęściarzami na jednej tacy.

Pragnęłam za wszelką cenę zostać na studiach. Nie z powodu renomy uczelni, nie z chęci poczucia wygranej w dążeniu do realizacji marzeń, ale z potrzeby wyrwania się z rodzinnego domu. Zawiesiłam bardzo wysoko poprzeczkę, a teraz nie dosięgałam jej nawet opuszkami palców, nie mówiąc już o przeskoczeniu ponad nią na drugą stronę. Myślałam, że kiedy zostanę lekarzem, los wynagrodzi mi dotychczasowe życie w biedzie. Poza tym chciałam pokazać rodzicom, że jestem im wdzięczna za lata wyrzeczeń, jakie musieli ponieść, żeby ich córka mogła zostać, kim chce, a nie tym, kim musi.

Nie wyobrażałam sobie przejęcia gospodarstwa. Dawniej taki posag byłby zapewne bardzo wartościowy dla mojego pretendenta na męża, ale kiedy ja wchodziłam w dorosłe życie, kobiety aspirowały już do bycia kimś więcej niż kurą domową, która pierze i sprząta. Nie chciałam być opasaną fartuchem dziewczką, pachnącą krowim łajnem i myślącą tylko o tym, co ugotować na obiad. Chciałam wyrwać się z tej zabitej dechami wiochy, która nawet przy maksymalnym zbliżeniu na mapie była

punktem niewartym uwagi. Pragnęłam zostać panią, ale póki co, nie miałam na to ani pieniędzy, ani wykształcenia.

Papieros zbyt szybko skończył swój żywot. Wyjęłam kolejnego i z niespokojnym sumieniem dokończyłam teoretycznie relaksujący rytuał, który z uwagi na konserwatywne wychowanie fundowałam sobie tylko z daleka od domu. Musiałam zrobić wszystko, żeby dostać się na Akademię Medyczną. Dokończyć dzieło, które wymyśliłam i dopracowywałam przez długi czas. Wróciłam do holu, gdzie tabuny studentów krążyły w tę i nazad. Przycupnęłam na ławce w rogu, czekałam dwie godziny, aż wszyscy skończą załatwiać swoje sprawy, i wróciłam do dziekanatu.

– Dzień dobry po raz kolejny. Składałam dziś papiery na kierunek lekarski – powiedziałam łagodnie, chociaż widok baraniego fryzu sprawiał, że słowa grzęzły mi w gardle.

– Numer – odezwała się kobieta, z którą ani ja, ani zapewne żaden student nie chciał mieć do czynienia.

– Siedemdziesiąt osiem. – Westchnęłam.

– Po co wraca, jak już była? – Obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem, aż poczułam mrowiące wykwity zawstydzienia na twarzy.

– Doszłam do wniosku, że przy takiej liczbie chętnych mogę się nie dostać, więc chciałabym prosić o przeniesienie wniosku na inny kierunek – wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

– To nie koncert życzeń! – warknęła.

– Bardzo mi zależy. Naprawdę. – Złożyłam dłonie jak do modlitwy.

Stałyśmy naprzeciw siebie, tocząc walkę na spojrzenia. Patrzyła na mnie z pogardą. Nigdy nie należałam do osób, które uparcie walczą o swoje, jednak w tamtej chwili odezwał się we mnie instynkt samozachowawczy, który odblokował moje pokłady determinacji. Nie ugięłam się więc pod naporem spojrzenia, chociaż czułam, że wewnątrz cała płonę z zawstydzienia.

– Bogusia! – krzyknęła w końcu, wciąż patrząc mi w twarz. – Obsłuż tę krnąbrną dziewczynę, bo mi się już ciśnienie podnosi.

Bogusia przydreptała z zaplecza i spojrzała na mnie pogodnym wzrokiem. Na pierwszy rzut oka przypominała grubą wróżkę

z *Kopciuszka*, która uwierzyła w biedną sierotę i dała jej szansę na zmianę życia. Prosiłam Boga w myślach, żeby w moim przypadku było podobnie.

– Pani Bogusiu, ja... Chciałabym zmienić kierunek. Numer siedemdziesiąt osiem – powiedziałam najmiłszym głosem, jaki zdołałam z siebie wykrzesać.

– Skarbeczku, to będzie trudne do zrobienia. Wszystkie kierunki są już obstawione.

– Naprawdę nie znajdzie się ani jedno wolne miejsce na żadniusieńkim kierunku?

Gdybym widziała siebie wtedy z boku, pewnie obstawiałabym, że zaraz się rozpłaczę. A już na pewno zrobię to po wyjściu z dziekanatu. W spojrzeniu pani Bogusi dało się dostrzec współczucie. Usiadła przy biurku i zadumawszy się nad rozłożonymi dokumentami, szeptała coś pod nosem. Może gdybym nie była tak zestresowana i przejęta odmawianym w myślach pacierzem, usłyszałabym, co podsuwają jej myśli.

– Na lekarskim i położniczym nie ma żadnych wolnych miejsc.

Łzy napłynęły mi do oczu, a postać dobrej wróżki zaczęła się rozmazywać w coraz większe piksele.

– Ale na pielęgniarskim się znajdzie – kontynuowała. – Wtedy mogłabyś po roku znów się starać o przyjęcie na lekarski, a przez te miesiące czegoś się nauczysz, także...

– Kocham panią! – Nie dałam jej dokończyć zdania. W euforii zaczęłam przeskakiwać z nogi na nogę. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

Bogusia rozpromieniła się i chociaż nie chciała nic w podzięce, następnego dnia zawiozłam jej kosz wiejskich smakołyków. Nie mogłam wtedy zdecydować, czy bardziej ucieszyła mnie wiadomość o studiowaniu na akademii, czy wzruszona mina pani Bogusi, kiedy zobaczyła wędliny i sery, które wyszły spod rąk mojego taty. W każdym razie byłam szczęśliwa. Może nie kroczyłam od razu środkiem obranej przez siebie drogi, tylko dreptałam poboczem; czułam jednak, że przecież doprowadzi mnie ono do tego samego miejsca, które sobie wymarzyłam. A z czasem może udałoby mi się wstąpić na pierwotnie zamierzoną ścieżkę.

Po roku nauki w akademii, podczas którego poznałam przyjaciółkę na śmierć i życie, wizja aplikacji na kierunek lekarski nie była już tak atrakcyjna, jak wcześniej. Uczyłam się, jak wspierać ludzi, lekarzy, jednostki szpitalne. Czułam się potrzebna i równie ważna jak lekarz. W końcu tylko dzięki współpracy można było odnieść największy sukces. Asystentura u boku kardiologa wydawała się godnym zajęciem. Nie była tak odpowiedzialnym zawodem, jaki sobie wymarzyłam, ale w dalszym ciągu zmuszała mnie do pracy w mieście. I, co najważniejsze, nie krążyła nade mną wizja hodowli zwierząt zagrodowych. Finalnie, choć mniejszym nakładem pracy, to jednak osiągnęłam swój cel.

Po studiach okazało się, jak ważne w tej pracy są plecy. I nie chodzi wcale o to, że praca stojąca wpływała na mięśnie czy kręgosłup, ale fakt, że z braku znajomości w branży moje podania o pracę z miejsca lądowały w koszu. Przez dwa lata aplikowałam do większości szpitali na Dolnym Śląsku. Nieliczne prywatne gabinety były obstawione, a nawet kiedy ktoś otwierał nowy, miał już umówioną pielęgniarkę. Ostatnim miejscem, gdzie chciałam pracować, był Dom Pomocy Społecznej, a zarazem było to jedyne miejsce, które zechciało przyjąć mnie w swoje progi. Bez zbędnych ceregieli zaproponowali kontrakt. Z braku laku go przyjąłem. „Zostanę tu na chwilę, zanim nie znajdę czegoś lepszego” – pocieszałam się w duchu.

* * *

Trzeciego marca 1997 roku zgasiłam papierosa o rant śmietnika i z westchnieniem przekroczyłam próg Domu Pomocy Społecznej. Nie przypuszczałam, że pierwszy dzień tej pracy na zawsze zmieni moje życie.

3

20 sierpnia 1937 roku, Psary – województwo stanisławowskie

Słońce wznosiło się wysoko nad horyzontem, a jego promienie przedzierały się przez liście drzew, oświetlając twarz Stefanii Obieckiej. Po bładoniebieskim niebie powoli przesuwały się nieliczne pierzaste obłoki, ptaki ćwierkały wesoło, a znad bagien dobiegało cykanie świerszczy. Z oddali, przysłonięta gęstwiną wysokich, liściastych drzew i krzewów wyłaniała się wieża pałacu Obieckich, której dach pokryty srebrną blachą odbijał światło, jawiąc się jako latarnia wśród morza bezkresnych łąk i pól obsianych zbożem. Parne powietrze mąciły porywy ciepłego wiatru, który pieścił odkryte ramiona i nogi dziewczyny.

– Połóż się na kocu – oświadczyła Anna. – Nie wypada tak leżeć na trawie.

Stefania zdawała się nic sobie nie robić z przytyków siostry, choć czuła, jak w środku robi jej się coraz goręcej ze złości.

– Patrzą na nas, a ty swoim zachowaniem bardziej do nich niż do nas podobna. – Anna nie dawała za wygraną. Przetarła dłonie chusteczką, chwilę wcześniej zamoczoną w miseczce z wodą, i z niesmakiem przerzuciła wzrok ze służby na niepokorną siostrę.

– Kiedy ja tak lubię najbardziej. – Stefania popatrzyła na bladą, posępną twarz swojej siostry, na starannie upięty kok cienkich, jasnych włosów i na smukłą, lekko wysuniętą w przód szyję, którą Anna przecierała wilgotną bawełnianą chustką z własnoręcznie wyhaftowanymi irysami.

– Nie liczy się to, co lubisz, ale to, jakie dajesz świadectwo o swojej rodzinie. Zapominasz chyba, kim jesteśmy. Kim ty jesteś.

Wobec upominającego tonu ciepły, beztriosko zapowiadający się dzień stracił w oczach Stefanii cały swój urok.

– Hraaabiaaanką – zakpiła. – Myślisz, że papier, który i tak przeszło piętnaście lat temu zniosła konstytucja marcowa, czyni nas lepszymi od nich? – Skinęła głową przed siebie, gdzie poniżej pagórka służba i pracownicy pałacu trudzili się w polu.

Podział ról podczas pracy był jasny. Mężczyźni przedzierali się z kosami przez połacie wysoko wyrosniętego zboża, a kobiety szły za nimi i wiązały całe naręczka pszenicznych bukietów, które następnie przenosiły w wyznaczone miejsce, gdzie młodzi młócili zboże cepem.

Ogniste spojrzenie Anny zmyło zadziorny uśmiech z twarzy Stefanii. Przez chwilę trwała pod jego naporem, aż westchnęła głośno i przeturlała się na koc. W milczeniu, choć z nadąsaną miną, zrywała źdźbła trawy, co też doprowadzało Annę do szewskiej pasji, ale Stefania nic sobie nie robiła z uczuć siostry. Wyłącznie dla świętego spokoju dostosowała się kolejny raz do prośby starszej Obieckiej, a w myślach odliczała czas, kiedy zostanie w pałacu tylko z rodzicami i wreszcie będzie mogła cieszyć się samotnością.

Coraz częściej czuła się skrępowana zasadami obowiązującymi w jej rodzinie. Wydawało jej się, że te obyczaje nie pasują do czasów, w jakich przyszło im żyć, a świat zmierza ku równouprawnieniu, zostawiając za sobą różnice społeczne. Im była starsza, tym silniejsze rosło w niej przekonanie, że nie pasuje do otoczenia, w którym dorastała. Nakazy i zakazy od najmłodszych lat wyznaczały kierunek jej dni, a ona pragnęła tylko żyć tak, jak miała ochotę, a nie tak, jak wypadało.

Rodzice nigdy nie mówili jej tego, co pragnęła od nich usłyszeć. W ich słowniku próżno było szukać kombinacji słów typu: „Jak uważasz” czy „Jeżeli to cię uszczęśliwi, zrób to i tamto”. Ojciec, choć kochał Stefanię nad życie, nie rozumiał jej nowoczesnego podejścia, narzucał staroświecki prym, a matka wraz z dwiema starszymi córkami wtórowała temu, co zdecydował. Kiedyś Stefania żaliła się Mariannie, że mama, Anna i Wanda są jak chórki, które tylko powielają ton ojcowskiego głosu.

Stefania leżała na wzgórzu i obserwowała okolicę, szukając w niej ukojenia, równowagi oraz spokoju, z którego wyprowadziła ją siostra. A kiedy zdawało się, że wraca na beztroskie tory myślowe, dostrzegła ojca i ten widok ponownie sprowadził nad jej lekkie myśli burzowe chmury.

Hrabia Mieczysław Obiecki gnał morrisem tak szybko, ile mocy było w silniku jego ulubionego samochodu ze składanym dachem. Zawsze bardzo dbał o bezpieczeństwo za kierownicą, więc tumany kurzu, które po sobie zostawiał na nieutwardzonej drodze, zwiastowały, że nie jest w najlepszym humorze.

– Coś złego musiało się wydarzyć – stwierdziła Anna z troską.

– Nie da się ukryć – rzuciła beznamiętnie Stefania. – Chodźmy do domu, to się dowiemy.

Wstała z koca i zaczęła na zmianę otrzepywać i wygładzać na sobie pomiętą, niebieską sukienkę z atłasu. Ciemne, splecione w warkocz włosy przerzuciła przez ramię, a następnie zwinęła w kok, który przepięła złotymi klamerkami. Sięgnęła jeszcze po kapelusz, ale Anna chwyciła go i odrzuciła na bok.

– Oj nie, moja droga, ty nigdzie nie idziesz – powiedziała tonem, jakiego zawsze używała ich matka, ostatecznie kończąc swoje wywody.

– Niby dlaczego? – oburzyła się Stefania.

– Jeszcze pytasz? Jeśli stało się coś złego, to ojca trzeba wesprzeć, udobruchać, a nie prawić moralne śpiewki o konstytucji marcowej i równouprawnieniu.

Stefania spięła się w sobie i zacisnęła mocno zęby. Zdenerwowana patrzyła na Annę, która w pośpiechu, a jednocześnie z gracją, jakiej oczekiwano od wszystkich panien Obieckich, wstała i nasunęła na głowę kapelusik, po czym kilkakrotnie poprawiała go, przeglądając się w małym lusterku, które zawsze nosiła w swojej torebce. Młodsza Obiecka była zmęczona przytykami, ograniczeniami i rozkazami, ale najbardziej przeszkadzało jej to, że Anna traktowała ją jak dziecko, a przecież Stefania lada moment miała ukończyć lwowską Akademię Handlu Zagranicznego. Może i wyglądała nadal niewinnie, ale wiedziała znacznie więcej, niż się innym wydawało. Patrzyła teraz, jak siostra

zbiera się, a następnie zmierza w stronę pałacu. Nie chciała się z nią kłócić, więc rzuciła się na koc i sprawnie przeturlała na trawę, by znów się gapić na przesuwane nad nią chmury, liście dębu poruszane wiatrem i na swoje dłonie, poprzecinane czerwonymi śladami po wbijanych ze złości paznokciach. Pierwszy raz pomyślała, że pora zboczyć z narzuconej przez los ścieżki i przestać angażować się w słowne batalie z rodziną, która należała do znieawidzonej ostatnimi czasy polskiej arystokracji. Odpuściła, ale nie czuła się z tym tak paskudnie, jak dotychczas. Dostała możliwość odpoczynku bez atakujących spojrzeń i rozkazów, więc postanowiła rozkoszować się tą chwilą. Kątem oka obserwowała, jak Anna idzie wydeptaną dróżką do pałacu i kilka razy obraca się, zerkając w stronę leżącej na plecach młodszej siostry, która z powodu dużej różnicy wieku między nimi mogłaby być jej córką. Przy każdym obróceniu marszczyła brwi i z niezadowoleniem kręciła głową, na co Stefania tylko przekornie uśmiechała się pod nosem.

Mimo szczerych chęci odpoczynku myśli Stefanii wciąż krążyły wokół ojca.

Mieczysław Obiecki znany był w okolicy nie tylko przez wzgląd na tytuł hrabiowski, olbrzymi majątek czy posiadanie największego zespołu pałacowo-parkowego, ale też z tego, że angażował się we wszystkie większe wydarzenia w województwie stanisławowskim. Gdy tylko w okolicy działo się coś ważnego, Obiecki był pierwszy, by dopilnować wszelkich spraw.

W rodzinie wciąż wspominało, jak przed 1918 rokiem do Stanisławowa przyjechał Józef Piłsudski, by w sali Kasyna Polskiego wygłosić odczyt na temat odzyskania niepodległości, a po nich z entuzjazmem chwalił dokonania Obieckich na Kresach Wschodnich. To właśnie podczas jednego z takich spotkań były Naczelnik Państwa ogłosił ojca Stefanii rycerzem wrót miasta i od tamtej pory Mieczysław zapisał sobie w sercu miłość oraz oddanie tym terenom. Gdy po stu czterdziestu sześciu latach Polska w końcu odzyskała niepodległość, Obiecki robił wszystko, by wzmocnić swoją pozycję. Dzięki działaniom jego oraz ludzi, z którymi współpracował, Stanisławów rósł w siłę i szybko stał się jednym z ważniejszych ośrodków gospodarczych Pokucia. Mówiono, że lada

moment stanie się drugim po Lwowie największym miastem na wschodzie. Jednak Mieczysław udzielał się nie tylko w lokalnej społeczności, ale też jeździł w różne zakątki Polski, żeby – jak sam powiadał – być przedstawicielem Kresów Wschodnich na zachodzie.

Kiedy Piłsudski dwa lata temu zmarł, Mieczysław coraz bardziej obawiał się o losy kraju. W kółko powtarzał, że teraz Polska znów upadnie na kolana, a on razem z tymi, którzy pozostali, musi zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby utrzymać ją w ryzach ku pamięci dla Naczelnika. Jego motywację do działania napędzała sytuacja polityczna oraz niechęć do obecnego prezydenta Ignacego Mościckiego, którego znał od wielu lat. Uważał, że jest dobrym chemikiem i wynalazcą, ale do rządzenia krajem brakuje mu odwagi, a Polska nie może sobie pozwolić, żeby jej interesami zarządzał tchórz.

Odkąd Stefania pamiętała, ojca więcej nie było w domu, niż był, a w ostatnim czasie widywała się z nim wyjątkowo rzadko. Jak już się pojawiał, sprawdzał wiedzę, obycie i znajomość polityki nie mniej surowo niż profesor Sorowicz, który był szanowanym rektorem jej uczelni, a jednocześnie przyjacielem rodziny. Ojciec przez wiele lat jawił się w oczach Stefanii jako największy autorytet, lecz od kiedy zamieszkała na stacji we Lwowie, zaczęła postrzegać swoją rodzinę w nieco inny sposób. To, z czego do tej pory była dumna, we Lwowie było powodem do drwin; do tego okazało się, że ojciec, którego tak szanowała, miał zszarganą opinię nie tylko w swoim mieście, ale i w dalszych zakątkach kraju. Dopiero na uczelni dziewczyna zrozumiała, jakim tworem w rzeczywistości jest arystokracja, która konstytucję marcową traktowała jako pustosłowie, i że powszechne skrajne różnice społeczne stanowiły jasny przykład tego, że szlachta nadal zachowuje się tak, jakby nie widziała nic poza czubkiem własnego nosa, a już na pewno nie zależało jej na osławionym przez ich złote usta losie kraju.

Im bardziej Stefania zagłębiała się w historię i polityczne analizy, tym większa rosła w niej niechęć do własnego rodu.

Podniosła się do pozycji siedzącej i zauważyła, że na polu u podnóża wzgórza nie ma już nikogo, a kosy, ścięte, nieposkładane zboże oraz cepy zostały niechlujnie porzucone. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło jej na

rozmyślaniach o ojcu i wspomnianiu tego, co wydarzyło się w ostatnim czasie, ale czuła, że nie może dalej pozostawać bezczynna i musi się dowiedzieć, co tak wzburzyło ojca. Rozejrzała się w poszukiwaniu Marianny, która zawsze pomagała jej we wszystkim, a kiedy spostrzegła, że jest na wzgórzu zupełnie sama, wstała, pospiesznie ułożyła na kocu leżące wokół rzeczy, złapała za cztery rogi i zarzuciła prowizoryczny tobołek na plecy, uzmysławiając sobie, że kolejny raz nie zachowała się tak, jak by oczekiwała tego jej rodzina. Ruszyła w stronę pałacu, a w głowie dudniły jej słowa siostry: że bliżej jej do chłopów niż do arystokracji.

„Właściwie to gdzie się podzieli chłopci?” – zastanawiała się w duchu, przemierzając znaną na pamięć drogę. Wokół panowała niczym niezakłócona cisza, a pokryta bujną roślinnością okolica wydawała się całkowicie opustoszała. Stefania poczuła, jak w jej myślach panoszy się lęk, a sytuacja, która tak wzburzyła ojca, z pewnością dotyczyła tego, co w ostatnim czasie stanowiło główny temat debat politycznych.

Przyspieszyła kroku, jednak strach o rodzinę wypełniający każdą komórkę jej ciała nakazał jej biec. Koc objął się o plecy, a porcelanowa miseczka i tamborki do wyszywania stuknęły o siebie donośnie. Nie zważając na to, biegła coraz szybciej. Zwolniła dopiero, gdy zobaczyła z oddali ojca; stał na tarasie, wyciągnął z kieszeni papierosy egipskie i w zdenerwowaniu szybko zapalił jednego. Stefania zatrzymała się gwałtownie i schowała za rosnącym drzewem. Nie chciała złościć ojca swoim nagannym wyglądem; wpierw musiała uspokoić oddech oraz serce, którego szybkie bicie sprawiało jej ból. Położyła tobołek przy ogromnych, wystających z ziemi korzeniach, tak by ojciec jej nie dostrzegł. Wyjęła niedokończoną chusteczkę z tamborka, przetrła nią twarz oraz kark, po czym rozejrzała się dookoła, obrzucając spojrzeniem park.

Widok bujnej, gęstej trawy, którą lada moment należało skosić, od dawna niestrzyżonych krzewów i okazałych, wysokich drzew napawał ją spokojem, a jednocześnie uzmysławiał jej, że pałacowy park został zaniedbany. Kilka razy poruszyła atlasową sukienką, żeby schłodzić spocone od biegu ciało, złożyła koc w równą kostkę, starannie

poukładała na nim wszystkie rzeczy i spokojnym krokiem ruszyła przed siebie.

Mieczysław nadal stał na tarasie; miał na sobie szare spodnie i rozpiętą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Stefania rzadko widziała ojca w takim stanie. Zazwyczaj ubrany był w ciemny garnitur, spod którego wyglądała zapięta za wszystkie guziki kamizelka i jasna, wykrochmalona koszula. Teraz patrzył w dal w zamyśleniu, paląc papierosa, który ginął między jego palcami a gęstym, okazałym wąsem. Choć wydawać by się mogło, że najzwyczajniej w świecie spędza miło czas, to z bliska widać było, że ręka mu drżała, a dym wydmuchiwiał przed siebie z pewnym nerwem.

Stefania przeszła obok, kompletnie przezeń niezauważona. Cicho położyła rzeczy na ażurowym metalowym krześle i podeszła do ojca, po czym wtuliła się w jego pierś.

– Jak dobrze, że jesteś, córciu. Zaczynałem się martwić o ciebie – powiedział mocnym basem Mieczysław i pocałował Stefanię w czoło.

– Niepotrzebnie, tatusiu. Byłam na wzgórzu z Anną, ale z powodu gorąca wróciłam wcześniej do domu.

Ugryzła się w język, a w myślach usprawiedliwiała przed Bogiem, że zgrzeszyła tylko z troski o ojca.

Mieczysław odsunął się od córki i spojrzał na nią przenikliwie. Wiedział, że kłamała. Zawsze wtedy zaczynała uciekać wzrokiem przed jego spojrzeniem i błędziła szybko gdzieś w przestrzeni, jak gdyby nie mogła się zdecydować, na co ma patrzeć.

Chrząknął głośno, a Stefania westchnęła i powiedziała:

– Tak naprawdę to Anna nie pozwoliła mi wracać, żeby ciebie nie denerwować, ale przecież nie jestem już dzieckiem i wiem, kiedy coś się dzieje – powiedziała na jednym wydechu. – I to na pewno coś złego, bo ta cisza doprowadza mnie do szału. Wyobraź sobie, tatusiu, że jak wracałam do domu, to wokół nie było żywej duszy! Jakby wszyscy pracownicy rozplynie się w powietrzu. Cóż, chyba że zostali przez ciebie zwolnieni? – Spojrzała na ojca, marszcząc brwi.

Mieczysław oddychał ciężko. Niemal do końca miał nadzieję, że cała ta afera ominie jego majątek szerokim łukiem. Przez chwilę zastanawiał

się, czy opowiedzieć córce o wydarzeniu, które diametralnie zaogniło sytuację polityczną w kraju; doszedł do wniosku, że to już nie jest jego malutka córeczka, lecz niemal dorosła kobieta, więc ma prawo wiedzieć, co się dzieje wokół niej.

– Nikogo nie zwolniłem – zaczął. – Trwa strajk chłopski i nasi pracownicy również do niego dołączyli.

– Strajk chłopski? – spytała z niedowierzaniem.

– Cóż... Chcą swojej społecznej autonomii. – Mieczysław zgasił papierosa w leżącej na stoliku popielnicze.

– Nie wierzę, że strajkują. Przecież w większości nie potrafią się nawet podpisać. – Stefania uniosła brwi i w zadumie patrzyła na las na horyzoncie.

Obiecki chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedział, jak ubrać w słowa to, czego dowiedział się w Stanisławowie, a raczej pod nim, ponieważ nie udało mu się wjechać do miasta, gdyż chłopcy zabarykadowali wszystkie drogi dojazdowe. Z dnia na dzień rzucili pracę, przestali sprowadzać żywność i skrzyknęli się w proteście. Mieczysław wrócił myślami do przedpołudnia, gdy siedział w swoim samochodzie i patrzył, jak ludzie nieprzychylnymi władzy okrzykami domagali się przywrócenia w Polsce zasad demokracji, swobód obywatelskich, skasowania wyroków brzeskich oraz powrotu emigrantów politycznych. Kiedy widział tłum protestujących, którzy z pasją i determinacją wyrażali swoje poglądy, ogarnął go paniczny lęk o swoją rodzinę. Wszyscy zgromadzeni byli przeciwko rządowi sanacji. Przeciwno niemu. Nazywali go antydemokratycznym, antychłopskim oraz antyrobotniczym faszystą, a przecież odkąd pamiętał, robił wszystko, by żyło im się lepiej. Zatrudniał na swoich terenach wielu pracowników, którym zawsze płacił na czas, a jego żona organizowała różne przyjęcia, podczas których zbierała datki na rzecz ubogich rodzin i sierot. Będąc w delegacjach na zachodzie, działał w imię dobra swojej społeczności, a teraz lud na jego terenach traktował go jak wroga publicznego. Mieczysław nie rozumiał strajku i poczuł się bezradny. Szybko wrócił do pałacu i zadzwonił do komendanta policji z prośbą o rozgromienie tego spędu. Ten z pełną

lojalnością obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy, by zaprowadzić porządek w Stanisławowie i okolicy.

– Pozwolicie im na tę autonomię? – Stefania wyrwała go z rozmyślań.

– Nie wiem, córciu. Nie zależy to ode mnie.

– A od kogo? Przecież nie ma wyższego władarza na tych terenach niż ty, tatku.

– Tutaj nie ma, tyle że strajkują nie tylko u nas, ale w całej Polsce. Szesnastego sierpnia Stronnictwo Ludowe oficjalnie ogłosiło strajk, do którego masowo przyłączyli się chłopci. Przestali pracować w momencie, w którym nie ma już zapasów żywności, a tego, co wyrosło, nie ma kto zebrać, przerobić i zawieźć do miast. Poza tym i tak zabarykadowali większość dróg. Sparaliżowali pracę w dziesięciu, jak nie w dwunastu województwach – powiedział z wyczuwalnym niepokojem. – Myślą, że jak postraszą nas głodem, to się ugnieją.

– Och... – Stefania mocniej przytuliła się do ojca, by go wesprzeć.

Stali przytuleni na tarasie i patrzyli przed siebie. Ojciec palił kolejnego papierosa, dumając nad sytuacją, a Stefania myślami wędrowała do niepokornej, walczącej z systemem społeczności chłopskiej i była pełna podziwu dla tych ludzi. W większości niepiśmienni analfabeci skrzyknęli się w chwili, kiedy rzeczywiście mieli szansę cokolwiek zyskać. Nie mogła uwierzyć, z jaką precyzją realizowali plan. Wszystko mieli wykalkulowane. Zapasy jedzenia faktycznie się kończyły i już podczas ostatniego przyjęcia matka żaliła się, że mąka jeszcze niezmielona, a ziemniaków zostały resztki. Wszystko leżało na polach, tylko nie było komu zebrać, zemleć i obrobić. Stefanii przykro było patrzeć, jak ojciec się zamartwia; z drugiej strony przepełniała ją dzika satysfakcja, ponieważ wierzyła w to, że dzięki strajkowi jej rodzina zrozumie, jak ważna jest każda istota w społeczeństwie, nie tylko ta wykształcona, obyta i posiadająca majątek.

**5 marca 1997 roku,
Wrocław**

– Wygląda jak hostel. Wiesz, marnej jakości łóżka, łazienka pamiętająca jeszcze lata siedemdziesiąte. Wspólna stołówka, podwórko i sala ćwiczeń. Tylko zamiast wczasowiczów są emeryci – mówiłam, popijając herbatę z cytryną.

– Może nie będzie tak źle. Przecież mieszkamy w podobnych warunkach. Człowiek po pewnym czasie przyzwyczaja się do wszystkiego – odparła Tośka, grzebiąc w szafie w poszukiwaniu letnich ubrań.

– Mimo wszystko zazdroszczę ci pracy w sterylnych warunkach. Obcykanych młodych lekarzy i tego, że wykorzystujesz wiedzę ze szkoły w pracy.

– Daj spokój, przecież ty też będziesz wykorzystywała wiedzę ze szkoły. Poza tym znudził mi się biały kitel. Brakuje mi kolorów. Czuję się jak w obozie pracy. Wszyscy nosimy te same mundurki i buty. Gdyby nie różne kolory włosów, pacjenci by nas pewnie nie kojarzyli.

– Chętnie zamieniłabym się z tobą chociaż na jeden dzień – westchnęłam, dopijając herbatę.

Patrzyłam, jak Tośka przebiera się w kolejne sukienki i za każdym razem dokładnie przegląda w lustrze. Chociaż miała te kiecki od kilku lat w szafie, przed każdym sezonem musiała sprawdzić, czy nadal dobrze na niej leżą. Leżały. A w sukience, którą właśnie założyła, wyglądała identycznie jak podczas naszego pierwszego spotkania.

Tamtego dnia spieszyłam się na pierwsze zajęcia. Byłam podekscytowana nowymi znajomymi, akademią i wiedzą, którą zamierzałam zdobyć. Czułam się jak otwarty zeszyt, gotowy do zapisania

notatkami. Mama od świtu stała w kuchni i szykowała mi obfite śniadanie. Tata specjalnie wstał godzinę wcześniej, żeby napalić w piecu, by córka mogła wykąpać się w ciepłej wodzie przed wyjazdem na studia. Byli spięci, a zarazem dumni. Widziałam, jak mama drżącymi ze stresu dłońmi rozbijała dopiero co zabrane z kurnika jajka o patelnię. Dwa zgmiotła za bardzo i potem pospiesznie wyciągała skorupki z częściowo już ściętej jajecznicy. Tata siedział przy stole kuchennym i czytał gazetę, ale chyba nie mógł skupić się na artykułach, bo co chwila pytał, czy na pewno nic nie potrzebuję. Powtarzałam, że nie, chociaż wiedziałam, czego naprawdę mi brakuje... Stukotu tramwaju przejeżdżającego tuż za oknami, tykających świateł i warkotu silników. Pragnęłam rozmów z ludźmi, miejskiej architektury i kawiarni. Chciałam być „miastowa”. Widzieć za oknem życie, gwar i hałas. Cisza rodzinnego domu dobijała mnie coraz bardziej. Tutaj atrakcją był przejeżdżający na rowerze listonosz, wiozący raz na miesiąc emeryturę.

W mojej wsi były dwie ulice, osiem domów, kościół, cmentarz i sklep spożywczy, który otworzyła pani Kazia Stulikowa jeszcze przed moimi narodzinami. Ludzie z okolicznych wsi zjeżdżali się do niego, żeby kupować jedzenie, ale też chemię z Niemiec, ponieważ mąż pani Kazi pracował w Reichu i zawsze coś jej przemycił na handel. Z czasem pani Kazia, podeszła w latach, otwierała go już tylko, jak ktoś był w ogromnej potrzebie. Poza tym wieś otaczały hektary ziemi, której każdy mieszkaniec miał pod dostatkiem i na niej najczęściej siał zboże.

Na wsi nie miałam znajomych. Dzieci sąsiadów, dużo starsze ode mnie, już dawno wyfrunęły z gniazd. Byłam córką dziadków – tak określali moich rodziców koledzy z wrocławskiej podstawówki. W dzieciństwie miałam z tego powodu kompleksy. Nie rozumiałam, dlaczego moja mama ma wiotką skórę, zmarszczki i faktycznie bardziej przypomina babcię niż mamę. Mamy innych dzieci były młode, energiczne. Kiedyś nawet myślałam, że jestem adoptowana, ale mama szybko temu zaprzeczyła. Jednak mimo że pytałam o to wiele razy, nie powiedziała, dlaczego urodziła mnie dopiero po czterdziestce. Nie była wybitnie uzdolniona, naukę zakończyła na zawodówce, więc nie chodziło o studia ani zdobycie wyższego wykształcenia. Powtarzała tylko, że kiedy przyjdzie

odpowiedni czas, wszystko mi opowie. W końcu przestałam się upominać i nie dręczyłam jej więcej pytaniami.

Tata też nie należał do osób, które lubią opowiadać o sobie. Wiedziałam, że jego rodzina zginęła albo podczas wojny, albo w latach komuny. Miał więc tylko mamę i mnie i wydawało się, że nie potrzebuje więcej do szczęścia. Zajmował się polem, warzywnikiem, chodził do lasu, oporządzał zwierzęta, a czasem zajmował się masarstwem. Wykonywał swoje obowiązki z zapałem, mimo że nie był to jego zawód. Mówił, że ziemia daje wszystko, czego potrzeba człowiekowi, należy tylko wyciągnąć po to ręce. Każdego wieczoru padał ze zmęczenia, ale nie chciał od nas pomocy. Czasem obserwowałam go podczas siewów. Wydawało mi się, że niemal czci ziemię, jakby była najpiękniejszą z kobiet lub jakąś nadludzką istotą, z którą trzeba się obchodzić w wyjątkowy sposób. Dotykał jej, gładził ją, nabierał trochę w dłonie i zaciągał się jej zapachem. Posiadał kilka połaci ziemi, rozrzuconej po powiecie, odziedziczonej po rodzinie. Jego rodzice i dziadkowie też byli rolnikami, a jedyny brat zginął z rąk Rosjanina podczas okupacji. Kiedyś tata dostał pismo z urzędu z informacją, że jego odcinek pola jest w miejscu, które zagospodarowano pod autostradę. Nigdy wcześniej i nigdy później nie widziałam, żeby był tak zdenerwowany. Rzucił talerzem w ścianę, krzycząc, że na to nie pozwoli. Pojechał nawet z Pawlaczykiem, naszym sąsiadem, który był obyty w prawie, do Wrocławia, żeby wyperswadować „tym urzędasom” ten pomysł, ale wrócił w jeszcze gorszym nastroju. Spośród właścicieli wszystkich zaznaczonych pod budowę terenów tylko on zgłosił sprzeciw. Nie miał siły przebicia i chociaż za wywłaszczenie dostał więcej pieniędzy niż inni, nigdy nie pogodził się ze stratą. Podczas trwającej rok żałoby, jaką nosił po utracie ziemi, niewiele się odzywał. Co roku, w rocznicę otrzymania listu, rana otwierała się na nowo, a on powtarzał, że wyrwali mu duszę i że czuje się tak, jakby jego ojciec umarł po raz drugi.

Zanim poszłam do szkoły, chodziłam za ojcem wszędzie. Najbardziej lubiłam krążyć za nim między grządkami i obejściem, wśród zwierząt, ale gonił mnie do kuchni, twierdząc, że więcej ma ze mnie szkody niż pożytku. W kuchni niewiele się działo. Posiłki przygotowywało się

szybko, a później musiałam tylko czekać, aż jedzenie dojdzie, ugotuje się lub upiecze. Czekanie nie leżało w mojej naturze, a ciągle odsuwanie mnie przez ojca na bok umniejszało moje poczucie własnej wartości. Chciałam pomagać, być na zawołanie, czuć się potrzebna, służyć komuś lub czemuś. Kiedyś zwierzyłam się z tych rozterek nauczycielce. Powiedziała, że w takim razie powinnam zostać lekarzem, bo tylko wtedy będę w pełni zaspokojona. Od tamtej pory robiłam wszystko, by spełnić to marzenie.

„Dobra, tym razem zaliczyłam falstart, ale następnym razem dostanę się na lekarski i zostanę kardiologiem. Jakoś wytrzymam ten rok” – powtarzałam sobie w myślach, wchodząc na salę wykładową. I wtedy zobaczyłam Tośkę.

Siedziała w środkowym rzędzie i gapiła się na mnie; zapewne spodziewała się wykładowcy, a nie spóźnionej studentki. Potem jednak uśmiechnęła się szeroko, chociaż w pierwszej chwili nie wiedziałam dlaczego. Inni studenci nawet nie zwrócili na mnie uwagi. Wzruszyłam ramionami i podeszłam do tej szczerzącej się dziewczyny o pokrytej piegami twarzy. Dopiero gdy stanęłam tuż przed nią, zrozumiałam, skąd się wzięła jej radość. Miałyśmy na sobie takie same sukienki.

– Tośka. – Wyciągnęła rękę w moją stronę.

– Zośka – odpowiedziałam i wybuchnęłyśmy śmiechem.

Od tamtej chwili byłyśmy nierozłączne. Miałyśmy ten sam gust, poczucie humoru, pasję i postrzeganie świata. Uzupełniałyśmy swoje myśli, a z czasem okazało się, że jedyną rzeczą, jaka nas różni, jest gust dotyczący mężczyzn. Tośkę kręcił hiszpański typ urody i temperament. Ja wołałam skandynawski chłód. Moja przyjaciółka pochodziła z drugiego końca Polski i mieszkała we wrocławskim akademiku. Czasem rodzice zgadzali się, żeby przyjeżdżała do nas na weekend. Po roku ubłagałam ich o zgodę i zamieszkałyśmy razem na stacji, niedaleko uczelni. Byłyśmy jak siostry. Kiedy po studiach Tośka dzięki wujkowi dostała moją wymarzoną pracę, nie byłam na nią zła. Cieszyłam się jej szczęściem i wierzyłam, że i mnie też kiedyś zatrudnią w szpitalu.

– Nad czym tak dumasz? – spytała Tośka, patrząc na mnie podejrzliwie.

– Tak sobie wspominam – odparłam i uśmiechnęłam się lekko.

– Pewnie myślisz o jakimś przystojniaku, ale nie chcesz mi powiedzieć.

– Szturchnęła mnie w ramię.

– Daj spokój, Tośka. Jaki przystojniak może być w domu starców?

Wiesz, że nie gustuję w emerytach.

– A bo ja wiem, może jakiś syn albo wnuczek przychodzi w odwiedziny?

– Może w poniedziałek ktoś przyjdzie. Póki co, to tylko kąpanie, przebieranie, podawanie leków i spacer. Czasem coś komuś przeczytam, czasem kogoś wysłucham. Ogólnie nuda.

– Nie narzekaj. Przynajmniej trochę odpoczniesz. Ja to nawet nie mam czasu rozejrzeć się za jakimś doktorkiem.

– Poczekaj do jesieni. W sezonie letnim będzie pewnie więcej zawałów.

– Teraz zawały, później grypa. Ciągłe coś – westchnęła. – Zobacz, Zośka. Lata lecą, a my nawet nie mamy nikogo na oku.

– Mnie tam się nie spieszy.

– Tak, tak, wiem. Kariera musi być na pierwszym miejscu, bo inaczej nie wyrwiesz się ze wsi.

– W mojej wsi i tak jestem uważana za starą pannę. Kto to widział, dziewczyna po studiach, a nie ma jeszcze męża i gromadki dzieci? Dramat. Nie powiem, czasem przydałoby się męskie ramię, ale wiesz, że musiałybyśmy znaleźć facetów jednocześnie. Nie darowałabym sobie, gdyby z powodu jakiegoś mężczyzny ucierpiała nasza przyjaźń.

– W takim razie możemy wyskoczyć gdzieś potańczyć. Może akurat upolujemy jakąś zwierzynę. Chyba że to ona upoluje nas. – Zachichotała.

– To jak, jutro wychodzimy?

– Jutro nie mogę – odpowiedziałam. – Mama dzwoniła, żebym przyjechała do domu pomóc jej w ogrodzie.

– Coś jej się stało?

– Starość się stała, Tośka, starość – odpowiedziałam beznamiętnie, odłożyłam kubek do zlewu i poszłam do swojego pokoju.

Chciałam jak najszybciej wtulić się w poduszkę i zasnąć. Tylko wtedy nie paliło mnie wszechogarniające poczucie wstydu. Gdybym wiedziała, że po latach nauki i wyrzeczeń wyląduję w domu starców, od razu zmieniłabym uczelnię i kierunek. Teraz już szkoda mi było zmarnowanych lat. W kółko powtarzałam sobie, że w końcu to tylko przejściowe. Gdzieś przecież muszę się zaczepić. Poznają się na mnie, zdobędę doświadczenie i będę mogła wyruszyć na podbój dużego szpitala. Z tymi myślami zasypiałam od tygodnia. A z drugiej strony miałam wrażenie, że czas po stokroć spowolnił bieg i jeszcze chwila, a będę tak stara jak osoby, którymi miałam się opiekować przez kilkanaście godzin dziennie.

5

30 sierpnia 1937 roku, Psary – województwo stanisławowskie

Upalny sierpniowy dzień rozmywał się w delikatnym wietrze z zachodu. Nieliczne chmury wisiały nad horyzontem, przyjmując barwy pomarańczy i różu, a chylące się ku ziemi słońce kładło na wszystkim bladoczerwone cienie. Bór sosnowy pachniał świeżością. W oddali słyhać było śpiew odlatujących kaczek oraz pieśń dzięcioła, wystukującego miarowy rytm o pień drzewa.

Stefania i Antek powoli szli polną drogą, która stanowiła naturalną granicę pomiędzy dwoma ekosystemami. Z prawej ciągnął się ciepły, choć zapadający się w ciemność las, który powoli przygotowywał się na nadejście jesieni; po lewej roztaczała się połać łąki, jeszcze pobielona od chowających się w blasku zachodzącego słońca stokrotek, między którymi jak piegi na dziewczęcym licu wyłaniały się nieliczne fioletowe główki koniczyn, z których Stefania dumnie niosła na głowie upleciony przez Antka wianek.

– Nie mogę uwierzyć, że tak szybko skończyło się lato – stwierdził chłopak z zadumą.

– Pewnie przez te rozruchy zdawało ci się, że czas wyjątkowo szybko płynie, choć tak naprawdę każdy dzień miał tyle samo godzin, co poprzedni. – Stefania uśmiechnęła się, a jej towarzysz spojrział na nią z żalem.

– Przystańmy na chwilę – powiedział, łapiąc dziewczynę za przedramię. – Z każdym krokiem zbliżamy się nie tylko do pałacu, ale również do chwili rozłąki.

– Wiesz, Antek, czasem rozłąka to najlepsze, co można dla siebie zrobić. Może okazać się, że właśnie dzięki niej zrozumiemy, jak silne jest nasze uczucie. – Usiadła na skraju drogi, przymknęła oczy i pozwoliła, żeby promienie słońca ogrzały jej twarz.

Chłopak patrzył na nią z podziwem, a jednocześnie strachem, że oto nastąpiła chwila, w której ostatni raz jest z nią tak blisko. Przysiadł obok niej; Stefania podparła twarz na dłoniach i wysunęła podbródek, jak gdyby dzięki temu słońce miało dotrzeć w każdy zakamarek jej aksamitnej skóry. Studiował centymetr po centymetrze jej na wpół odkryte ponętne ciało. Przesuwał spojrzenie po linii czoła, prostego nosa, pełnych ustach, po delikatnie szpiczastym podbródku i szyi – długiej, smukłej, jak przystało na szlachetnie urodzoną. Lekka, zwiewna sukienka opinała się na dekolcie, znad materiału wyłaniał się przedziałek piersi. Antek przełknął głośno ślinę, modląc się w duchu, by jego towarzyszka nie zauważyła namiętności, z jaką ją miłował. Wiatr dmuchnął mocniej, strącając z jej ciemnych kędzierzawych włosów wianek. Dziewczyna pisnęła radośnie, chwytając się szybko za głowę, lecz nie zdążyła go złapać i wianek umknął w kierunku lasu. Antek zerwał się, skoczył za plecinką z koniczyn, złapał ją i wrócił do Stefanii. Usiadł za nią okrakiem i położył wianek na głowie swojej oblubienicy, poddając się pokusie, jaką roztaczała woń jej ciała. Przesunął opuszkami palców po czole, uchu i smukłej szyi. Ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz i skórę na jej plecach i ramionach pokryła gęsia skórka. Na widok podniesionych na karku, pojaśniałych od słońca włosków Antek poczuł, że wzbiera w nim podniecenie, choć wiedział, że nie może pozwolić sobie na nic więcej prócz pieszczona jej wzrokiem.

– A może w trakcie rozłąki uzmysłowisz sobie, że Antek Babicz nie pasuje do twojego lica – szepnął jej do ucha, a ona westchnęła głośno.

– Dobrze wiesz, jak jest – odparła z wyczuwalnym zniecierpliwieniem.

– Nie chciałbym, żebyś była zmuszona popełnić mezalians, lecz obawiam się, że to rozstanie więcej przyniesie nam szkód niż pożytku. Firma mojego ojca to nie fabryka samochodów przynosząca milionowe zyski, aby moja kandydatura była brana pod uwagę przez twojego ojca.

Stefciu, boję się, że w tych okolicznościach każdy będzie dla ciebie lepszym pretendencem na męża niż ja.

Antek wiedział, jak wygląda życie i że jego żarliwe uczucie do Stefanii Obieckiej nie jest nic warte, ponieważ był tylko synem fabrykanta – chłopą, który sprytem oraz ogromnym szczęściem prowadził teraz dostatnie życie i choć plasował się w czołówce polskich firm produkujących amunicję dla wojska, to ze względu na pochodzenie na salonach nadal był *persona non grata*. Czasy, w których przyszło im żyć, nie zapewniały awansu społecznego z chłopą do hrabiego, nawet gdy ten chłop odniósł sukces. Pieniądze nie były jedynym wyznacznikiem przynależności do arystokracji.

Ojciec Antka, Franciszek Babicz, odziedziczył po swoim wuju chylącą się ku upadłości niewielką fabrykę produkującą ryny, a że miał głowę do interesów, wiedział, że musi zmienić produkt na taki, by niewielkim nakładem pracy przynosił mu wysokie zyski. Przechadzał się niby przypadkiem po sklepach i targach, w rzeczywistości szukając pomysłu na rozkręcenie biznesu. Kiedy usłyszał, że niemiecka partia NSDAP zamierza rozpocząć wojnę i jej próby dominacji nad sąsiednimi państwami mogą skończyć się okrutnie, zrozumiał, że przemysł zbrojeniowy będzie potrzebował wsparcia za wszelką cenę. A „za wszelką cenę” równało się według niego z „za wszelkie pieniądze”. Właśnie wtedy wymyślił, że będzie produkował amunicję dla wojska. Choć od pomysłu do realizacji dzieliła go długa droga, wierzył, że urodził się pod dobrą gwiazdą i że odniesie sukces. Kilka lat później, kiedy Niemcy rosły w siłę i coraz wyraźniej ukazywały swoje nacjonalistyczne oblicze, od niespełna roku firma Franciszka Babicza była polskim potentatem w produkcji amunicji dla rodzimej armii. Choć fabryce daleko było do słynących z najwyższej jakości, twardości oraz elastyczności niemieckich zakładów Kruppa, które produkowały uzbrojenie dla ponad pięćdziesięciu państw z całego świata, to Franciszek i jego rodzina uznawali to za niewiarygodny sukces, który pozwolił im na zawsze zapomnieć o życiu w biedzie.

– Wiesz, że ojciec wyprawiał już kilka przyjęć, żeby znaleźć dla mnie męża, ale bez rezultatu. Myślę, że powoli dojrzewa w nim świadomość, iż

nie dostosuję się do reguł jego gry – powiedziała Stefania, opierając głowę o ramię Babicza.

Antek nie miał śmiałości zapytać, czy wobec tego Stefania zamierza dostosować się do reguł gry, w którą grali wspólnie od kilku lat. Choć podświadomie czuł, że nie może liczyć na odpowiedź, to jednak tliła się w nim iskierka nadziei, że kiedyś staną na ślubnym kobiercu. Taka myśl dodawała mu otuchy i nie pozwalała się poddać. Ojciec zakorzenił w nim wiarę w to, że szczęście i bogactwo nie są domeną ludzi tylko szlachetnie urodzonych, ale każdy może je do siebie przyciągnąć siłą umysłu i pracą. To właśnie w tym Antoni upatrywał dobrego, godnego życia na miarę własnych marzeń oraz oczekiwań. Kiedy jego ojciec wrócił do rodzinnego domu z niewielkim workiem pieniędzy, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było zatrudnienie najlepszej guwernantki, by wprowadziła całą rodzinę w podstawy edukacji. Nie chciał, żeby jego dzieci poszły do szkoły, ponieważ musiałyby zaczynać naukę od początku, a więc kilka lat później niż ich rówieśnicy. Tym sposobem po trzech latach wielogodzinnej nauki w domu Antek i jego siostra Władzia dołączyli do swoich rówieśników w placówkach szkolnych. On chodził do II Liceum i Gimnazjum w Stanisławowie, a ona uczyła się w żeńskiej „Rządówce”, jak potocznie nazywano IV Gimnazjum, po której dziewczyny z reguły łądowały w lwowskiej Akademii Handlu Zagranicznego. To właśnie stamtąd siostra Antka знаła się ze Stefanią. Młody Babicz po swoich zajęciach odbierał siostrę i razem wracali do domu, wymieniając się wrażeniami minionego dnia. Pewnego razu, gdy czekał na Władzię przed gimnazjalną bramą, zobaczył Stefanię, zmierzającą pewnym krokiem do nowego, błyszczącego samochodu, w którym czekał na nią starszy mężczyzna. Miała na sobie szkolny mundurek, jednak zza kołnierzyka wyłaniał się złoty, odbijający światło łańcuszek, a spinka, która przytrzymywała część ciemnobrązowych włosów, mogła mieć większą wartość niż samochód jego ojca. Jednak to nie oznaki bogactwa przyciągały go do tej panienki. Jej uroda w całości wpisywała się w jego kanon kobiecego piękna. Dziewczyna nie wyglądała jak jej koleżanki o bladych licach i wąskich taliach, których bałby się tknąć z obawy, by jego mocniejsze przytulenie nie wywołało siniaków na ich porcelanowych

ciałach. Mimo plecionego wełnianego sweterka i spódnicy sięgającej do kolan dostrzegł u niej sporych rozmiarów biust oraz nogi, o dobrze zbudowanych, sprężystych łydkach. Od razu pomyślał o tym, że ich właścicielka z pewnością dużo czasu spędza na jeździe konnej. Skojarzyła mu się z niepokornym ptakiem, który w szkolnym mundurku czuje się jak uwięziony w klatce, a jedyne, czym może manifestować swój upór i potrzebę wolności, to długie, rozpuszczone i lekko pofalowane włosy oraz wzrok – niepokorny, pewny – którym, gdyby umiała, mogłaby zabić. Stefania nie obrzuciła go wtedy spojrzeniem, ale wprost uczepiła się jego wzroku, jakby był gałęzią, której się złapała, wisząc nad przepaścią. Wwierciła się w jego serce, myśli i marzenia. Właśnie od tamtej chwili pragnienia Antka skupiały się na najmłodszej z rodu Obieckich i kilka lat później od tego spotkania siedział przy niej, upajając się jej zapachem. I choć czuł, że jej niepokorna natura ciągnie ją w nieznaną, trzymał się marzeń o pozostaniu jej mężem, tak jak ona trzymała się wtedy jego spojrzenia.

– Chodźmy – powiedziała lekko zachrypniętym głosem, wyrывая go z zamyślenia. – Matka będzie się denerwowała, gdy przyjdę po zmierzchu.

Ostatni raz zachłysnął się jej zapachem i pomógł jej wstać. Do pałacu wracali w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach oraz wizjach przyszłości. Dalsza droga wiodła przez las, który po dwóch kilometrach zmieniał się w park ze starymi okazałymi platanami, kilkoma dębami oraz wieloma starannie przystrzyżonymi krzewami niknącymi pod naporem zapadającego zmierzchu. Nawet w tych okolicznościach można było zachłysnąć się tym widokiem. Stefania zaczęła opowiadać o tym, jak chciałaby zmienić niezagospodarowaną część parku w oranżerię oraz miejsce, w którym można by się chłodzić w upalne dni.

– O tam – wskazała ręką plac, którego już nie dosięgało światło przydrożnej latarni gazowej – chciałabym, żeby stała fontanna otoczona kwiatami albo krzewami różaneczników. Widziałeś kiedyś różaneczniki?

Antek szedł obok, choć myślami błądził daleko. Chciał zdobyć się na odwagę i jeszcze raz pokazać Stefanii, jak bardzo mu na niej zależy. Pasja, z jaką jej pożądał, przesłaniała mu oczy, a pragnienie posiadania

jej na własność rosło z każdym rokiem. Teraz, gdy dała mu do zrozumienia, że chce odetchnąć od ich relacji, czuł się zagrożony jak nigdy wcześniej. Jego myśli krążyły wokół jej pełnych ust i rumianych policzków. Zatopienie się w nich pomogłoby mu przetrwać miesiące rozłąki...

– Antek? Jesteś? – Dziewczyna potrząsnęła go za rękę, a on chwycił ją mocno i obrócił przodem do siebie. Czuł na swojej szyi jej szybki, speszony oddech, który wzbudzał w nim ukryte na dnie serca jeszcze intensywniejsze namiętności. Mocno przytrzymał ją w talii, przybliżył do siebie i patrząc w oczy, trwał, ostatkiem sił powstrzymując własne ciało.

– Jestem... – szepnął. – Jak zawsze, jestem przy tobie.

Serce Stefanii waliło jak oszalałe. Patrzyła w oczy swojemu przyjacielowi i nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Wiedziała, że chłopak darzy ją uczuciem, ale dotąd nie zdawała sobie sprawy z siły tego pożądania. Wiedziała też, że gdyby teraz uległa, Antek zrobiłby wszystko, żeby zamknąć w jej sercu całe rozgwieżdżone niebo. Ona jednak nie podzielała jego uczuć, przynajmniej nie w takim stopniu jak on. Przymknęła oczy i rozchyliła wargi, myśląc, że jeśli coś poczuje, da mu ostatnią szansę. Antek, nie czekając na lepszą okazję, zatopił w nich usta i dziewczyna od razu tego pożałowała. Nie tak wyobrażała sobie swój pierwszy pocałunek, choć sceneria i okoliczności były przecież piękne. Czekwała na falę rozkoszy, która rozleje się po jej ciele wraz z tym zbliżeniem. Chciała przeżywać to tak, jak jej ulubione pisarki opisywały to w książkach, ale przy Antku nic takiego się nie wydarzyło. Poczuli się zniechęceni całym zajściem i tylko utwierdziła się w przekonaniu, że musi rozluźnić kontakty z chłopakiem; nie ona była mu pisana. Skarciła się teraz w myślach za to, że poszła na spotkanie, zamiast – jak zalecała Marianna – zakończyć tę relację listownie. Poczuli się skrępowani i grzeszni. Wyswobodziła się z silnych ramion, spojrzała na rozanieloną twarz Antka, po czym bez słowa zaczęła iść w stronę pałacu.

– Tak długo na to czekałem – wyszeptał Antoni.

Ciemność gęstniała między nimi, co dla Stefanii było wybawieniem, a dla chłopaka złem koniecznym. Czuł niedosyt jej ust, ale mimo wszystko cieszył się z takiego obrotu spraw. Wiedział, że w jego życiu

zmieni się niewiele, ale teraz miał pewność, że tym pocałunkiem Stefania zostawiła mu uchyloną furtkę, którą z czasem śmiało otworzy, a on wejdzie do jej ogrodu pełnego różaneczników.

Uważając, by nie narobić hałasu, przeszli przez wysypany małymi kamieniami podjazd. Dziewczyna na palcach wspięła się po kilku schodkach i delikatnie nacisnęła mosiężną klamkę ciężkich, rzeźbionych drzwi. Chciała przemknąć do pokoju niezauważona. Nie wiedziała jeszcze, jak powiedzieć Antkowi, że definitywnie nie będzie nic między nimi, postanowiła więc nie komentować pocałunku i rozstać się z nim w przyjaznych stosunkach. Obejrzała się za siebie, obrzuciła Antka ciepłym spojrzeniem, machnęła ręką i bez słowa zniknęła w pałacowym holu.

Duży zegar przy wejściu tykał głośno. Dziewczyna stała przez chwilę oparta plecami o drzwi wejściowe, czekając, aż jej wzrok przyzwyczai się do panujących wewnątrz ciemności i z mroku zaczną się wyłaniać zarysy piętrzących się przed nią schodów, wazonu z kwiatami, których zapach kołysał łagodnie zmysłami, kanap obitych aksamitem czy rzeźbionych krzeseł. Wzdrygnęła się, kiedy z wnętrza salonu dobiegł ją dźwięk zbliżających się kroków. Zobaczyła przytłumione światło. Modliła się w duchu, żeby to nie była jej matka Róża; nie miała ochoty wysłuchiwać reprymendy za spóźnienie. Wystarczyło, że Antek zmęczył ją swoim zachowaniem i natarczywym nakłanianiem do tego, żeby została w nazbyt szybko zacieśniającej się relacji. Światło zbliżało się coraz szybciej, oświetlając wyłożoną kafelkami podłogę oraz płótna z portretami rodzinnymi zdobiące ściany. Zdawało się, że dudniące w piersi Stefanii serce zsynchronizowało się z dodającym minutę do minuty zegarem. Zamknęła oczy i schowała się za filarem, licząc na to, że matczyne wzrok jej nie dosięgnie.

– Stefi, wyłaż, to ja! – szepnęła Marianna, a Stefania złapała się za serce i głośno wypuściła z siebie powietrze.

– Chcesz, żebym dostała zawału? – zrugowała przyjaciółkę, która zjawiała się przed nią z lampą naftową i perskim kotem na rękach. – Gdzie mama?

– Śpi – uspokoiła ją Marianna. Kot zeskoczył z jej rąk na podłogę i usadowił się na kozetce. – Zrobiłam jej herbatę z melisą, bo przeczuwałam, że się spóźnisz.

– Dzięki ci, Panie. – Stefania wzniosła oczy ku sufitowi z rzeźbionym gzymsem, który gdzieś tam nachodził na ścianę falowanym pilastrem.

Stefania spojrzała na uśmiechniętą Mariannę, której bezsenność z pewnością nie wynikała z troski o przyjaciółkę, ale z nieposkromionej ciekawości. Dziewczyna, ubrana w jasnoróżową bawełnianą koszulę, wyglądała na łagodną osobę, choć z twarzy nadal nie schodził jej zadziorny uśmiech. Długie, sięgające łędźwi orzechowe włosy Marianny były niczym peleryna dla nagich ramion. Dziewczyna była sierotą; straciła matkę w wieku czterech lat, a ojciec zaginął podczas ostatniej wojny i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Kiedyś Stefania podsłuchiwała, jak mama opowiadała hrabinie Olenderskiej, że ojciec Marianki leży w zbiorowym grobie gdzieś pod Warszawą, a ona z uwagi na fakt, iż jej matka była kiedyś mamką Stefanii, nie mogła pozostawić dziewczyny na pastwę losu.

Stefania nie pamiętała, kiedy Marianna pojawiła się w ich domu. Wędrowała myślami do najstarszych zakamarków pamięci, ale nawet tam pojawiała się puciołowata twarz rówieśniczki. Róża Obiecka postanowiła dać dziewczynce schronienie oraz opłaciła podstawowe wykształcenie; od kilku lat Marianka oficjalnie była jedną z pokojówek, choć nadal cieszyła się szczególnymi względami, jak chociażby własnym pokojem na piętrze. Kiedy Stefania wyjechała na studia do Lwowa, Marianna została w pałacu, ale w żaden sposób nie wpłynęło to na ich więzi. I chociaż spotykały się od wielkiego dzwonu, to nadal były najlepszymi przyjaciółkami.

– Opowiadaj w końcu! Umieram z tej niewiedzy! – szepnęła Marianka podekscytowana.

– Właśnie widzę – skwitowała Stefania bez entuzjazmu. – Najpierw pójdziemy do mnie. Lepiej, żeby matka nakryła nas plotkujące w łóżku niż pod drzwiami w holu.

Marianna skinęła z aprobatą, po czym na palcach weszły po skrzypiących schodach na górę i usadowiły się w sypialni Stefki, na

wielkim łożu przykrytym atłasową narzutą w kwiaty. Marianna patrzyła, jak Stefania gestykuje żywo, opowiadając o tym, jak spędziła ostatnie godziny. I choć nigdy nie dała tego po sobie poznać, zawsze pragnęła znaleźć się na jej miejscu. Chciała być tą, której Antoni Babicz będzie pragnął, pożądał oraz którą będzie chciał uczynić swoją, ale nie śmiała mącić wody. Jednak chwila, gdy Stefa zadeklarowała, że definitywnie chce zakończyć sprawy z Antkiem, była dla niej jedną z najszcześniejszych w życiu.

6

**14 lipca 2018 roku,
Ołdrzychowice Kłodzkie**

– Dzień dobry! – zawołała radośnie Marika, wchodząc do pałacu. W przedsionku powitała ją Antonina. Szepnęła jej niby ukradkiem kilka zdań, ale dobrze wiedziałam, o czym rozmawiają.

Wczoraj, niedługo po tym, jak Marika poszła do domu, przyjechał Paweł. Rzadko tu bywał, więc jego wizyta była dla mnie zaskoczeniem. Z jednej strony cieszyłam się, że mnie odwiedził i chce spędzić ze mną popołudnie, z drugiej obawiałam się, o czym tym razem chce mi powiedzieć.

Ostatnio dochodziło między nami do ciągłych spięć, właściwie taka relacja trwała już od kilku lat. Paweł pewnie wstydził się matki, która ledwie dobiegała pięćdziesiątki, a już zachowywała się tak, jakby miała drugie tyle na liczniku. Nieporadna życiowo, trzęsąca się i gadająca od rzeczy nie była kimś, o kim chętnie opowiadałby młody mężczyzna. Odkąd jego ojciec złożył papiery rozwodowe, Paweł zamieszkał z nim. Zabrał wtedy wszystkie swoje rzeczy, jak gdyby nigdy tu nie mieszkał. Wstrząsnął moim sercem najgwałtowniej, jak się dało, pozostawiając krwawiącą ranę. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał, przeproszałam go za krzywdy, jakie mu wyrządziłam. Za awantury, wrzaski i za wstyd. Patrzył na mnie wtedy beznamiętnym wzrokiem, jakby wiedział, że przecież w rzeczywistości nie pamiętam tych sytuacji, a przepraszając, próbuję wybielić swoje sumienie z czegoś, co moja pamięć zamieniła w martwy, nieprzewodzący informacji neuron.

Przywitał się ze mną jak z obcą, w skrępowaniu rozglądając się wokół. Wydawał się zagubiony, jakby był nie w swoim dawnym domu,

a w dzikim mateczniku. Nie wyglądał już jak nastolatek. Przyglądałam się jego twarzy, która coraz bardziej stawała się podobna do tej namalowanej na jednym z obrazów. Ostre rysy, twardy i mocno zarysowany podbródek, starannie wystylizowane, gęste ciemne włosy. Zastanawiałam się, czy gdyby zapuścił zarost, to też byłby on tak samo gęsty jak u przodka.

Po tym jak zadał mi serię nic nieznaczących pytań, które – takie odniosłam wrażenie – pojawiły się bardziej w celu ominięcia jakiegoś ważnego tematu niż z zainteresowania moją osobą, usiadł na sofie i wpatrywał się we mnie w milczeniu.

– Jadłaś? – powiedział w końcu.

Kiedy usłyszałam to pytanie, moje usta chciały wyrzucić z siebie potok słów, które zrównałyby ego mojego syna z podłogą. Odetchnęłam kilka razy, mądrzejsza o doświadczenia, i odparłam spokojnie, że tak, jadłam. Nie mogłam sobie pozwalać na wybuchy. Wiedziałam, że moja złość jest po prostu efektem ubocznym choroby i lepiej ugryźć się w język, nawet do krwi, ale zobaczyć jeszcze syna za kilka tygodni, niż wyrzucić z siebie gniew i latami spędzać czas w odosobnieniu, tak jak to było do tej pory.

– Nie wyglądasz – odparł z przekąsem.

Nie skomentowałam, bo co miałabym mu powiedzieć? Że jem coraz mniej, bo przełyk odmawia współpracy? Relacja mózg–kończyny skończyła się już dawno, a teraz moje ciało już nie wiedziało, jak ma przetransportować jedzenie z ust do żołądka. Ciągłe zachłystywanie się nawet niewielką ilością rozgotowanej mamałygi sprawiało, że odechciewało mi się kolejnych prób. Dlatego uśmiechnęłam się lekko w odpowiedzi, bo przecież syn nie przyjechał do mnie po to, żeby słuchać, jak się nad sobą użalam.

– A co u ciebie, Pawełku?

– Pawełkiem już od dawna nie jestem – syknął.

Patrzył na mnie ze złością, jakby walczył z decyzją, czy rozszarpać mnie gołymi rękoma, czy użyć jakiegoś narzędzia. Było mi przykro. Od lat nie potrafiłam przebić się przez ten mur, jaki wznosił wokół siebie. Był moim dzieckiem, a stawał okoniem w każdej interakcji ze mną. Wiedziałam, że to ja jestem winna napięciom oraz nieporozumieniom

między nami. Pewnym wybawieniem okazała się choroba, która serwowała mi niepamięć, ale on, patrząc na mnie, widział projekcję złych wspomnień. Po jego minie wnioskowałam, że nadal żywo odtwarzały się w jego myślach.

– Dobrze, już dobrze – odparłam po chwili. – Cieszę się, że przyjechałeś.

Pochylił się i odwrócił wzrok. Błądził nim teraz między palcami jednej a drugiej ręki. Był wyraźnie spięty, a ja mimo usilnych prób nie mogłam odgadnąć, o czym myśli.

– Jak masz jakiś problem, zawsze możesz ze mną porozmawiać – wypaliłam, chociaż wiedziałam, że w takich sprawach zawsze wybierał ojca.

Prychnął głośno w odpowiedzi i zaczął nerwowo zaciskać dłonie.

– Właśnie mam problem! – powiedział zdecydowanie za głośno. – Miałem od zawsze problem z tym, że taka jesteś! Nie widziałaś nic poza sobą. Ja, ja i ja. Nic więcej się nie liczyło. A teraz... – Głos mu się załamał, a do oczu napłynęły łzy.

Wstał i drżącymi dłońmi wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Otworzył drzwi balkonowe, stanął na progu tarasu i zaciągnął się papierosem, by uspokoić myśli. Znałam ten rytuał aż nazbyt dobrze. Dawniej palenie było moim trikiem na zachowanie równowagi, ale w pewnym momencie przestało przynosić ukojenie.

– Całe życie robiłem jedno – odezwał się już spokojniej, patrząc, jak dym papierosowy tańczy nad bibułką. – Uciekałem. Uciekałem od ciebie, od ojca, który nawet nie próbował ukrywać przede mną, że cię zdradza, od rodziny, która nawet w Wigilię nie potrafi w zgodzie zasiąść do stołu. Chciałem być najlepszą wersją siebie. Nie powielać waszych zachowań, ale pewnych rzeczy nie da się wymazać. Terapie też nie pomagały. Nienawidzę cię za to, że zniszczyłaś mi dzieciństwo. Za to, że przez ciebie i ojca nie potrafiłem nigdy zbudować sensownej relacji z kobietami. A teraz... Teraz nienawidzę cię jeszcze bardziej.

Słuchałam jego monologu zszokowana. Chciałam skostnieć, zastygnąć, bo te słowa rozrywały mi duszę na części, ale ruchy płasawicze nie

pozwalają nawet na taki komfort. Dłonie falowały, a mięśnie twarzy pracowały w tylko sobie znany sposób.

– Przepraszam – powiedziałam, starając się wypowiedzieć to słowo najbardziej zrozumiale i ciepło, ale znów wyszło mi to nieporadnie.

Popatrzył na mnie wzrokiem pełnym pogardy.

– Nie przepraszaj. Życie już odpłaciło ci się za mnie, za ojca i za tych wszystkich nieszczęśników, którym napsułaś krwi.

Z moich oczu popłynęły łzy, ale twarz wciąż pracowała, wytrwale napinając się i poruszając mimowolnie, co czyniło ze mnie karykaturalne widowisko.

– Zobacz, jak ty wyglądasz! Wielka hrabina, która nie potrafi usiedzieć w spokoju na miejscu. I bardzo dobrze! Masz za swoje! Karma wróciła i w końcu możesz poczuć, jak to jest, kiedy ktoś się pastwi nad tobą! Zostałaś swoim własnym katem! – krzyczał Paweł, chodząc po pokoju.

Patrzyłam na jego złość, pozwalając, by oczyścił się z tych destrukcyjnych emocji. Było mi źle, bardzo źle. Żadna matka nie powinna usłyszeć od dziecka takich słów, ale wiedziałam, że mi się należało. Pokornie czekałam, aż usiądzie i się uspokoi.

– Należało ci się, wiesz? Należało się! – powiedział, w końcu siadając przede mną. – Wcale nie było mi cię szkoda, kiedy ojciec powiedział, że jesteś nieuleczalnie chora. Poczulem ulgę, że umrzesz i dasz nam wszystkim spokój. Myślałem, że będę miał cię z głowy, ale nie! Ty nie byłabyś sobą, gdybyś mnie dalej nie krzywdziła!

– Ale Paweł... – powiedziałam drżącym głosem. – Jak cię teraz skrzywdziłam? Od miesiący nie było cię u mnie.

– Jak? Jeszcze pytasz, jak mnie skrzywdziłaś? Jesteś po medycynie! Byłaś świadoma tego, co robisz!

Przed oczami przewinął mi się obraz jak z filmu. To było chwilę po tym, gdy dowiedziałam się o swojej chorobie. W tej scenie siedziałam przed kobietą w średnim wieku, która patrzyła na mnie z politowaniem. Na stole między nami leżała kartka z wynikami badań genetycznych potwierdzających postępującą w moim ciele chorobę Huntingtona. Od ścian białego gabinetu odbijały się słowa lekarki, kiedy mówiła, że choroba jest dziedziczona w sposób dominujący i mój pięcioletni syn

najprawdopodobniej również będzie chory. Teraz słyszałam w swojej głowie jej głos ze zdwojoną siłą.

– Nie... – powiedziałam szeptem.

– Tak! A jednak bardzo sprawnie łączysz kropki! Dałaś mi w genach to, co najgorsze! Właśnie odebrałem wyniki badań i co? Miałem pięćdziesiąt procent szans na normalne życie. Przecież pięćdziesiąt to dużo! Wmawiałem sobie, że będę zdrowy, ale nie! Postanowiłaś mi odebrać nawet nadzieję!

Nie chciałam już tego słuchać. W myślach nuciłam *Kanon Pachelbela*, próbując panować nad oddechem. Wbiłam wzrok w turecki dywan, a na karku poczułam dotyk depresji.

Kilka godzin później chciałam odebrać sobie życie. Pod poduszką miałam schowane dwa opakowania tabletek. Chciałam umrzeć we śnie, jak moja matka. Zabrać ze sobą wszystko, co złe, ale opatrność miała wobec mnie inne plany. Kiedy wysypywałam sobie tabletki na rękę, mimowolne ruchy wznowiły swój rytm, wytrącając mi tabletki i opakowanie z dłoni. Natychmiast przybiegła Tośka; skarciła mnie wzrokiem, pozbierała wszystkie tabletki i schowała w bliżej nieokreślonym miejscu, twierdząc, że to dla mojego dobra.

Rano obudziły mnie jaskółki, kłócąc się, która pierwsza ma wejść do gniazda. Słońce wstawało i malowało na horyzoncie niebo w wielu odcieniach różu. Śmierć czekała za rogiem, ale nie podchodziła do mnie. Wiedziałam, że Paweł nigdy mi nie wybaczy, ale może tak jak ja zrozumie i przyjmie to, co od wieków dziedziczymy z całym dobrodziejstwem inwentarza, z jego dobrymi i złymi historiami. Mogłam tylko mieć nadzieję, że uda mu się dokonać wyborów, które zamienią chęć ucieczki i złość w dumę i potrzebę pojednania.

– Dzień dobry, pani Zofio – powiedziała Marika, podchodząc do mnie i gładząc mnie po ręce. – Cieszę się, że jest pani z nami – dodała z uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiedziałam, siląc się na uśmiech.

– Co chciałaby mi pani dzisiaj opowiedzieć?

– Nie pamiętam, na czym skończyłyśmy.

Zerknęła do notatek.

– Miała pani wrócić do domu rodzinnego i powiedzieć rodzicom o pracy w Domu Pomocy Społecznej. Pojechała pani?

Chwilę trwało, zanim przypomniałam sobie, co się wtedy wydarzyło. Za gęstą mgłą pojawił się obraz: siedzę z rodzicami przy kuchennym stole i jemy zupę. Mama cieszy się z mojej obecności, ciągle dopytuje, co u mnie, a ojciec patrzy zatroskanym wzrokiem, jak grzebię łyżką w talerzu. Nie odważyłam się im powiedzieć o nowej pracy. Nie czułam się dumna ze stanowiska i próbowałam przekonać sama siebie, że oni również nie odczuwaliby satysfakcji z tego, że ich córka w taki sposób zakończyła wieloletnią edukację.

– Pojechałam.

– I? – Marika czekała na moją relację.

– I przepraszam, ale nie pamiętam, co się dokładnie wtedy wydarzyło. Ale idźmy dalej. Do czasu kiedy poznałam kogoś, kto na zawsze odmienił mnie i moje życie. Był dziewiętnasty marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Pamiętam dokładnie tę datę, bo właśnie wtedy byłam na etapie usamodzielniania się na stanowisku. Czekałam na kierowniczkę, która miała mi dać rozpiskę zajęć i terminarz podawania leków. Każdy senior miał indywidualne leczenie, zajęcia czy wsparcie pielęgniarek. A ja po raz pierwszy miałam zostać z nimi sama. Denerwowałam się, ale nie chodziło o sam kontakt czy rozmowy ze starszami, ile o wstręt i obrzydzenie, jakie we mnie wywoływał ich zapach. Moi rodzice, choć też w podeszłym wieku, pachnieli inaczej, może przez to, że stale przebywali na powietrzu. Wysoce prawdopodobne było, że miałam po prostu alergię na starość. Wiem, jak to brzmi... Ale wyobraź sobie woń zaschniętego moczu, odór męskich genitaliów, który ciągnął się jak tren za starszymi panami z przerostem prostaty, i to, jak pachnie oddech, kiedy ma się sztuczną szczękę i niezbyt często dba się o higienę jamy ustnej. Podczas pierwszego tygodnia spacerowałam po pokojach oraz salach wspólnych w asyście Anety. Zapoznawała mnie z obyczajami, pobieżnie opisywała osoby i ich upodobania. Rozumiałam, że ludzie w podeszłym wieku często są kapryśni. Nie przeszkadzały mi przyzwyczajenia czy docinki. Aneta mówiła, że to dlatego, że mam jeszcze zapał do pracy. Ona

wypaliła się kilka lat temu i nawet nie miała ochoty kontynuować rozmów z podopiecznymi. Chodziła wiecznie nabuzowana, zdenerwowana i nie mogła doczekać się momentu, w którym upłynie jej termin wypowiedzenia. Aż nastał dzień, kiedy jej miejsce zajęłam ja – Zofia Buchowska.

* * *

– Proszę, oto rozpiska. Godziny i dawki masz podane. O resztę pytaj oddziałową. – Kierowniczka wyciągnęła w moją stronę zadrukowaną z dwóch stron kartkę.

– Dziękuję. – Z trudem podniosłam się z krzesła.

Wyszłam na korytarz, spojrzałam na rozpiskę: dziesięć pokoi, czyli dwadzieścia osób. Średnia wieku – siedemdziesiąt plus. Na szczęście same osoby chodzące. Odetchnęłam z ulgą, że nie będę musiała walczyć z odleżynami. „Przynajmniej będę miała powtórkę z historii” – pocieszyłam się w myślach, widząc nazwy leków zwiększających poziom acetylocholino, podawanych przy demencji. Aneta uczulała mnie, że ludzie często pamiętają dzieciństwo jako obraz wszelkich przyjemności i chętnie do niego wracają, dlatego potrzebują biernego słuchacza.

Ruszyłam w kierunku pokoi i po niespełna trzech godzinach pierwszą część pracy miałam za sobą. Odwiedziłam wszystkich podopiecznych. Czternaście kobiet, sześciu mężczyzn. Czasem czułam się jak na poligonie, czasem jak w przedszkolu, choć przeważały prywatki. Nie mogłam uwierzyć w to, jak niewybrednie potrafili żartować ci mężczyźni. Trudno też było skupić się na podawaniu leków staruszkom, które rzucały podłe uwagi na temat swoich rywalek. Odniosłam przy tym wrażenie, że mimo kilkudziesięciu panów mieszkających w placówce wszystkie panie chciały zdobyć serce tylko jednego.

Iwan był pierwiastkiem łączącym żeńskie pokoje. Gdziekolwiek weszłam, tam padało jego imię. Mężczyźni zazdrościli mu aparycji. Kobiety nie mogły zrozumieć braku jego zaangażowania i wciąż obmyślały nowe metody walki o jego względy. Szanowny amant był tajemnicą, której nie mogłam rozgryźć. Kiedy spytałam o niego

oddziałową, uśmiechnęła się szeroko i powiedziała, że wszystko zrozumie na obiedzie.

Wyszłam przed taras i wsparta ramieniem o filar, zaciągnęłam się papierosem. Patrzyłam na gęsto posadzone, sięgające ku niebu tuje, które tworzyły swoistą barierę od świata zewnętrznego. Rozpościerający się przede mną ogród wyglądał urokliwie. Zachwyciłam się zielenią w różnych odcieniach i fakturach. Od krzewów rosnących przy tujach oddzielał mnie pas równo przystrzyżonej trawy, którą po bokach zdobiły dorodne forsycje, rozświetlające jaskrawą żółcią otoczenie. Delikatny wiatr, który wprawiał w szelest nieliczne liście, kołł moje zmysły. Stojąc w tym miejscu, nie czułam się jak na obrzeżach dużego miasta, ale jak w jednej z brazylijskich telenoweli, które ostatnio namiętnie puszczały w telewizji. Aż dziw, że takie miejsce schowane było na tyłach odstrasającego budynku.

Czułam, jak moje płuca wypełnia dym papierosa. Spojrzałam w niebo. Słońce wychodziło zza nielicznych chmur. Ciepło promieni ogrzewało moją twarz. Zastanawiałam się, czy Bóg tym pięknem pokazuje mi, że powinnam otworzyć się na życie, czy może chce przekazać mi coś innego, bo nagle poczułam, jak przez moje ciało przepływa kojący duszę spokój. Pierwszy raz, odkąd przekroczyłam te progi, poczułam się tu dobrze.

– Nie przystoi kobiecie o tak znacym zawodzie uragać swojemu zdrowiu. – Usłyszałam męski, delikatnie zachrypnięty głos.

Rozejrzałam się i dostrzegłam siedzącego nieopodal mężczyznę w garniturze. Patrzył na mnie, jakby podziwiał starożytne freski, powoli studiując każdy fragment twarzy. Kącik jego ust delikatnie drgał, wywołując dołeczek w policzku. Zdziorny wzrok odzierał mnie z pielęgniarzkiego fartucha. Zrobiło mi się gorąco i nawet nie musiałabym zerknąć na swoje odbicie w lustrze, żeby zrozumieć, jak bardzo się zarumieniłam.

Nie wyglądał jak jeden ze staruszków, którym rano podawałam leki. Był w podobnym do nich wieku, jednak przy tym bardzo zadbany. Czarne włosy, gdzieniegdzie poprzetykane siwizną, były wystylizowane brylantyną. Miał przystrzyżony zarost, a bruzdy na twarzy dopieszczone wodą kolońską – wyraźnie poczułam ten zapach. Bogaty, męski,

brutalny. Tak wyobrażałam sobie zapach prawdziwego, dojrzałego mężczyzny.

– Nie ma pan decyzyjności w sprawie mojego zdrowia – odpowiedziałam, zaskoczona swoją pewnością siebie.

– Owszem – odparł spokojnie.

Patrzył na mnie wzrokiem pełnym zaskoczenia i fascynacji. Iskrzące oczy zdradzały podekscytowanie. Zupełnie jakby odkrył od dawna poszukiwany skarb. Przytłaczało mnie to spojrzenie, sama jednak też nie mogłam oderwać od niego wzroku. Zaschło mi w gardle i z trudem przełknęłam ślinę. Papieros się wypalił i dopiero gdy poczułam przy palcach ciepło żaru, zorientowałam się, że wpatrujemy się w siebie zdecydowanie zbyt długo. Przygasiłam ledwo tłący się pet o starą kryształową popielniczkę leżącą na parapecie i zostawiłam w niej niedopałek. Mężczyzna wstał, podszedł do mnie i złapał mnie za rękę, po czym przysunął ją do swoich ust. Poczułam delikatne muśnięcie jego warg o swoją skórę i następujący po nim dreszcz.

– Iwan Nazarenko – powiedział i dopiero teraz usłyszałam jego lekko wschodni akcent.

– Zośka Buchowska.

– Sofija... – szepnął.

– Słucham?

– Sofija. Brzmi lepiej.

Wciąż trzymał moją dłoń w uścisku. Im dłużej tak trwaliśmy, tym bardziej byłam zahipnotyzowana jego osobą. Wytwarzał wokół siebie niesamowitą aurę. Z jednej strony zachwycała mnie tajemniczość, a z drugiej dziwiło odczucie, które kazało mi zaufać mu bezgranicznie. Wyglądał i zachowywał się jak nie z tej epoki. Tośka nazwałaby go odklejonym od rzeczywistości.

– Proszę już tak nie patrzeć, tylko wracać na salę – powiedziałam, zabierając dłoń.

– Proszę mi wybaczyć tę... lubieżność, panienko Sofijo. Patrząc na panienkę, mam nieodparte wrażenie, jakbym cofnął się do lat młodości, a podobieństwo panienki do mojej dawnej miłości jest wręcz piorunujące.

„Odklejony. Definitywnie” – pomyślałam, a głośno odpowiedziałam:

– Dobrze, już dobrze. Obiadek czeka. – Zaprosiłam go gestem, by wszedł do środka.

– Czekałem pół wieku, by odnaleźć ukochaną. A kiedy straciłem nadzieję, przyszła do mnie jej delectująca się papierosem kopia, jak gdyby mieszkała tu od zawsze. Nie każ mi, panienko, iść na nic niewarty posiłek.

– Więc proszę zostać i głodować – odparłam kąśliwie, czując, że Iwan to mężczyzna z zaburzeniami, potocznie zwany wariatem, i że lepiej trzymać się od niego z daleka.

– Spokojnie. Nie miałem nic złego na myśli, ale... Takie uderzające podobieństwo nie zdarza się często.

– W porządku – odparłam, chociaż wcale nie czułam się w porządku, i szybkim krokiem poszłam na zaplecze dla personelu.

Dawno zapomniana tachykardia obudziła się z letargu i moje serce zaczęło wybijać rytm *Marsza tureckiego*. Szybkie pompowanie krwi nie wywoływało niepokoju, lecz wprawiało mnie w stan delikatnego pobudzenia, podniecenia... może radości? Nie umiałam tego sprecyzować, jednak było to przyjemne uczucie. Coś, czego dawno nie doznałam... Tamtego dnia nie pojawiłam się już na stołówce. Przeczekałam porę obiadową i szybko wydałam popołudniowe lekarstwa swoim podopiecznym. Nie chciałam więcej spotykać się z Iwanem. Nie byłam gotowa na odczucia, których nie potrafiłam nazwać. Powinnam oswoić się z pracą, przyjąć na barki ciężar nowych obowiązków. Mącenie myśli jakimś wariatem było ostatnią rzeczą, której w tamtej chwili potrzebowałam.

Jak co wieczór zrelacjonowałam przyjaciółce dzień. Zgodnie uznałyśmy, że lepsze dla mojego zdrowia psychicznego będzie omijanie tego staruszka szerokim łukiem. Nie należał do mojej grupy podopiecznych, więc wcale nie musiałam zabiegać o tę relację. Właściwie to mogłam całkiem zaniechać wchodzenia z nim w dyskusje i to postanowiłam robić.

**20 grudnia 1937 roku,
Lwów**

Pantofelki miarowo wybijały rytm na brukowanym chodniku. Zbliżając się do Akademii Handlu Zagranicznego, Stefania Obiecka na zmianę pocierała i ogrzewała oddechem zmarznięte dłonie, których drogie rękawiczki nie były w stanie uchronić przed mrozem. Długi, czarny płaszcz idealnie przykrywał elegancką suknię, która mimo wcześniejszych zapewnień pracownic domu mody nie była odpowiednia na tę porę roku. Drobiniki śniegu opadające delikatnie na wychodzące spod filcowego kapelusza kasztanowe, pofalowane włosy sprawiały, że wydawała się bardziej dystyngowana, niż pozwalał jej na to wiek.

Tego dnia miała stawić czoła najważniejszemu egzaminowi w życiu i chociaż matka pisała w liście, że to będzie dla niej formalność, gdyż ojciec podczas polowania na kaczki rozmawiał z rektorem Sorowiczem, przygotowywała się do niego pilnie. Wykształcenie chciała zdobyć sama, ponieważ nie znosiła, kiedy ludzie oceniali ją przez pryzmat pozycji, jaką zajmował jej ojciec. Zwłaszcza tu, we Lwowie, Mieczysław Obiecki jawił się jako chamski podnózek piłsudczyków, który wszelkie dobro opierał na swoim herbie.

Stefania dobrze pamiętała początki swojej edukacji, gdy jej nazwisko wywoływało na ludzkich twarzach nieprzyjemny grymas. Choć nikt nie mówił wprost tego, co myślał, a rozmowy cichły, gdy pojawiała się w towarzystwie, to zdawała sobie sprawę, że arystokratyczne pochodzenie, z którego tak dumna była jej rodzina, nie jest dobrze postrzegane w mieście. Nie w chwilach, gdy ludzie w jej kraju zamiast się jednoczyć, podsycali bunt, a różnice w klasach społecznych stawały

się nad wyraz widoczne. Gdy większość obywateli nie stać było nawet na to, żeby codziennie zjeść mięso, a w gazetach ukazywały się informacje o balach wyprawianych przez elitę. Nie, teraz bycie hrabianką nie było dobrze widziane.

Dziewczyna od kilku lat czuła silną potrzebę pomocy biednym i odcięcia się od arystokratycznych stereotypów. Gdy była we Lwowie, czuła się źle, jednak w Psarach nikt nie zwracał na nią zbyt dużej uwagi. Tam wszyscy byli przyzwyczajeni do tego, że jej rodzina jest bardzo zamożna i że w jej żyłach płynie krew innej barwy niż u większości śmiertelników. Nikt nawet nie śmiał spojrzeć na nią nieprzychylnie, nie mówiąc już o bezpośredniej konfrontacji. Jednak we Lwowie sytuacja wyglądała inaczej. Tu, w mieście wielu kultur, istniało jawne przyzwolenie na drwinę i wyrażanie niechęci względem dobrze urodzonych. Kiedyś nawet usłyszała zdanie, jakoby nadchodząca wojna miała przynieść jedną dobrą rzecz – upadek arystokracji. Choć z każdym rokiem coraz wyraźniej dostrzegała rysy na zachowaniu ojca, matki czy sióstr, a różnice społeczne raziły ją w oczy nie mniej niż upalne czerwcowe słońce, to niczego w świecie nie bała się tak jak upadku swojego rodu, a raczej tego, że jej rodzina rozpadłaby się w drobny mak. Złość, jaka wylała się z ludzi na samo wspomnienie arystokracji, budziła w niej strach, więc Stefania za punkt honoru przyjęła sobie zmianę ich sposobu myślenia. Chciała stać się prowodyrką zmian, które w przyszłości mogłyby przyczynić się do współpracy wszystkich klas społecznych. Wiedziała, że po ojcu ma smykałkę do przemawiania, choć stale prowadziła wewnętrzną walkę z zasadami wpajanymi jej od dziecka i wciąż musiała upominać się u bliskich o większą empatię. Starła się też nie zbaczać z obranego przez siebie kursu, choć wychowanie w tradycji było jak magnes, który co chwila próbował ją przeciągnąć na swoją stronę.

Weszła do gmachu, naparłszy ze wszystkich sił na wielkie drewniane drzwi. Otrzepała skórzane pantofelki z drobinek śniegu i rozejrzała się po holu akademii. Oprócz starszego pana na portierni, który codziennie wyglądał tak samo i nieraz zastanawiała się, czy pełni tu całodobową

wartę, w środku nie było jeszcze nikogo. Mogła w spokoju podziwiać wnętrze uczelni, które od zawsze wprawiało ją w osłupienie.

Wysokie, śnieżnobiałe ściany przecięte hebanową boazerią, fragmenty złota wtopione w głowicę marmurowej kolumny porządku korynckiego i w końcu posadzka złożona z licznych, ciemnych kafelków, stanowiąca kontrast i jednocześnie dopełniająca resztę. Stefania zachwycała się kunsztem pracy, jaką wykonali budowniczowie. Gdy tylko miała okazję do chwili zadumy, pieściła oczy dystyngowanym widokiem.

Przysiadła na drewnianej ławce tuż przy auli i w skupieniu oddała się wertowaniu notatek w kajecie, lecz z zamyślenia wyrwał ją głośny chichot. Chwilę później tuż obok niej stanęła grupka młodych dziewcząt.

Eleganckie granatowe spódnice spływały im luźno do kostek. Do tego miały na sobie taliowane marynarki i wychodzące spod nich białe koszule. Choć w okolicy były tylko dwa domy mody, dziewczętom udało się nie wyglądać identycznie, co było nie lada wyczynem. W końcu w elitarnym środowisku nie przystało duplikować stroju.

– Stefi, wyjdiesz z nami na potańcówkę po egzaminie? – zapytała Marysia Pawłowska, poprawiając duże, okrągłe okulary, które choć niewygodne i źle dopasowane do twarzy drobnej blondynki, były ostatnim krzykiem mody.

– Szanowny pan tato pewnie jej nie pozwoli – wtrąciła Hanna Filipowicz, wywołując tym docinkiem głośny śmiech pozostałych.

– Chętnie dołączę, Marysiu – odpowiedziała Stefania, zwracając się w stronę koleżanki, i posłała pełne oburzenia spojrzenie śmiejącym się dziewczynom. – Pod warunkiem że zdam.

– Nawet gdybyś została dziś na stacji, zdałabyś celująco – stwierdziła Hanna, a pozostałe dziewczęta uśmiechnęły się szyderczo.

– Hanno Filipowiczówno, twoja uwaga powinna skupić się na referowanym za moment materiale. Z pewnością przyniesie ci to więcej korzyści niż ocena wpływów mojego ojca.

– Cóż, mój ojciec nie wpycha rąk w każde mrowisko, więc moja wiedza może okazać się niewystarczająca w starciu z kontaktami hrabiego Obieckiego.

– Drogie panie, zapraszam pojedynczo do sali, począwszy od panny Andrzejewiczówny. – Obok nich stanął profesor Jan Czorny.

Dziewczęta w skupieniu i ciszy wchodziły na salę wykładową. Kiedy wszystkie zajęły swoje miejsca, zjawili się Olgierd Lumger, Stanisław Kortmanowski oraz rektor uczelni – Henryk Sorowicz i, usiadłszy za katedrą, wspólnie przeprowadzali egzamin. Dziewczęta odpowiadały wyczerpująco, aż styczniowy poranek przemienił się w szare, późne popołudnie. Kiedy wskazówki zegara zbliżały się do godziny siedemnastej i wszystkie studentki zostały przeegzaminowane, do sali wszedł docent Szczepan Warot, z dumą dzierżył plik dyplomów do podpisu. Hanna śledziła wzrokiem młodego mężczyznę, lecz on w tłumie kończących naukę dziewcząt szukał Stefanii i choć młoda Obiecka nie upatrywała w nim kandydata na męża, to nie chciała urazić go swoim odrzuceniem. Nieśmiało odwzajemniła posłany jej uśmiech, mimo że wolałaby w tej chwili widzieć kogoś innego. Nie wiedziała kogo, wszak jej serce nie było zajęte, ale czuła, że każdy byłby lepszy, byle nie mizernie smalący cholewy Warot. Nie widziała sensu w krzywo wystrzelonej strzale Amora, która spowodowała, że Hanna Filipowicz, dotąd bliska jej sercu, nagle stała się wobec niej wrogo nastawiona. Choć Stefania niejednokrotnie zapewniała koleżankę o braku uczucia względem Warota, ta była nieugięta.

– Stefania Obiecka – wywołał rektor z katedry, a dziewczyna śmiałym krokiem podeszła i uściśnięła mu dłoń.

– Gratuluję uzyskania bardzo dobrego wyniku – powiedział, wręczając jej dokument potwierdzający obroniony stopień naukowy.

– Dziękuję, panie rektorze – odpowiedziała.

– Gdyby panienka chciała, chętnie przyjąłbym panienkę w nasze skromne szeregi. Wśród wykładowców przyda się kobieta, która tak otwartym i światłym umysłem wprowadzi zmiany oraz usprawni ścieżkę losu uczelni.

– Z całym szacunkiem, panie rektorze, ale mam już plany na przyszłość.

– Mam nadzieję, że plany te związane są ze zdobytą wiedzą?

– Oczywiście. Jednak póki co, nie chciałabym ich zdradzać, żeby nie narazić się na porażkę.

– W takim razie życzę powodzenia, cokolwiek by to było. Gdyby jednak zmieniła panienska zdanie, nasze drzwi pozostają otwarte – powiedział i ponownie uścisnął dziewczynie dłoń, po czym wywołał z sali kolejną studentkę.

Chwilę później dziewczęta umawiały się na wspólne wyjście do restauracji. Wszystkie zgodnie stwierdziły, że zanim rozjadą się do swoich rodzin, muszą uczcić wspólnie spędzone lata i śpiewająco zdany egzamin. Lwowskie latarnie bladym światłem oświetlały zaśnieżone chodniki. Dziewczęta, śmiejąc się i plotkując na temat przystojnego docenta Warota, szybko doszły na róg ulicy 3 Maja i Jagiellońskiej, gdzie mieściła się kawiarnia Centralna – ulubione miejsce młodych studentek na mapie Lwowa. Zgodnie z planem postanowiły najpierw uraczyć się dobrym ciastkiem, a następnie tanecznym krokiem wejść w dorosłe życie. Dumne, zadowolone i czerpiące radość z chwili, stanowiły wesołą, dającą radosne tchnienie iskierkę w tym dystyngowanym miejscu. Po kilku godzinach wesołej zabawy nastąpiła chwila pożegnania i powrót do stacji, ponieważ rankiem po większość dziewczyn mieli przyjechać ojcowie, bracia lub narzeczeni, by zawieźć panny do domu na święta Bożego Narodzenia.

Stefania wraz z Jagną Dobrowolską dotarły już do bramy kamienicy, w której wynajmowały mieszkanie, gdy nagle Stefa poczuła na ramieniu silny uścisk. Mimowolnie szarpnęła się, żeby wyswobodzić ramię z obcego uścisku, a gdy się obróciła, zobaczyła, że na granicy jej mroźnego oddechu i reszty świata stoi stara Cyganka i bezwstydnie się w nią wpatruje.

– Proszę ją puścić! – obruszyła się Jagna i pacnęła ją w rękę, ale starowinka była nieustępliwa.

– Pokaż rękę, dziewczyno – wychrypiała.

– Nic nie pokażę! – Stefania spojrzała na nią złowrogo. – Nie mam pieniędzy, więc nic pani nie zarobi.

– Oj, dziewczyno! Po oczach widzę, że duszę masz niespokojną i serce pełne wolności. Nie pasujesz do tych czasów. Zamiast oddychać miłością,

uczysz się po nocach, ale biada ci! Nic z tej nauki nie wykorzystasz w życiu.

Młoda Obiecka otworzyła usta ze zdziwienia i patrzyła z niedowierzaniem na staruszkę.

– Ale nie bój się, dziecino – kontynuowała wróżbiarka uprzejmie. – Ja ci za darmo powrózę! Wszak takiej duszy w całym Lwowie nie widziałam.

Dziewczęta spojrzały po sobie zaintrygowane, a kobieta, widząc ich konsternację, postanowiła nie czekać na pozwolenie i chwyciła Stefanię za prawą rękę, po czym przesunęła sękatym palcem po wnętrzu jej dłoni.

– Dwa razy po trzydzieści, tyle pożyjesz, a przez swoje wybory nie będzie ci dane zaznać szczęścia. Raz tylko pokochasz szczerze, całym sercem i ta miłość do biednego chłopca zaślepi ci wszystko inne, dlatego szybko sama na świecie zostaniesz. Bieda nie dotknie twojego lica, choć umrzesz niekochana, a dziecko...

Stefania wyrwała dłoń z rąk staruszki jak poparzona, nie pozwalając na dokończenie wróżby, i zacisnęła ją w pięść na wysokości serca, jak gdyby chciała zamknąć ją dla świata.

– Przeznaczenie jest jak czas – wyszeptała Cyganka. – Czy będziesz dbać o niego, czy marnować, on i tak upłynie. Nie możesz go zmienić ani zatrzymać.

– Więc po co mi to pani mówi? – krzyknęła Stefania, a jej głos drżał z przerażenia.

– Docień ludzi, którzy są obok ciebie, nim będzie za późno na jakiegokolwiek rozmowy – powiedziała staruszka i, obróciwszy się na pięcie, odeszła, kolebiąc się na boki. Jej krokom towarzyszył brzęk monet luźno rzuconych do kieszeni obszernej spódnicy. Po chwili zniknęła we mgle, nie obracając się ani razu za siebie.

– Nie martw się – powiedziała Jagna, gładząc Stefanię po ramieniu. – Nie ma co wierzyć starej.

Ale Stefania nie była tego taka pewna. Odkąd pamiętała, do jej matki po cichaczku, gdy ojca nie było w domu, przychodziła szeptucha. Matka wierzyła w rytuały, duchowe uzdrawianie i mikstury, które dostawała od

babuleńki. Powtarzała, że życiu zawsze można pomóc, a każdą klątwę obrócić w dar, jednak tylko wtedy, gdy dusza jest czysta.

Teraz, usłyszawszy wróżbę Cyganki, Stefania drżała w duchu o swoją przyszłość.

– Chodź, bo zaraz tu zamarzniemy.

Jagna szarpnęła ją za ramię i poprowadziła do drzwi kamienicy. Weszły po cichu na górę, żeby nie zbudzić mieszkającego tuż przy wejściu zarządcy budynku. Gdy tylko weszły do pokoju, opadły na łóżko, a Jagna po kilku minutach chrapała jak niedźwiedź.

Stefania tej nocy nie zmrużyła oka. Punktualnie o siódmej rano w kościele Świętej Marii Magdaleny zabiły dzwony nawołujące na poranną mszę. Stefania podniosła się z łóżka i poszła do łazienki, żeby się odświeżyć. Oczy miała podkrążone od płaczu nad swoim losem, a twarz bladą z przerażenia. Przez kilka ostatnich godzin jej umysł tworzył ze słów Cyganki różne wizualizacje, wszystkie malowane w ciemnych barwach. Zastanawiała się, czy to, co ostatnimi czasy czuła, będzie miało związek z przyszłością. Żałowała, że w przypiływie impulsu zabrała dłoń. Może reszta przepowiedni okazałaby się dla niej łaskawsza. Bo cóż to za życie, przepełnione bólem i samotnością? Nad ranem modliła się żarliwie do Boga o wsparcie, ale jej serce pozostawało niespokojne, a pracujący na najwyższych obrotach mózg nie potrafił zdystansować się od przepowiedni.

Kiedy dwie godziny później jechała z ojcem do domu rodzinnego, niewiele się odzywała. Pozwoliła, by to on opowiadał o nowinkach politycznych. Od strajku chłopskiego wpadał w istny monologiczny trans, gdy tylko wykazała nawet najmniejsze zainteresowanie sytuacją w kraju.

Jego wiedza zawsze jej imponowała, ale tego dnia nie potrafiła się skupić na tym, co mówił. Patrzyła beznamiętnym wzrokiem, jak ojciec kieruje samochodem, nie tracąc przy tym kontroli nad wylewającym się z jego ust potokiem słów, i zauważyła, jak bardzo swoim postępowaniem przypominała hrabiego Obieckiego. Jej asertywność, siła przebicia i argumentacje wywoływały w postronnych wrażenie, że była osobą stateczną i zrównoważoną. Nawet jeśli wewnątrz toczyła walkę

o wyższość uczuć nad rozumem, to w życiu codziennym starała się kierować zdrowym rozsądkiem i taktycznym podejściem do problemów. Nigdy nie zrobiła nic tylko dla siebie. Zawsze wysuwały się na pierwszy plan dobro ogółu i uczucia innych, a ona sama, choć cierpiała nad tym, starała się nie pokazywać emocji na zewnątrz, robiąc dobrą minę do złej gry.

Po dwóch godzinach zajechali do Psar, gdzie spadło jeszcze więcej śniegu niż we Lwowie. Mgła gęsto osiadała na okolicznych polach, przez co miało się wrażenie, że linia horyzontu nie istniała. Ziemia i niebo wydawały się jednością, a oni płynęli w tej przestrzeni.

Matka wypatrywała ich z okna swojego pokoju na piętrze, a gdy tylko samochód wyłonił się zza zakrętu, wybiegła na zewnątrz, by przywitać córkę.

Róża Obiecka, kobieta o jasnym spojrzeniu i aksamitnej skórze, była jedną z tych żon, które autorytet męża podbudowują własną działalnością charytatywną. Latem w co drugą niedzielę organizowała w pałacu charytatywne garden party, z którego dochód przeznaczala na walkę z biedą lub pomoc osieroconym w wojnie dzieciom. Podczas wojny nie chowała się, ale zostawiała córki z niańką, a sama zakasywała rękawy i pomagała w szpitalu polowym. Budziła tym podziw elit nie tylko w swoich stronach, ale również na zachodzie. Podczas zjazdów politycznych towarzyszyła mężowi, który z dumą chwalił się jej dokonaniem dobroczynnymi na Kresach Wschodnich. Hrabiostwo Obieckich dzięki wzajemnemu dopasowaniu stanowiło obraz rodu, z którego zdaniem liczyło się wielu znanych, i ten kontrast pomiędzy wspaniałym obrazem rodziców a postrzeganiem ich przez ludność we Lwowie był dla Stefanii druzgocącym doznaniem.

– Dziecko moje kochane! – Matka otworzyła ramiona otulone etolą z lisa, a Stefania rzuciła się w nie jak spragniona czułości kilkulatka, a nie dorosła kobieta. Czując ciepło matczynych objęć, z trudem połykała łzy.

– Chodźmy do domu, zupa czeka – powiedziała Róża i, tuląc do siebie córkę, przekroczyła próg posiadłości.

Przy obiedzie rodzice zauważyli podkrążone oczy Stefanii i nietypową dla niej małomówność. Dziewczyna patrzyła na wszystko z tęsknotą i żalem, jakby właśnie oglądała swój dom po raz ostatni. Kiedy matka z troską spytała o powód, córka stwierdziła, że musiała się przeziębić, i nie chciała drażnić tematu.

Dopiero wieczorem, gdy Róża zajrzała do jej pokoju i zastała córkę siedzącą przy toalecie i wpatrzoną w odbicie twarzy mokrej od łez, wiedziała, że w życiu Stefanii wydarzyło się coś złego.

– Co się dzieje, córciu? – spytała, po czym sięgnęła po szczotkę i zaczęła rozczesywać długie, ciemne włosy dziewczyny. – Zakochałaś się?

Dziewczyna milczała, przecząco kręcąc głową, i pozwoliła matce dokończyć wieczorny rytuał.

– Masz problemy na uczelni? – dociekała Róża.

– Nie, ale – zawiesiła głos – mogłabyś umówić mnie z tą swoją znachorką?

Matka zbита z tropu spojrzała w lustro i przez chwilę studiowała z uwagą smutną twarz córki. Stefania nie dowierzała zdolnościom szeptuchy i wielokrotnie namawiała matkę, aby przestała spotykać się ze staruszką, dlatego gdy teraz upomniała się o wizytę, troskliwy wzrok matki próbował przeświecić ją na wskroś.

– Mogłabym, jeżeli powiesz mi, co się stało – powiedziała miękko Róża.

Stefania wpatrywała się w matkę, która wróciła do rozczesywania włosów i w ciszy czekała na odpowiedź. Dziewczyna wiedziała, że matka celowo podąża wzrokiem za szczotką, bo chce, by Stefania mogła się zastanowić, co chce powiedzieć, bez poczucia presji, ale nie odpuści, dopóki nie pozna prawdy.

– Nie będziesz się denerwować, jak ci powiem?

– Stres jest wielki, gdy towarzyszy mu tajemnica, a maleje, ujrawszy światło. Prawda zawsze rozświecła mrok. Powiedz, co ci leży na duszy, dziecko, zamiast przejmować się moim zdaniem. Wszak na przeszłość i tak wpływu nie mam.

Stefania westchnęła głośno i skuliła ramiona.

– Wczoraj zaczepiła mnie Cyganka – wypaliła w końcu. – Mówiła straszne rzeczy i chcę sprawdzić, czy miała rację.

– To musiała być oszustka – uspokoiła ją matka, choć Stefania dostrzegła, jak przez ułamek sekundy jej twarz posępnieje. – Prawdziwa nigdy nie powie ci nic złego. Nie martw się, kochanie. Połóż się do łóżka i odpocznij po podróży, a jutro poślę po babuleńkę.

Dziewczyna uśmiechnęła się krzywo, a matka przytuliła ją, pocałowała w czoło i wyszła z pokoju.

Tej nocy Stefania nie spała dobrze, a sen, gdy już się pojawił, poprowadził ją znów do tamtego spotkania ze staruszką w bramie kamienicy przy ulicy Zimorowicza we Lwowie.

**11 stycznia 1938 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Stefania zmarszczyła brwi, po czym mocno zacisnęła powieki. Jej pokój wypełniał zapach lawendy oraz mieszanki ziół, których nie mogła rozpoznać. Słyszała kroki starej kobiety, jej cichy szept pojawiający się z różnych stron. Odetchnęła głęboko, starając się zachować czysty, niezakłócony żadną myślą umysł, jednak ten mimowolnie analizował wydarzenia ostatnich dni.

Kiedy Stefa wyjawiała matce swój sekret, wszystko potoczyło się bardzo szybko. Już następnego dnia rano Róża Obiecka wysłała jedną z pokojówek do domu zielarki na skraju wsi z prośbą o szybką konsultację. Nie zdążyły zjeść obiadu, gdy do posiadłości przydreptała starowinka z całym naręczem ziela i koszem pełnym przeróżnych rzeczy. Pierwsze spojrzenie na Stefanię wywołało u kobiety pełne napięcia, chaotyczne ruchy, co wprawiło dziewczynę w jeszcze większe zdenerwowanie. Kiedy dopytywała babuleńkę o swój los, ta ochryłym głosem gasiła jej nieokiełznany język. Po godzinie spędzonej przy kadzidełkach i dziwnych rytuałach Stefa usłyszała, że będą się jeszcze spotykać, żeby oczyścić aurę.

W ciągu kolejnych trzech tygodni miała kilka bliskich spotkań ze staruszką, wypełnionych różnymi zapachami, eliksirami i herbatami. Wychodziła na zewnątrz w blasku pełni księżyca, by wykąpać się w wodzie z mlekiem, które miało zmyć z niej klątwę rzuconą przez Cyganekę. Pozwalała przycinać sobie kosmyki włosów i testować na swoim ciele różne zaklęcia – wszystko w imię spokojnej przyszłości. Jednak w miarę upływu czasu Stefania coraz częściej myślała, że to nie

klątwa jest winna temu, co się działo w jej życiu, ale jak to nazwała lwowska wróżka – przeznaczenie. Opowiedziała więc matce o swoich obawach, a ta po rozmowie z mężem postanowiła wyprawić przyjęcie, którego oficjalnym celem było zebranie datków na dzieci z okolicznych ubogich rodzin, a nieoficjalnie – znalezienie Stefanii męża, który odmieniłby jej los.

– Mam tylko jeden wymóg – powiedziała córka podczas obiadu, gdy wspólnie z rodzicami omawiała listę gości.

– Słucham, córko – powiedział ojciec i zakręcił węża na palcu wskazującym.

– Sprawdź go, ojczu, przed zaręczynami. Niech będzie dobrym człowiekiem.

– Kochanie, w naszych kręgach nie ma złych ludzi – stwierdziła pokrzepiająco Róża.

Stefania uniosła brew i obrzuciła matkę poirytowanym spojrzeniem. Znała towarzystwo, w jakim obracali się jej rodzice. Elita opływająca w luksusy nie zawsze działała zgodnie z prawami etyki czy moralności. Choć ludzie trwali w oficjalnie zgodnych małżeństwach, coraz głośniej mówiło się o licznych nieślubnych potomkach, zrodzonych w wyniku romansów, które mieli koledzy jej ojca. Wielu też bezprawnie przejmowało okoliczne ziemie dzięki układom, a łapówkarstwo uznawano za skuteczną metodę załatwienia każdej sprawy. Stefania brzydziła się takim postępowaniem, również tym, którym niejednokrotnie chełpił się jej ojciec. Jej miłość do ojca była stale wystawiana na próbę. Z jednej strony szanowała go i podziwiała, z drugiej złościła ją jego zuchwałość. Nie mogła przestać go kochać, ale też nie potrafiła zaakceptować niektórych zachowań czy decyzji.

Mimo dotychczasowych wątpliwości i początkowej sceptycznej postawy dziewczyna z niecierpliwością wyczekiwała przyjęcia. Dawno już nie było okazji, żeby organizować zabawę na jej cześć, a jeśli się już takowa pojawiała, Stefania robiła wszystko, by nie brać w niej udziału. Gdy odbywały się przyjęcia, ona zazwyczaj przebywała we Lwowie, studiując pod okiem najlepszych profesorów, a w przerwach od szkoły upierała się, żeby nie zakłócać jej spokoju, więc rodzice skupiali się na zapewnieniu

córcie godnego odpoczynku po ciężkich miesiącach nauki. Mieli ku temu wiele powodów, ponieważ Stefania jako jedna z nielicznych studentek zdobywała same najlepsze oceny, a rektor Sorowicz, przyjaciel jej ojca, niejednokrotnie chwalił jej dokonania przed rodzicami. Jako najmłodsza z trzech córek posiadała najbardziej chłonny i racjonalny umysł, który był niezwykle szanowany w kręgach naukowych. Od lat wrócono jej karierę naukową i świetlaną przyszłość, dlatego – choć ojciec z przekąsem wysłuchiwał ostatecznie historii z Cyganką – nie protestował, kiedy matka wymyślała najróżniejsze sposoby utrzymania dobrego wizerunku rodziny. W duchu II Rzeczypospolitej, gdzie wielkie wzloty i upadki prestiżu były na porządku dziennym, Obieccy nie mogli sobie pozwolić na szarganie swojego ciężko wypracowanego dobrego imienia.

– Wstańże, dziecko. – Usłyszała głos staruszki, która dotąd szeptała wokół niej zaklęcia.

Stefania posłusznie podniosła się ze zdobionego atłasowym siedziskiem drewnianego krzesła, a kobieta zaczęła omiatać jej ciało licznymi roślinami, drażniąc nozdrza, ramiona, brzuch, a nawet stopy. Unoszący się w pokoju zapach stawał się coraz bardziej duszący, a skóra od pocierania liśćmi i trawami swędziała niemiłosiernie. Dziewczyna zacisnęła zęby, czekając na koniec rytuału, a kiedy usłyszała klaśnięcie w dłonie, otworzyła oczy.

Stała w kole zrobionym z różnych roślin i kwiatów, a wokół niej było szaro od dymu. Spojrzała na swoją zaróżowioną i podrażnioną skórę na rękach.

– Co pani narobiła? – krzyknęła ze złością, widząc, jak na jej przedramionach z każdą minutą wyskakuje coraz więcej swędzących bąbli.

– Wszystko, co możliwe – odpowiedziała staruszka, zbierając powoli porozkładane po pokoju rzeczy do koszyka. – Nie drap, bo będziesz miała rany.

– Ale kiedy to swędzi! – odparła dziewczyna na skraju płaczu.

– Przeszanie – powiedziała spokojnie szeptucha.

– Ściągnęła pani ze mnie ten urok?

– Zrobiłam wszystko, co możliwe – powtórzyła tamta i obwiązała włosy złożoną w trójkąt białą chustą z czerwonym wzorem.

– Aha, czyli nie ściągnęła pani. Trudno, poradzę sobie sama – stwierdziła zrezygnowana Stefania, czując złość na myśl o tym, że wieczorem wystąpi w pięknej, jasnej sukni, która nie przykryje zaczerwienionych rąk z wypryskami. – Teraz na pewno znajdę godnego uwagi męża – syknęła przez zęby i otworzyła na oścież okno, by chłodne, styczniowe powietrze oczyściło pokój z woni kadzidełek i innych mało przyjemnie pachnących ziół. Chwyła wiszącą w szafie suknię i pospiesznie wyszła z pokoju. Jej wzrok spoczął na Mariannie polerującej srebro w kącie holu.

– Śmierdzi? – Stefania podstawiała Mariannie pod nos sukienkę przygotowaną na wieczorne przyjęcie.

Dziewczyna nie musiała odpowiadać; wystarczyło, że na jej twarzy pojawił się krzywy grymas. Młoda Obiecka zrezygnowana opadła na pobliski fotel, po czym stwierdziła, że wszystkie te przygotowania będą nic niewartą farsą, a jej życie potoczy się tak, jak zaplanował to Bóg. Wzniosła oczy ku niebu, przeżegnała się i poszła na spacer z nadzieją, że to przyniesie ukojenie jej duszy.

Na giełdę małżeńską, jak z przekazem nazywano we Lwowie bale organizowane przez arystokrację w celu znalezienia męża dla młodych, szlachetnie urodzonych dziewcząt, zjechała się cała śmietanka towarzyska. Goście należeli do ważniejszych polskich elitarnych rodzin, ale zjawili się też znajomi politycy, kilka osób z uczelni Stefanii oraz dawno niewidziani znajomi Róży, którzy dzięki udziałom w fabryce cukierków w krótkim czasie stali się milionerami.

Stefania zeszła po schodach kompletnie niezauważona przez towarzystwo. Obiegła wzrokiem salon, z którego wyniesiono niepotrzebne meble. Teraz była to sala bankietowa; Stefa jednak nie zauważyła nikogo, kto zwróciłby jej uwagę. W gąszczu wielobarwnych taliowanych sukni i ciemnych garniturów dostrzegła siostry, których nie widziała od dawna. Choć zawsze uważała je za nadmiernie butne i niepotrzebnie chełpiące się nazwiskiem, to dziś ich widok wywołał uśmiech na jej twarzy oraz szybsze bicie serca.

Anna i Wanda na co dzień mieszkały już z mężami, kiedy więc machnęły w jej stronę, ta natychmiast podbiegła do nich. Liczyła, że z ich doświadczeniem znajdzie w nich oparcie. Młode mężatki dobrze znały cel tego przyjęcia. Kilka lat wcześniej hrabia chciał swatać swoje córki w podobny sposób, a one miały mu to za złe, ponieważ uważały, że jako wyzwolone, pełne wigoru studentki potrafią same zadbać o swoje sprawy sercowe. I takim sposobem Wanda przyprowadziła do domu wysokiej rangi oficera, a Anna zaczęła umawiać się z lekarzem pediatrii, pochodzącym z szanowanej warszawskiej rodziny. Obaj przypadli ojcu do gustu z uwagi na swoje pochodzenie i poglądy polityczne, a wisienką na torcie był moment, w którym ojciec zobaczył, jak obaj mężczyźni adorują jego córki. Pospiesznie wydał więc za mąż najpierw Wandę, a dwa miesiące później Annę. Wkrótce obie wyprowadziły się z rodzinnego pałacu za swymi mężami i choć miały wyższe wykształcenie, nie trudziły się pracą, lecz podbijały serca warszawskich kobiet, organizując spotkania modowe, podczas których nauczały stylu i klasy. Mówiły o sobie, że są prekursorkami mody współczesnej, w której kobieta nie powinna nosić workowatych sukienek, ale z gracją podkreślać swoje atuty.

Wyjazd starszych sióstr Stefanii do stolicy był dobrym układem dla wszystkich stron. Kobiety wyrwały się z rąk przesadnie opiekuńczych rodziców, a ojciec, częsty bywalec spotkań politycznych w Warszawie, nie musiał najmować hotelu, tylko mieszkał u córek, pozornie sprawiając wrażenie, że wciąż dba o losy rodziny.

Dziewczęta padły sobie w ramiona, a po chwili już podziwiała z bliska kreację i uczesanie najmłodszej Obieckiej. Długa, jasna atłasowa sukienka z dekoracyjnym pasem w talii i zdobieniem na biuście idealnie podkreślała walory Stefanii. Ciemne, pofalowane włosy spięte delikatną spinką odsłaniały rumiane policzki, a przy tym kusząco opadały na odkryte ramiona. Z uszu spływały długie złote kolczyki zakończone rubinem, które kiedyś należały do ich matki. Strój i zdobne uczesanie, tak niepodobne do codziennego wyglądu siostry, zrobiły na Annie i Wandzie ogromne wrażenie. Dotąd postrzegały Stefanię jako dziecko;

teraz zgodnie musiały przyznać, że ich siostrzyczka wyrosła na piękną kobietę.

– Wyglądasz jak księżniczka – stwierdziła Anna i poruszyła palcem wskazującym na znak, żeby siostra obróciła się wokół własnej osi.

– Jak Nina Andrycz na ostatnim balu mody w Warszawie! – dodała Wanda, po czym z dystynkcją upiła łyk likieru.

– Gdzie mi tam do Niny Andrycz! – Stefania oblała się rumieńcem, co nie umknęło uwadze młodego mężczyzny w wojskowym mundurze.

Wysoki, barczysty brunet stał w kącie sali, opierając się łokciem o parapet; popijał wódkę zabarwioną kompotem i z uwagą pasjonata dworskich balów lustrował otoczenie. Towarzystwo połączone w grupki zdawało się go nie zauważać, jednak młoda Obiecka czuła na sobie wzrok delikwenta; obrzuciła go piorunującym, choć nietrwającym dłużej niż trzy sekundy spojrzeniem. Zdawała sobie sprawę, że jej strój nie jest wyzywający, a odkryte ramiona miała co druga kobieta na przyjęciu, więc wysnuła śmiałą tezę, iż mężczyzna doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kogo obserwuje. Mimo dzielącej ich odległości Stefania dostrzegła na jego twarzy szyderczy uśmiezek. Obróciła się plecami i starała skupić się na rozmowie z siostrami, ale spojrzenie palące jej kark sprawiło, że kompletnie zapomniała, o czym chwilę wcześniej mówiła, i jej myśli uciekały w kierunku nieznanego. Na szczęście z zakłopotania wyrwała ją matka, która zastukała łyżeczką w kieliszek i zaczęła wygłaszać wcześniej przygotowaną mowę, wedle której należało współczuć biednym dzieciom z sierocińca na przedmieściach Stanisławowa. Zachęciła wszystkich zebranych do składania datków na ten dobroczynny cel, a na koniec zaprosiła ich do zabawy.

Marianna chodziła między gośćmi z wysokim porcelanowym kubkiem, który tego wieczoru pełnił rolę skarbonki, i niby mimochodem wyciągała go w stronę bardziej zamożnych małżeństw. Naczynie szybko zapełniło się banknotami, a salon zakołysał się w takt walca wygrywanego na pianinie przez wynajętego muzyka.

Stefania obróciła się przez ramię i kiedy dostrzegła puste miejsce przy oknie, odetchnęła z ulgą, jednak w tej samej sekundzie poczuła na karku delikatny oddech i usłyszała słowa szeptane wprost do ucha:

– Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i da się zaprosić do tańca?

Z głosu była niepokojąca zachłanność. Nikt nigdy nie zwracał się do niej w tak pewny siebie sposób. Stefa poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła, a z każdą sekundą narasta w niej niepokój; gdy jej szyję owionął kolejny oddech, który uniósł włoski na ramionach, ledwo udało jej się zwalczyć wewnętrzne pragnienie, by uciec do swojego pokoju i schować się pod kołdrą. Siostry chichotały cicho, rzucając w jej stronę jednoznaczne spojrzenia. Stefania wiedziała, że jej brak reakcji ściąga na nią uwagę otoczenia, a to wywoływało kolejną falę stresu, więc mimo niechęci obróciła najpierw twarz, a później całe ciało i stanęła twarzą w twarz z nieznanym brunetem – zdecydowanie zbyt blisko.

– Nie zwykłam oddawać się byle komu – powiedziała powoli, patrząc mężczyźnie prosto w oczy, co w tej nerwowej sytuacji stanowiło dla niej nie lada wyczyn.

Brunet parsknął śmiechem, obrzucając ją pogardliwym spojrzeniem.

– Doprawdy? – rzucił nieco zbyt głośno, a stojące niedaleko nobliwe damy zaczęły bacznie im się przyglądać.

Stefania znalazła się w potrzasku jego pewności siebie. Nie była w stanie wymyślić żadnej riposty, bo jak odpowiedzieć na coś, co w gruncie rzeczy jest prawdą. Doskonale zdawała sobie sprawę, że cały ten cyrk został zorganizowany dlatego, żeby oddać ją w ręce jakiegoś mężczyzny. Obojętnie jakiego, byleby tylko zagłuszyć w jej głowie słowa starej Cyganki, zatrzeć pamięć o przepowiedni.

Jak idiotyczne i bezsensowne zdawało się całe to zamieszanie, wiedziała tylko ona oraz jak się właśnie okazało, wysoki, barczysty mężczyzna, którego imienia nie знаła.

– Nie przypominam sobie, żeby widniało pana nazwisko na liście gości. Nie znam pana – zmieniła temat, starając się pokazać, że jego pewność siebie nie zrobiła na niej wrażenia.

– Ach, więc tylko wyselekcjonowane jednostki mają prawo spotykać się z córkami Obieckiego? Cóż za nietakt i staromodne obycie. Głupiec ze mnie!

– Godny pożałowania jest przede wszystkim fakt wtargnięcia na przyjęcie bez wcześniejszego zaproszenia. To dopiero niegodziwe

i prostackie zachowanie!

Stefania patrzyła na niego ze złością i oburzeniem. Jej wyobrażenia o przyjemnej zabawie, połączonej z tańcami i śpiewem zostały rozwiane podczas pierwszych minut wieczoru. Nie rozumiała buńczuczego zachowania nieznajomego, ale też miała sobie za złe to, że zamiast odpuścić dyskusję, dała się prowokować. A to było jedynie dowodem na to, jak niedojrzałą emocjonalnie jest osobą.

– Halo, halo! Koguciki, przestajemy walczyć! – Zygmunt, mąż jej siostry, stanął między Stefanią a brunetem. – Droga szwagierko, pragnę przedstawić ci mojego przyjaciela, pułkownika Karola Filipowicza, który jak zdążyłem zauważyć, nie poczekał na moją prezentację swojej osoby i sam postanowił się pokazać z najlepszej strony.

Karol ujął dłoń Stefanii i w szarmanckim geście przyłożył ją do ust, jednocześnie nie odrywając wzroku od jej miedzianych oczu.

– Sądząc po nieokrzęsanej kulturze osobistej, śmiało wysnuwam tezę, że Hanna Filipowicz musi być pańską krewną.

– Siostrą, gwoli ścisłości – odparł Karol, dumnie prężąc pierś.

Kiwnęła głową w geście kapitulacji. Zrozumiała, że jego pewność siebie i opieszałość wywodziła się z niechęci, jaką darzyła ją dawna przyjaciółka. Przyglądała mu się chwilę, próbując przewertować w pamięci wspomnienia związane z Hanią, ale w żadnym z nich nie występował jej brat. Z uwagi na fakt, że był pułkownikiem, musiał być od nich trochę starszy, jednak sądząc po braku zmarszczek, nie mogło to być więcej niż dziesięć lat.

– Skoro teraz zna już panienka moją godność, czy uraczy mnie tańcem? – Nie dawał za wygraną.

Stefania spojrzała na siostry i niby od niechcienia odrzuciła włosy do tyłu. Policzyła w myślach do dwudziestu, lustrując mężczyznę z góry na dół, po czym z pewną dozą rezygnacji odparła:

– Byle co nie jest lepsze od dobrego, ale czasami się nada.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem, a Karol, choć uznał odpowiedź za lekko uszczypliwą, szybko wyczuł, że ostatecznie zdanie zawsze musi należeć do Stefanii, dlatego postanowił odpuścić sobie dalszą konwersację. Zamiast zripostować, uśmiechnął się przekornie, chwycił ją

za dłoń i poprowadził na parkiet, wydzielony w drugiej części salonu. Położył rękę na jej wąskiej talii. Przez chwilę stali w milczeniu, czekając, aż muzyk rozpocznie grać nowy utwór. Karol przysunął twarz do jej włosów, które roztaczały przyjemną woń. Dziewczyna pachniała lasem, mieszanką ziół i kwiatów. Gdyby tylko zamknął oczy, zniknęłaby ta cała maskarada, a oni staliby pośrodku pola, sami i wolni. Tęsknił za taką beztroską, za połaciami falującego zboża, sosnowym borem i zapachem prawdziwków, z których jego matka przygotowywała aromatyczny sos.

Gdy w sali rozbrzmiały dźwięki chopinowskiego *Walca wiosennego*, zgodnie ruszyli w rytm muzyki, oboje zaskoczeni wzajemną płynnością, zupełnie jakby byli dla siebie stworzeni i tańczyli ze sobą od zawsze. Wirowali po parkiecie w milczeniu, a Stefania, wbrew wcześniejszemu nieprzyjemnemu doświadczeniu, czuła się dobrze w ramionach Karola. Jego siła i zwinność, z jaką ją prowadził, zaskoczyły ją, jednak charakter nie pozwalał na przyznanie się do tego uczucia. Postanowiła nie dawać po sobie poznać, że przyjemnie spędza jej się czas z pułkownikiem.

Po dwóch utworach zgodnie podziękowali sobie za taniec i bez zbędnych słów oddzielili się od siebie. Stefania udała się do łazienki, gdzie przez dłuższą chwilę starała się zapanować nad biciem serca i nieodpartym wrażeniem, że nie musi dłużej szukać kandydata na męża. A kiedy wróciła na salę, została ponownie poproszona do tańca, tym razem przez swojego rektora, Henryka Sorowicza, który korzystając z okazji, postanowił po raz kolejny zachęcić hrabiankę do powrotu na uczelnię i zaproponował jej pracę z możliwością zdobycia tytułu doktora. Stefania w ostatnich dniach sama zastanawiała się nad tym, czyby nie zwrócić się do rektora z prośbą o zatrudnienie, i przyrzekła sobie, że gdy nie będzie go na przyjęciu, już następnego dnia nada list z prośbą. Dlatego ucieszyła się, że sam poruszył ten temat. Powrót na uczelnię mienił się w jej głowie jako kolejny sposób na odwrócenie losu. Każdego wieczoru modliła się żarliwie o miłosierdzie do Matki Boskiej, aż uwierzyła, że przeznaczenie da się zmienić, jeśli postawi pierwszy śmiały krok.

– Więc proszę odpoczywać, a z początkiem roku akademickiego zapraszam w nasze skromne progi, panno Obiecka. Po powrocie do

Lwowa przygotuję odpowiednie dokumenty – powiedział rektor z dozą satysfakcji.

– Dziękuję za zaufanie, panie rektorze. Zrobię wszystko, żeby pana nie zawieść i by przynieść chlubę uczelni.

Podziękowała Sorowiczowi za taniec i postanowiła odszukać swoje siostry, chociaż niby przypadkowo jej wzrok wędrował ku męskiej części towarzystwa, z nadzieją, że ujrzy Karola Filipowicza. Po kilku minutach bezskutecznych poszukiwań zrezygnowana podeszła do matki, a ta z nieukrywaną przyjemnością przedstawiła córkę swoim nowym koleżankom.

Czas upłynął szybko i nim się Stefania spostrzegła, zegar wybijał dwudziestą trzecią. Miała za sobą kilka mniej lub bardziej udanych tańców. Rozmowy z kobietami ją nudziły, a męskie grono, rozprawiające na tematy polityczno-militarne, milkło, gdy tylko pojawiała się w pobliżu. Choć przyjęcie teoretycznie miało sprowadzać się do znalezienia Stefanii męża, ona z każdą chwilą czuła się jak nieproszony gość. Założyła futro z nerek i postanowiła trochę odetchnąć mroźnym styczniowym powietrzem.

Na zewnątrz panowała ciemność. Kilka latarni usytuowanych bliżej wejścia delikatnie oświetlało podjazd dla samochodów. Stefania chwyciła za atłasową sukienkę, uniosła ją wyżej i, ostrożnie stawiając stopy, zeszła po schodach, po czym ruszyła w kierunku letniej altanki. Rozgwieżdżone niebo napawało ją spokojem, a pozbawione liści gałęzie drzew wyglądały tak, jakby maczały w nim swoje długie palce. Cisza koła zmysły Stefanii, lecz im bliżej dziewczyna była altanki, tym wyraźniej słyszała dochodzące z niej głosy. Wszystko wskazywało na to, że altanka stanowiła już dla kogoś schronienie. Dziewczyna chciała dołączyć, ale kiedy okazało się, że głosy należą do mężczyzn, z obawy przed kolejnym odsunięciem jej od ważnych tematów postanowiła się nie ujawniać i podsłuchać, o czym rozmawiają.

– Należy maksymalnie umocnić nasze wpływy. Nie możemy pozwolić na takie traktowanie! Tu jest Polska, nie Ukraina, i czas najwyższy, żeby niektórzy to zrozumieli.

– Przecież nie będziemy burzyć cerkwi. Nie jesteśmy bandytami. – Stefania rozpoznała głos szwagra.

– Skoro nie chcą polubownie przekształcić ich na kościoły, nie będziemy mieli wyboru.

– Nie żartuj, Karolu. Muszą być inne metody.

Na dźwięk tego imienia Stefanii mocniej zabiło serce. Czuła, jak szpilki jej pantofli powoli grzęzną w błocie, ale starała się utrzymać równowagę i wyteńczyć słuch.

– Byłeś we Lwowie? Widziałeś, co się dzieje? Chodzą na te swoje nabożeństwa, a pop nawołuje ich do buntu! Jawnie mówią o tym, że będą dążyć do niepodległej Ukrainy wszystkimi możliwymi metodami, a ja nie mam zamiaru się na to godzić.

– Ty możesz nie mieć zamiaru, ale góra i tak nie wyda pozwolenia.

Stefania w pełni popierała zdanie Zygmunta. Ojciec też bał się Ukraińców, a przecież to byli dobrzy, choć biedni ludzie. Może i czuli potrzebę posiadania własnego państwa i zorganizowania zrywu, ale czy Polacy nie tak dawno temu nie czuli tego samego? Trudno było jej sobie wyobrazić, by Ukraińcy mogli wyrządzić Polakom krzywdę. Przecież znali się od lat i mieszkali po sąsiedzku na tych ziemiach... Stefania, podobnie jak Zygmunt, uważała ten lęk za absurdalny, niemający uzasadnienia w rzeczywistości.

– I tu się mylisz, Zyguncie! – ciągnął Karol coraz głośniejszym głosem. – Gdyby byli w stosunku do nas w porządku, to owszem, miałbym takie samo zdanie jak ty, ale oni kolaborują z nazistami! Nieoficjalnie słyszałem, że szkolą się u Abwehry.

– Bzdury! – stwierdził szwagier z wyraźnym politowaniem.

Stefania drżała z zimna, ale nie chciała jeszcze wracać do pałacu. Filipowicz coraz bardziej jej imponował. Choć nie podzielała jego zdania w kwestii brutalnego sposobu podporządkowania sobie ludności ukraińskiej, to jego upór był godny podziwu. Silna osobowość w kręgach arystokracji nie była niczym wyjątkowym, ale bunt już tak, a ona też czuła w sobie sprzeciw w wielu sprawach, choć nie zawsze głośno go wygłaszała.

– Oni nas tu nie chcą i zrobią wszystko, żeby nas wypędzić z tych terenów. Na nic wspólne szkoły, urzędy i inne instytucje. Tyle lat staramy się polubownie poprawić stosunki, ale jak widać, nie tędy droga. Ile jeszcze będziemy przymykać oko na coraz śmielsze akcje terroru i antypolskie zachowania? Tylu naszych straciło życie na wojnie, a my teraz mamy dawać się wodzić za nos i nabierać na akcje wyzwolenia Ukrainy? Chełmszczyzna i Lubelszczyzna już polonizują ludność prawosławną. Dlaczego my mamy nie robić tego samego?

Zygmunt wypuścił gęsty dym z papierosa.

– Nie byłbym tego taki pewien. Przecież to prości ludzie, nie znają się na walce, więc w jaki sposób mieliby nas stąd wypędzić? A Bandera^[1] się nie przejmuj. Jak szybko się pojawił, tak szybko zniknie. Z drugiej strony pomyśl: nie tak łatwo jest zapomnieć o swoim patriotyzmie. Nie pamiętasz już, jak nas uwierały zabory? Postaw się na ich miejscu, Karol. Dajmy im jeszcze trochę czasu. – Zygmunt zgasił w popielniczce papierosa. Chuchnął w dłonie, które zaraz potem schował do kieszeni spodni.

– Czasu dostali aż nadto. Nie pora na analizowanie, tylko na działanie. Lada dzień będzie za późno i wtedy w kim będziesz szukał oparcia? Mało to nas naziści straszą? – Karol nie odpuszczał.

– Mimo wszystko uważam, że zburzenie cerkwi to zły pomysł.

– Masz lepszy? Bunt trzeba niszczyć w zarodku!

– Ale nie takimi metodami – odciął się Zygmunt. – Zróbmy to na spokojnie, tak by chcieli tu żyć. Przemocą nic dobrego nie zbudujemy. Ja na pewno nie przyłożę do niej ręki. Ani do twoich metod.

– Obyś później nie płakał! – Karol stuknął palcem wskazującym w pierś kolegi.

Zygmunt już tego nie skomentował. Stwierdził, że mu zimno i lepiej będzie, jeśli wrócą do pałacu, nim Wanda zauważy jego nieobecność. Stefania postanowiła odczekać chwilę i również wrócić na przyjęcie, ale już dłużej nie czekać, aż Karol ją poprosi do tańca. Właśnie znalazła temat do rozmowy, którym mogła go zainteresować. Choć nie słyszała wcześniej o buntach Ukraińców ani nie znała tej sprawy z perspektywy

wojskowego, liczyła na łut szczęścia i swoją umiejętność odnalezienia się w każdej sytuacji.

Kilka minut później była już przed pałacem; już miała wspiąć się po schodach, gdy usłyszała z boku czyjś głos. Od razu go rozpoznała.

– Jeśli chciałaś się ze mną spotkać, wystarczyło zaczekać, zamiast bezczelnie podsłuchiwać.

Fala stresu przechodząca przez jej ciało na moment odebrała jej oddech, zmroziła krew, a jednocześnie Stefania w niekontrolowany sposób oblała się potem. Karol stał na podjeździe oparty o samochód, palił papierosa i obserwował jej reakcję. Napięta jak struna i zaskoczona, nie wiedziała ani co odpowiedzieć, ani jak się zachować, więc zamarła w bezruchu, szukając w głowie jakiegokolwiek riposty, jednak gwałtowne onieśmienie zablokowało jej myśli.

– Ja... – zaczęła, ale zaraz zrezygnowała z próby wytłumaczenia się. – Chciałam... – Potrząsnęła głową i puściła trzymany w palcach materiał sukienki, która opadła na przybrudzone błotem pantofle. Stefania westchnęła głośno i wydukała: – Przepraszam.

Wyglądała jak karczone za niegrzeczne zachowanie dziecko i Karol uśmiechnął się na ten widok. Nie wiedział czemu, ale drażnienie jej i wyprowadzanie ze strefy komfortu sprawiało mu przyjemność. Miał wtedy wrażenie, że mimo mieszczańskiego pochodzenia jest lepszy od hrabianki, a ona ma tylko tytuł, który wcale nie chroni jej przed porażką.

Nie miał dobrego zdania o jej rodzinie. W przeszłości jego ojciec i ojciec Stefanii się kolegowali. Karol pamiętał, że gdy Wanda była mała, a Anka jeździła jeszcze w wózku, przyjeżdżały z rodzicami w jego rodzinne strony. Dobrze wspominał ten czas. A później nastąpiła wojna, która obróciła ich przyjaźń w pył. Julian, ojciec Karola, w stopniu majora musiał udać się na front. Poległ niedługo po rozpoczęciu pierwszych walk, a matka nie potrafiła poradzić sobie ze stratą i prowadzeniem finansów rodziny. Nic dziwnego, skoro dotychczas przez cały czas zajmowała się przyjemnościami, a dbanie o dobro rodziny spoczywało wyłącznie na barkach Juliana. Kiedy po jego śmierci z trudem wzięli koniec z końcem, odwiedził ich Mieczysław Obiecki i zaproponował

pomoc. Matka chętnie z niej skorzystała. Była tak zapatrzona w dawnego przyjaciela, że mu zaufała i godziła się na wszystko, byleby tylko utrzymać siebie i dzieci na dotychczasowym poziomie. Sprzedała Obieckiemu hektary ziemi, jak się później okazało, za bezcen. Karol rósł, a wraz z upływem czasu rosło w nim poczucie krzywdy; w każdym człowieku widział oszusta, który tylko czeka, żeby go zniszczyć. Nie mógł poradzić sobie z truizmem, że ludzie są dobrzy; łatwiej mu było wierzyć, że każdy ma drugie, niekoniecznie dobre oblicze. Kiedy jego przyjaciel z wojska powiedział, że bierze ślub z Wandą Obiecką, Karol zwrócił się z prośbą do swoich przełożonych o przeniesienie go w inne miejsce i tak z Kresów wylądował na Pomorzu, gdzie szybko awansował do rangi oficera. Odwiedzał matkę dwa razy w roku z okazji świąt, starając się nie słuchać jej lamentów nad utraconym dziedzictwem. Tego roku, gdy wrócił do domu na święta, jego siostra Hanna poskarżyła się, że młoda Obiecka rywalizuje z nią o względy jakiegoś docenta na uczelni. Nie mógł pozwolić na kolejną zniewagę ze strony tej rodziny i powtórzenie historii. Obieccy zabrali mu nie tylko ziemię, ale także dumę i status społeczny, a on jako pierworodny nie mógł wyrazić zgody na dalszą grabież. Plan uwiedzenia Stefani wydał mu się dobry, ale chłopak nie spodziewał się, że będzie tak łatwy w realizacji.

– W porządku – odezwał się. – Nie jesteś dzieckiem, żeby ukrywać przed tobą fakty.

Stefania podniosła na niego wystraszony wzrok. Czekwała co najmniej na reprimendę i po raz kolejny tego wieczoru zachowanie Karola ją zaskoczyło. Uśmiechnęła się nieśmiało i podeszła bliżej.

– To prawda... To, o czym rozmawialiście?

– Zależy, co zdążyłaś usłyszeć. – Posłał jej zawadiacki uśmiech, a dziewczyna dziękowała Bogu, że jest noc i że Karol nie widzi jej rumieńców.

– To, że Ukraińcy się buntują i chcą nas wypędzić.

– Niewykluczone.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Spytaj służby, w końcu kilku ich tu zatrudniacie. – Skinął głową na fasadę budynku.

Dumała przez chwilę nad jego słowami, po czym odpowiedziała:

– Nie zwykłam zauważać, żeby mieli do nas zły stosunek. Z reguły są mili i uczynni.

– Nie znasz jeszcze życia. Nie wiesz, co to głód i strach o jutro. Dzięki wypłacie, jaką dostają za pracę u was, mogą kupić jedzenie. Myślisz, że gdyby nie zależało im na pieniądzach, dalej byłiby tacy mili?

– Tak, tak myślę – odparła pewnym tonem. – To prości, ale dobrzy ludzie.

– Naiwność ma swój wiek, Stefanio. Powinnaś już z niej wyrosnąć – stwierdził z przekąsem Karol.

Naburmuszyła się, czym ponownie wywołała na jego twarzy uśmiech. Była młoda i wszyscy zachwalali jej pojętny umysł, lecz okazała się zbyt naiwna i dziecinna dla pułkownika Wojska Polskiego. Z drugiej strony dzięki temu stanowiła łatwy cel i – jak śmiało stwierdził w myślach Filipowicz – cel ten został już zdobyty.

Stefania udała, że nie słyszy jego uszczypliwości, a każdy sarkastyczny docinek fałszywie uznawała za przejaw zainteresowania swoją osobą i formę zalotów. Karol do bladego świtu raczył towarzystwo wojskowymi anegdotami. Zdarzało im się porozmawiać na osobności, ale wówczas sprawiał wrażenie, że nie jest Stefanią zainteresowany. Ona jednak, przyzwyczajona do tego, że zawsze dostaje to, czego pragnie, myślała, że osiągnęła cel, że człowiek, który początkowo ją irytował, może zostać jej mężem. Odurzona pewnością siebie Karola, może nawet trochę zauroczona jego osobą, zupełnie nieświadomie z każdą godziną coraz bardziej wpadała w sidła, jakie na nią zastawił Filipowicz. Polak, wysoko postawiony, obyty i jak stwierdzała w myślach, „nawet przystojny”, był dobrym kandydatem na tego, który odmieniłby wywróży jej los, a i w oczach ojca Stefanii jawił się jako ten, któremu śmiało może oddać rękę najmłodszej z córek.

Kiedy za ostatnim gościem zamknęły się drzwi, na dworze zaczynało świtać. Mieczysław podszedł do zmęczonej całonocnymi tańcami córki i spytał, czy jest pewna kandydatury Filipowicza. Dziewczyna jeszcze raz przewertowała w myślach wszystkie tańce z Karolem, podczas których czuła idealne zgranie. Skinęła głową. Liczyła na to, że uczucie do

Karola pojawi się z czasem. Być może jeszcze przed wstąpieniem do kościoła na ceremonię zaślubin.

Mieczysław z Różą spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Wiedzieli, że Karol jest dobrym materiałem na męża dla ich córki i spełnia wszystkie warunki, by móc wżenić się w ich rodzinę. Pozostało tylko omówić zaślubiny z jego matką, ale jak stwierdził hrabia, będzie to czysta formalność.

[1] Mowa o Stepanie Banderze, ukraińskim polityku niepodległościowym, wyznającym skrajnie nacjonalistyczne poglądy. Należał do UWO (Ukraińskiej Organizacji Wojskowej), która od 1920 roku działała nielegalnie w Polsce. Był przywódcą jednej z frakcji OUN (Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów) (przyp. red.).

9

**25 maja 1997 roku,
Wrocław**

Przez następne dni sprawnie omijałam Iwana. Wewnętrzny głos podpowiadał mi, że obcowanie z nim może mi przynieść więcej szkody niż pożytku. To zadziwiające, jak podświadomość kieruje naszym losem. Wtedy jednak jeszcze nie wiedziałam, że nie będzie mi dane przed nim uciec. Nie da się zawrócić ze ścieżki przeznaczenia, jakkolwiek miałyby być ona dla nas bolesna.

Iwan szukał ze mną kontaktu. Podpytywał o mnie moich podopiecznych czy oddziałową. Dwa razy zagroził mi drogę, ale wymigiwałam się obowiązkami i z uśmiechem przeprosiłam, że nie mogę poświęcić mu czasu. W duchu cieszyłam się, że przyjmował to cierpliwie i nie próbował na siłę ze mną rozmawiać. Chyba domyślał się, że jestem skrępowana. Po tygodniu od pierwszego spotkania byłam już niemal pewna, że odpuścił.

Nastał piątek. Pamiętam to dobrze, bo czekałam z niecierpliwością na koniec zmiany i obmyślałam, co jeszcze muszę spakować przed powrotem do rodzinnego domu na weekend. Siedziałam na ławce w ogrodzie DPS-u, obserwując, jak z upływem czasu zmieniała się w nim roślinność. Fascynowało mnie to. Za każdym razem obiecywałam sobie, że wokół domu zrobię podobną aranżację. Dorodne forsycje przekwitły i tuż przy nich zaczynały się wyłaniać azalie. Zadziwiała mnie różnorodność kolorów tych roślin. W prawym krańcu ogrodu na wielkich krzewach pojawiły się pąki. Dotąd myślałam, że te krzaki same w sobie są ozdobą, dlatego byłam ciekawa, czym jeszcze natura mnie zaskoczy.

– To rododendrony – powiedział Iwan, pojawiając się znikąd, co wprawilo mnie w lekkie zakłopotanie.

Wiedziałam, że teraz mu się nie wywinę, bo skoro widział, że siedzę i nic nie robię, to zapewne doszedł do wniosku, że skończyłam już pracę. Pocieszałam się faktem, że niebawem kończę zmianę, więc tylko przez chwilę pobędę w jego towarzystwie.

– Nie znam się na roślinach, więc dziękuję za informację – odparłam.

– Za to ja je uwielbiam. To z mojej inicjatywy są w tym ogrodzie – odparł i, nie pytając mnie o zgodę, usiadł obok. – Kiedyś też ich nie znałem. Pierwszy raz zobaczyłem je przed wojną. Pewna hrabianka przyjechała z całym samochodem tych roślin do swojego ojca, u którego pracowałem. Jej ojciec oddelegował mnie ze stajni, gdzie na co dzień doglądałem koni, i polecił, żebym posadził krzewy tam, gdzie powie Stefania. Byłem zły, że odciąga mnie od obowiązków, ponieważ to skutkowało dłuższym pobytem w pracy, a był majowy piątek, taki jak dziś. W końcu zrobiło się ciepło i mieliśmy z przyjaciółmi pojechać na ryby. Kiedyś nie było jak teraz, panienko, nie było telefonów, nie było tak łatwego kontaktu. Umawialiśmy się na daną godzinę i czekaliśmy chwilę na spóźnialskich, a gdy nie przychodzili, to szło się bez nich. Zostały mi jeszcze dwie godziny pracy w stajni, a później siedem kilometrów pieszo do domu. Taki dystans pokonywałem w godzinę, a czasem jak biegłem, to w pół godziny, więc cały dzień kalkulowałem, co zrobić, żeby zdążyć do kolegów, a tu nagle miałem jeszcze robić jakieś rozsady. Ale nie mogłem się przeciwstawić, więc zezłoszczony poszedłem w miejsce wskazane przez hrabiego.

Spojrzałam na tego starego mężczyznę. Nie wiedziałam, dlaczego opowiada mi o sobie, jednak nie czułam się z tym źle. Tym razem przebywanie w jego towarzystwie nie wywołało silnej tachykardii. Owszem, serce biło mocno, ale jakoś inaczej – pozytywniej – i było to przyjemne doznanie. Patrzyłam na jego twarz, zarost i na starannie zaczesane włosy. Dostrzegłam, że oczy mu się zaszklily, choć utkwil spojrzenie w rododendronach. Jak gdyby właśnie na nich wyświetlało się jego wspomnienie.

– Nie mógł pan odmówić? – przerwałam chwilę zadumy.

– Mógłbym, oczywiście, że mógłbym, ale wtedy pewnie nie miałbym po co wracać w poniedziałek do pałacu. Stajnia była pracą, która zapewniała byt mojej rodzinie. Byłem najstarszy z pięciorga dzieci. Kolejni dwaj bracia byli jeszcze podrostkami, a reszta rodzeństwa trzymała się maminej spódnicy. Ojciec zginął na froncie, matka leżała schorowana w domu, ledwie znajdując siłę na robienie posiłków i dogłądanie najmłodszych dzieci. Wybór pomiędzy wypadem z kolegami a utrzymaniem pracy był oczywisty.

– Przepraszam. – Pokiwałam głową ze zrozumieniem. – Nie chciałam wywołać złych wspomnień – dodałam, gdy znów zamilkł.

– To nie są złe wspomnienia. Wręcz przeciwnie, otwierają cykl najlepszych momentów mojego życia – odpowiedział z uśmiechem.

Jego oczy lśniły niesamowitym blaskiem, a uśmiech nadawał lekkości miękkim policzkom. Wyglądał teraz jak dobry dziadek. Jak mikołaj, tyle że bez świątecznego przebrania. Przeszło mi przez myśl, że ta historia musi być niezwykła.

– Więc chętnie wysłucham pana wspomnień – powiedziałam to szybciej, niż zdążyłam się zastanowić. Dlaczego musiałam być taka wścibska?!

– Dobrze – odpowiedział, rozpromieniając się. – Na czym to ja skończyłem? A! Już wiem! No więc poszedłem do tego pałacu. Przed wejściem głównym stało całe mnóstwo ponad metrowych krzewów w różnych odcieniach różu. Te ogromne kule i ciemnozielone liście wprawiły mnie w osłupienie. Nigdy wcześniej nie widziałem tak dorodnych, dużych kwiatów. Doszedłem do samochodu dostawczego i zobaczyłem, że ktoś próbuje ściągnąć jeden z tych krzewów z paki. One były w takich specjalnych workach. No więc bez słowa chwyciłem za ten worek z drugiej strony i pomogłem ściągać ten krzew na ziemię. Dopiero gdy to zrobiłem, zobaczyłem, komu pomogłem. To była śliczna dziewczyna. Drobną twarz, równy łuk brwiowy i oczy w kolorze błyszczącej miedzi. Jak ona na mnie patrzyła! Z takim zaciekawieniem. Miała porcelanową skórę, jak lalka, i kręcone, brązowe włosy. A wokół nas unosił się słodki, korzenno-waniliowy zapach. Od tamtej chwili moje

serce wypełniała już tylko twarz Stefanii Obieckiej i zapach tych rododendronów.

– Piękna historia – skomentowałam.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, wpatrzeni w krzew na krańcu ogrodu, pogrążeni we własnych myślach. W końcu Iwan przerwał ciszę.

– Może to głupie, co teraz powiem, panienko, ale zapachy pamięta się równie silnie, co obrazy, a dzięki rododendronowi moja Stefi jest zawsze przy mnie.

– To nie jest głupie. W medycynie określa się to jako pamięć węchowa. Dany zapach przywołuje konkretne wspomnienie, które związało się z jakąś historią. W tym przypadku z kwiatami – powiedziałam.

– Ach, no właśnie – odparł.

Popatrzyłam na niego uważnie.

– Więc jest pan Ukraińcem. Bardzo dobrze mówi pan po polsku, a jednak wschodni akcent jest słyszalny.

Iwan się uśmiechnął.

– Przez pierwsze lata w Polsce starałem się go pozbyć. Próbowałem wykorzenić się z tych wschodnich terenów. Ale gdy odetnie się korzenie, nawet te najbliższe pnia, one wciąż wrastają w stare kanały, a żeby odciąć je całkiem, musiałbym się zabić... A nie chciałem usychać, póki nie znajdę ukochanej, od której rozdzielił mnie los. Straciłem wiarę w to, że moje życie bez niej będzie jeszcze dobre, a wtedy pojawiłaś się ty, jej wierna kopia. – Popatrzył mi w oczy, a ja poczułam, jak moje serce zaczyna szaleć.

– To po prostu przypadkowe podobieństwo – wydukałam, oblewając się rumieńcem.

– Nadal nie mogę się temu nadziwić – odpowiedział, przyglądając mi się bardziej wnikliwie.

– Zapewniam pana, że nie pochodzę z zamożnej rodziny. Daleko nam do osiągnięcia wysokiego statusu społecznego.

– Cóż, pozostaje mi wierzyć w te słowa, panienko.

Spojrzałam na zegarek i szybko pożegnałam się ze staruszką. W ostatniej chwili zdążyłam na autobus. Później długo śmiałyśmy się

z Tośką z domysłu starszego pana, jakobym miała być podobna do jakiejś tam hrabianki.

Przed snem patrzyłam w lustrze na swoją twarz, z której nigdy nie byłam dumna. Miałam dwadzieścia sześć lat, a wciąż wyglądałam jak dziecko. Nawet ten emeryt zwracał się do mnie per „panienko”, chociaż dane rocznikowe klasyfikowały mnie jako dorosłą. Nawet nie cieszył mnie fakt, że nie walczyłam nigdy z trądzikiem. Wydawało mi się, że mimo upływu czasu nadal tak naprawdę nie dojrzałam i nawet przed samą sobą nie potrafiłam odkryć w sobie kobiety.

**1 maja 1938 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Stefania zamknęła się w łazience i oparła plecami o drzwi. Serce dudniło jej w piersi, a w głowie kręciło się od zapachu rododendronów oraz feromonów chłopaka, który pomagał je przenosić. Położyła palce na ustach i delikatnie pogładziła dolną wargę. Wszystko wokół wirowało od energetycznego połączenia zapachu koni i specyficznej woni męskiego potu, który niespodziewanie przyjemnie drażnił jej nozdrza, pobudzał wyobraźnię oraz przywoływał migawki wspomnień. W myślach pojawiały się naprzemiennie obrazy wyrzeźbionego, półnagiego ciała, lekko zmierzwionych brązowych włosów opadających na niespotykane niebieskozielone oczy i dłoni – dużych, spracowanych, a przy tym tak gładkich, że bardziej pasowałyby do mężczyzny z wyższych sfer, a nie stajennego. Rozchyliła usta, czując, jak robi jej się lekko na duszy. Rozum krzyczał, że to niemożliwe, że ma się opamiętać z uwagi na trud, jaki włożyła w odmienienie swojego losu, że powinna skupić się na obranej przez siebie drodze, jednak serce gnało ją w stronę elektryzującego, młodego chłopaka, patrzącego na nią z takim zachwytem, jakby widział w jej oczach cały świat.

Rzuciła się w stronę okna, które wychodziło na park. Pierścionek zaręczynowy stuknął dźwięcznie o metalową klamkę. Udała, że tego nie słyszy, i uchyliła jedno skrzydło. Ciepłe powietrze dmuchnęło na jej rozgrzany emocjami, odkryty dekolt; w oddali dostrzegła zarys męskiej postaci, która w ułamku sekundy zawładnęła jej myślami. Oddech stawał się ciężki, gdy pamięć przywołała opalone puciołowate policzki, gdzieniegdzie oprószone piegami, ciemne włosy niedbale przeczesywane

palcami i te oczy. Oczy, w których zatopiła się jak w lazuruwej lagunie. Chłopak najwidoczniej czuł na sobie spojrzenie Stefanii, bo momentalnie obrócił się w stronę pałacu. Chociaż dzieliła ich zdecydowanie za duża odległość, by mógł dostrzec jej sylwetkę w oknie, to Stefania zapobiegawczo cofnęła się w głąb łazienki. Próbowwała uspokoić serce i myśli, ale nie była w stanie. Stała jak zahipnotyzowana, obserwując oddalającą się postać, a kiedy mężczyzna zniknął w głębi lasu, emocje momentalnie uleciały. Zaskoczona spokojem, jaki spłynął na rozedrgane ciało, przemyśla rozpaloną zawstydzieniem twarz. Przez chwilę uważnie studiowała ją w lustrze, zastanawiając się nad swoimi uczuciami. Nie wiedziała, czy właśnie się zakochała, ale była pewna, że tego, co nią zawładnęło, nie czuła nigdy do żadnego mężczyzny, a już na pewno nie do Karola, który lada moment miał zostać jej mężem.

Z rozmyślań wyrwało ją stukanie do drzwi, aż podskoczyła ze strachu. Nie chciała pokazywać po sobie zdenerwowania. Po hucznych zaręczynach z Karolem, na które zostało zaproszonych zdecydowanie za dużo gości, rodzina Stefanii odetchnęła z ulgą. Zwłaszcza matka uspokoiła się i przestała pić krople na rozstrój żołądka. Już nie opowiadała z przerażeniem o klątwie rzuconej na ich ród przez Cyganekę, ale z radością oczekiwała ślubu, którego organizacja pochłaniała cały jej czas.

Stefania ostatni raz spojrzała na swoje odbicie w lustrze i zrozumiała, że przeznaczenie właśnie spadło na nią jak śnieżna lawina, nie pozostawiając ani złudzeń, ani nadziei na zmianę losu. Przyciąganie, które tak silnie na nią podziałało, sprawiło, że jej serce, dusza i myśli kierowały się w stronę tego młodego, biednego chłopaka. Czuła, że należy do stajennego, jakby od zawsze była jego własnością. Każda komórka jej ciała krzyczała, że oto jest miłość. To jest uczucie, o którym dotąd tylko czytała w książkach i którym pachniały wszystkie śluby, na jakich miała okazję być.

– Stefi! Ojciec prosi do jadalni! Wiesz, że nie zacnie jeść, dopóki wszyscy nie zasiądą do stołu! – Marianna szarpała za kłamkę.

– Już idę! – powiedziała Stefania drżącym głosem.

Z impetem otworzyła drzwi łazienki, przeszła butnie obok Marianny i, unikając jej wzrokiem, skierowała się w stronę schodów. Z każdym krokiem coraz żarliwiej modliła się w duchu, żeby Bóg uchronił ją od uważnych spojrzeń matki, od dociekań ojca oraz domysłów Karola. Przystanąła przed drzwiami do jadalni i kolejny raz próbowała wyswobodzić się z uścisku swoich uczuć. Słyszała gwar rozmów, śmiech ojca, który chwalił anegdoty wojskowe Karola, wyliczanie matki upewniającej się, że kucharka zapamiętała wszystko, co ma kupić na targu. Stefania westchnęła i pewnym krokiem weszła do ogromnego pomieszczenia, w którym najważniejszym meblem był ręcznie rzeźbiony hebanowy stół, w jej ocenie zbyt suto zastawiony jak na tak małą liczbę biesiadników.

Słońce ciepłymi promieniami padało na kredens pasujący rzeźbieniami do stołu oraz na stojące na nim oprawione w ramki zdjęcia rodzinne. Stylizowane, sztucznie ustawiane postacie z lekkimi uśmiechami na twarzach patrzyły w jej stronę; pomyślała, że wyglądają jak niemające emocji kukły. Przerzuciła wzrok na ojca, który gestykulował i mówił coś po cichu do Karola. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdarzyło mu się to, co jej kilka chwil wcześniej. Pytała się w myślach, czy to możliwe, żeby odczuwał tak silną więź i przyciąganie do swojej żony, czy był z jej matką tylko dlatego, że kiedyś jego ojciec, a dziadek Stefanii postanowił, że mają być małżeństwem. Wszak nigdy nie widziała między rodzicami czułości. Nie widziała w ich oczach pasji, zawziętości i nieskończonej troski. Byli zgodnym małżeństwem, które funkcjonowało jak dobra fabryka. Każde z nich miało przypisaną rolę i odgrywało ją nad wyraz dobrze. Jednak wobec siebie nawzajem zdawali się być obojętni.

Podeszła powoli do okna, starając się nie skupiać na sobie uwagi domowników. Przejechała palcem wskazującym po sekretarzyku, na którym leżały starannie poukładane perfumowane papeterie, koperty oraz zamknięte pudełko zawierające pióro, ołówek w etui, pieczęć i nóż do listów. Zdobiony ornamentami roślinnymi mosiężny zestaw do pisania był jedną z wielu sentymentalnych pamiątek po świętej pamięci babce, która swego czasu uchodziła w ich regionie za największą złodziejkę męskich serc, a pudełko, jak mawiała podczas rodzinnych spotkań,

dostała od samego Jakuba Burbona. Podobno poznali się w 1900 roku, kiedy to Burbon podczas podróży z Warszawy do Paryża zatrzymał się w Gnojnie koło Kutna u baronostwa Dangłów, a babka Olga akurat była u nich w odwiedzinach. Podobno zrządzenie losu połączyło ją z przyszłym królem Hiszpanii i Francji na kilkanaście namiętnych godzin, po których dostała od niego ten zestaw. Pisali do siebie przez rok, a kiedy listy przestały przychodzić, babka uznała, że to nie Burbon był jej pisany, po czym przeniosła swoje uczucia na Obieckiego, który nie zwlekał i szybko pojął ją za żonę. Podobno tak było. Stefania nie miała szczęścia poznać babki, ponieważ ta zmarła na dwa dni przed jej urodzinami, a wszystkiego o niej dowiedziała się od matki. Róża zwykła mawiać, że w rodzinie liczba dusz zgadzać się musi i że Olga musiała umrzeć, żeby Stefi mogła się narodzić. „Więc czy moja przyszłość była faktycznie kierowana przeznaczeniem, czy po prostu ukrytą w ciele, skłoną do miłości duszą mej babki?” – pytała się Stefania w duchu.

Stefania założyła ręce na piersiach i wpatrywała się w widok za oknem. Nadal miała przed oczami postać chłopaka, o którym nie wiedziała nic poza tym, że pracował u jej ojca jako stajenny. Kiedy tylko przywołała obraz jego oczu, czuła, jak od środka rozsadza ją ciepło, a serce przyspiesza swój rytm.

Gong zapowiadający obiad wyrwał ją z rozważań. Nie cierpiała tego zwyczaju, który ojciec zapożyczył od Radziwiłłów. Metaliczny dźwięk odbijał się od ścian zawsze o tej samej porze. Dla Stefanii było to jak tresura, ale przez lata nie śmiała powiedzieć o tym ojcu. Wiedziała, że sprawiłaby mu tym przykrość, a ranienie uczuć hrabiego było ostatnią rzeczą, jaką chciała robić. Bardzo go kochała, zresztą i on darzył ją wyjątkową formą ojcowskiej miłości, która przejawiała się głównie w przymykaniu oka na wszelkie potknięcia Stefanii oraz faworyzowaniu jej decyzji. Mieczysław stale powtarzał, że jako najmłodsza, najmądrzejsza i najbardziej podobna do niego przejmie kiedyś pieczę nad rodziną, więc córka, w poczuciu ogromnej lojalności, starała się zawsze pokornie wykonywać wszystkie, nawet te sprzeczne z jej przekonaniem polecenia ojca, dlatego i tym razem bez zawahania usiadła na swoim miejscu i rozłożyła na kolanach haftowaną serwetkę.

Przy stole siedzieli we czwórkę, choć jedzenia starczyłoby dla dziesięciorga. Stefania wzdrygnęła się na myśl o tym, ile osób w tej chwili głoduje i jak wielka przepaść ekonomiczna dzieli osoby, które Obieccy zatrudniali w pałacu, i jej rodzinę. Nadzieje, jakie żywiła względem strajku chłopskiego, rozmyły się nad wyraz szybko. Wszelkie przejawy buntu skutecznie były poskramiane, wielu ludzi zostało uwieczonych nadaremno, ponieważ polityka rządu nie zmieniła się, więc i jej rodzina zachowywała się tak jak dawniej, celebrując codzienny obiad jak święto.

– A więc mówisz, drogi Karolu, że w Wielkiej Wsi otwierają port rybacki. Nie rozumiem tego rozmachu. Przecież rzut beretem jest Gdynia. Po cóż powielać inwestycje, w dodatku tak blisko siebie – dziwił się Mieczysław.

Karol przełknął kawałek pieczonej dziczyzny i odparł:

– Przede wszystkim chodzi o bezpośredni dostęp do morza. Jak by nie patrzeć, Gdynia jest zablokowana przez zatokę, statki muszą nadrabiać odległość, by zacumować, a jak wiadomo, w tych okolicznościach transport lądowy zyskuje na wartości, więc sprawniej będzie można rozprowadzić towary w kraju. Poza tym znacznie skróci się droga do bałtyckich łowisk. Nikogo nie trzeba przekonywać, jak ważne, nie tylko na Pomorzu, jest rybołówstwo. Potrzeby kraju są ogromne i choć wielkość połowów systematycznie rośnie, to nadal nie zaspokajamy rodzimych imperatywów. Przykro patrzeć, jak mimo dostępu do morza musimy importować ryby zza granicy. W duchu liczę na to, że dzięki nowemu portowi uda się wzmocnić tę gałąź gospodarki.

Karol jak zawsze wypowiadał się z pewnością w głosie, jakby odpowiedź na pytanie przyszłego teścia miał już wcześniej przygotowaną. Róża przyglądała mu się w milczeniu i z aprobatą kiwała głową. Lubiła, gdy angażował się w sprawy na północy Polski, a jego relacje i opowieści zawsze ją ciekawiły. Uważała, że świeże spojrzenie na rozwój Polski było tym, czego potrzebowała jej rodzina, a wżenie się Karola w ich rodzinę przyniesie wiele dobrego w umocnieniu ich wpływów na elitarnej arenie.

Natomiast Mieczysław dumiał w milczeniu. Dalekie były mu nadmorskie rozterki, a ryby to on jadał tylko na wystawnych ucztach elit na północy kraju i nie należał do koneserów. Kierunek polityki w rządzie z każdym rokiem był coraz dalszy od jego poglądów. Mimo wszystko Obiecki czuł się patriotą i chciał brać czynny udział w ważnych dla kraju wydarzeniach, a jednocześnie z każdą kolejną wiosną czuł się coraz bardziej rozgoryczony stanem ojczyzny, o którą tak zaciekle walczył podczas ostatniej wojny i o którą dbał jak o własną rodzinę. Czasy powojenne miały być rozkwitem polskiego państwa na arenie międzynarodowej, a tymczasem wewnętrzne problemy piętrzyły się w niewyobrażalnym tempie. Niemcy zbroili się i zaczęli coraz śmieiej odsłaniać swoje nacjonalistyczne oblicze, a Polacy zamiast wzmacniać swoją pozycję, dbać o relacje z sojusznikami oraz zabezpieczać się przed kolejną ewentualną napaścią, otwierali port w jakiejś wsi na Pomorzu. Bezsensowne i głupie trwonienie pieniędzy było dla niego czymś, czego nie mógł wybaczyć nawet sobie, a gdy patrzył na rozrzutność władz, za każdym razem niebezpiecznie wysoko podnosiło mu się ciśnienie.

– To mówisz, że pojutrze otwierają ten port? – spytał teraz.

– Jeżeli pogoda dopisze. Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, mają się zjawić przedstawiciele władz państwowych, choć nie mam pewności, kto zostanie oddelegowany w podróż.

– W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak pojechać z tobą i zobaczyć, cóż takiego ważnego jest w tej wsi. Przy okazji zamienię kilka zdań na temat zbrojenia, bo chyba nie wszyscy widzą, co się wokół dzieje.

– Może i racja – potwierdził Karol. – Sytuacja w Europie robi się napięta i Hitler bezczelnie wyciąga łapy po najbliższe tereny, ale spokojnie, daleko mu do Kresów! Nie przejmowałbym się tym zbytnio. Mamy zdecydowanie twardszy orzech do rozłupania, tuż pod własnymi oknami. Słyszał hrabia o Stepanie Banderze?

Twarz Mieczysława spochmurniała. Mężczyzna westchnął głośno i odłożył sztućce na talerz, informując towarzystwo, że nie będzie więcej jadł.

– To nie jest temat, który wypada poruszać przy stole. Kobiety nie powinny zaprzętać sobie głowy troską o losy własnej ziemi. Opieka nad rodziną należy do obowiązków mężczyzny, tak jak opieka nad krajem należy do głowy państwa.

– W takim razie proszę o wybaczenie, hrabio. – Karol, wyraźnie zmieszany, również odłożył sztucce.

Mieczysław wstał, poklepał się po kieszeniach marynarki, a utwierdziwszy się w przekonaniu, że są w nich papierosy, wyszedł na taras. Po chwili ciszy Karol dołączył do niego, przepraszając za swoje zachowanie pogrążone w milczeniu kobiety.

– Jesteś jakaś nieswoja. Coś się stało? – spytała z troską Róża, widząc, jak córka błądzi widelcem po talerzu.

– Ja? Nie... – odpowiedziała zmieszana Stefania. – Wszystko w porządku.

– Gdyby było w porządku, kończyłabyś jeść ciasto, a tymczasem modlisz się nad pełnym talerzem.

– Chyba zaszkodził mi upał. Pójdę się położyć. Przepróż ode mnie Karola.

Stefania wstała, pocałowała matkę i udała się na piętro do swojej sypialni. Do późnych godzin nocnych leżała, wpatrując się w sufit. Jej wyobraźnia na zmianę odtwarzała prorocstwo Cyganki i postać stajennego. Czuła sprzeczne emocje, bo z jednej strony troska o rodzinę popychała ją w kierunku małżeństwa z Karolem, a z drugiej nie mogła oprzeć się wrażeniu, jakie wywarł na niej chłopak. Tej nocy nawiedził ją sen – stała na krańcu skarpy. Za nią płonęły lasy i pola, a przed nią zionęła ciemna jak smoła przepaść. Stefa stała przerażona, kompletnie nie wiedząc, co zrobić. Bała się spłonąć i bała się ciemności. Obudziła się nad ranem z przeświadczeniem, że każda decyzja, jaką podejmie, będzie niosła za sobą nieprzyjemne skutki.

**30 maja 1997 roku,
Wrocław**

Kilka dni później, po porannym obchodzie, delektowałam się kawą w socjalnym. Niemiłosiernie bolała mnie głowa i liczyłam na to, że kofeina postawi mnie na nogi. Rozmyślałam nad ostatnimi tygodniami w pracy i doszłam do wniosku, że chyba zaczynam adaptować się w tym miejscu. Coraz rzadziej szukałam ucieczki od rozmów z emerytami. Z przyjemnością wysłuchiwałam ich wspomnień i bieżących relacji z ostatnich godzin. Dom funkcjonował na swoich zasadach i był zupełnie inny niż świat, który istniał za ogrodzeniem. Ku własnemu zdziwieniu czułam się lepiej w tym odizolowanym świecie niż w tętniącym życiem centrum Wrocławia.

Iwan od jakiegoś czasu nie wychodził z pokoju. Podpytałam kilku podopiecznych, co się stało. Wszyscy zgodnie i ze zdziwieniem twierdzili, że przecież jest maj, zupełnie jakby ten miesiąc był wystarczającym wytłumaczeniem. Na początku nie drażyłam tematu, z czasem zaczęłam częściej o tym myśleć. Iwan zaintrygował mnie i brakowało mi jego widoku w ogrodzie. Chciałam się też dowiedzieć o nim więcej. Kiedy mówił o tych rododendronach, nagle nabrał kolorów. Pokazał mi się jako niezwykle wrażliwy mężczyzna, który musiał przeżyć w życiu coś wspaniałego, skoro przez tyle lat nie chciał lub nie mógł o tym zapomnieć.

Wyszłam na taras, czekając, aż zza ciężkich chmur przenikną promienie słońca. Ciśnienie leciało na łeb, na szyję i niewątpliwie miało związek z moim bólem głowy. Chmury szybko przesunęły się po niebie, chociaż prawie nie było czuć wiatru, być może dzięki temu, że wokół

domu nasadzono gęsto wysokie krzewy. Rododendron cały pokryty był pąkami, które gdzieś się pootwierały.

Syciłam oczy jego pięknem. Z daleka wyglądał jak zielona ściana z licznymi różowymi punkcikami. Z bliska można było zachwycić się mnogością kwiatów i ich odcieni, które przechodziły z jasnokremowego przez róż, aż do dorodnej fuksji. Zapewne kilka odmian musiało rosnąć blisko siebie.

Wróciłam na ławkę i zobaczyłam, że w progu domu stoi Iwan. Uśmiechnęłam się na jego widok i skinęłam głową. Odpowiedział tym samym, chociaż jego oczy wydawały się przygaszone. Przygarbiony, doczłapał do rododendronu i trwał przy nim w milczeniu, aż zrobiło mi się go żal. Po ostatnich zwierzeniach wiedziałam, że przeżywa teraz istny maraton wspomnień, a jego myśli biegną do młodzieńczych lat. Przyglądałam się mu z coraz większym zaciekawieniem.

– Niebawem rozkwitnie – zagaiłam, podchodząc do niego.

– Owszem.

– Dawno pana nie widziałam. Wszystko w porządku?

Westchnął ciężko, zapatrzony w różowe pąki. Po chwili milczenia odezwał się powoli:

– Wiesz, Sofijo, są w życiu takie rany, które mimo upływu lat nie potrafią się zabiżnić. Są wspomnienia, których nie przykryją żadne inne, a tęsknota za utraconą osobą wcale nie zmniejsza się z upływem czasu. Wręcz przeciwnie. Z każdym mijającym rokiem jest trudniej uporać się z tym, co się wydarzyło. Kiedy byłem młodszy, uciekałem w pracę, lecz teraz, kiedy w ciągu dnia nie robię nic szczególnego, myślę nieustannie o tym, co było.

– Rozumiem. – Odważyłam się pogłodzić go po plecach. – Sądzę, że dla pana zdrowia dobrze byłoby, gdyby przepracował pan te wspomnienia z psychologiem.

– Wiem, panienko. W życiu już kilka razy podchodziłem do terapii, ale przed żadnym psychologiem nie potrafiłem się w pełni otworzyć.

Słuchałam wewnętrznego głosu, który podpowiadał mi, że bym nie odpuszczała. Chciałam pomóc Iwanowi. Czułam między nami dziwne iskrzenie oraz budzące się we mnie nieposkromione pokłady ufności.

Strach, który pojawił się na początku naszej znajomości, ustąpił, a jego miejsce zajęły troska i życzliwość.

– Może nie jestem wykwalifikowanym psychologiem – zaczęłam nieśmiało. – Ale gdyby miał pan ochotę na rozmowę, chętnie wysłucham wszystkiego, co panu leży na sercu. – Położyłam rękę na piersi. – I zrobię wszystko, żeby pomóc.

– Nie jestem pewien, czy powinienem obarczać panią takimi rzeczami. – Spojrzał na mnie tym smutnym wzrokiem, a ja miałam ochotę go przytulić i dać mu się wypłakać.

– Wiek nie idzie w parze z dojrzałością emocjonalną – odparłam, prostując się i czując nagły przyływ odwagi.

Patrzyłam na jego lewy profil; twarz mu na zmianę łagodniała i tężała, ujawniając toczącą się w nim wewnętrzną walkę. Po kilkunastu długich sekundach westchnął ciężko i popatrzył na mnie zwilżonymi od łez niebieskimi oczami.

– Tyle już razy rozgrzebywałam te wspomnienia, że trudno mi zacząć od początku – powiedział, gładząc się po wierzchu pomarszczonej dłoni.

– Już pan zaczął od rododendronów. – Obdarzyłam go szczerym uśmiechem.

– Racja – odparł, a jego twarz zaczęła się rozchmurzać. Znów jednak pogрузił się w milczeniu.

– Panie Iwanie – podjęłam. – Proszę usiąść na ławce, a ja pójde po herbatę. Zanim moje dziewczyny skończą rehabilitację, minie pół godziny, więc możemy sobie pogawędzić.

Uśmiechnął się do mnie i bez słowa sprzeciwu spełnił prośbę. W mgnieniu oka byłam z powrotem, dierzając w dłoniach dzbanek z herbatą i dwa kubki.

– Proszę – powiedziałam, podając mu napój.

Skinął głową w geście podziękowania i wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę cukierków.

– Może landrynkę? – spytał.

– Nie, dziękuję. Ograniczam kalorie.

– Mimo to nalegam.

Znów spojrzał na mnie tak, że poczułam się jak otwarta książka. Serce przyspieszyło swój rytm, a w gardle pojawiła się znajoma suchość.

– Dobrze, poczęstuję się, ale pod jednym warunkiem. – Podniosłam palec wskazujący, jakbym groziła przedszkolakowi, na co Iwan wybuchnął śmiechem. – Opowie mi pan, jak to się stało, że Stefi i pan...

– Że hrabina miała romans ze stajennym? – przerwał mi, wciąż śmiejąc się w głos.

– Nie to chciałam powiedzieć – skłamałam gładko, kryjąc w dłoniach pojawiający się na policzkach rumieniec.

– Ale to naturalne skojarzenie. Takie historie raczej się nie zdarzają, a przynajmniej nie zdarzały się tam, gdzie mieszkałem.

– Fakt. Trudno to sobie wyobrazić...

Upiłam łyk herbaty i poczęstowałam się landrynką, a Iwan rozpromienił się, gdy oblizywałam czubki palców.

– To była miłość, jakich nie doświadcza się w tych czasach. – Odetchnął głęboko, skupiając wzrok na rododendronie. – Oczy Stefanii, które wtedy wyłoniły się zza różowych pąków, były najpiękniejszymi oczami, jakie widziałem. Kiedy zobaczyłem przed sobą kruchą istotę, w jednej chwili się zakochałem. Nie wyglądała jak jedna z tych wątłych primabalerin, które widywałem w Operze Lwowskiej, kiedy pracowałem z Andrijem przy naprawianiu parkietu. Była idealna, proporcjonalna i biło z niej nieprawdopodobne ciepło... Taka troska o drugiego człowieka. Zachowywała się tak, jakby wszystkich widziała równo i w żaden sposób nie liczył się dla niej status społeczny. Gdy zobaczyliśmy się po raz pierwszy, świat zatrzymał się na parę chwil i nie było już rododendronów, nie było rezydencji, tylko my, wpatrzeni w siebie. Poczulem się wtedy tak, jakbym odkrył sens życia. Jakbym znalazł rozwiązanie dla wszystkiego, co spotkało moją rodzinę i skierowało do pracy u Obieckich. Wtedy jej matka zawołała ją, żeby zostawiła te kwiaty, bo poradzę sobie sam, a ona stanęła obok mnie i obserwowała moją pracę. Ściągałem te krzewy najdelikatniej, jak umiałem, by nic nie uszkodzić, i przy każdym odłożeniu rośliny patrzyłem na Stefanię. Na początku mrugała porozumiewawczo, później delikatnie się uśmiechała. Wskazała mi miejsce, gdzie mam wykopać dołki dla krzewów, a później

złapała ze mną jedną roślinę i umieściła w dziurze. Dotknąłem wtedy jej dłoni. Na początku myślałem, że to przypadek, ale po kilku miesiącach przyznała się, że celowo przysunęła rękę bliżej mnie, żeby nawiązać kontakt.

– Nie rozmawialiście wtedy?

– Nie – odparł z uśmiechem, odsłaniając równy rząd nienaturalnie białych sztucznych zębów. – Nie chciałem się ośmieszyć. Byłem biednym chłopakiem. Ukraińcem, który pracował u jej ojca i po polsku znał raptem kilka słów. A ona była piękna, ubrana w suknię z atłasu i koronek. Gdzie by tam pasowała do moich zniszczonych spodni i poprzecieranej od starości koszuli?

Uniosłam brwi. Dotarło do mnie, że Iwan jest teraz tak pewnym siebie staruszką dlatego, iż musiało to w nim dojrzewać latami.

– Tamtego popołudnia nie poszedłem z chłopakami na ryby. Nie poszedłem też z nimi następnego dnia na potańcówkę. Pobiegnęłam za to do szkoły, w której uczyłem się tylko kilka lat, a potem musiałem ją zostawić, i poprosiłem nauczycielkę o słownik i jakąś polską książkę. Wróciłem do domu, oporządziłem nasze małe gospodarstwo i przy blasku świecy zacząłem się uczyć polskiego. Z językiem byłem już osłuchany. W końcu mieszkaliśmy z Polakami i Żydami w jednej społeczności, chodziliśmy razem do szkoły czy na targ. Chociaż zawsze obracałem się wśród swoich, to jakieś pojedyncze polskie zwroty znałem. Nie musiałem od początku zaznajamiać się z każdym słowem, ale i tak chciałem poznać je wszystkie. Móc nimi żonglować, rozmawiać z nią bez skrępowania.

– To było wielkie poświęcenie.

– Z perspektywy czasu widzę, że nasza miłość wymagała ciągłych poświęceń. – Oczy znów zaszyły mu mgłą i zaczął oddychać ciężko. Pewnie pamięć skierowała go w te rejony wspomnień, które nie należały do najprzyjemniejszych.

– I co było dalej? – zapytałam, by wrócił do miłych chwil.

– Przez dłuższy czas widywaliśmy się w posiadłości. Zajmowałem się swoją pracą, a ona spacerowała albo czytała książki w towarzystwie swoich sióstr.

– Nie próbował pan nawiązać z nią kontaktu?

– Nawiązywałem kontakt wzrokowy i za każdym razem odpowiadała uśmiechem. Czasem się rumieniła, czasem wytrzymywała pod naporem mojego spojrzenia, ale nie rozmawialiśmy ze sobą. Dopiero gdy zauważyłem, że władam całkiem sprawnie językiem, chciałem z nią zamienić kilka słów, ale los okazał się przewrotny. Stefania wyjechała z posiadłości.

– Och nie – westchnęłam. – Jak to? Dokąd wyjechała?

– Do męża, na Pomorze – odparł i zaśmiał się ze swoich słów.

– Jak to do męża? – spytałam z niedowierzaniem. – Ta historia coraz bardziej mnie intryguje. – Spojrzałam na zegarek; za chwilę będę musiała wrócić do służbowych obowiązków. – Niestety dziś już dłużej tu z panem nie zabawię.

– I tak paniące dziękuję za przyjemne towarzystwo i herbatę – powiedział, podnosząc prawie pusty kubek.

– Może dokończymy rozmowę w poniedziałek? – spytałam, czując wyraźny niedosyt i historii, i jego towarzystwa.

– Bardzo chętnie – odpowiedział.

Wstałam z ławki i skierowałam się w stronę swoich podopiecznych, którzy właśnie pojawili się na tarasie.

Nadchodzący weekend miałam wolny. Wolny od pracy, ale pełny innych spraw, które musiałam wykonać w domu i w sobotę rano, przed wyjazdem do rodziców. Ścisnęło mnie w żołądku na myśl o tym, że w końcu będę musiała powiedzieć im o pracy. Co prawda już mniej się jej wstydziłam, ale rodzice wciąż mieli nadzieję, że ich córka wydoszła się ze wsi, żeby pomagać kardiologowi w szpitalu, podczas gdy jedyne, w czym pomagała, to przedostać się emerytom z pokoju do łazienki i z powrotem. Jaki sens miała moja praca? Przecież równie dobrze mogłabym się opiekować rodzicami. Robiłabym to samo, a nawet mniej i w dodatku mieliby ze mnie pożytek na gospodarstwie.

**16 czerwca 1938 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Słońce wznosiło się wysoko ponad parkiem w Psarach, kładąc na wszystkim swój blask, który raził w oczy i przytłaczał tych, którzy tego dnia musieli pracować fizycznie. Powietrze było ciężkie, a na niebie trudno było dostrzec choćby jedną upragnioną chmurkę. Wokół pałacu unosił się zapach róż, które kilka lat temu gęsto posadzone przed wejściem głównym, dumnie pięły się teraz po elewacji. Tego lata wyjątkowo obrodziły i tworzyły na ścianie bladoróżową, miękką pierzynę.

Stefania siedziała z matką na tarasie, chłodząc się koronkowym wachlarzem zakupionym dzień wcześniej we Lwowie, i wpatrywała się w dal, bezceremonialnie ignorując matkę oraz siedzącego razem z nimi przy stoliku najlepszego lwowskiego cukiernika, opowiadającego z przejęciem o swoim pomysle na tort ślubny. Kiedy matka chrząknęła i spytała córkę, co o tym myśli, Stefania stwierdziła, że zgadza się na wszystko, na co matka przewróciła oczami i zalała nieszczęsnego mężczyznę lawiną pytań.

Młoda Obiecka zerknęła na zegarek i westchnęła ciężko. Dochodziła czternasta, więc jeszcze chwila, a rozlegnie się gong nawołujący do posiłku. Następnie ojciec między barszczem ukraińskim a pieczenią zacznie wypytywać je o koszty, jakie rozplanowały tego dnia. Ostatnio skrupulatnie wszystko rozliczał, zupełnie jakby mieli kłopoty finansowe, chociaż pytany o to za każdym razem zaprzeczał. Stefania zaczęła wiercić się na krześle. Wiedziała, że lada moment kolejne dni będzie musiała spisać na straty, ponieważ gdy ona w końcu znajdzie czas, w okolicy nie będzie już tego, na kim zależało jej najbardziej.

Od kilku dni szukała sposobności, żeby jeszcze raz zobaczyć stajennego, jednak nie miała jak wyrwać się z zaplanowanych przez matkę spotkań, podczas których wspólnie decydowały o kolejnych elementach wesela. W gruncie rzeczy sprowadzało się to do tego, że Stefania, pogrążona w sercowych rozterkach, przytakiwała wszystkiemu, co działo się naokoło, a myślami błądziła wokół młodego chłopaka, licząc na to, że gdy go spotka ponownie, okaże się, że jej ostatnie emocjonalne zawirowania były spowodowane upałem. Koniecznie jednak chciała upewnić się o tym przed wielkim wydarzeniem, które lada moment miało odbyć się w Psarach. Wszyscy wokół wiedzieli o zaślubinach, wszak imprezę planowano z rozmachem, a uroczystość jawiła się jako jedna z najważniejszych w okolicy. Róża wymyślała coraz to nowsze atrakcje dla przeszło czterystu gości. W końcu wydanie najmłodszej córki za mąż było swoistym pożegnaniem z pewnymi obyczajami arystokracji i – jak powtarzała – musiało przyćmić wszystkie spotkania, bale czy śluby starszych Obieckich. Dlatego byłoby wielce nietaktowne, gdyby tego dnia Stefania była nieobecna duchem.

– Najmocniej przepraszam – wtrąciła nagle Marianna, która nigdy nie przerywała im spotkań, a już na pewno nie w taki sposób, by wchodzić w zdanie Róży. – Pilny telefon do hrabiny ze szpitala.

Stefania zerwała się z krzesła jak oparzona i spojrzała na Mariannę, która stała roztrzęsiona, a jej oczy pokrywała kurtyna łez.

W pierwszej chwili Obiecka chciała upomnieć dziewczynę za taki nietakt – czasami miała wrażenie, że z każdym rokiem służba pozwalała sobie na mniej oficjalny ton względem swoich chlebodawców – ale strach o męża, który wyjechał rano na polowanie i do tej pory jeszcze nie wrócił, ścisnął jej serce mocniej niż oburzenie, a w tej chwili kazał odrzucić wszelkie inne emocje na bok.

Rzadko zdarzało się, by drżała o Mieczysława. W końcu wyjeżdżał bardzo często, więc powinna przyzwycząć się do jego nieobecności, jednak tego dnia obudziła się z dziwnym niepokojem duszy i nawet próbowała zatrzymać go w domu, lecz on obstawał przy swoim. Słowa o szpitalu sprawiły, że dla Róży czas stanął w miejscu, a idąc do

telefonu, modliła się w duchu, by chodziło o coś zupełnie innego niż to, co przywoływały jej myśli.

W słuchawce rzeziło i charczało, ale Róża zdołała usłyszeć to, co najważniejsze. Mieczysław został postrzelony na polowaniu. Na szczęście kula, która utkwiała w udzie, została wyjęta przez lekarzy, ale czas dotarcia do szpitala był zbyt długi, przez co hrabia stracił dużo krwi i musiał pozostać na obserwacji. Hrabina nie podziękowała za wiadomość. Stała jak zahipnotyzowana, nie mogąc poradzić sobie z obrazem męża, który pojawił się przed jej oczami. Z trudem odłożyła słuchawkę i poczuła, jak obejmują ją ramiona córki. Wokół wszystko wirowało. Miała wrażenie, że wspomnienia z młodości rozbijają jej szklaną fortecę na miliony kawałków. Od kilku miesięcy czuła na karku przerażający oddech śmierci. Widmo zbliżającej się wojny, a co za tym idzie, rozliczenia się z historią, kładło się cieniem na jej psychice. Każdego ranka w głowie Róży dudniły stukające o kostkę brukową oficerki, krzyki i wystrzały. Teraz miała wrażenie, że przeznaczenie zaczynało wyrównywać z nią rachunek.

Pamięć przywołała obraz jej rodzinnego domu na przedmieściach Petersburga, spowitego ciemnością w mroźną styczniową noc. Z podwórza dochodziły odgłosy awantury między jej ojcem a chłopami. Wokół trwała rewolucja. Ludzie pozbawieni jedzenia i pieniędzy chcieli po prostu żyć, a nie ginąć na wojnach, które prowadziła Rosja. Szereg porażek poniesionych przez armię rosyjską podczas wojny z Japonią jeszcze bardziej rozjuszał niezadowolone społeczeństwo. Tymczasem jej rodzina ani nie głodowała, ani nie wyjeżdżała na wojnę. Trwali w swoim pałacu w Petersburgu, jak gdyby styczeń 1905 roku był kolejnym szczęśliwym okresem życia Michałowów, i to stało się drzazgą w oku rewolucjonistów. Felernej styczniowej nocy Róża Michałowna pierwszy raz w życiu usłyszała strzał z broni. Stała z matką na piętrze swojego domu i z przerażeniem wsłuchiwała się w odgłosy kłótni. Wokół wrzało, paliły się pochodnie, widać było poruszające się cienie, a nieznani ludzie otoczyli dom. Z każdą minutą awantura wzbierała na sile, pojawiały się wyzwiska i groźby. Mężczyźni wybijali kolejne szyby w oknach, rzucając w nie kamieniami, od których pękały dalej zabytkowe wazony i posągi,

a w ścianach pozostawały dziury. Kiedy przez otwarte okno salonu wpadła rozpalona pochodnia, od której momentalnie zajęły się ciężkie atlasowe zasłony i perski dywan, Róża chwyciła powieszoną na ścianie ojcowską broń i zbiegła po schodach do kuchni, skąd prowadziło wyjście do ogrodu. Pospieszała matkę, rozpaczającą nad zniszczeniami, a tłum napierał na drzwi wejściowe. Róża próbowała wśród głosów z zewnątrz rozpoznać ojcowski, ale nie zdołała tego zrobić. Przez głowę przemknęła jej myśl, że rewolucjoniści zabrali go ze sobą lub co gorsza, zabili przed wejściem do domu, tak jak to zrobili z ich sąsiadem Fiodorem Baksymowiczem. Biegła co sił w nogach, a walące szybko i mocno serce miała tuż przy gardle. Już była w kuchni, kiedy ktoś chwycił za klamkę drzwi do ogrodu, a ona, trzymając ciągle broń przed sobą, ze strachu nacisnęła na spust. Siła wystrzału szarpnęła jej ramieniem, w uszach zadudniło i Róża poczuła unoszącą się wokół woń prochu. Czas stanął w miejscu. Z ciemności wyłoniła się postać; trzymała się za pierś, a następnie głośno opadła na twarz w progu kuchni. Róża przyglądała się znajomej posturze i ubraniu. Przez jej głowę galopowały powtarzające się myśli. Kałuża krwi szybko pokryła białe kafelki, a Róża stała przepełniona strachem i wyrzutami sumienia. Kiedy poczuła, że stoi bosymi stopami w ojcowskiej krwi, wstrząsnął nią dreszcz. Przerazona rzuciła się do ucieczki, a rozdzierający duszę krzyk matki, Jany Michałownej, miała słyszeć w głowie do końca swych dni...

– Co się stało, matko? – spytała Stefania z troską.

– Twój ojciec został postrzelony – powiedziała szeptem Róża. – Boże, to nie może być prawda. – Zamknęła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem, a córka, choć najmłodsza z rodu, hardo trzymając się na nogach, gładziła matkę po włosach, okazując jej wsparcie.

Marianna po chwili pojawiła się przy nich, dzierżąc w dłoniach tacę z dwiema porcelanowymi filiżankami.

– Herbata z melisy – powiedziała, a Stefania kiwnęła porozumiewawczo głową i szeptem podziękowała.

Stefania wewnątrz cała dygotała, ale obserwując załamana matkę, wiedziała, że nie może uronić łez. Musiała być teraz silna, choć ból i strach mieszały się z każdą kroplą krwi, jaka płynęła w jej żyłach.

Usadziła matkę na kozetce, a sama rzuciła się w stronę telefonu i drżącymi dłońmi wybrała numer szpitala, chcąc uzyskać jakieś informacje, jednak nikt nie odebrał. Następnie próbowała skontaktować się z Karolem, który przebywał u swojej matki, ale i u nich nikt nie podniósł słuchawki. Zacisnęła zęby, po czym sięgnęła po kluczyk do ojcowskiego morrisa. Ojciec kiedyś pozwolił jej prowadzić auto i choć niewiele z tego pamiętała, to wiedziała, że tylko samochodem uda im się sprawnie i szybko dostać do Stanisławowa. Wypiła duszkiem herbatę, odetchnęła kilka razy i chwyciła rozpaczającą matkę pod rękę.

– Jedziemy do szpitala – zdecydowała.

Róża była całkowicie pogrążona w rozpacz i nawet nie spostrzegła niebezpieczeństwa, jakie zbierało się nad nimi, gdy wsiadały do samochodu. Brak przeszkolenia w jeździe mógł co najwyżej prowadzić do wypadku, ale Stefania zawsze biegła uparcie do celu, nawet gdy wiązało się to z przekraczaniem pewnych granic. Kiedy jednak usiadła za kierownicą, ogarnęła ją panika. Zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Przymknęła oczy, zmówiła w myślach dwie zdrowaśki i poprosiła Przenajświętszą Panienkę, aby czuwała nad nimi.

Przez dłuższy czas jechały w ciszy, którą czasem przerywało pochlipywanie matki. Stefania prowadziła samochód całkiem sprawnie. Powtarzała sobie w myślach, że gdyby to teraz widział ojciec, byłby z niej dumny, a ta myśl uspokajała ją i sprawiała, że mimo ogromnego stresu czuła, że panuje nad sytuacją. Starła się trzymać obranej prędkości i dozować siłę maszyny, lecz gdy zbliżały się do miasta, ogarnął ją lęk. A co, jeśli kogoś potrąci lub zajedzie mu drogę? O tym wcześniej nie pomyślała. Ku jej ogromnej uldze ulice Stanisławowa okazały się opustoszałe i Obieckie sprawnie przedostały się na drugą stronę miasta.

Stefania z zaciekawieniem obserwowała nowe, okazałe gmachy urzędów i dzielnice mieszkalne. Miasto rozbudowywało się w mgnieniu oka i równie szybko przybywało mu mieszkańców, choć w dalszym ciągu znaczną większość stanowili Żydzi, a Polaków była tu ledwie jedna trzecia całej społeczności. Stefania minęła swoje gimnazjum i jej oczom ukazał się nowy gmach Operetki Żydowskiej, który zadziwiał swoim przepychem. Wjechała w Sapieryńską, jedną z ulubionych ulic, przy

której w posadach kamienicy znajdowały się liczne sklepy, a każdy z nich miał rozłożoną przed wejściem markizę, chroniącą wystawę przed słońcem. Stefania uwielbiała symetrię okien, znajdujących się na wyższych piętrach, i modne, drogie towary, jakie były oferowane w sklepach. Gdyby sytuacja była inna, zapewne dostrzegłaby również, że w kamienicy Leona Grauera znów funkcjonuje punkt z porcelaną i kryształami, który podczas rozruchów antyżydowskich został zdemolowany wybuchem petardy.

Przed komisariatem wjechała w ulicę Kazimierzowską, na której mieścił się hotel „Warszawa”. Budynek piął się wysoko ku górze, a jego wieża z wystawionymi we wszystkie strony świata tarczami zegara od zawsze stanowiła dla niej punkt orientacji w terenie. Wiedziała, że są już blisko szpitala; już prawie odetchnęła na myśl o tym, że zaraz zobaczy się z ojcem i uspokoi zszargane nerwy, kiedy z prawej poczuła silne uderzenie. Samochód szarpnął i zatrzymał się gwałtownie, a wokół wzbily się szare tumany dymu.

– Nic ci nie jest? – Stefania spojrzała na matkę, która teraz miała jeszcze większe i bardziej wystraszone oczy niż w chwili wyjazdu z Psar.

– Nie. Tylko trochę boli mnie ręka.

Róża uniosła łokieć, a Stefania ujrzała wgniecione drzwi i w jednej chwili pożałowała tej wyprawy, mimo że cel był szczytny i strach o ojca odebrał jej rozum. Teraz jednak było za późno na dywagacje. Stała na jednej z głównych ulic Stanisławowa, a właściwie tkwiła w zniszczonym samochodzie ojca. Otworzyła drzwi, wygramoliła się na zewnątrz i pomogła wyjść matce.

– Nie znasz się na zasadach ruchu drogowego, to nie wsiadaj do samochodu, idioto! – Usłyszała głośny zarzut. Kierowcę, który w nie uderzył, przesłaniał gęsty, siwy dym wydobywający się spod maski.

Wokół skrzyżowania momentalnie zebrał się tłum gapiów. Kiedy dym zaczął się przerzedzać, ludzie zaczęli szeptać. Stefania zdawała sobie sprawę, że ona i matka są rozpoznawalne, a ich wypadek z pewnością będzie sensacją w jutrzejszym wydaniu gazet, które ukazywały się tu w języku polskim, ukraińskim, jidysz i niemieckim. Tuż przed nimi błysnęło oślepiające światło aparatu.

– Nie wiesz, że tu trzeba ustąpić pierwszeństwa, ty... – ciągnął drugi kierowca, lecz w jednej chwili zamilkł, a oczom Stefanii ukazała się postać zdenerwowanego, choć jeszcze bardziej zaskoczonego Antoniego Babicza. – Stefania? – spytał.

– Antek? – odpowiedziała równie zdziwiona.

– Co robisz w samochodzie ojca? O ile wiem, nie znasz się na jeździe tym cackiem.

Stefania odgarnęła włosy z czoła.

– Ojciec został postrzelony, jedziemy do niego do szpitala. Dobrze, że trafiliśmy na ciebie. Znacząco niedobrze, że miałyśmy wypadek, ale lepiej, że to ty w nas uderzyłeś niż ktoś obcy, bo... Bo... Bo przynajmniej możemy zająć się tym później. Teraz musimy iść do szpitala. To jest najważniejsze – z jej ust popłynął potok słów.

Antoni stał przez chwilę oszołomiony i próbował przetrwać informacje, jakimi obrzuciła go dziewczyna. Chwilę wcześniej wyszedł wzburzony z biura ojca, w którym siostra z uśmiechem na twarzy wręczyła mu zaproszenie na ślub Stefanii. Miłość jego życia miała zostać żoną Karola Filipowicza, a on poczuł się tak, jakby ten mały kawałek papieru w jednej chwili zmiażdżył jego uczucia, poczucie własnej wartości i plany na przyszłość. Wybiegł na skąpaną słońcem ulicę, wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie. Wmawiał sobie, że to nie może być prawda. Musiał koniecznie porozmawiać ze Stefanią, bo przeczuwał, że ojciec zmusił ją do zamążpójścia. Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, na czym polegają bale wydawane na cześć córek arystokratów. Kiedy jego myśli przesłaniała wizja ukochanej, ona nagle pojawiła się przed jego oczyma i chociaż przed nosem błysnął mu pierścienek zaręczynowy, Antoni wiedział, że oto trzyma los we własnych rękach, a hrabianka, jakkolwiek potoczają się ich losy, w końcu będzie z nim, a nie z żadnym Karolem Filipowiczem.

**31 maja 1997 roku,
Brzezia Łąka**

Autobus przyjechał o czasie, więc nie musiałam zbyt długo marznąć na przystanku. Wiosna powinna już buchać pełną parą, jednak rankiem wciąż na dworze czuć było chłód. Rośliny jeszcze nieco niemrawo pokazywały swoje piękne oblicze światu, ponieważ nocami nadal bywało nieprzyjemnie. Maj tego roku, poza kilkoma wyjątkowo ładnymi dniami, bardziej przypominał marzec.

Zazwyczaj na tej trasie panował tłok – ale nie dziś. Zapytałam o to kierowcę, jednak sam był zdziwiony mniejszą liczbą podróżnych. Nie drażyłam tematu. Rozsiadłam się w centralnej części busa i obserwowałam znane mi na pamięć widoki, starając się je uaktualnić, jednak nie było tam nic, co mogłoby przykuć moją uwagę na dłużej. Płaski teren gdzieś tam przecięty pojedynczymi drzewami powodował we mnie napięcie i chęć ucieczki. Wracałam do rodzinnego domu i chociaż wiedziałam, że nic mnie tam nie zaskoczy, czułam narastający niepokój. Marudziłam, że czas toczy się tu wolniej, zapominając, że są takie zakątki świata, gdzie stoi on w miejscu.

We Wrocławiu codziennie spotykałam bardzo wielu ludzi. Elewacje budynków przykuwały wzrok nowymi reklamami i banerami. Stale mnie otaczały gwar, szum, stukot i głośne rozmowy. Dostałam to, czego oczekiwałam od życia, jednak nie w takiej formie, jaką sobie wymarzyłam. Natomiast wiejska cisza i spokój wprawiały mnie w osłupienie.

Mama czekała na przystanku, dzierżąc w rękach gruby, niedawno wydziergany różowy sweter. Jak zwykle wiedziała, że nie ubrałam się

dostatecznie ciepło.

– Cześć, mamuś – powiedziałam i przytuliłam ją mocno. – Nie miałaś co robić, tylko sterczeć na tym zimnie?

– Ano nie miałam.

– Tacie już lepiej?

– A gdzie tam, dziecko, może ty mu przemówisz do rozsądku. W końcu jesteś prawie jak lekarz, to się znasz. Nie chce brać leków, tylko leży i charczy.

– Jestem pielęgniarką. Nie mam tak specjalistycznej wiedzy jak lekarz.

– Ja się tam nie znam. – Machnęła ręką. – Pomożesz, podleczysz tatę i... – zawiesiła się, jak zawsze, gdy wstydziła się mnie o coś prosić. – Może zostaniesz na dłużej.

Zawahałam się, czy powiedzieć jej o pracy. Chciałam, żeby była ze mnie dumna, a wiedziałam, że jeśli teraz wyznam jej prawdę, tylko ją zawiodę. Z drugiej strony wiedziałam też, że nie wytrzymam tu dłużej niż weekend. Rodzice nigdy nie wyrządzili mi krzywdy, czułam jednak, że należymy już do różnych światów i wbrew powszechnej opinii mieszcuchów wioska nie wprowadzała mnie w stan euforii i błogiego lenistwa.

– Nie mogę, mammo.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie mogę! Dostałam pracę.

Mama klasnęła w dłonie.

– Cudownie, skarbuś, cudownie. Opowiesz wszystko przy obiedzie. A teraz chodź szybciej, bo zaraz mi się przeziębisz w tym fatałaszkach – powiedziała, muskając ręką moją wizytową szyfonową bluzkę.

W domu panował półmrok. Pierwsze, co poczułam przy wejściu, to przenikające zimno. Nie był to obrazek, który chciałam zastać. Ojciec leżał na łóżku i oddychał ciężko.

– Dlaczego tu tak zimno?

– Ojciec leży tak już trzeci dzień. Nie miałam siły przynieść drewna na opał. Mówiłam ci, że lekarka przepisała jakieś leki, ale on nie chce ich łykać, a mnie samej trudno wszystko tu robić.

Uderzyły mnie wyrzuty sumienia. Podczas gdy ja siedziałam sobie w wynajmowanym mieszkaniu, moi rodzice marzli, bo nie mogli poradzić sobie z codziennymi obowiązkami. Pierwszy raz poczułam się odpowiedzialna za ich życie. Za tę starość i niedołęźność, która przecież dawała mi przykład tego, jak szanować doświadczenie i ludzką pracę bez względu na wykształcenie czy pochodzenie. Byłam na siebie wściekła, że chciałam od nich uciec. Jako jedyne dziecko powinnam pomagać i otaczać ich opieką, a przez prawie całe swoje życie czekałam na moment, w którym będę mogła się stąd wyrwać, by chłonąć cywilizację, kompletnie nie licząc się z faktem, że mogłoby ich zabraknąć.

– Zaraz pobiegnę po drewno – powiedziałam, rzucając się w kierunku leżącego taty.

Z trudem wyczułam puls na nadgarstku. Lekka i wiotka dłoń spływała po mojej ręce. Tata patrzył na mnie proszącym wzrokiem, a ja przeczuwałam, że czeka mnie trudna przeprawa.

– Już jestem – powiedziałam najspokojniej, jak potrafiłam, chociaż byłam przerażona widokiem jego zapadniętych policzków i licznych zmarszczek, które miały wrażenie, że coraz śmieiej pojawiają się na zmęczonej chorobie twarzy. Jego ciało nie przypominało tych, które oglądałam w pracy. Wydawało się sine. Delikatna skóra miejscami zaczynała robić się przezroczysta. Mimo półmroku zdołałam zliczyć wszystkie ciągnące się żyły na przedramieniu. Tata mrugnął do mnie porozumiewawczo, wciąż z trudem łapiąc powietrze.

– Przyniesź tabletki, które przepisała lekarka – poprosiłam mamę, a sama zebrałam się do wyjścia po drewno.

Do szopy, gdzie trzymaliśmy porąbane w kawałki drewno, niosły mnie niewidzialne skrzydła. Jak gdyby mój pośpiech i siła uśpionych od kilku lat mięśni skumulowały się w tej jednej chwili. Czułam się jak Herkules, waleczny i nieustraszony, który ocali ludzkość, niosąc jej kilka naręczy drewna. Przez wysiłek fizyczny starałam się rozładować napięcie i stres wywołane stanem ojca. Wiedziałam, że w tym wieku bliżej mu do śmierci niż do celebracji życia, ale nie chciałam tracić nadziei, że te objawy okażą się reakcją alergiczną na lek a nie chorobą płuc, która w jego wieku mogłaby okazać się tragiczna w skutkach.

Szybko rozpałiłam w piecu, ale ciepło mozolnie rozprowadzało się po pokojach. Pół godziny później nadal siedzieliśmy opatuleni w swetry. Mama przyniosła mi opakowania z tabletkami, które próbowała dawkować ojcu zgodnie z zaleceniami internisty. Nie chciałam pokazywać po sobie zdenerwowania, choć nazwy leków wystarczyły, żebym wiedziała, co mu dolega. Hasło „zapalenie płuc” dudniło mi w głowie, gdy tylko spoglądałam w jego stronę. Tabletki, których dawka podniosłaby z łóżka umierającego, na tatę nie działały wystarczająco i ostatecznie odmówił ich przyjmowania. Z tego, co relacjonowała mama, lekarka była wściekła, że tak późno zgłosił się na wizytę. Wcale jej się nie dziwiłam. Przy wszystkich przypadkach wczesnowiosennych zachorowań na gripę i liczbie pacjentów w szpitalach było jasne, że większe szanse na dostanie się na oddział ma dwudziestolatek niż staruszek przed osiemdziesiątką. Kiedy po obiedzie mama wyszła do kurnika, obdzwoniłam znajomych z różnych szpitali. Każdy odmówił przyjęcia ojca. Selekcja naturalna. Brzmiało potwornie fachowo – i prawdziwie.

– Mamo – zaczęłam cicho, gdy siedziałyśmy wieczorem nad kubkiem herbaty przy kuchennym stole. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Coś z pracą? – W jej głosie słychać było troskę. – Nie pochwaliłaś się w końcu, w którym szpitalu pracujesz.

– Nie chodzi o pracę – westchnęłam.

Dobierałam w głowie słowa, jednak żadne nie były odpowiednie do tej sytuacji.

– Może i nie jestem lekarzem, ale wiem, że z tatą nie jest najlepiej.

Nie skomentowała tego, a ja postarałam się jak najdelikatniej przekazać złe wieści.

– Myślę, że powinniśmy się z nim pożegnać – powiedziałam drżącym głosem. – Tata ma swoje lata i przy zapaleniu płuc może po prostu z tego nie wyjść.

Patrzyłam jej prosto w oczy, a ona zastygła w bezruchu. Jediną oznaką jej życia była drgająca z nerwów lewa powieka.

– Ale... Zosiu, co ty mówisz – odezwała się po chwili, wciąż pod wrażeniem słów, których zupełnie się nie spodziewała. – Zadzwońmy do

szpitala. Niech go wyleczą.

– Już dzwoniłam. Na oddział raczej go nie przyjmą, szpitale są obłożone.

– Nie... – wyszeptała. – Nie... Przecież ma leki – mówiła, pocierając palcami skronie.

– Ma bardzo dobre leki i dużą dawkę do przyjęcia. Po tylu dniach w łóżku powinno być mu lepiej, ale nie jest – powiedziałam łamiącym się głosem. W głębi duszy byłam roztrzęsiona.

Próbowałam być silna, jednak łzy gwałtownie napływały mi do oczu. Nie tego uczyli mnie na studiach. Podczas zajęć z psychologii nieraz tłumaczyli, że słabe możemy być w stróżówce. Przy pacjencie trzeba zachować zimną krew, stanowczość i perfekcję. Myślałam, że potrafię dawać nadzieję, kiedy tego potrzeba, albo w spokojny sposób przekazać trudne wiadomości. Zaliczenia zaliczeniami, tymczasem przy pierwszej realnej próbie, jaką byli moi rodzice, czułam, że rozsypuję się na kawałki.

Kiedy spojrzałam na tatę, miałam wrażenie, jakby moją duszę powoli ogarniał płomień i spalał ją kawałek po kawałku. Byłam jak ta kartka papieru, której brzegi za nastoletnich czasów podpalałam zapałkami, by rozpalić nią w piecu. Trwałam przy jego łóżku odarta ze złudzeń, roztrzęsiona i przytłoczona rzeczywistością.

Mama wyjęła z komody różaniec i poszła klęczeć przy ojcu. Spał. Z trudem łapał powietrze, choć nie charczał jak wcześniej. Jego oddech był płytki, krótki i względnie miarowy. Poszłam dorzucić do pieca, a kiedy układałam w nim drewno, rozplakałam się na dobre.

Przypomniałam sobie te wszystkie przyjemne momenty, w których tata otaczał mnie ramieniem. Kiedy czytał baśnie przy płomieniu świec albo tłumaczył, jak zrobić masło. Wspólne wypadki na grzyby. Dumę w jego oczach za każdym razem, kiedy dostawałam świadectwo z paskiem. Miałam jego, on nas. Dotarło do mnie, że gdy umrze, zostanę sama z mamą, a gdy on pociągnie ją za sobą... Nie! Nie chciałam o tym myśleć.

Zasnęłyśmy nad ranem. Długo czuwałam z mamą, sprawdzając, czy tata oddycha, i co dwie godziny chodziłam dokładać do pieca, ponieważ

z wychłodzonych murów szybko ulatywało ciepło. Mama wciąż od nowa odmawiała różaniec. Była jak w transie. Kiwała się w przód i w tył i szeptała zaklęcia, przesuwając w palcach paciorki. Płomienie świec tańczyły w rytm ledwo słyszalnych słów. Siedziałam nieruchomo, obserwując klatkę piersiową taty. Z trudem dostrzegałam jej falowanie. Nie pamiętam, w którym momencie zasnęłam, jednak rankiem obudziła mnie ojcowska dłoń głaszcząca mnie po włosach.

– Dzień dobry, tato – powiedziałam, patrząc na jego zmęczoną twarz.

Wyglądał lepiej niż wczoraj. Delikatnie przyrumienione policzki wydawały się zdrowsze. Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jego dłoni. Wciąż była wåtła i bez mocy.

– Dzień dobry, kochanie. Tak dobrze cię widzieć. Jesteś jeszcze piękniejsza niż ostatnim razem. Bóg dał mi takie dobre dziecko – mówił powoli, gładząc kciukiem mój policzek.

Mama przydreptała z kuchni, trzymając w dłoniach kubek z aromatyczną herbatą. Czułam unoszącą się w pokoju woń soku z malin, aronii i cytryny, zapewne osłodzoną miodem z nawłoci. Tata uwielbiał napar z dodatkiem zawekowanych jesienią owoców.

– Dziękuję, Maniu – powiedział, otulając mamę lekkim uśmiechem.

Mama łyżeczką podawała mu ciepły napój, a ja patrzyłam na ten czuły obrazek z nieskrywanym wzruszeniem. Tata wydawał się zdrowszy i miałam nadzieję, że jego organizm właśnie przezwycięża chorobę.

– Dziękuję. Byłaś najlepszą osobą, jaką mogłem spotkać w życiu. Przeżyłem wszystko dzięki tobie. Gdyby nie ty, nie miałbym nic – mówił, patrząc mamie w oczy. Mój ojciec, który nigdy nie był skory do okazywania czułości, teraz wyznawał mojej mamie miłość w najpiękniejszy sposób na świecie.

– Józiu, co ty opowiadasz. Chyba już całkiem choroba cię zamroczyła.

– Zamroczyła nie bardziej niż twoja dobroć. Wszyscy już na mnie czekają. Wiem o tym i czuję ich obecność. – Patrzył na mamę, a ona znieruchomiała. – Już czas, Maniu. Zosia dorosła. Pora, żeby poznała prawdę.

– Józek, nie opowiadaj głupot. – Mama nastroszyła się jak kot.

– Kochanie, już czas. – Dotknął jej ręki, a wtedy łyżeczka, którą trzymała mama, z brzękiem upadła na podłogę. – Zrób to dla siebie. Uwolnij się. Ona już dawno powinna poznać prawdę.

Mama patrzyła na niego, zaciskając wargi. Nie wydawała z siebie żadnego dźwięku, a łzy spływały synchronicznie po wyżłobieniach na jej twarzy.

Siedziałam na fotelu i przyglądałam się tej scenie kompletnie zahipnotyzowana. Uważałam rodziców za ludzi prostych, nieskorych do wielkich czynów i uniesień. Tymczasem okazało się, że wszystko, co o nich wiedziałam, było ledwie iluzją. Zastanawiałam się, na ile prawdziwe było moje życie i jaki sekret przede mną ukrywali.

– Mamo... O czym powinnam wiedzieć?

Tata patrzył na mnie, a ja widziałam na jego twarzy wyrzuty sumienia. Jednak czułość w jego wzroku wciąż była wyczuwalna. Mama z kolei patrzyła na tatę, kompletnie ignorując mnie i moje pytanie.

– Mama... – zaczął tata. – Ty...

Westchnął głęboko. Jego oczy zatrzymały się na mnie, ale spojrzenie z każdą sekundą się oddalało, aż nastąpiła chwila, w której zdawało się kompletnie puste. Jakby ktoś schował je do wnętrza ciała, a oczy nie były prawdziwe, lecz ze szkła. Ojciec wyglądał niewiarygodnie dostojnie. Jednak w grymasie, który wydawał się lekki, próżno było doszukać się oznak ruchu. Naiwnie czekałam, aż dokończy wypowiedź, ale milczał. Rzuciłam się w jego stronę i drżącymi dłońmi sprawdziłam, czy w aorcie wciąż pulsuje krew. Nie pulsowała. Osocze kładło się miękką falą pod naporem moich palców. I już. I tyle. Odszedł, pozostawiając na swoich ustach sekret.

Pierwszy egzamin ze stwierdzania zgonów przeprowadził na mnie ojciec. Nie potrafiłam zachować się profesjonalnie. Nie zadziałałam prawidłowo. Poczułam rozlewającą się w moim ciele falę gorącej krwi, która pobudzała do pracy neurony. Kortyzol wykonał pik w górę, powodując drżenie rąk. Krzyk, który wydałam z siebie w tamtej chwili, zatrzymał mój czas, galaktykę, wszechświat. Słońce straciło blask, zatrzymała się Ziemia. A później nagle pojawił się u mnie odruch moro, występujący zwykle u dzieci, i towarzyszył mi przez dłuższy czas, jakby

moje ciało oczekiwało ukojenia. Nie otrzymałam go, ponieważ mama od chwili śmierci taty zaczęła się zachowywać jak posąg – żyła w bezruchu, patrzyła tylko tępym wzrokiem. Miałam wrażenie, że odeszła razem z nim.

W tamtej chwili poczułam, że nie jestem już z nim powiązana. A przecież nadal byłam dzieckiem. Jego dzieckiem.

**3 czerwca 1997 roku,
Brzezia Łąka**

Kolejne dni upłynęły lotem błyskawicy. Działalam mechanicznie, wypierając z siebie wszystkie podstawowe emocje. Medycyna nie zna przypadków funkcjonowania bez przyjmowania płynów i pokarmów, jednak ja w tamtym czasie byłam żywym przykładem na to, że stres może być – paradoksalnie – odżywczy. Niewiele spałam, jeszcze mniej myślałam. Odhaczałam w głowie kolejne obowiązki. Telefon do kostnicy. Telefon do pracy. Telefon do zakładu pogrzebowego. Wizyta w biurze parafialnym. Wizyta w zakładzie pogrzebowym. Podpis tu, podpis tam. Informacji o pogrzebie nie byłam w stanie przekazać nikomu. Zresztą nie potrafiłam przypomnieć sobie nazwisk jakichkolwiek krewnych. Zaszłam do pani Stulikowej i wyrecytowałam suchą regułkę o śmierci taty. Zaczęła lamentować, a ja poprosiłam, żeby poinformowała wszystkich. Chociaż sama nie byłam pewna, kim ci wszyscy mieliby być.

Od śmierci ojca mama przestała się odzywać. Cały dzień leżała na łóżku w miejscu, w którym umarł ojciec, i odmawiała szeptem różaniec. Jediną aktywność wykazywała codziennie około dziesiątej rano, kiedy to zaczynała pochlipywać, a następnie przez godzinę rzewnie płakała. Przez resztę czasu nie zwracała uwagi ani na dźwięki otoczenia, ani na porę dnia. Moje uczucie odrętwienia było niczym w porównaniu z depresją, jaka ją dotknęła. Zadzwoiłam do Tośki, żeby załatwiła mi receptę na antydepresanty dla mamy, a dla mnie chociaż na hydroksyzyne. Z wyuczonych regulek wiedziałam, że ja swoją żałobę przeżywam niemal podręcznikowo. Ekspresowo przeszłam fazę odrętwienia. Pewnie dlatego że spadła na mnie lawina obowiązków. Po

kilku dniach zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia. Nie mogłam sobie darować, że z własnej inicjatywy odsunęłam się od ojca. Teraz, gdy nie było już w nim życia, oddałabym część swojego, żeby choć jeszcze raz go usłyszeć.

Przychodził do mnie we śnie. Uśmiechał się tak, jakby chciał mi coś przekazać, ale gdy tylko otwierał usta, rozmywał się w powietrzu. Budziłam się zrana potem i przesiąknięta uczuciem niesprawiedliwości. Sekret, który zabrał do grobu, zajmował większość moich myśli. Próbowałam pytać o niego mamę, ona jednak z każdym dniem pograżała się coraz bardziej w swoim świecie. Nie czułam, że straciłam ojca. Czułam się tak, jakbym została podwójną sierotą.

Tośka przyjechała, przywiozła leki i torbę pełną jedzenia. Nie wiedziałam, jak zdołała to wszystko udźwignąć. Co prawda jedzenie nie było mi potrzebne, bo zwyczajnie nie miałam ochoty na posiłek i skubałam coś z lodówki tylko wtedy, gdy żołądek bardzo się tego domagał, ale w głębi serca dziękowałam Bogu, że zesłał mi taką przyjaciółkę. Mama z kolei nie przyjmowała nawet płynów. Reakcja naszych organizmów na utratę ojca była piorunująca. Jeszcze miesiąc temu nie przypuszczałabym, że tata jest mi tak bliski. Po jego śmierci czułam, że się duszę, przytłoczona tęsknotą za bezpieczeństwem, jakie nam dawał.

Niemal siłą wcisnęłam mamie do ust tabletkę antydepresyjną. Wiedziałam, że niczym jej nie popije, ale przynajmniej lek rozpuści jej się na języku. Mama zawsze miała problem z połykaniem tabletek. Trochę obawiałam się jej reakcji na lek, ale Tośka uspokoiła mnie, że przecież dobrze znam działanie trazodonu, więc nie powinnam się martwić.

- Najwyżej prześpi dwa dni – powiedziała, sącząc herbatę.
- Najwyżej – odparłam bez entuzjazmu, kręcąc kieliszkiem i obserwując, jak w środku wiruje ciemnoczerwone wino.
- A w końcu może wstanie i powie ci, co miał na myśli twój ojciec.
- Wątpię.
- Może jesteś adoptowana. Wiesz, zawsze zastanawiałam się, dlaczego masz takich dojrzałych rodziców.

– Też brałam to pod uwagę, ale tylko mama może powiedzieć mi prawdę. Kiedy dotąd pytałam, zaprzeczała.

– A dalsza rodzina?

– Nie ma. Odkąd pamiętam, nie było w naszym życiu nikogo. Mama nie miała rodzeństwa, ojciec swoją rodzinę pochował. Babka zmarła, jak byłam mała. Nigdy zresztą mnie to nie interesowało i w zasadzie nie wiem nawet, jakie mam korzenie.

– Fakt.

– Powiedz mi lepiej, co u ciebie. Jak w pracy? – Nie miałam już siły ciągnąć dłużej tematu rodzinnej tajemnicy.

– Poznałam pewnego doktora.

– Jakiego? – spytałam, siląc się na uśmiech.

Tośka zaczęła opowiadać o jakimś przystojnym lekarzu, a ja starałam się słuchać, chociaż w tamtej chwili tak przyziemne sprawy zupełnie nie wchodziły mi do głowy. Poczekałam, aż przyjaciółka skończy mówić, a że koniec jej historii zbiegł się w czasie z opróżnieniem butelki po winie, szybkim ruchem nalałam sobie resztę trunku do kieliszka i bez wznoszenia toastu wypijałam duszkiem. Ostatecznie niewiele przyswoiłam z tego, co mówiła Tośka. Wykończona rozmyślaniami położyłam się spać.

Tej nocy znów śnił mi się ojciec, ale tym razem była z nim mama. Wokół panowała gęsta mgła, lecz ich sylwetki widziałam bardzo wyraźnie. Miałam wrażenie, jakby te obłoki mgły oświetlały ich z każdej strony. Mimo upływu czasu wspomnienie tego snu jest nadal żywe w mojej pamięci. Czasem zastanawiam się, czy tak wygląda niebo... Mama patrzyła na mnie czule, odziana w ulubione ciuchy i delikatny uśmiech. Tata trzymał ją pod rękę. Wyglądali na szczęśliwych. Obudziłam się z krzykiem i od razu pobiegłam do pokoju mamy. Leżała obrócona twarzą do ściany. Drżącą dłonią dotknęłam jej czoła. Było zimne, wręcz lodowate. Tośka przybiegła do pokoju chwilę później i, zobaczywszy, co się dzieje, obróciła mamę na plecy; przyłożyła palce do tętnicy szyjnej i stwierdziła zgon. Mama wyglądała, jakby po prostu spała, a na jej twarzy malował się taki sam uśmiech jak w moim śnie.

Nie krzyczałam, nie płakałam i nie odrętwiałam jak w przypadku śmierci taty. Wiedziałam, że są razem. Podświadomie czułam, że jest im

teraz dobrze i że wciąż otaczają mnie opieką. Przytuliłam się do mamy, jak wtedy, gdy przybiegałam do niej w nocy, wystraszona koszmarem. Była twarda, skostniała, ale w tamtej chwili kompletnie mi to nie przeszkadzało.

– Nie powiesz mi już nic, ale daj jakiś znak, a sama to odkryję – wyszeptałam jej wtedy do ucha i ostatni raz pocałowałam w policzek.

Następne dni pamiętam jak przez mgłę. Na pogrzebie nie było wielu osób, a nawet gdyby przyszły tłumy, to nie zapadłoby mi to w pamięć. Patrzyłam tylko na zamknięte wieka trumien. Czułam palce Tośki, które gładziły mnie po ręce. Było mi wtedy zimno. Drogę z kościoła na cmentarz przemierzaliśmy długo, z trudem stawiając kroki pod naporem porywistego, przeszywającego wiatru. Jednak z chwilą przekroczenia bramy cmentarza wiatr ustał, a w momencie spuszczenia trumien do wspólnej mogiły chmury się rozstały i wyjrzało słońce. Obserwowałam tę aurę z niedowierzaniem. Nigdy nie byłam specjalnie wierząca, jednak w tamtej chwili dokładnie zrozumiałam boski przekaz.

Rodzice całą swoją życiową drogę po ziemi przechodzili z trudem, ale teraz osiedli już w bezpiecznej przystani, otoczeni ciepłym blaskiem. Odczułam ulgę, gdy rzuciłam na trumny garść świeżej ziemi. Tuż za ulgą czaiła się jednak niepewność wobec przyszłości i żal, że nie zdążyłam poznać rodzinnej tajemnicy.

**10 lipca 1938 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

– „W sobotnie popołudnie w kolegiacie pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny zebrali się najwięksi dostojnicy państwowi. Wśród zaproszonych na ślub Stefanii Obieckiej i Karola Filipowicza nie sposób było doszukać się obcych twarzy. Po raz pierwszy w historii miasta przybyli tak licznie znani, szlachtetnie urodzeni i najbogatsi obywatele naszego kraju. Ulice Stanisławowa zostały oblężone przez najnowszej klasy samochody, co stanowiło widok niecodzienny, a same zaślubiny zmieniły szary plac śródmieścia w bajeczne miejsce. Na tę uroczystość miasto przygotowywało się od dwóch miesięcy. Kilka godzin przed ceremonią drogę do kościoła od głównej ulicy aż po same drzwi świątyni wyścielono długim, miękkim dywanem, po którego obu stronach stały dzieci wybrane spośród mieszczańskich rodzin. Ubrane w odświętne, jasne stroje, trzymały w rękach białe róże i oczekiwały państwa młodych. Wokół kolegiaty w cieniu dębów porozstawiano stoliki z krzeselkami, a strudzonych upałem gości weselnych raczono lemoniadą. Ludność Stanisławowa witała orszak weselny z zaciekawieniem, a gdy po godzinnej mszy rozbrzmiały dzwony, tłum radował się równie mocno, co goście. Młodą parę po wyjściu z kościoła najpierw ucałowali hrabia Obiecki wraz z żoną oraz hrabina Filipowiczowa. Po szybkich gratulacjach małżeństwo przeszło pod szpalerem szabli oficerów 17. Pułku Ułanów, a następnie wsiadło do odświętnie przybranego horcha, po czym odjechało w stronę rodzinnego pałacu Obieckich, gdzie do późnych godzin nocnych świętowano

zaślubiny”. – Marianna przestała czytać i podała Stefanii najnowszy numer „Kurierza Stanisławowskiego”.

Obok krótkiej notatki umieszczono sporej wielkości zdjęcie Stefanii i Karola, przechodzących pod szpalerem szabli trzymanyh przez podopiecznych Karola. Stefania wyglądała pięknie w śnieżnobiałej sukni z paryskiego domu mody, składającej się z licznych warstw atłasu, które opinały biust i talię, a następnie luźno opadały aż do ziemi. Karol miał na sobie mundur, a jego pierś zdobiły liczne odznaczenia. Młodzi wyglądali na zmęczonych, zniesmaczonych, jakby stali w tym miejscu z przymusu. Stefania zagubionym wzrokiem wypatrywała kogoś w tłumie, a luźno puszczone, długi welon przykrywał jej całe włosy, które wcześniej tak starannie były czesane.

Odłożyła gazetę i ciężko opadła na łóżko. Głowa pulsowała jej nieprzyjemnie, a ciałem targało przeświadczenie, że wyjście za Karola było najgorszą decyzją w jej życiu. Wciąż była na siebie zła za brak odwagi do odwołania ceremonii. Czy gdyby uciekła, czułaby się tak podle jak teraz? Wspomnienie wieczoru przed zaślubinami wciąż było w niej żywe i mimo upływu czasu powodowało niesmak. Teraz nie mogła sobie wybaczyć tego, że poddając się woli rodziców, postanowiła wyjść za mężczyznę, którego widziała kilka razy w życiu i o którego uczuciu do niej nie wiedziała właściwie nic.

To, że Karol od samego początku był wobec niej arogancki, błędnie złożyła na karb dziwnego rodzaju zalotów. Gdyby Cyganka nie zmaciła jej głowy swoją przepowiednią, Stefania z pewnością nie zwróciłaby na niego uwagi, a już na pewno nie takiej, która w mgnieniu oka uczyniła ją mężatką. Rozłożyła w myślach wachlarz męskich twarzy, spojrzeń i uśmiechów jej adoratorów. Niezliczone bukiety kwiatów, otrzymane od pretendenców do jej serca, wielokrotnie zalegały w jej pokoju, a z czasem zaczęły stanowić stały element jego wystroju. Wróciła pamięcią do lat młodości i uzmysłowiła sobie, że zawsze otaczali ją mężczyźni, którzy oddaliby wszystko, gdyby tylko zechciała ofiarować im kawałek duszy... A ona zostawiła ich w tle i wyszła za Karola Filipowicza – mężczyznę próbującego odegrać się na niej za błędy przeszłości.

Nadal nie mogła pojąć tego, co usłyszała przypadkiem pod domem swojego narzeczonego. Pojechała tam z prośbą, by rodzina Karola zjawiała się w pałacu Obieckich przed ceremonią zaślubin. Ojciec chciał w kameralnym gronie pobłogosławić młodych, a Karol z matką i siostrą przez ostatnie dni przebywali na Pomorzu i nic nie wiedzieli o tym pomysle. Stefania nie miała z nimi kontaktu, więc postanowiła wybrać się do ich posiadłości i uzgodnić szczegóły na osobności. Poza tym liczyła na spotkanie z Karolem i upewnienie się co do swoich uczuć względem niego. Po dotarciu na miejsce stała przez chwilę przed drzwiami ich domu, ale nikt nie raczył ich otworzyć, mimo że na piętrze paliły się światła. Przeszła więc na tyły, grzęznąc po kostki w bujnej trawie, która w Psarach byłaby nie do zaakceptowania, i wtedy usłyszała głos wzburzonej Hanki. Rozmawiała z Karolem, wyrzucając mu, że robi wielki błąd, a ona przy swojej niechęci do Obieckich nie może na to wszystko patrzeć. Stefania czekała, aż Karol stanie w jej obronie. Jednak im dłużej przysłuchiwała się rozmowie, tym bardziej była zawiedziona jego postawą.

– Sama marudziłaś, że Stefania podkrada ci jakiegoś docenta. Teraz masz wolną drogę. – Karol wydmuchał dym z papierosa, patrząc na siostrę z nieukrywaną satysfakcją.

– Wielka mi radość! Wymienię Warota na ciebie. Karol, ostatni raz cię proszę, opanuj się. Możemy to wszystko odwołać.

– Chyba zapomniałaś, że jestem pułkownikiem. Przywykłem już do stawiania siebie na nieprzyjemnej pozycji tylko po to, by osiągnąć cel. Teraz moim celem jest odzyskanie tego, co zostało nam zabrane, pomszczenie ojca i przywrócenie dobrego imienia naszej rodzinie. Niestety innej okazji nie będzie. Wojna zbliża się wielkimi krokami, więc im szybciej zabezpieczymy swoje interesy, tym lepiej.

– Małżeństwo to nie bitewka na polu, to nie sterowanie żołnierzami w drodze do zwycięstwa, tu nie ucierpią inni, lecz ty, nie rozumiesz? Chcesz się wystawić na odstrzał dla ojcowizny, która i tak już jest inaczej zagospodarowana? – Teraz głos Hanki był pełen troski.

– Co za różnica, czy wróg jest w mundurze, czy we fraku? Bój trzeba stoczyć tak czy siak – stwierdził Karol i obrócił się gwałtownie w stronę

Stefanii.

Stefania przywarła plecami do ściany budynku i modliła się w duchu, żeby jej nie zauważył. Stała tak przez chwilę, czując, że zaraz serce rozsadzi jej klatkę piersiową, a następnie zdjęła buty i biegiem rzuciła się w stronę zaparkowanego za bramą wjazdową samochodu. Biegła trawnikiem między krzewami, by nikt nie zdołał jej zobaczyć. Cała scena, której była świadkiem, wydawała się złym snem, z którego nie mogła się wybudzić, ale coraz płytszy oddech, mdłości i łzy były prawdziwe. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Wyrzucała sobie w myślach, że nie dostrzegła wcześniej, iż Karol jest oszustem, graczem, który z pokerową twarzą rozgrywał nierówną partię. Niepokój, który odczuwała, był naszprycowany wspomnieniami, w których jej narzeczony sprawiał jej przykrość każdym wyniosłym zdaniem, uszczypliwością i pogardliwym spojrzeniem.

Kiedy godzinę później opowiedziała o swoich obawach rodzicom, nie chcieli słuchać.

– Nie ma takiej możliwości! – grzmiał ojciec, gdy przysła do niego wieczorem, cała zdyszana i zapłakana.

– Nie odwołamy ślubu, bo masz wątpliwości. Każda z nas to przechodziła i każda wie, jak ważne jest w tej chwili powierzenie swoich lęków Bogu – wtrąciła matka. – Wszystko będzie tak, jak miało być, a ten cudowny dzień pozostanie na zawsze w twojej pamięci. Wyśpij się, dziecko, żebyś jutro wyglądała świeżo, i niczym się nie przejmuj.

Stefania westchnęła i poszła do swojego pokoju. Całą noc nie spała, próbując wymyślić sposób, jak odwrócić los.

Tuż po blasku pierwszych promieni słonecznych w pałacu zaczęło wrzeć. Wszyscy nerwowo krzątali się między piętrami i pokojami i dało się wyczuć powszechne podekscytowanie. Ojciec chodził dumny jak paw, choć zdenerwowanie dało mu się we znaki, bo wypalił tego ranka zdecydowanie za dużo papierosów, a matka co chwilę roniła łzy wzruszenia, że oto jej najmłodsze pisklę wyfruwa z gniazda. Stefania siedziała przy toalecie i wpatrywała się w swoje lustrzane odbicie z pewnym rozczarowaniem. Czowała się oszukana, zmanipulowana i przyjmowała na siebie ciężar wypełnienia się przepowiedni. Wokół

wszystko jakby spowolniało, ludzie przewijali się po jej pokoju w zwolnionym tempie, a ona, patrząc przed siebie mętnym wzrokiem, pogrążona w przytłaczających myślach, wydawała się nieobecna.

Karol z rodziną nie przyjechał do nich na błogosławieństwo, co Mieczysław zrzucił na karb braku czasu, i nawet przez myśl mu nie przeszło, że był to przejaw lekceważenia ze strony przyszłego zięcia. Róża zatelefonowała do przyszłej swatowej i umówili się już w Stanisławowie.

Stefania szła do ołtarza z przeświadczeniem, że oto dokonała wyboru, który zniszczy wszystko wokół. Czuła na karku niespokojny dreszcz, a w głowie dudniły słowa Cyganki. Gdyby ojciec, matka czy siostry posłuchały jej wcześniej, gdyby dopuścili do siebie myśl o zamiarach jej męża, nie byłaby teraz w tym miejscu, a przepowiednia nie ziściłaby się. Kiedy ksiądz kazał powtarzać słowa przysięgi, głos odmówił jej posłuszeństwa. Przeklinała w myślach swój brak odwagi i to, że nie uciekła, i prosiła Boga o wybaczenie. Mówiła szeptem, jakby nie chciała, by ktokolwiek wokół usłyszał, że oto bierze za męża Karola Filipowicza i ślubuje mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że go nie opuści aż do śmierci. Słowa grzęzły jej w gardle, czuła, jak mdłości wzbierają na sile, a kiedy po przysiędze usłyszała bijące dzwony, poczuła, jak osuwa się na ziemię. Goście brali to za znak przychylności i oznakę wielkiego, żarliwego uczucia, którego szczerłość tak zawładnęła jej ciałem. Tylko ona знаła prawdę i przeczuwała, że będzie wyrzekać się tej chwili do końca swoich dni.

**7 lutego 1939 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Śnieg już od kilku dni zalegał na polach, a niskie świerki uginały się pod naporem białych poduszek. Wszystko wokół przybrało odcienie bieli i szarości, a cisza panująca w pałacu pogrążała Różę w smutku. Odkąd wydała za mąż najmłodszą córkę, jej życie zmieniło się nie do poznania, jak gdyby tamto wydarzenie miało przypieczętować nową, nerwową i całkiem pozbawioną nadziei przyszłość. Wypełniła swój matczyzny obowiązek, ale zamiast czuć się spełniona, miała wrażenie, że stała się bezużyteczna. Wychowała, wykształciła oraz wysłała w świat wszystkie swoje dzieci. Od dawna wyczekiwała tego momentu, który jawił jej się jako ukończenie najważniejszego egzaminu w życiu, lecz ku jej zdziwieniu codzienność wcale nie była szczęśliwa ani pozbawiona trosk, jak to sobie wcześniej wyobrażała, ale stała się jałowa, bezkształtna, pobawiona celu.

Od jesieni nie zapraszała do siebie przyjaciółek na haftowanie. Nie miała o czym z nimi rozmawiać, z kolei ich opowieści rodzinne wpędzały ją w ponury nastrój, a do swoich uczuć nie śmiała się przyznać przed nikim. Gdyby przeżywała jakąś tragedię, na przykład śmierć męża na wojnie, to dopiero byłby powód do współczucia, ale wydanie córki za mąż? Nie do pomyslenia.

Kolejne dni wyglądały tak samo. Budziła się rano, żeby zjeść z Mieczysławem śniadanie, później on wyjeżdżał, a ona snuła się po pałacu. Wszystkie zajęcia, które do tej pory zaprzętały jej głowę, wydawały się niepotrzebne. W komodzie od kilku miesięcy piętrzyła się góra na wpół wyszytych chusteczek. Na jazdę konną i spacerów było za

zimno. Róża po cichu liczyła na to, że wiosna szybko zagości na tych terenach i że będzie mogła zająć się zakupem nowych kwiatów do ogrodu. Póki co nawet nie jeździła na zakupy. Nadmiar strojów i tak ledwo mieściła w szafie. Poza tym od ślubu Stefanii Obieccy przestali być zapraszani na bale, ponieważ nie mieli towarzystwu nic do zaoferowania. Gdyby chociaż posiadali jeszcze syna, Róża nie zostałaby tak wykluczona przez środowisko jak teraz. Mieczysław zawsze pragnął przedłużyć ród, ale ona po ostatnim, trudnym i wielogodzinnym porodzie nie chciała nawet o tym myśleć. Teraz, z każdym dniem coraz bardziej, żałowała podjętej lata temu decyzji.

Siedziała w bezruchu przed sekretarzykiem, obserwując krajobraz, jaki roztaczał się przed pałacem. Instynktownie przykładała pióro do papeterii, na której od nadmiaru tuszu zrobiła się już duża, mokra plama. Nie mogła skupić na niczym myśli, a już na pewno nie na tym, co powinna napisać w liście do Anny, i chociaż mogłaby zatelefonować, to pisanie listów od zawsze ją uspokajało, a wspomnienie matki ciągle siedzącej przy sekretarzyku było obrazem, który z czcią pielęgnowała w pamięci. Traktowała matkę jako wzór idealnej pani dworu. Zawsze pragnęła być hrabiną na matczyne podobieństwo. Patrzyła nieruchomo, jak duże, miękkie płatki śniegu osiadają lekko na wszystkim wokół, i poczuła, jak widok za oknem coraz bardziej ją przytłacza.

Nie widziała się ze Stefanią od lipca i jak nic w świecie bolała ją ta urwana więź. Kiedy dwie starsze córki wyfrunęły z gniazda, całą swoją opiekuńczość przelała na najmłodszą. I chociaż Stefania częściej niż w domu przebywała we Lwowie, na studiach, to jednak nadal była na tyle blisko, że w każdej chwili matka mogła ją odwiedzić, a teraz... Kto to pomyślał, uciekać na sam koniec kraju?

Róża otrząsnęła się z zamyślenia. Chwyciła oprawione w ramkę zdjęcie córki, które od dawna nie stało już na kredensie, ale właśnie na sekretarzyku. Przejechała palcem po małej, uśmiechniętej podobiznie Stefi i otarła łzę wzruszenia.

Stefania czasem pisała listy, w których zarzekała się, że wszystko jest w porządku, ale matka wiedziała, że córka poślubiła Karola głównie z powodu nacisków rodziny i tej przeklętej przepowiedni, którą usłyszała

we Lwowie. Później wszystko potoczyło się bardzo szybko i już w połowie lipca mieszkała z Karolem na Pomorzu, w miejscu, w którym nie było szkoły, stacji kolejowej, a tym bardziej podłączenia do telefonu, i nawet Mieczysław nie bywał w tamtych rejonach na spotkaniach służbowych. Jej wielkie nadzieje co do zobaczenia się ze Stefanią w Boże Narodzenie rozviał list córki, w którym pisała, że Karol ma ważne wydarzenie na dwa dni przed sylwestrem, a ona jako przykładna żona powinna być wówczas przy mężu. Róża dobrze rozumiała lojalność, z jaką Stefania wywiązywała się z obowiązków względem Filipowicza. W końcu Róża sama jej powtarzała, że nic tak dobrze nie spaja rodziny jak miłość małżonków. Kiedy w domu jest Bóg i żarliwe uczucie, wszystko można w życiu przetrzymać. Matka dobrze jednak wiedziała, że córka jest nieszczęśliwa i oddałaby wszystko za czas spędzony w Psarach. Stefania od dziecka uwielbiała przygotowania do Wigilii. Te wszystkie dekoracje klejone wspólnie z Marianką, pierniczki, ciasta i cały dom w świerkowym zapachu, który wydobywał się z przygotowanych własnoręcznie stroików poustawianych na komodach i kredensach...

Pozbawiona nadziei, pogrążona w smutku Róża tkwiła w melancholijnym zawieszeniu, gdy jej oczy dostrzegły zbliżający się do pałacu samochód. Czarne nowoczesne auto gnało między nagimi konarami drzew. Róża zarzuciła na ramiona etolę z norek, westchnęła i wyszła przed pałac, choć obawiała się już, kogo będzie musiała gościć.

W ich domu od jakiegoś czasu panowała nerwowa atmosfera. Róża starała się nie słuchać radia, które z pasją włączał Mieczysław przy każdej możliwej okazji. Właściwie to przez ostatni miesiąc nie robił nic innego, tylko siedział przed włączonym odbiornikiem i palił papierosa za papierosem, później telefonował gdzieś, a następnie wołał Wacława, swojego szofera, wsiadał z nim do samochodu i znikali na całe godziny. Gdy Mieczysław wracał, Róża już spała.

Od wypadku, w którym został postrzelony, nie mógł sam prowadzić samochodu. Jak okazało się na stole operacyjnym, w jego nodze była nie jedna, a dwie kule. Pierwsza tkwiła w udzie, druga kilka centymetrów niżej. O ile z tą pierwszą nie było problemu, o tyle druga pozostawiła trwałe uszczerbek na jego zdrowiu. Lekarz wysnuł śmiałą tezę, że skutki

wypadku Mieczysław miał odczuwać już do końca życia, ale hrabia nie mógł się z tym pogodzić. Po operacji robił wszystko, żeby dojść do siebie; niestety, słowa doktora okazały się prawdą i kilka miesięcy po zdarzeniu, mimo solidnej rehabilitacji, nie było prawie żadnej poprawy.

Mieczysław snuł różne hipotezy na temat tego, kto mógł targnąć się na jego życie. Nieustannie zadawał to pytanie komisarzowi Świerczyńskiemu, ale pozostawało bez odpowiedzi. Po powrocie ze szpitala przeprowadził prywatne śledztwo, które ujawniło, że za atakiem stoi jeden z jego podwładnych. Młody Ukrainiec, który zabrał z ich pałacu broń myśliwską i ukrył się z nią w leśnym gąszczu, po czym strzelił do swojego chlebodawcy. Za swój występki został zwolniony i doprowadzony pod komisariat. Mieczysław liczył na skruchę chłopaka, na to, że całe wydarzenie było przypadkiem, jednak chłopak wydawał się dumny ze swojego występku i śmiało rozповідаł, że gdyby mógł, zrobiłby to jeszcze raz, a jego marzeniem było wypędzić z tych terenów wszystkich Lachów i jak nie on, to krew hrabiego przeleje ktoś inny. Mieczysław nawet podczas ostatniej wojny nie bał się tak o swoje życie, jak podczas słuchania wyjaśnień młodego, przesiąkniętego nienawiścią chłopaka. Być może miał świadomość, że sam nie jest już młody i na tyle silny, by móc się obronić, a może zdawał sobie sprawę, że w jego dworze od zawsze panowały jawne podziały na Polaków i Ukraińców. W końcu płacił Ukraińcom mniej niż Polakom. Nie mieli też możliwości awansu, a ich praca na najniższym szczeblu w hierarchii, choć była dla nich najbardziej opłacalna w tym regionie, mogła budzić w nich sprzeciw. Na początku nie planował tego robić, ale *summa summarum* tak to właśnie wyglądało. Kiedy zatrudniał służbę, chciał być sprawiedliwy, jednak wielokrotne kradzieże ze strony ukraińskich chłopów wymusiły na nim taki, a nie inny system nagradzania. Sytuacja z postrzałem i cała otoczka wokół niej sprawiły, że hrabia Obiecki swoją energię przeznaczał na obserwowanie ruchów nacjonalistycznych na całych Kresach. To właśnie wtedy w pałacu na stałe zagościły nowinki na temat Stefana Bandery. To nazwisko, odmieniane przez wszystkie przypadki, padało w każdej możliwej sytuacji. Mieczysław wierzył, że to banderowcy stoją za zamachem na jego życie. W końcu za zorganizowanie szeregu

zamachów, w tym zamachu na Bronisława Pierackiego[2], Stefan siedział w więzieniu we Wronkach, ale młodzi Ukraińcy upatrywali w nim idola i chcąc być tacy jak on, coraz częściej napadali na swoich pracodawców.

Róża stała przed drzwiami wejściowymi, trzęsąc się z zimna i ciaśniej opatulając etolą. Przypuszczała, że zaraz po tym jak samochód podjedzie pod schody, ujrzy jednego z podwładnych komisarza Świerczyńskiego, który sprawnym krokiem przeskoczy kilka schodków i, mówiąc szarmancko: „Do rąk własnych hrabiego Obieckiego”, wręczy jej kopertę, po czym szybkim susem czmychnie do samochodu i wróci tam, skąd przybył.

Tymczasem samochód zbliżał się coraz szybciej, ale nie był to jeden z tych, do których widoku przyzwyczajona była hrabina. Zajechał od drugiej strony, jak gdyby szofer pierwszy raz odbywał podróż w to miejsce. Starszy mężczyzna zatrzymał auto i, nie gasząc silnika, wyszedł z samochodu, skinął Róży głową na powitanie, a gdy otworzył tylne drzwi, zobaczyła swoje złotko, swój skarb i najukochańszą z córek. Zrzuciła z siebie etolę, po czym szybko podbiegła do drzwi samochodu, by przytulić Stefanię do piersi.

Kiedy godzinę później siedziały przy stole i jadły bliny z dżemem przygotowane na deser przez kucharkę, Róża przypatrywała się córce w milczeniu. Zdawało się, jakby przez te kilka miesięcy Stefania spoważniała. Jej twarz nabrała ostrych rysów, miała odcień szarości, a matka dopiero teraz zauważyła, jak bardzo córka schudła. Oprócz smuklejszych policzków całe ciało wydawało się jeszcze bardziej kruche i pozbawione życia, a obrączka, która w dniu ślubu ledwo weszła na serdeczny palec, teraz luźno otaczała środkowy. Stefania grzebała widelcem w jedzeniu, a spuszczonego wzrok nie był w stanie ukryć cieni pod oczami ani zmarszczonego czoła i cienkiej linii pomiędzy brwiami. Tej samej, która od dwóch lat pojawiała się czasem u Stefanii, gdy dziewczyna się denerwowała. Teraz bruzda nie ukazała się spontanicznie, ale stale szpeciła czoło. Róża z trudem przełknęła ślinę, a w jej myślach pojawiły się różne surrealistyczne sceny z życia małżeńskiego córki. Patrząc na Stefanię, potwierdziła tylko swoje

wcześniejsze domysły, a apatia córki budziła w Róży lęk. Kiedy pytała Stefanię, co się stało, że przyjechała tak nagle, bez żadnej zapowiedzi, ta tylko uśmiechała się czule i twierdziła, że się stęskniła. Gdy Róża dopytywała się, co u Karola lub o to, jak żyje im się na Pomorzu, córka odpowiadała wymijająco, po czym usilnie zmieniała temat.

– Nie smakuje? – zagaiła Róża, nie mogąc patrzeć, jak ulubione danie Stefanii pozostało nietknięte na talerzu.

– Są pyszne – dziewczyna podniosła wzrok na matkę – ale po tak sytym obiedzie już więcej nie wcisnę. – Odłożyła widelec i rozejrzała się po salonie, w którym nic się nie zmieniło, choć teraz czuła się w nim jak gość, nie jak domownik.

Na dworze zaczęło się ściemniać, mimo że nie wybiła jeszcze siedemnasta. Stefania patrzyła, jak wszystko za oknem powoli zmienia się w jedną, szarą masę. Kolor ostatnio tak bliski jej ciału i sercu...

– Za mamy pozwoleniem, pójdę odpocząć – powiedziała ze smutkiem w głosie.

Róża skinęła głową, a Stefania odłożyła na stół serwetkę i ze zwieszoną głową, jak skarcone dziecko, przeszła przez salon. Dziewczyna z trudem panowała nad emocjami. Wszystkie kunsztownie wykonane meble, obrazy i dekoracje zdawały się marnym wspomnieniem dobrej przeszłości. Poczowała, jak wzbiera w niej fala płaczu. Odetchnęła głęboko i złapała się poręczy, wspinając się powoli po skrzypiących schodach na piętro do swojego pokoju, w którym wszystko czekało na nią nietknięte, jak gdyby rano wyjechała do Stanisławowa na zakupy – a przecież nie było jej w domu od kilku miesięcy. Usiadła na łóżku, pogładziła ręką atlasową narzutę w różowe piwonie, podobną do tej z Hotelu Angielskiego na Wierzbowej w Warszawie, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz na wspomnienie jednej z pierwszych nocy przy Karolu.

Cieszyła się z wyjazdu na Pomorze. Co prawda nie wiedziała, czego ma się spodziewać, bo Karol podczas podróży prawie się do niej nie odzywał, ale to jej nie przeszkadzało. Obserwowała, jak zmienia się obraz za oknem. Lipiec tego roku był kwintesencją piękna polskiego krajobrazu. Przesuwające się za oknem połacie obsianych zbożem i kukurydzą pól pieściły jej wzrok. Wydawało się, jakby były to zarzucone po horyzont

kołderki, które przykrywały obfitujący w plon czarnoziem. Chłoneła zapach lasów, parków czy gwar mijanych miast, a czasem obserwowała swojego męża, pogrążonego w stosie dokumentów.

Karol z pewnością był przystojny. Jego ciemna karnacja, czarne włosy, zarost i oprawa oczu kusily niejedną kobietę. Smukłe ciało z rozbudowanymi ramionami, pociągła twarz i mundur z pewnością działały na nie jak magnes, choć Stefania nadal nie mogła odkryć w sobie pokładów miłości, którymi powinna go darzyć. Kiedy pod rękę z mężem przemierzała ulice Warszawy, czuła na sobie wzrok kobiet i rozpierała ją duma. Obserwowała swoje odbicie w witrynach sklepowych i stwierdzała, że z Karolem pasują do siebie. Oboje młodzi, piękni, dystyngowani, a dzięki posagowi wniesionemu przez Stefanię do małżeństwa – również bogaci. Trzymała się męskiego twardego przedramienia i, pokładając wiarę w Bogu, miała nadzieję na to, że wszystko między nimi się ułoży i będą, tak jak jej rodzice, zgodnym małżeństwem.

Umówili się, że rozdziela się na godzinę, góra dwie, a później spotkają u Anny w mieszkaniu. Karol miał załatwić jakieś sprawy w ministerstwie, a Stefania przespacerować się do siostry, jednak skuszona witrynami sklepów postanowiła najpierw kupić nowe ubrania. Warszawska moda wydawała się zupełnie odbiegać od tej, do której przyzwyczała się na Kresach. Zachwycały ją teraz długie, zwiewne sukienki w kolorowe kwiaty czy garsonki z krótkimi do kolan opiętymi spódniami albo spodniami. Wszystko wokół wydawało się wesołe i bez troskie, a sama stolica napęczniała od wspaniałych kamienic, z których jedna była ładniejsza od drugiej. Ludzie obdarzali się przyjaznymi uśmiechami, matki spacerowały z dziećmi śpiącymi w wózkach albo tuliły je w ramionach, siedząc na ławkach przy równo przystrzyżonych skwerkach. Z balkonów zwisały całe wodospady różnobarwnych petunii i pelargonii. Samochody sunęły z szumem, tramwaje pędziły przez ulice, a dorożki ciągnięte przez konie stukały o bruk niemal w takt piosenek Mieczysława Fogga.

Stefania każdą cząstką ciała chłoneła ten naszpikowany pozytywną energią obraz, czując, że wkroczyła na dobrą ścieżkę, a los mężatki

będzie dla niej łaskawy.

Weszła na tętniące życiem Krakowskie Przedmieście. Pomyślała, że w tak piękny dzień już nic nie może zepsuć jej nastroju i wtedy zobaczyła Karola. Wychodził z Hotelu Europejskiego, a u jego boku lekko kroczyła piękna blondynka. Stefania stała oniemiała i patrzyła, jak blondynka zarzuca smukłe ręce na szyję jej męża i zatapia się w jego ustach. Dłonie Karola błędziły po jej włosach i twarzy, a kiedy odkleili się od siebie, szepnął blondynce do ucha coś, co wywołało rumieńce na twarzy. Z czułością cmoknął kobietę w czoło i otworzył przed nią drzwi do czekającego obok samochodu. Sam rozejrzał się wokół, po czym wsiadł do podjeżdżającej taksówki i zniknął w gąszczu aut na ulicy Ossolińskich.

Stefania w jednej chwili poczuła w ustach smak pogardy, odtrącenia i oszustwa. Tętniąca życiem Warszawa przestała ją zachwycać, a przed oczyma pociemniało. Chciała krzyknąć, lecz krtań miała ściśniętą, jakby jej szyję oplotły niewidzialne ręce i przy każdym oddechu zaciskały się coraz mocniej. Rzuciła się biegiem w kierunku mieszkania siostry, w myślach próbując odnaleźć odpowiednie słowa, jakimi mogłaby wyrazić żal.

W mieszkaniu Anny czekała ją niespodzianka. Okazało się, że Karol już jest na miejscu i jak gdyby nigdy nic pali papierosa z Zygmuntem.

– Coś ty taka blada, dziecino! Napij się wody, bo chyba stres ślubny jeszcze cię trzyma. – Anna chichotała, a mężczyźni obrzucili Stefanię zniecierpliwionym spojrzeniem.

– Biedactwo zmęczyło się spacerem. Nie zwykła trudzić się takim mieszczańskim zajęciem – skwitował Karol z uśmiechem, który w innych okolicznościach uznałaby za przyjazny, lecz w tej chwili budził w niej odrazę.

Stefania biła się z myślami, czy wygarnąć Karolowi powód tego, jak wygląda, ale w głowie usłyszała głos matki upominającej ją, że małżeńskie brudy pierze się bez publiczności. Westchnęła głęboko, zacisnęła zęby i postanowiła poczekać na lepszy moment. Usiadła na kanapie, w milczeniu obserwując rozbawione towarzystwo, ale przed jej oczami wciąż pojawiała się blondynka w ramionach Karola. Nie mogła

uwierzyć, że jej mąż jest tak bezczelny i siedzi tu, jak gdyby nic się nie stało. Kompletnie nie zwracał na nią uwagi i jak to miał w zwyczaju, opowiadał anegdoty, które przytrafiły mu się w ostatnim czasie. A przecież chwilę wcześniej nie przebywał w ministerstwie, tylko zabawiał się z nieznajomą! Stefania poczuła, że robi jej się niedobrze. Miała ochotę wyrzucić z siebie wszystkie emocje nagromadzone w ciągu ostatniej godziny. Poprosiła Karola, by wyszli; stwierdził, że czemu nie, skoro i tak mieli już udać się do hotelu, odpocząć po podróży i przygotować się na wieczorny wyjazd na Pomorze.

Milczała całą drogę, zbierając myśli. Nie wiedziała, jak zacząć, jak poprowadzić tę rozmowę, ale była pewna, że nikt w życiu nie upokorzył jej tak, jak zrobił to mąż, który kilka dni wcześniej przysięgał wierność przed obliczem Boga. Taksówka oddalała się na wschód i kilka minut później wysiedli przed Hotelem Angielskim, który należał do gatunku podrzędnych hoteli, a nie jak Europejski – luksusowych. To było już drugie poniżenie tego dnia.

Tym, co najpierw przykuło jej uwagę w hotelowym pokoju, było duże, małżeńskie łóżko w drewnianej ramie, przykryte kwiecistą atłasową narzutą. Stefania przejechała dłonią po materiale.

– Tu będziemy spać? – zapytała z wyrzutem.

– A co? Uraża to twojej osobie? – odparł chłodno.

– Jako twoja żona powinnam dostać to, co najlepsze, ale wychodzi na to, że kochanka zbiera lepsze profity!

Karol spoważniał. Patrzył na Stefanię pełnym złości wzrokiem, zacisnął zęby, a wargę zadrżała mu niepokojąco.

– Nic nie powiesz? Jeszcze chwilę temu przed Europejskim nie mogłeś odkleić się od tej... dziewczki – prowokowała.

– Zamknij się! – Stał napięty jak struna, a zaciśnięte pięści nabrały ciemnoróżowego odcienia.

– Niby dlaczego? Nie licz na to, że będę tolerowała takie zachowanie. Jestem z rodu... – nie dokończyła, ponieważ Karol w jednej chwili znalazł się tuż przy niej, a furia, jaką zobaczyła w jego oczach, wzbudziła w niej lęk. Nim się zorientowała, uderzył ją w twarz tak

mocno, że upadła na łóżko, a krew wypływająca z nosa momentalnie zrobiła dużą plamę na narzucie.

– Nie jesteś już Obiecką i nie będziesz! – gromił. – A już na pewno nie będziesz wtrącała się w moje sprawy. Jeżeli chcesz zachować tę porcelanową buźkę, to znaj swoje miejsce!

Stefania zastygła, a serce boleśnie łomotało jej w piersi ze strachu i z wściekłości. Bała się spojrzeć na swojego oprawcę, jednak intuicja, a może wrodzona ostrożność kazała jej obserwować każdy jego ruch. Karol odpalił papierosa, usiadł na fotelu i z satysfakcją patrzył na swoją żonę. Stefania wyjęła z torebki chusteczkę, w milczeniu wytarła ciekącą z nosa krew; nie udało jej się jednak powstrzymać łez, które wypływały gęsto spod powiek. W jednej chwili wróciło do niej wspomnienie podsłuchanej rozmowy Karola z Hanną. Dotarło do niej – po raz kolejny bardzo wyraźnie – że jest tylko obiektem zemsty i nigdy nie będą tworzyć zgranego małżeństwa. Drżącymi dłońmi składała brudną od krwi chusteczkę, a jej spojrzenie padło na błyszczącą obrączkę. Ze zgrozą uzmysłowiła sobie, że nie zdołała uciec od przeznaczenia. W głowie dudniły jej słowa Cyganki: „Przez swoje wybory nie zaznasz szczęścia w życiu...”.

Decydując się na ślub z Karolem, dokonała wyboru, który po latach będzie wspominać jako ten, który wywołał w jej życiu lawinę cierpienia.

[2] 15 czerwca 1934 roku przy ul. Foksal w Warszawie, z rozkazu Stefana Bandery, dokonano zamachu na Bronisława Pierackiego, polityka w rządzie Leona Kozłowskiego. Pieracki został postrzelony przez członka OUN i zmarł tego samego dnia, w szpitalu.

**17 lipca 2018 roku,
Oldrzychowice Kłodzkie**

– Chce pani opowiedzieć dziś o żałobie?

– Żałobie?

Zdezorientowana patrzyłam na Marikę, która rozsiadła się w fotelu naprzeciw mnie. Spojrzała łakomie na stojący na stole jabłecznik, jakby wychodząc z założenia, że to ja znów będę mówić, a ona poczeka cierpliwie, aż dyktafon wszystko nagra, by później mogła moje wspomnienia przelać na papier.

– No tak – odparła. – Ostatnim razem mówiła pani o śmierci rodziców, więc teraz, zgodnie z ciągiem przyczynowo-skutkowym, powinnam opisać pani żałobę.

„Może i miałyby to sens, gdybym pamiętała tamten czas” – pomyślałam. Ja jednak z trudem próbowałam posegregować w głowie wspomnienia. Zawsze miałam problem z wyczuciem czasu i chronologią wydarzeń, ale teraz, kiedy choroba siała spustoszenie w moim organizmie, przypomnienie sobie na zawołanie jakiejś konkretnej rzeczy graniczyło z cudem. Zastanawiałam się, czy to moja psychika wyparła wspomnienia, które byłyby dla mnie szkodliwe, czy może szufladka z nimi wyparowała z mojej głowy tak jak inne.

Wydawało mi się, że z dnia na dzień coraz mniej mogę przekazać Marice. Niby przychodziła codziennie, a ja nie byłam przecież tak stara, żeby mogła mnie usprawiedliwiać demencja, ale umysł starzał się zdecydowanie zbyt szybko. Nie było mi do twarzy z nieporadnością, która coraz częściej się pojawiała. Leki, o ile pamiętałam, żeby je wziąć, ograniczały zaburzenia ruchowe, jednak nie wpływały na pracę

neuronów. To właśnie ich śmierć bolała mnie najbardziej. To po nich płakałam nocami i miałam depresję. To nie rodziców, ale tych elektrycznie pobudliwych komórek było mi teraz najbardziej brak.

Przez pierwsze lata choroby czułam sprzeczność we wszystkim, co mnie otaczało. Na zmianę krzyczałam i płakałam. Mówiłam rodzinie, że jej nienawidzę, a zaraz przepraszałam i zapewniałam, że ją kocham. Byłam szczęśliwa, że mam tylu przyjaznych ludzi przy sobie, a za chwilę chciałam nade wszystko być sama. Gotowałam obiady, by zaraz po ich zjedzeniu wpadać w furję i rzucać talerzami. Z perspektywy czasu widzę, że nie można było wtedy nazwać mnie wzorową żoną i matką. Wyładowywałam gniew na współpracownikach, na mężu i synu. Przemawiała przede mną wyłącznie złość, choć nie byłam świadoma, co się naprawdę działo w moim ciele. Gdybym wiedziała, gdyby mój mąż wiedział, może inaczej potoczyłoby się nasze życie.

– Pani Zofio? – spytała Marika, machając mi otwartą dłońią przed oczami.

– Przepraszam – odpowiedziałam. – Zamyśliłam się. O czym to mówiłyśmy?

– Pytałam, czy będziemy rozmawiać o żałobie.

– Nie – odparłam krótko.

– Dobrze, więc proszę zebrać myśli i po prostu zacząć mówić, a ja skosztuję jeszcze ciasta – powiedziała, nakładając sobie na talerzyk kolejny kawałek.

Nie zarejestrowałam, kiedy zdążyła zjeść ten pierwszy. Moje chwile zawieszenia ostatnimi czasy niebezpiecznie się wydłużały. Kiedy zamyślałam się, nie zwracałam uwagi na otoczenie. Pamięć przenosiła mnie w różne rejony wspomnień, a rzeczywistość, która mnie otaczała, przestawała istnieć. Przez to nie zwracałam uwagi na otoczenie, nie zapamiętywałam wydarzeń, pogody ani nic, co się działo w danym dniu. Siedziałam, trwając w myślach, a ciało zapominało, jak prawidłowo przeżywać emocje, jak się komunikować, poruszać... Demencja! Znów definiował mnie fachowy termin. Moje zachowanie, moje ruchy i moją rzeczywistość.

– Jedz, kruszyno, jedz – odpowiedziałam – i przysuń bliżej to cacko, niech mnie dobrze dzisiaj słyszy – dodałam po chwili, wskazując na dyktafon.

– To nowszy model, na pewno nie będzie robił mi takich figli jak ostatni – powiedziała z uśmiechem Marika i puściła oczko. – To o czym będzie dzisiaj, pani Zofio?

– O starości, o Iwanie i o tym, czego jeszcze nie zapomniałam.

**17 czerwca 1997 roku,
Wrocław**

Kiedy wróciłam w końcu do pracy, nie byłam już tą samą osobą. Moje myśli wciąż krążyły wokół poczucia osamotnienia i przegranej. Nie rozumiałam, dlaczego rodzice mieli przede mną tajemnice. Dlaczego nie ufali na tyle, żeby być ze mną szczerzy. Zastanawiałam się, czy w ogóle byłam ich córką. Nagle zamieszkanie na wsi, gdzie nie ma nic oprócz pól, wydawało się sensowne. Na drodze dedukcji wysnułam hipotezę, że pewnie się przed kimś ukrywali.

Podczas mojej nieobecności oddziałowa zdążyła wszystkich poinformować o mojej historii rodzinnej. Byłam na nią wściekła. Chciałam wrócić do pracy, żeby wskoczyć w wesoły klimat i choć przez ten czas nie myśleć o tym, co mnie spotkało. Tymczasem, gdy tylko przekraczałam próg Domu Pomocy Społecznej, wszyscy obrzucali mnie współczującymi spojrzeniami, przytulali się bez powodu albo mówili, że modlą się za mnie lub za rodziców. Takie zachowania tylko pogłębiały we mnie tęsknotę i żal z powodu straty, ale jednocześnie byłam coraz bardziej sfrustrowana tym, że nie mogę nawet na chwilę uciec od myśli o śmierci.

Po południu czekałam na Iwana w ogrodzie. Miałam nadzieję, że chociaż rozmowa z nim będzie przebiegała tak jak dawniej.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy zobaczyłam w jego oczach troskę, a nie współczucie. W dłoniach trzymał bombonierkę.

– Nie wiem, jak to się fachowo nazywa, ale jestem pewien, że czekolada poprawi panience humor.

Patrzyłam, jak z delikatnym uśmiechem przysuwa w moim kierunku czekoladki. Na ten widok moja twarda skorupa niemal się rozpuściła. Słońce nie ogrzewało mnie tak bardzo jak wzrok tego staruszka. Drżącym głosem podziękowałam i przymknęłam oczy, żeby zapanować nad łzami. Wtedy poczułam, jak Iwan przytula mnie do siebie, gładzi dużą ręką moje włosy i szepcze:

– Wypłacz się, panienko. Obmyj swoje serce z tych brudnych wspomnień. Zamień myśli w motyle i niech lecą. Niech będą obrazkami, które cieszą oko za każdym razem, kiedy na nie spojrzysz, ale nie próbuj nerwowo trzymać ich w sobie, bo zginą. Posadź każdego wokół. Niech cię otaczają i dają schronienie twojej duszy. Patrz. Podziwiaj z radością, nie z poczuciem straty i tęsknoty.

Szeptał, a ja płakałam coraz głośniejsze. Kiedy drzenie mięśni przybierało na sile, Iwan trzymał mnie mocniej w ramionach i powtarzał, że jest przy mnie.

– Dziękuję – powiedziałam po pewnym czasie, czując, że już doznałam ukojenia, i zawstydzona odsunęłam się od niego. – Przepraszam – dodałam niepewnie, kiedy zobaczyłam jego mokrą od moich łez koszulę.

– Nie ma panienka powodu do przeprosin. Proszę zjeść, bo roztopią się na słońcu – odparł, wskazując na czekoladki.

– Endorfiny – powiedziałam chwilę po włożeniu sobie pralinki do ust. – Tak się fachowo nazywają hormony wywołujące dobre samopoczucie, a czekolada budzi je do życia.

– O, właśnie! Dlatego zawsze mam przy sobie zapas czekolady – skomentował z uśmiechem.

Wydawało mi się, że jego twarz podczas naszych spotkań łagodniała. Zazwyczaj ostre rysy mogły wywoływać u obserwatorów wrażenie, że Iwan jest gburowatym starcem, który czerpie energię ze zrzędzenia komuś nad uchem. Jednak gdy tylko zaczynał się uśmiechać, biło od niego wewnętrzne ciepło.

– Musiał pan wiele przejść w życiu, skoro osładza sobie pan terażniejszość – powiedziałam.

– Żyłem w trudnych czasach. Wiem coś na temat tego, przez co teraz przechodzisz. Żałoba jest często wprost proporcjonalna do wpływu, jaki

miały na nas osoby, które odeszły. Czasem ból odczuwasz przez kilkanaście lat... – Spojrzał na rododendron i ciągnął: – A czasem aż do własnej śmierci. Są takie osoby, których nikt już w życiu nie zastąpi. Ale sekretem naszego życia nie jest pogodzenie się ze stratą ludzi, którzy odchodzą, lecz uczynienie naszego życia lepszym dzięki temu, czego nas nauczyli.

Westchnęłam ciężko, wbijając wzrok w najdalszy punkt ogrodu.

– Pięknie powiedziane – odparłam. – Ale czy możemy już nie mówić o śmierci?

Znów uśmiechnął się czule.

– Oczywiście – odpowiedział.

– Proszę opowiedzieć mi coś miłego. Chciałabym chociaż na chwilę zatopić się w innej historii niż śmierć bliskich.

Dumał, jakby wybierał ze wspomnień to, które pasowało do okoliczności.

– Zobaczył się pan jeszcze z tą hrabianką? – wypaliłam.

Spojrzał na mnie i roześmiał się głośno.

– Zachowujesz się całkiem jak moja Stefi. Od razu przechodzisz do sedna, jakby szkoda było tracić czas na owijanie w bawełnę.

W odpowiedzi wzruszyłam ramionami i ostentacyjnie wpakowałam sobie czekoladkę do ust.

– Upłynęło kilka miesięcy, zanim znów się spotkaliśmy, choć wtedy była już mężatką. Codziennie z duszą na ramieniu przemierzałem drogę do pałacu, wierząc, że to jest ten dzień, w którym się zobaczymy. Kilka godzin później wracałem zawiedziony do domu, ale z drugiej strony byłem też bardziej zdeterminowany do szlifowania języka. Powtarzałem sobie wtedy, że mam kolejną szansę, żeby zrobić na niej lepsze wrażenie. Nie miałem zamiaru topić się w tym uczuciu. Chciałem tylko być blisko niej, ponieważ czułem, że to obcowanie z nią wyzwala we mnie to, co najlepsze. W końcu nastąpiła zima i śnieg przykrył wszystko wokół, pozostawiając na widoku tylko ciemne zarysy pni drzew i nieliczne budynki. Szedłem na pamięć wyuczoną ścieżką, stawiając pierwsze kroki na pokrytym białym puchem terenie. Byłem zmarznięty do szpiku kości, śnieg przywierał do nogawek spodni, wysoko ponad moje skórzano-

filcowe buty, a mróz osadzał się na wąsach i zwilżonych potem włosach. Pierwszy raz modliłem się pod nosem, żeby tego dnia nie zobaczyć hrabianki. Moje przemoczone ubranie ani poczerwienione od mrozu ciało nie były reprezentatywne. Do stajni doszedłem o świcie i od razu wziąłem się za czyszczenie boksów z końmi. Dni były coraz krótsze, więc żeby nie wracać do domu po ciemku, uwijałem się jak mrówka. Przez kilka godzin skupiałem się na szczotkowaniu koni, nie zważając na to, co dzieje się wokół. Zmęczony pracą, spocony i przesiąknięty końskim zapachem, podniosłem się z kolan, żeby wyprowadzić jednego z koni na podwórze, i wtedy zobaczyłem Stefanię. Wpatrzona we mnie, stała bardzo blisko, niemal na granicy dotyku, a wokół niej roztaczała się upajająca woń kwiatów. Wyglądała ślicznie w szarym rozkloszowanym płaszczu i przypiętej do niego futrzanej etoli wokół szyi. Beret na boku głowy finezyjnie uzupełniał jej strój. Z moimi potarganymi włosami, brudnym ubraniem i zniszczonymi butami stanowiłem istny kontrast z jej pięknem. Spytała, czy to dla niej wyprowadzam ogiera, a ja stanąłem jak wryty, momentalnie zapominając wszystkich polskich słów, jakich się nauczyłem. Przez chwilę patrzyła mi w oczy, po czym roześmiała się tak radośnie, że wszystkie bariery językowe we mnie pękły. Powiedziałem, jak umiałem najlepiej, że jeśli zechce, dla niej mogę nie tylko wyprowadzać konie. Ponownie się zaśmiała i kazała uważać na to, co jej obiecuję, bo może zacząć to wykorzystywać. Nie powiedziałem jej, że chciałbym, żeby tak było. Zamiast tego spytałem, czy osiodłać konia. Poprosiła, a ja zrobiłem to najdokładniej i jednocześnie najszybciej, jak umiałem. Co chwila zerkałem w jej stronę, a ona na zmianę uśmiechała się i rumieniła. Robiło mi się gorąco za każdym razem, gdy nasze spojrzenia się krzyżowały. Zdawało się, jakby to był pierwszy dzień lata, a nie zimy. Sam nie wiem, czy tak działał na mnie jej wzrok, czy zniewalający zapach perfum, których nigdy wcześniej nie czułem. Kiedy koń był gotowy, podprowadziłem go do Stefanii, a ona spytała, czy pomogę jej na niego wsiąść. Byłem zdezorientowany. Zastanawiałem się, czy dobrze zrozumiałem jej prośbę. Nie pomagałem nikomu wsiadać na konia. Hrabia Obiecki wraz z towarzyszami radzili sobie sami, dlatego nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Przeczesałem

ręką włosy. Stefi zaśmiała się, podeszła bliżej i wyjęła z nich kawałek słomy. Ponownie spytała, czy jej pomogę usiąść na koniu, a ja niewiele myśląc, złapałem ją w talii i usadowiłem na siodle. Pisnęła zaskoczona moim ruchem i już miała coś powiedzieć, kiedy w drzwiach stajni pojawił się jej ojciec.

Iwan utkwiał wzrok w rododendronie i zdawał się mnie w ogóle nie zauważać.

– I? – spytałam zaskoczona jego nagłym zamyśleniem.

– I nic. Ochrzanił nas z góry na dół, ale Stefania udobruchała go jakoś, stając w mojej obronie i biorąc winę na siebie. Chyba równie mocno jak ja zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby jej ojciec zauważył nasze zainteresowanie sobą, nie miałbym wstępu do ich posiadłości. Byłem biednym Ukraińcem. Ona – najmłodszą córką hrabiego Obieckiego – znanego na całych Kresach ze swojego bogactwa, obycia i inteligencji, a przy tym jako jedyna z tego rodu podchodziła do wszystkich po ludzku, nie weryfikując na starcie ich statusu społecznego. Jej dwie starsze siostry zostały wydane za przedstawicieli polskiej inteligencji i mimo zdobytego na najlepszych uczelniach wykształcenia nie trudziły się pracą. Czasem widziałem, jak wspólnie z matką i innymi kobietami z bogatych domów siedzą na tarasie, wyszywają chusteczki, malują obrazy lub po prostu piją herbatę. Oksana, która pochodziła z mojej wsi, a pracowała u Obieckich jako pokojówka, nieraz opowiadała z westchnieniem o wnętrzu pałacu i jego wystroju. Ja nie miałem tam wstępu. Pracowałem w stajni i pałac mogłem oglądać z daleka... – Iwan się zamyślił. – No, ale wróćmy do tamtego spotkania w stajni. Przeczesałem widłami słomę, a jednocześnie przysłuchiwałem się, jak ojciec beszta córkę, każe jej zsiąść z konia i wracać do domu. Stefania była naburmuszona i zła, obróciła się na pięcie, podniosła płaszcz i, wysoko stawiając kroki w śniegu, ruszyła do pałacu. Westchnąłem, widząc, jak jej postać maleje. Wróciłem do koni, ale nie mogłem już się skupić na pracy. Zapach Stefanii nadal był wyraźnie wyczuwalny. Przed oczami miałem jej roześmianą twarz, a spojrzenie hrabianki ogrzewało moje serce jeszcze do późnych godzin nocnych.

– Och – westchnęłam. – To piękne.

– Początki zawsze są piękne – skwitował. – Czujesz, jakoby świat istniał tylko po to, żebyś mógł poznać miłość swojego życia. Wszystko nagle staje się rozwiązaniem, wytłumaczeniem każdej historii, jaka się przytrafiła. Ciąg zdarzeń zaprowadza cię w miejsca, które naturalnie przyjmujesz jak swoje.

– Takim miejscem był pałac? – spytałam.

– Nie. Takim miejscem były ramiona Stefanii. Jej małe ciało nie mogło być dla mnie schronieniem, ale nadawało sens mojemu życiu. Razem tworzyliśmy całość. Moja silna postura stanowiła ściany, a jej radość życia wewnątrz domu dla naszej miłości. Odkąd spojrzała mi w oczy w stajni, moje poszargane serce znalazło ciepły kąć i ukojenie. Nie musieliśmy budować naszej relacji. Ona w jednej chwili nabrała kształtu, barwy i wyrazu. Chciałem, żeby tak już pozostało, ale gdzieś w kącie serca czułem niepokój. Nie potrafiłem go jasno zdefiniować, ale był. Pojawił się w tym samym momencie, w którym wytworzyła się między nami relacja. Po prostu nasza miłość osiedliła się w złym miejscu i czasie.

Chciałam spytać o więcej. Nienasycona tą historią, chłonełam każde słowo Iwana. Jednak w tamtej chwili w ogrodzie pojawiły się moje podopieczne. Ich głośne rozmowy i chichot sprawiły, że Iwan zamknął swoją historię jak książkę na dobranoc. Pozostawił mnie w niedosycie i pragnieniu odkrycia ich związku. Patrzyłam na zbliżające się do nas staruszki i byłam zawiedziona. Pozostawało mi oczekiwanie na następny dzień.

– Dziękuję – powiedziałam do Iwana, podnosząc się z ławki. – Za historię i za czekoladki.

– Do usług, panienko – odparł z uśmiechem i zawiesił wzrok na staruszkach.

Wróciłam na taras. Jeszcze przed wejściem do budynku omiotłam wzrokiem ogród, który pysznił się od kwiatów. Słońce nadawało im jaskrawych kolorów. Z tego obrazka były spokój, prostota i harmonia. Poczułam ukojenie, jak wtedy, gdy z rodzicami jedliśmy niedzielny obiad w kuchni i wiedziałam, że jest przy mnie ktoś, kto czuwa, by nic złego mnie nie spotkało. Odwróciłam wzrok w stronę Iwana. Spojrzał na mnie

czule, a po mnie przeszedł przyjemny dreszcz. Uśmiechnęłam się do niego i czmychnęłam do dyżurki szykować popołudniowe porcje leków dla podopiecznych.

Po wieczornej kąpieli wzięłam tabletkę, żeby spokojnie zasnąć. Z każdym dniem czułam się gorzej z myślą, że jestem kompletnie sama na świecie. Tydzień dzieliłam na pięć dni we Wrocławiu i dwa na wsi, ponieważ po pracy nie miałam jak dojechać do rodzinnego domu. Mijałam się z odjazdem ostatniego autobusu, dlatego wyprawę zostawiałam na weekend, który praktycznie w całości spędzałam na cmentarzu. Najpierw opowiadałam rodzicom o swojej pracy, później porządkowałam znicze i dekorowałam grób świeżymi kwiatami. Wracałam do domu, żeby rozmówić się z panem Stanisławem, który podczas mojej nieobecności przyjął na siebie obowiązek doglądania zwierząt. Po raz kolejny obiecywałam mu zapłatę za trud, jaki wnosi w tę codzienność, która stała się dla mnie po stokroć trudniejsza niż za życia rodziców. On natomiast stwierdzał, że to nic takiego, chociaż dobrze pamiętałam, ile wysiłku wkładał tata w opiekę nad kurami i świniami. Patrzyłam na ogród za domem, który zdążył się ładnie zazielenić. W równym tempie wzrastały warzywa i chwasty. Wiedziałam, że będę musiała postarać się o urlop w pracy, żeby zrobić porządek w ogrodzie. Uczucie ulgi po wyrwaniu się ze wsi, które towarzyszyło mi przez ostatni czas, uleciało wraz ze śmiercią rodziców. Teraz czułam nie tyle przykaz, ile obowiązek dbania o ziemię, którą miałam po nich dziedziczyć. W tamtym czasie nie wiedziałam jeszcze, że notariusz wraz z odczytaniem testamentu wrzuci mnie w wir historii, której nie chciałam i na którą nie byłam gotowa.

**9 lutego 1939 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Stefania rzuciła się na łóżko, przymknęła oczy i gładziła opuszkami palców szyję oraz piersi, chcąc za wszelką cenę utrzymać jak najdłużej finezyjną rozkosz, jaka rozpierała jej duszę. Czuła się lekko, jakby unosiła się w powietrzu, jakby był letni, rześki poranek, a nie zimowe popołudnie. Za wszelką cenę nie chciała wybudzać się z tego snu.

Znów go widziała i dotykała, a on odurzał ją i wypełniał każdy zakamarek jej serca. Skupiony na swojej pracy, nawet nie dostrzegł, że mu się przygląda, więc mogła bezczelnie chłonąć jego aurę, zapach i zapamiętywać każdy, nawet najmniejszy szczegół tego elektryzującego ciała. A kiedy spojrzał na nią zza gęstych rzęs, miała wrażenie, że wszystko wokół znika, a w czasoprzestrzeni jest miejsce tylko na nich. Stali naprzeciw siebie bez słowa, choć jej dusza od razu wleciała w jego ramiona. Pragnęła, by ją dotykał, pieścił, całował, by nigdy nie spuszczał z niej wzroku. To przyciąganie było jak bezpieczna przystań dla jej spętanego małżeńskim sztormem serca. Nade wszystko pragnęła poddać się temu uczuciu.

Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, jakie wywierał na nią stajenny, i chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że jej uczucie jest zakazane, to lgnęła do niego jak ćma do ognia. Wiedziała, że nawet w normalnym czasie taka relacja nie miałaby prawa bytu, a teraz, gdy nastroje nacjonalistyczne wśród ludności ukraińskiej rosły, gdy jej ojciec został postrzelony przez jednego z nich, gdy Niemcy stawiali warunki terytorialne w Europie i widmo wojny było coraz wyraźniejsze... Teraz

to nawet nie byłby zwykły mezalians, ale zdrada stanu. Tak to określił jej ojciec, kiedy zobaczył, jak chłopak sadza Stefanię na koniu.

„Jakim prawem pozwoliłaś mu się dotknąć?!” – w głowie wciąż słyszała głos ojca. Starła się go stłumić emocjami, ale od kilkunastu minut stawał się coraz bardziej natarczywy.

Usiadła na łóżku i spojrzała w swoje odbicie w lustrze toaletki. Nadal była ubrana w filcowy płaszcz, dobrze skrojony przez Żyda Schneidera, najlepszego krawca w Stanisławowie. Miała wypieki i lekki uśmiech, który zobaczyła na swojej twarzy pierwszy raz od kilku miesięcy. Dotknęła dłońmi policzka; był gorący, jakby pod skórą żarzył się węgiel. Jej ciało reagowało na rodzące się w sercu uczucie i zdała sobie sprawę, że nie jest to tylko wytwór jej wyobraźni, ale prawda, jaka spadła na nią z wszechświata. Przez jej myśli przebiegły słowa Cyganki: „Raz tylko będziesz kochać prawdziwie...”. Pytała siebie, czy to, co czuje, to właśnie miłość. Patrzyła na swoje odbicie, które z każdą chwilą coraz bardziej się rozpromieniało. Zaśmiała się w głos. Radosny dźwięk rozbrzmiał wśród białych rzeźbionych mebli kontrastujących z tapetą w kwiaty i wypełnił całą przestrzeń pokoju.

Po chwili otworzyły się drzwi i do środka zajrzała Marianna.

– A z czego to taka radość? – spytała od razu, a gdy Stefania nie przestawała, wesoły nastrój udzielił się także Marianne.

Hrabianka nie wiedziała, czy powinna zwierzać się dziewczynie. Od zawsze były blisko, ale sprawa z chłopakiem to był sekret, który powinno się zabrać do grobu. Z drugiej strony Stefania czuła, że jeśli będzie milczeć, zwariuje od nadmiaru emocji. Kilka razy odetchnęła głęboko, bijąc się z myślami, co ma zrobić, aż szala przechyliła się w stronę uspokojenia swojego stanu. Musiała doprowadzić się do porządku przed obiadem, a z nauki, jaką w wolnych chwilach pobierała u swojej kucharki, wiedziała, że gdy kotłuje się w gotującym garze, lepiej upuścić trochę pary, niż pozwolić na zepsucie potrawy. Nie chciała, by emocje zniszczyły to, co czuła, więc powoli zaczęła mówić o tym, co spotkało ją wiosną, gdy przywiozła rododendrony i kilkanaście minut wcześniej w stajni.

Marianna, słysząc tę historię, wydawała się zaniepokojona i wcale nie podzielała entuzjazmu Stefanii. Słuchała wnikliwie, jednak całe to zajście uznała za absurd, który nigdy nie powinien mieć miejsca. Córka hrabiego zakochuje się w stajennym, a w dodatku szczyci się tym, co czuje. „W głowie jej się poprzewracało od nadmiaru” – myślała.

Stefania chodziła po pokoju, mówiąc o swoich odczuciach i zachwytach nad tym biedakiem, który zawsze irytował Mariannę, ponieważ cokolwiek by zrobił, zawsze uchodziło mu na sucho. Jednak sprawiedliwość życiowa jeszcze nigdy nikogo nie zostawiła bez goryczy w ustach, więc dziewczyna czekała, kiedy przyjdzie pora na Iwana. Z jednej strony nie wiedziała, co doradzić przyjaciółce, kiedy ta jak w transie gestykulowała i prawiła o tym, co się narodziło pomiędzy nią a Ukraińcem. Z drugiej strony całe to zajście postrzegała jako coś, co pozwoli wyrzucić chłopaka na zbity pysk. Wiedziała, jakie nastroje panują w pałacu po wypadku hrabiego. Mieczysław, chociaż kochał swoją najmłodszą córkę nad życie, to nigdy nie zgodzi się na takie przedstawienie z udziałem Stefanii. Tylko przez wzgląd na swoją żonę nie zwolnił wtedy wszystkich chłopów tej narodowości. Marianna dobrze pamiętała awanturę między małżonkami. Zresztą nie sposób było jej nie słyszeć. Do tak głośnej i zacieklej wymiany zdań w tym pałacu nie doszło nigdy wcześniej. Hrabina mówiła, że nie można spalić całego plonu pszenicy tylko dlatego, że jedno ziarenko miało pleśń. Gdyby zobaczyła teraz swoją córkę, zrozumiałaby, że to nie tylko jedno ziarno. „Cóż za nieokrzesany naród” – podsumowała Marianna w myślach. Najpierw wyciągają rękę po życie hrabiego, teraz ostrzą kły na zdrowie psychiczne jego córki. Tak to właśnie postrzegała. Miała wrażenie, że Filipowiczowa straciła zmysły i jeśli nie wybije jej się z głowy pomysłu na potajemne schadzki z chłopakiem, w końcu wyląduje w szpitalu dla psychicznie chorych.

– Nawet nie wiem, jak on ma na imię. Boże, gdybym chociaż tego zdołała się o nim dowiedzieć – szept Stefanii coraz bardziej wzbierał na sile. – Może podpytasz się tej Oksany, co? Ona na pewno musi go znać!

Kiedy Stefania widziała, że Marianna patrzy na nią tępym wzrokiem, złapała ją za ramiona i potrząsnęła.

– Marianka, spytasz się? Przecież mogłabyś zrobić to dla mnie.

Marianna kiwnęła przecząco głową.

– Zejdź z tej karuzeli, Stefi! – fuknęła.

– Ale kiedy mi tak dobrze. Nigdy czegoś takiego nie czułam! To musi być miłość!

– Miłość? – prychnęła Marianna. – Jeszcze rok nie minął, odkąd ślubowałaś przed Bogiem, a teraz chcesz bawić się w miłość do innego? W dodatku do Iwana. Cóż, żal mnie tego słuchać!

– Iwan! – Stefania westchnęła. – To po polsku Jan, prawda? Jak Jan Chrzciciel, ten, który obmywa z grzechów. Iwan obmył moje serce z ciemności, jaka nim zawładnęła.

– Maryjeńko Przenajświętsza! Nie mogę tego słuchać! – Marianna złapała się za głowę, po czym przeżegnała się i wzniosła oczy ku oprawionemu w ramę obrazowi Maryi. – Jesteś córką hrabiego Obieckiego, żoną generała Wojska Polskiego, Karola Filipowicza, i oddajesz serce stajennemu? W dodatku Ukraińcowi! Ty jesteś nienormalna! To na pewno jakieś załamanie nerwowe przez to, że z Karolem nie możesz się zgodzić.

Stefania wybuchnęła śmiechem.

– Wiem, jak to wygląda, ale ja naprawdę... – zaczęła Stefania, po czym zawiesiła głos i dodała z niedowierzaniem: – ...go kocham.

– Zrobię ci zimną kąpiel, lodowatą. – Marianna pogroziła palcem. – Albo lepiej, wytarzę cię zaraz w śniegu, to może wróci ci umysł.

Śmiech Stefanii znów rozbijał się o ściany pałacu, tak jak wzburzone fale rozbijały się o klif tuż przy jej domu, na północ od Gdańska.

Dźwięk gongu wzywającego na obiad wyrwał dziewczyny z konwersacji. Marianna niepokieszona kiwnęła głową i wyszła z pokoju, a Stefania rzuciła z siebie płaszcz i za wszelką cenę próbowała zdusić w sobie pokłady rosnącego zauroczenia. Gdyby mogła, skleiłaby sobie wargi, żeby nie rozchodziły się w uśmiech, ale i to niewiele by pomogło, bo cieszyło się całe jej ciało, a zwłaszcza oczy, z których bił niespotykany dotąd blask.

**26 czerwca 1997 roku,
Wrocław**

Czekałam na Iwana na tarasie. Nasza ławka była cała mokra. Ściana deszczu odcinała podest od zieleni ogrodu. Spadające krople bryzgały na wszystkie strony, wprawiając liście krzewów i kwiatów w iście szalony taniec.

Obserwowałam ten wodny spektakl, podsumowując w myślach ostatnie miesiące. Z każdym dniem coraz bardziej przywiązywałam się do Iwana, wsiąkałam w jego historię, dzięki czemu moja żaloba stawała się bardziej znośna. Obycie i sposób, w jaki opowiadał o swojej miłości, mnie zachwycił, wyrrywając z otępienia po stracie rodziców. Łapałam się na tym, że w ciągu dnia zerkałam na zegarek, oczekując godziny piętnastej, kiedy to moi podopieczni pójdą na rehabilitację lub terapię, a ja będę mogła słuchać Iwana. Te opowieści przenosiły mnie w świat, który wydawał mi się dziwnie znajomy. Jego wspomnienia były niczym ciepły, miękki koc, łagodzący ból. Były jak doraźne lekarstwo na smutną codzienność. Słuchając Iwana, niemal czułam wszystkimi zmysłami piękno Kresów Wschodnich. Czasy młodości spędził w krainie mlekiem i miodem płynącej; kiedy mówił, zamykałam oczy i zdawało mi się, że czuję w nozdrzach zapach skoszonej trawy, słyszę szelest pszenicy falującej na polach między pałacem Obieckich a rodzinną chatą Iwana, widzę bogactwo roślinności w przypałacowych ogrodach. Przed moimi oczyma pojawiały się rżące, brązowe ogiery, które z gracją przemierzały leśne i polne drogi, poznając dzikość nietkniętych ludzką ręką terenów. Peryferie Stanisławowa jawiły mi się jako krajobraz tętniący życiem. Piękno przyrody w dziewiczej postaci. Ziemi eden.

– Chyba dzisiaj nici z naszej rozmowy – usłyszałam za sobą znajomy głos.

– Niekoniecznie – odparłam z nieukrywaną radością, obracając się w stronę Iwana, i wskazałam głową kąt tarasu, w którym ustawiłam dwa krzesła, przytargane chwilę wcześniej ze świetlicy.

Jego oczy rozpromieniły się na ten widok, po czym stwierdził, że za chwilę wróci. Po kilku minutach pojawił się w drzwiach, trzymając w ręku dwa kubki z kawą. Rozczulił mnie ten gest. Wzięłam od niego kubek i zanurzyłam usta w napoju. Intensywny aromat, a zarazem delikatny smak, jaki rozlał się po języku, wprawiał mnie w błogi stan.

– Jak to się dzieje, że z pana rąk kawa smakuje tak dobrze?

– To nie sekret moich rąk, ale ziaren i przygotowania. Dawny przyjaciel, który nadal ma kawiarnię we Lwowie, dwa razy w roku wysyła mi paczkę tej kawy. Prawdziwą poezję smaku wydobywa się poprzez umieszczenie imbryka w ziarnach piasku. Wtedy kawa ma odpowiednią temperaturę i czas parzenia.

– Nieprawdopodobne – powiedziałam, unosząc brwi i po raz kolejny smakując napój.

– Nie wiem, czy panienka zdaje sobie sprawę, ale niegdyś Lwów był kawową stolicą Polski. To właśnie tam otwarto pierwszą kawiarnię.

– O proszę. Czy ona dalej funkcjonuje?

Jego wzrok pokryła mgła. Wiedziałam już, że moje pytanie wywołało przykre wspomnienia. Ostatnimi czasy coraz częściej dostrzegałam w Iwanie niepokój, mimo że jak dotąd rozmawialiśmy jedynie o dobrych rzeczach. Zastanawiałam się, co takiego wydarzyło się w życiu tego staruszka, że nosi w sobie traumę przez tyle lat. Byłam też świadoma, że ciągnięcie go za język nie przyniesie mi ukojenia myśli, a swoją niecierpliwością mogę go spłoszyć i tak jak w przypadku tej kawy, nie umieć wydobyć całej esencji.

– Niestety nie – uciał.

– Czasem tak bywa – powiedziałam, uśmiechnęłam się lekko i w koleżeńskim geście położyłam mu dłoń na udzie. Skinął głową porozumiewawczo, po czym napił się kawy. – Powróćmy do tych dobrych czasów – zaproponowałam.

– Tylko takie powroty trzymają mnie przy życiu, panienko – powiedział z westchnieniem. – Po pierwszym bliskim kontakcie ze Stefanią myślałem, że znów długo jej nie zobaczę, ale ona wróciła następnego dnia. Dość szybko uwinąłem się z pracą. Pewnie dlatego, że ciągle byłem pod wrażeniem tamtego spotkania. Zbliżała się pora posiłku, więc wyszedłem akurat za stajnię, by opłukać dłonie w beczce. Woda była tak lodowata, że wykręcało stawy, ale matka zawsze powiadała, że do posiłku trzeba zasiadać czystym, jakkolwiek mała byłaby to strawa. A nie jadałem wtedy wykwintnie. Pajda chleba wysmarowana smalcem lub masłem i cukrem była tym, na co mogłem sobie pozwolić. Zabijałem uczucie głodu tylko na chwilę, ale i tak byłem wdzięczny losowi. Za pracę u Obieckich dostawałem niewielkie wynagrodzenie, ale to wystarczało, by u Jeremiasza, jednego z Żydów prowadzących sklep na granicy swojej osady, kupić jakieś jaja oraz smalec, ponieważ w rodzinnym gospodarstwie mieliśmy tylko warzywnik i sad. Matka rozdzielała jedzenie między nas po równo, żeby starczyło na cały tydzień, a po powrocie z pracy zawsze czekała na mnie ciepła zupa. Kiedy tak stałem na mrozie, opłukując ręce i twarz, usłyszałem, że ktoś wszedł do stajni. Od razu rozpoznałem, że był to na pewno ktoś z Obieckich. Ich buty były podkute stalową stawką, dlatego zawsze stukały o drewnianą podłogę. A ta podłoga była wtedy symbolem bogactwa. My, biedne chłopcy, chodziliśmy bezszelestnie, od małego nauczeni, żeby się nie wychylać i nie wadzić. Nawet w domach nie mieliśmy tego, co Obieccy w stajni. W naszych chatkach było klepisko, glina mieszana z cementem i na tym dywan. To służyło nam za podłogę. Stukot butów o drewnianą podłogę w stajni wywołał u mnie niepokój. Wystraszyłem się reakcji hrabiego na widok koni, którymi nikt się nie zajmuje, dlatego szybko otworzyłem drzwi na drugim krańcu stajni i układałem sobie w myślach usprawiedliwienie. Jednak przede mną nie ukazała się wysoka, groźna postura Mieczysława, tylko drobna postać w szarym, rozkloszowanym płaszczu. Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Dziękowałem w myślach Bogu, że opłukałem twarz przed jej wizytą. Uśmiechnęła się na mój widok i jakoś tak równocześnie zaczęliśmy iść ku sobie. Kiedy byliśmy już blisko, uniosła twarz i spojrzała mi w oczy. Jej ufny wzrok

palił mnie od środka. Przeprosiłem za kłopot, jaki sprawiłem, sadzając ją na koniu, a ona położyła mi palec na ustach. Zamarłem. Czułem miękkość jej skóry na moich spierzchniętych wargach. Pachniała jabłkami i cynamonem. Przesunęła dłońią po moim policzku. Zdumiała mnie jej śmiałość. W końcu była kilka lat młodsza ode mnie. Położyłem swoją dłoń na jej delikatnej ręce, a ona tylko uśmiechnęła się lekko. W tym uśmiechu zobaczyłem dumę. Zupełnie jakbym był uczniem, który celująco odpowiada na pytania nauczyciela. W końcu odezwała się. Powiedziała, żebym nie patrzył w jej kierunku, gdy pojawi się w okolicy, bo ojciec zagroził, że jeśli jeszcze raz zobaczy, jak spoufala się ze stajennym, to kto inny będzie doglądał koni, a ona nie chce, żebym pracował gdzieś indziej. Nie chce, żebym odchodził. Wyjęła z kieszeni płaszcz małą kopertę, wsunęła mi ją w dłoń i powiedziała, że przy jeziorze w parku jest drzewo z dziuplą i tam mam zostawić odpowiedź. Złapałem ją w talii i przysunąłem do siebie. Spytałem, dlaczego robi to dla mnie. A ona odpowiedziała: „Dlatego, że jest to zapisane w przeznaczeniu”. Później obróciła się i uciekła. Patrzyłem, jak szybko biegnie w stronę pałacu, przedzierając się między świerkami, by pozostać jak najmniej widoczną. Stałem zdezorientowany, kompletnie zapominając, co miałem zrobić. Nie wiedziałem, dokąd zaprowadzi mnie ta znajomość, ale rozpierała mnie radość, ponieważ zrozumiałem, że nie jestem jej obojętny.

– Nie wierzę! – powiedziałam kompletnie zaskoczona. – I co napisała w tym liście?

– Nie była to długa wiadomość. Raptem kilka zdań, ale dłuższą chwilę zajęło mi rozszyfrowanie jej słów. Jak panienka wie, uczyłem się polskiego, ale litery w książkach różniły się od tych pisanych. Stefania wiele lat pobierała nauki kaligrafii i miała artystycznie wyćwiczone pismo. W końcu jednak udało mi się wszystko zrozumieć. Do późnych godzin nocnych siedziałem przy blasku lampy naftowej i odpisywałem na jej wiadomość. Nie byłem dobrym pisarzem ani poetą. Trudno ubrać w słowa pierwszą miłość, kiedy wszystko, co odczuwasz, jest nowe i nieznane. Ale gdy skończyłem, byłem z siebie dumny. O świcie wybiegłem z domu, żeby znaleźć wskazane drzewo. Następnego dnia

w tej samej dziupli czekała na mnie odpowiedź. To było nasze miejsce schadzek. Chociaż listy Stefanii przynosiła jej pokojówka, która mnie nie lubiła, zresztą z wzajemnością, to posłusznie wypełniała polecenie. W tej korespondencji rodziło się między nami uczucie. To było niezwykle doznanie. Byliśmy z innych światów, innych rodzin i wyznawaliśmy inną religię. Jednak w tamtym czasie idealnie się uzupełnialiśmy. Byliśmy jak niebo i ziemia. Kiedy ja panowałem nad aurą, ona budziła się do życia. Kiedy pieściłem ją słowami, rozkwitała jak drzewa w moim sadzie. Gdy już śniegi stopniały i nastawała wiosna, byliśmy na tyle blisko siebie, że zdawało się, jakbyśmy od lat byli razem.

Iwan dopił swoją kawę, która już zdążyła wystygnać. Serce kołatało mi w piersi, kiedy wyobrażałam sobie tę historię. Patrzyłam z podziwem na mężczyznę, po cichu zazdroszcząc mu spotkania czystej i nieskalanej miłości.

Ulewa przeszła i deszcz już tylko siąpił delikatnie. W ogrodzie zaczynało się przejaśniać, wilgotne powietrze kołło nozdrza. Spojrzałam na zegarek i poprosiłam, żeby kontynuował, ale Iwan odmówił.

– Muszę panienkę przeprosić, ale mam dziś gościa. Nie chciałbym, żeby musiał na mnie czekać.

– Och – westchnęłam. – Oczywiście, rozumiem. Pewnie dzieci stęskniły się za panem – powiedziałam pokrzepiająco i dopiłam resztki kawy.

– Nie mam rodziny – stwierdził sucho. – Syn przyjaciela pomaga mi uporać się z pewnymi sprawami, stąd ta wizyta.

– Ależ nie musi się pan tłumaczyć – powiedziałam, chociaż w głębi serca zrobiło mi się miło, że się usprawiedliwił.

– Byłoby niegrzeczne z mojej strony, gdybym zostawił tak panienkę bez wyjaśnienia. – Westchnął i z trudem podniósł się z krzesła. – Dziękuję za spotkanie, Sofijo. – Pocałował mnie w rękę, po czym sięgnął po puste kubki po kawie.

– To ja dziękuję. Bardzo miło spędziłam z panem czas.

Pozdrowił mnie skinieniem głowy i wszedł do budynku. Trwałam przez chwilę w milczeniu, rozmyślając nad jego słowami. Cudownie było słuchać o przeżyciach i wizualizować sobie w myślach te piękne czasy. Zdałam sobie sprawę, że nigdy nie rozmawiałam tak z rodzicami. Nie

wiedziałam, w jaki sposób się poznali, jak wyglądała ich miłość, a odkrycie tajemnicy, którą zabrali do grobu, stawało się coraz mniej realne. Z każdym dniem odsuwałam od siebie te myśli. Zastanawiałam się nad tym, czy jest sens szukać prawdy na siłę. Skoro przez tyle lat nie chcieli mnie o czymś poinformować, to najwidoczniej robili to dla mojego dobra. Nagle poczułam falę akceptacji dla ich decyzji. Tak jak ulewa obmyła wszystkie rośliny w ogrodzie, tak ja oczyściłam się z poczucia bycia oszukaną, które towarzyszyło mi po śmierci rodziców. Jeżeli stworzyli dla mnie nową rzeczywistość opartą na kłamstwie, to nie mogli robić tego w złej wierze.

Zostało jeszcze trochę czasu, zanim moi podopieczni wrócą z zajęć. Odniosłam krzesła do świetlicy i postanowiłam uraczyć się papierosem. Po tym jak kierowniczka zakazała palenia na terenie placówki, wychodziłam zapalić przed budynek. Zawsze doświadczałam wtedy zderzenia z inną rzeczywistością. Kiedyś robiłam wszystko, żeby czuć w sobie tętno miasta, ale Dom Pomocy Społecznej kazał mi zwolnić bieg. Pomoc emerytom otwierała oczy na ból i niedołężność ludzkiej egzystencji, a jednocześnie uczyła pokory i cierpliwości, ale przede wszystkim wdzięczności za to, co pozostało. Jak różni byli seniorzy, tak różne były jej oblicza. Jedni dziękowali Bogu za spokojne życie, dzieci czy oszczędzenie ich w chorobie, inni za odnalezienie ukojenia po trudnych latach.

Ja natomiast zaczęłam dziękować Bogu za Iwana. Wyrывał mnie ze szponów żałoby i otaczał rodzicielską opieką, której tak bardzo potrzebowałam w tym czasie. Pokazał mi, że nic nie jest tak ważne jak czysta dusza i życie w zgodzie ze swoimi uczuciami.

**31 lipca 2018 roku,
Oldrzychowice Kłodzkie**

– A teraz za co czuje pani wdzięczność do świata? – Marika wyrwała mnie ze wspomnień.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem i złością. Spojrzała na mnie przepraszająco, nerwowo odgarnęła włosy do tyłu, a ja westchnęłam i spuściłam ramiona, by jakoś się uspokoić w nagłym przypiływie emocji. Wiedziałam, że to już koniec naszego spotkania, ponieważ trudno by mi było wrócić do rozmowy. Chwilę mi zajęło, zanim przetrawiłam jej pytanie.

– Na pewno dziękuję za dobre momenty, jednak na większości wspomnień choroba odcisnęła swoje piętno. Nauczyłam się ją akceptować, ale nie jestem za nią wdzięczna. Nie dała mi nic prócz samotności i zdecydowanie za szybko postępującej niedołęźności – powiedziałam w końcu, posyłając uśmiech dla złagodzenia sytuacji.

Dziewczyna wciąż siedziała napięta jak struna. Kiedyś Tośka powiedziała, że gdy jestem wściekła, to zabijam wzrokiem. Pewnie Marika, przerywając mój monolog, oberwała takim strzałem.

– Myślę, że ostatnią rzeczą, za którą będę wdzięczna, jest odkrycie prawdy o życiu matki i jej rodziny. Prawda zawsze wyzwala i jakkolwiek byłaby bolesna, to jest częścią nas, definiuje nasz żywot i w niektórych sytuacjach potrafi uratować. Widzisz, dziecko, moja choroba jest dziedziczona dominująco, więc w pewnym sensie byłam na nią skazana, a wobec tego, gdybym na czas o niej wiedziała, mogłabym podjąć leczenie. Nie stałabym teraz u progu życia, wielu sytuacjom mogłabym zapobiec. Tymczasem prawda była przede mną skrzętnie skrywana.

Czasu już nie cofnę ani nie zmienię historii, ale przynajmniej ukoję swój żal, gdy znajdziemy odpowiedź na pytanie, dlaczego moje losy potoczyły się właśnie tak. Dlaczego nie znałam swojej prawdziwej rodziny, a matka ukrywała się przed światem między polem rzepaku a pszenicy?

Skruszona Marika pokiwała głową.

– Rozumiem, ale proszę tak nie mówić. Jeszcze wszystko przed panią – skomentowała i kilka razy poprawiła spódnice, jakby tymi ruchami wygładzała niezręczność między nami.

Rozczulił mnie ten widok. Patrzyłam na jej skrępowanie i odżywały we mnie wspomnienia z pierwszych randek z mężem. Byłam jak ona: młoda, zagubiona, ale pełna wiary w lepsze jutro. Wojtek napawał mnie nie tyle lękiem, co strachem, by wypaść jak najlepiej. Imponował mi. Był starszy, wykształcony i dystyngowany. Chciałam do niego pasować, być uzupełnieniem, jak Stefania dla Iwana, tymczasem stanowiłam jego całkowite przeciwieństwo. Kiedy on pokazywał swoje obeznanie, ja strzelałam gafy jak z rękawa. Gdy zewsząd biło jego zorganizowanie, ja wchodziłam w epicentrum chaotyczności i niezdarności. Niekompetencja była wtedy dla mnie kompletnie nowym i niezrozumiałym zjawiskiem, ale przykleiła się do moich pleców i trwałyśmy w tej symbiozie dość długo.

– Obawiam się, że wszystko już za mną, kruszynko – odpowiedziałam ze smutkiem w głosie.

– Ależ proszę tak nie mówić! – Podniosła dłoń, jakby chciała zatrzymać ruch drogowy, a chodziło jej tylko o moje pędzące myśli. – Jest pani chora, to prawda, ale kto w dzisiejszych czasach jest zdrowy? Każdy dźwiga jakiś ciężar. Właściwie to nawet uważam, że wszyscy jesteśmy na coś chorzy, tylko nie wszyscy zostaliśmy dobrze zdiagnozowani. Ma pani dopiero pięćdziesiąt lat. Jeszcze może pani zmienić całe życie.

Nie chciałam jej mówić, że moje „całe życie” to przy dobrych wiatrach kilka lat. Przy rozpoznaniu Huntingtona datowano moją śmierć na piętnaście, maksymalnie dwadzieścia lat. W ubiegłym roku minęło szesnaście lat mojego zmagania się z chorobą, więc widmo śmierci zaczęło kręcić się wokół mnie coraz częściej.

W odpowiedzi posłałam Marice promienny uśmiech i przytaknęłam.

– Naprawdę nie rozumiem pani niskiej samooceny. Jest pani piękna i bogata. Cóż z tego, że chora. O! Jest pani jak ten wazon! – Wskazała na duży, ręcznie malowany dzban z chińskiej porcelany. – Jedna gruba rysa nie psuje w nim niczego. Wręcz wydaje się cenniejszy przez historię, jaką opowiada to uszkodzenie.

Podniosłam brwi ze zdumienia, spoglądając to na wazon, to na Marikę, po czym roześmiałam się.

– Nigdy nie pomyślałabym o sobie w ten sposób – odparłam.

– A może właśnie czas zmienić myślenie?

Po raz kolejny utwierdziłam się w przekonaniu, że wybór tej dziewczyny był trafny. Stała się powiewem świeżości w mojej marnej codzienności. Była jak chłodny napój w gorący dzień, po którym ma się ochotę robić więcej.

– Może masz rację – powiedziałam. – Będę miała dużo czasu, żeby się nad tym zastanowić, bo niestety, ale nie dam rady wrócić teraz do wspomnień.

– To nic. – Machnęła ręką. – Jutro też jest dzień.

– Jutro jest niedziela. Nie chcesz zrobić sobie wolnego?

– Nie mam męża ani dzieci. Za to mam do spisania pani wspomnienia, więc chętnie wpadnę na herbatkę.

– Oczywiście, jeżeli to dla ciebie nie problem.

– Żaden!

– W takim razie przyjdź jutro o dwunastej.

– Jak sobie hrabina życzy.

Schowała dyktafon do torebki, wstała, poprawiła wygniecione poduszki w fotelu i obiecała, że jutro się nie spóźni. Wyszła, pozostawiając mnie samą w salonie.

Cisza dudniła mi w uszach nie bardziej niż strugi deszczu spływające po szybach i walące o parapety. Jeszcze trochę i znów będziemy musieli zmagać się z powodzią. Na samo wspomnienie 1997 roku przeszył mnie zimny dreszcz.

– Dzisiaj pomidorowa z ryżem – zawołała Antonina, wchodząc do salonu.

– Nie jestem głodna. – Na samą myśl o jedzeniu mnie mdliło. Prawie każda łyżka, jaką Tośka wkładała mi do ust, nie trafiała do żołądka. Choroba sprawiała, że mięśnie odpowiedzialne za żucie i przełykanie zapominały, co mają robić. Pokarm zalegający w przełyku miał dwa wyjścia: albo dzięki sile grawitacji powoli przesuwiał się w dół, powodując ból, albo z powodu zakrztuszenia był wypluwany przeze mnie na zewnątrz.

– Zośka, dobrze wiesz, że musisz jeść, nie dam za wygraną. Wiem, że to boli, ale już wystarczająco się wysuszyłaś i nie mogę patrzeć, jak opadasz z sił.

– Jest jeden plus mojego, jak to nazwałaś, opadania z sił. Kiedy nie jem, ciało nie ma siły się ruszać i nie męczą mnie aż tak bardzo te niekontrolowane ruchy.

Spojrzała na mnie smutnym wzrokiem i ułożyła usta w krzywy grymas. Szybkim ruchem odstawiła miskę z zupą na stolik, a czerwona papka rozlała się aż do jej krawędzi. Tylko cudem nie wyleciała poza naczynie.

– Nawet mnie nie denerwuj! Przychodzę codziennie, opiekuję się tobą i ci gotuję, a ty ciągle robisz mi na przekór. Wolisz, żeby jakaś obca baba karmiła cię na siłę? Żaden problem! Zaraz zadzwonię do Wojtka i znajdziemy opiekunkę.

Widziałam, jak w jej oczach szaleje zdenerwowanie. Miała rację. Byłam niewdzięczna. Poświęcała mi swój czas, a ja wciąż patrzyłam na świat przez pryzmat niedołężności. Przez te wszystkie lata zupełnie zatraciłam zmysł obserwacji terenu i empatię, jaką wypracowałam w DPS-ie. Tośka była dla mnie jak siostra, choć nie łączyły nas geny. Trwała przy mnie tylko ze względu na wieloletnią przyjaźń, chociaż czasem myślałam, że robi to z litości, żebym nie została całkiem sama. W końcu mąż i syn dawno się ode mnie odwrócili.

– Przepraszam. Nie powinnam się stawiać. Naprawdę doceniam twoje zaangażowanie i wsparcie.

Przetarła oczy dłońmi, a następnie pomasowała skronie, by okrężnymi ruchami tłumić myśli kotłujące się w głowie. Znałam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że teraz powtarza sobie, żeby dać mi jeszcze jedną szansę

i wytrzymać kolejny dzień. Wieczorami modliłam się, żeby przyjaciółka zniosła moje humory. Cholernie bałam się momentu, w którym wybuchnie i stwierdzi, że czara goryczy się przelała. Wielokrotnie zdawało mi się, że ta chwila nadeszła, jednak Tośka masowała skronie, by za chwilę puścić w niepamięć to, co wydarzyło się chwilę wcześniej. I chociaż podczas wymiany zdań z przyjaciółką byłam pewna swego, to po kilku godzinach dochodził do mnie obiektywizm zdarzeń, a słowo „przepraszam” było pierwszym, które bardzo często kierowałam w jej stronę.

– Dobrze, więc teraz grzecznie przechylisz się do tyłu, a ja cię nakarmię.

Była jak dobra mama, która mimo zmęczenia i osamotnienia w obowiązkach poświęca się w pełni macierzyństwu. Zagryza język, żeby nie przekląć i, siląc się na uśmiech, robi to, co powinna, by zapewnić dziecku rozwój.

Ciepła zupa powoli spływała po przetyku, co jakiś czas wracając do ust i pojawiając się w kącikach. Tośka wycierała ją z moich policzków na równi ze spływającymi łzami. Moje zażenowanie sięgało zenitu. Chyba każdy chory, zdany na łaskę drugiego człowieka, wolałby umrzeć, niż pielęgnować w sobie ciągle poczucie bezsensowności swojej egzystencji. Po kilku łyżeczkach zgodnie stwierdziłyśmy, że dalsze karmienie nie ma sensu. Obiecałam, że przy kolacji postaram się zjeść więcej. To była wygórowana obietnica, ale chciałam Tośkę jakoś udobruchać. Przyjaciółka tylko pokiwała głową, choć po jej wzroku wnioskowałam, że tak samo jak ja nie wierzyła w moje słowa.

– Na jakim etapie jesteście z Mariką? – spytała, siadając obok mnie na sofie.

– Ciągle na Iwanie – odpowiedziałam smutno.

– Nie przejmuj się. – Ujęła moje dłonie w ręce i przesuwała po nich palcami. – Zdążysz jej wszystko opowiedzieć.

– Chciałabym. Rozmawiałaś z Wojtkiem? Jak się czuje Paweł?

– Rozmawiałam, ale nie mam dobrych wieści. Paweł nie wychodzi z pokoju. Upija się od kilku dni.

Łzy napłynęły mi do oczu, a ciało zaczęło falować od przyjętych kalorii i dużej dawki kortyzolu.

– Nie wiem nawet, jak mu pomóc. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co mnie czeka, ale on dokładnie wie, jak będzie wyglądała jego przyszłość. Patrzył na mnie przez te wszystkie lata i pewnie doszukuje się podobieństwa u siebie. To musi być straszne, gdy wiesz, przez co będziesz musiał przejść, by umrzeć – powiedziałam z trudem. Ruchy mimowolne zabierały dużo siły, a dokładając do tego mówienie, czułam się tak, jakbym biegła na bieżni, równocześnie śpiewając piosenkę.

– Zasugerowałam Wojtkowi, żeby zabrał go do psychiatry. Wiadomość o chorobie odbiła się na jego psychice, więc leki uspokajające byłyby tu dobrym rozwiązaniem. – Tośka wydawała się potwornie zmęczona, jakby na swoich barkach dźwigała cały świat.

– Najpierw musiałyby przestać pić – skwitowałam twardo.

– Naturalnie. Mam nadzieję, że będzie miał dobrze dobrane leki. Pamiętasz, jak twojej mamie... – urwała w połowie zdania, a broda zadrżała jej.

– Tośka, to nie była nasza wina – powiedziałam stanowczo. – Umarła z tęsknoty, stresu, żalu. Serce nie wytrzymało tylu emocji na starość. To na pewno był zawał.

– Nie usprawiedliwiał nas. W końcu to ja przywiozłam leki. Nie powinniśmy jej wtedy ich dawać.

– Dałyśmy jej psychotropę na depresję. Ale nie my je przepisałyśmy! To lekarz zdecydował, jakie leki i w jakiej dawce mamy jej podać! Nie możesz całe życie się tym gryźć.

– Tak, ale... – Łzy napłynęły jej do oczu. – Nie myślałaś, że gdyby nie my, może dalej by żyła?

– Nie, Tośka. Nie myślałam. Tak miało być i nic tego nie zmieni – powiedziałam, a przed oczyma znów stanął mi obraz ze snu, który przyśnił mi się w noc odejścia mamy.

Wtedy od razu przyjął strategię powinności losu. Jest w życiu czas na rodzenie się i uczenie, na chorobę, zdrowie, a także na śmierć. Wtedy zegar życia wybił ostatni raz rytm serca mamy i odeszła. Po prostu. Nie dlatego, że coś źle zrobiliśmy, ale dlatego, że tak zaplanował Bóg... Po

śmierci rodziców nieprzenikniony los był moim wytłumaczeniem na wszystko, a takie rozumowanie pozwoliło mi uporządkować w życiu wiele spraw, pozostawiając wciąż umysł na chodzie.

– Czasem myślę, że jesteś chora za karę, a ja się tobą opiekuję, żeby odkupić winy. – Patrzyła na mnie wzrokiem pełnym skruchy i poczucia winy.

– Chyba zwariowałaś! – wybuchłam gniewnie. – Jak możesz mówić takie rzeczy! Przecież dobrze wiesz, dlaczego jestem chora! Genów się nie oszuka, Tośka! Jesteśmy po medycynie i obie bardzo dobrze zdajemy sobie z tego sprawę!

– Genów się nie oszuka, a jednak twoi rodzice nie mieli płasawicy – odparła smutno i chciała dodać coś jeszcze, ale zrezygnowała.

Westchnęłam.

– Mam nadzieję, że Marika odkryje sekret mojej rodziny i w końcu się dowiem, skąd w moim ciele ten wadliwy gen. Kiedy się okazało, że Paweł jest chory, dużo myślałam o przyszłości. Gdyby zechciał mi wybaczyć, może moje przeżycia byłyby dla niego pewnego rodzaju radą i receptą na życie z tą chorobą. Mam też w sobie dziwne przeświadczenie, że nie będzie cierpieł jak ja, że znajdą w końcu lek. Takie myśli dają mi nadzieję na to, że będzie miał lepiej niż ja. W końcu każda matka, nawet taka, która wyrządziła wiele krzywd, pragnie szczęścia dla swoich dzieci.

Trwałyśmy przez chwilę w milczeniu, każda pogrążona w swoich myślach i analizie przeszłości. W naszym życiu pojawiło się wiele przykrości. Stawiając na wadze dobre i złe chwile, jakich doświadczyłyśmy przez te wszystkie lata, szala zdecydowanie przechylała się w tę podłą stronę. Byłyśmy z pokolenia, któremu nic się nie należało. Do wszystkiego musiałyśmy dochodzić pracą własnych rąk i czułyśmy się pokrzywdzone. Zawsze pod górkę, z kłodami rzucanymi pod nogi, z nietrafionymi prezentami od życia. Wszystko, co ofiarował nam los, z czasem okazywało się naszą zmorą. Tośce pozostawił niepewność i poszukiwanie własnej winy we wszystkim, co ją otacza. Nadal powracała myślami do śmierci mojej mamy, choć w tamtym czasie myślała, że złapała Boga za nogi. Jak się niedługo później okazało, za swoją pychę i pewność siebie oberwała rykoszetem.

Zauroczona Dominikiem, przyjechała pocieszać mnie po stracie ojca i pomóc przy mamie. Młody lekarz był dla niej ideałem. Onkolog z dziada pradziada. Przystojny i odcytany. Sama byłam pod wrażeniem, kiedy po jakimś czasie mi go przedstawiła. Wszystko wskazywało na to, że chłopak nie widzi nikogo prócz niej. Szybkie zaręczyny i jeszcze szybszy ślub sprawiły, że Tosia poczuła się tak, jakby wygrała nowe życie. Sielanka skończyła się w momencie, gdy otrzymała wyniki badań, z których jasno wynikało, że jest bezpłodna. Dominik nie mógł tego zrozumieć, więc na zmianę pił i bił ją. Jej rodzice twierdzili, że musi to wytrzymać, bo przecież ślubowali sobie miłość i wierność, a czas nauczy go pokory. Czas jednak nauczył go jedynie wprawy w zadawaniu ciosów tak, by nie były widoczne. Po jednej z awantur Tośka mało nie umarła. Kiedy wylądowała w szpitalu ze złamanym żebrem, które przebiło śledzionę, wyszło na jaw prawdziwe oblicze kolegi po fachu. W szpitalu musieli przeprowadzić operację, a Dominik od razu został wyrzucony z pracy. Później trafił na jakiś czas do więzienia, wzięli rozwód, a sąd orzekł o jej winie, bo przecież – w dużym uproszczeniu – gdyby była „sprawna”, mąż nie musiałby wylądowywać na niej frustracji. Dla wszystkich orzeczenie było niemiłym zaskoczeniem, w końcu każdy wiedział, że to Tośka jest pokrzywdzona. Ba, sądzili, że dostanie odszkodowanie czy alimenty od męża... Po tej sprawie nigdy już nie związała się z żadnym mężczyzną.

– Nie zadreńczaj się tym – powiedziałam teraz, by ją pokrzepić. – Marika stwierdziła dzisiaj, że możemy jeszcze zmienić całe swoje życie.

– Dobre sobie – prychnęła.

– Zareagowałam tak samo – stwierdziłam i jednocześnie wybuchnęliśmy śmiechem.

Jak za starych dobrych czasów.

**5 maja 1939 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Wskazówka zegara ześlizgnęła się z godziny dwunastej, a wokół pałacu dopiero zaczęło się rozjaśniać. Poranna ulewa sprawiła, że wszyscy byli zmęczeni buzującą wokół aurą i poruszali się jakby w zwolnionym tempie. We wszystkich pomieszczeniach panowała cisza, czasem mącona wolnymi krokami pokojówek. Jedynie salon wypełniał spokojny, choć naszpikowany twardymi słowami głos Józefa Becka, którego wystąpienie właśnie transmitowane było w radiu.

Stefania weszła do salonu i ujrzała ojca, który siedział przy stole, podpierając twarz dłońmi. Wydawał się załamany przemówieniem. Beck mówił o pokoju, a jednocześnie jasno wskazywał na fakt, iż nie zamierza negocjować ani iść na ustępstwa w związku z niemieckimi żądaniem. Z jego słów wynikało, że nade wszystko ceni sobie honor i to według niego była najważniejsza postawa, jaką powinno przyjąć państwo polskie. „Pokój jest ważny, ale nie za wszelką cenę” – grzmiał, podczas gdy hrabia wołałby w tej sytuacji schować honor, dumę i uprzedzenia do kieszeni, stawiając wszystko właśnie na spokojną przyszłość.

Wiosna 1939 roku w Europie rozpoczęła się od ogromnych nerwów. W połowie marca armia niemiecka wkroczyła do Czechosłowacji i zajęła Pragę. Hrabia do tej pory nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia nad reakcją południowych sąsiadów, którzy bez żadnych sprzeciwów zgodzili się być jednostką administracyjną Trzeciej Rzeszy. Jednak od momentu, gdy z ust Hitlera zaczęły padać roszczenia wobec Polski dotyczące włączenia Gdańska do Rzeszy i wybudowania eksterytorialnego korytarza łączącego Prusy Wschodnie z Niemcami, zaczął postrzegać

wszystko inaczej. Im bardziej politycy niemieccy napierali na swoje racje, tym mocniej na polskiej arenie politycznej wrzało. Tu wszyscy jeszcze pamiętali walkę o wolny, niepodległy kraj i postrzegali żądania Niemiec jako próbę odebrania suwerenności Rzeczypospolitej.

Mieczysław słuchał kolejnych audycji radiowych z trwogą. Był coraz bardziej przerażony tym, że palce Hitlera z każdym upływającym miesiącem coraz ciaśniej zaciskają się wokół Polski. Myślał, że dożyje spokojnej starości w murach tego pałacu, ale wzburzony naród był skłonny bić się za cenę jednego miasta. Miasta, w którym Polacy i tak stanowili mniejszość.

Hrabia Obiecki już dawno spełnił swój żołnierski obowiązek i wcale nie chciał go powtarzać. Nie był już tak sprawny jak dwadzieścia lat wcześniej, by z werwą i zapałem zasilać szeregi wojska. Bał się, że tym razem jego ciało i duch zostałyby na froncie, wszak w jego rodzinie śmierć nigdy nie przechodziła obok dwa razy.

Gdzieś z tyłu głowy wciąż tłukła mu się myśl, że powinien być spokojny. Powinien wierzyć w dobrą przyszłość kraju tak, jak wierzył w nią lud. Przecież w kwietniu premier Wielkiej Brytanii poinformował, że pomoże Polsce na wypadek agresji zbrojnej ze strony Trzeciej Rzeszy. Wtedy w Warszawie świętowano sukces Becka, bo przecież dzięki jego wizycie w Londynie odrodziła się w polskich sercach nadzieja na braterską więź z Anglikami. Niedługo później gotowość do wsparcia Wojska Polskiego wyraził Paryż, a społeczeństwo poczuło się na tyle pewnie, że nie patrząc na okoliczności, upierało się przy swojej racji. Jednak Mieczysław wnikliwie obserwował sytuację na świecie i starał się racjonalnie ją oceniać; mimo tłącej się w jego sercu nadziei wątpił we wszystkie zapewnienia sojuszników. Uważał, że deklarowana pomoc może okazać się na wyrost złożoną obietnicą. W końcu prócz Polski Londyn udzielił gwarancji sześciu innym państwom.

– Gdzie wobec tego rozlokowane miałyby być wojska angielskie w pierwszej gotowości? I które z państw byłoby ważniejsze strategicznie? – pytał Karola na spotkaniu w Warszawie, marząc, by ten rozwiął jego wątpliwości. Ale Karol tylko potwierdził przypuszczenia Mieczysława.

– Z pewnością nie byłaby to Polska. Cóż mamy do ofiarowania Wielkiej Brytanii, żeby tak ochoczo pozwalała ginąć swoim żołnierzom na naszej ziemi? Po ostatniej wojnie ledwo stajemy na nogi. Gdzież nam do Holandii czy Belgii – mówił niezbyt entuzjastycznie, a Mieczysław w pełni rozumiał jego spojrzenie na sytuację w Europie.

Od kilku dni Mieczysław czuł w powietrzu zapach prochu, który towarzyszył mu niegdyś w bitwie pod Kostiuchnowką, kiedy to walczył w Pierwszej Brygadzie Legionów Polskich pod dowództwem Piłsudskiego. W niespełna sześciu tysięcy mężczyzn starali się wówczas odeprzeć atak trzynastotysięcznego wojska rosyjskiego. Nigdy wcześniej śmierć nie była tak blisko. Siedział w okopach po samą szyję, a żołnierze obok niego padali jak muchy. Nie ustawał w modlitwie i wierzył, że właśnie to utrzymało go wtedy przy życiu. Za nic w świecie nie chciał ponownie tego przeżywać.

Teraz, gdy opierał łokcie o hebanowy rzeźbiony stół, za który w 1922 roku zapłacił krocie, jego myśli też wędrowały ku niebu. Prosił Boga, by uchronił jego kraj przed wojną. Czuł, że jednoczenie się z Anglią przyniesie odwrotny do zamierzonego skutek i ten ruch zamiast odstraszyć Trzecią Rzeszę, rozwścieczy ją na tyle, że Hitler przestanie polubownie załatwiać sprawy i włączy do zabawy swoją armię, która liczebnością, uzbrojeniem i wyszkoleniem zdecydowanie przewyższa Wojsko Polskie.

– Nie załamuj się, tatusiu. To chyba dobrze, że nie uginamy się pod niemieckimi żądaniami – stwierdziła Stefania, kiedy przemówienie Becka przerwała burza oklasków.

– Może w tym przypadku lepiej byłoby oddać im ten Gdańsk – stwierdził ze smutkiem Mieczysław.

– Najpierw Gdańsk, później Warszawę, a w końcu wezmą sobie całą Rzeczpospolitą! – odpowiedziała butnie córka.

Ojciec przekręcił gałkę odbiornika i wyłączył radio. Nie zważając na to, że drzwi tarasowe są zamknięte, odpalił papierosa.

– Jesteś młoda i niepokorna – zaczął. – Z wiekiem nauczysz się, że porozumienie można osiągnąć tylko na drodze kompromisów. Jeżeli chcą Gdańska, to może udałoby się wypracować takie warunki, które byłyby

satysfakcjonujące dla obu państw, a nie skakać sobie do gardeł na odległość, jak te dwa koguty z różnych gospodarstw, które od rozpoczęcia walki dzieli tylko płotek.

– Ale nasz naród nie chce kompromisów! Przez wieki byliśmy pomijani w Europie i nadszedł czas, żeby się postawić. Pokażemy im naszą siłę, nieugiętość, wolę przetrwania ponad wszystko. Może wtedy zaczną się z nami liczyć. – Stefania była wyraźnie dumna z wystąpienia ministra oraz z postawy Polaków.

Hrabia patrzył na nią z przekąsem. Cieszył się, że miał silną i skłonną do walki o ojczyznę córkę, ale jako ojciec bał się, że jej nieposkromiony charakter może przysporzyć dziewczynie wielu kłopotów.

– Jako państwo jesteśmy zbyt słabi, by się boczyć i stawać okoniem. – Wypuścił dym z płuc i spojrzał za okno. Bujna, przytarasowa roślinność z każdym dniem coraz bardziej zasłaniała widok. – Niedługo przystawią nam lufę do skroni tylko dlatego, że nie chcemy pozbyć się jednego z palców. Palec nigdy nie odrośnie, ale reszta ciała mogłaby sprawnie żyć... Ale nie, hardy naród woli zginąć, niż pozwolić odciąć sobie kawałek ciała.

– Nie martw się, tатku, do tego nigdy nie dojdzie – powiedziała pokrzepiająco Stefania. – Anglia i Francja ochronią nas swoim ciałem albo, co lepsze, zabiorą atakującemu broń. Nie ma co zaprzętać sobie teraz tym głowy. Spójrz, jaki piękny dzień! Na dworze wszystko budzi się do życia! Czyż nie lepiej upajać się tym, co mamy, zamiast zaprzętać sobie głowę problemami?

Patrzył, jak córka wychodzi na taras i skacze po nim boso, stając tylko tam, gdzie kałuże zdążyły już wyschnąć. Stefania pochyliła się i zatopiła twarz w gąszczu kwiatów wyrastających z wielkiej marmurowej donicy, po czym radośnie okręciła się wokół własnej osi, wprawiając zwiewną sukienkę w ruch. Obiecki westchnął ciężko na ten widok. Jego najmłodsza córeczka była przepełniona szczęściem i pragnęła obdarować nim wszystkich. A on, jak każdy ojciec, chciał, by już zawsze rozpierało ją to uczucie. Lecz po jego ciele przeszedł zimny dreszcz, a przed oczyma pojawiły się fotografie z czołówek gazet, które straszyły niemieckimi żołnierzami kroczącymi jak roboty ulicami europejskich miast.

Róża przystanąła obok męża.

– Brakowało mi jej radosnego usposobienia – wyznał Mieczysław. – Jest taka... beztroska. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem ją po przyjeździe, wydawała się nieobecna, ale teraz wróciła do niej radość życia. Jak widać, nic tak dobrze nie robi na duszy jak zapach Kresów.

Żona nie skomentowała. Wydawała się zamyślona. Mieczysław westchnął, zgasił papierosa i poszedł zadzwonić, a po chwili wsiadł z szoferem do samochodu i odjechali w stronę Stanisławowa.

Róża popijała herbatę, stojąc w tarasowym oknie, i patrzyła na Stefanię doglądającą kwiatów. Dziewczyna nuciła pod nosem jakąś piosenkę, a kiedy samochód ojca zniknął za zakrętem, zbiegła ze schodów i poszła w stronę stajni.

Matka obserwowała z niepokojem, jak córka skocznym krokiem oddala się od pałacu. W jej duszy szalało przerażenie, jednak nie dała tego po sobie poznać.

Od kilku dni w pałacu panowała atmosfera niedopowiedzeń. Róża czuła na sobie wzrok służby, pełen litości i współczucia. Niektórzy tylko czekali, aż będą mogli znów szeptać za jej plecami. Inni uśmiechali się szyderczo na każde wydane z jej ust polecenie. Od lat nie spotkała się z takim zachowaniem, choć jeszcze dobrze pamiętała to uczucie, które pierwszy raz zawitało do jej serca niedługo po narodzinach Wandy.

Wtedy nie wiedziała, co takie zachowanie oznacza, i myślała, że goszczące u niej przyjaciółki zwyczajnie zazdroszczą pozycji, jaką miał w tych stronach hrabia Obiecki. Dopiero po jakimś czasie jedna z nich się ugięła i wyznała szeptem, iż Róża wcale nie musi się kryć, bo i tak wszyscy już wiedzą, że Mieczysław potajemnie spotyka się z jakąś dziewczyną, która rzekomo miała być z nim w ciąży. Róża usilnie starała się nie pokazywać zmieszania, chociaż w jednej sekundzie jej serce roztrzaskało się na miliony kawałków. Najgorszy w tym wszystkim był fakt, że skupiona na nowo narodzonego dziecku nie dostrzegła tego, o czym, jak twierdziła Klara, wszyscy wiedzieli. W ciągu dnia za wszelką cenę starała się udawać, że wszystko jest w porządku, a pod osłoną nocy szpiegowała męża, który wymykał się do jednej ze służących. Przez kilka miesięcy przeżywała żalobę po utraconym małżeństwie, choć nigdy

nikomu się do tego nie przyznała. W ciszy sypialni płakała i przeklinała swoje życie, a po każdym niedzielnym nabożeństwie Gorzkich Żali zostawała w kościele i siedziała wpatrzona w rzeźbę Maryi. Tam czuła spokój i uwolnienie od szeptów, spojrzeń czy prześmiewczych gestów. Ksiądz, widząc jej udrękę, wielokrotnie prosił, by oddała swoje troski w ręce Pana, a On uchroni ją od złego; Róża jednak siedziała niemo, nie mając odwagi prosić o nawrócenie męża, bo zdawała sobie sprawę, że jej cierpienie jest odbiciem bólu, jaki zadała swojej matce przez nieumyślne pozbawienie życia własnego ojca. Za całą sytuację nie obwiniła Mieczysława, lecz siebie, uważając, że jego zdrada jest karą za haniebne czyny z przeszłości. Stała się niewolnicą swoich przekonań. Biczowała swoje serce za każdym razem, gdy ze sztucznym uśmiechem szła z hrabią pod rękę na weekendowych balach, gdy otwierała mu drzwi swojej sypialni chwilę po tym, jak wrócił od dziewczki, lub gdy spokojnie zapewniała przyjaciółki, że wszystko między nią a Mieczysławem się układa, a te plotki z pewnością są wynikiem zazdrości. Miłość kwitła jednak wyłącznie na pozór i przez wzgląd na rodzinę, a serce Róży usychało. Była tylko malowanym pejzażem, który zdobił mury pałacu. Wszystko zmieniło się wraz z nadejściem jesieni, kiedy szalejąca w okolicy grypa zdziesiątkowała mieszkańców. Nałożnica hrabiego zmarła w ciągu dwóch dni, a wraz z nią nienarodzone dziecko. Mieczysław nadal wymykał się nocami, krążył po zaoranych polach, by odwiedzać jej grób, a Róża z każdym dniem była spokojniejsza i lepiej spała, choć nigdy już nie spojrzała na męża z uczuciem.

Tym razem hrabina nie chciała dopuszczać do siebie informacji o tym, co robi Stefania. Nie chciała przeżywać jeszcze raz zdrady obyczajów, chociaż patrząc na codzienne schadzki w stajni, czuła, jak córka okręca wbity w matczyne serce nóż i tak jak jej ojciec z zacięciem kroczy przez życie, kierując się tylko głosem serca, którego rytm fascynacji burzył wszystko, co zbudowała w swoim życiu.

**27 czerwca 1997 roku,
Wrocław**

– Zbliżał się czerwiec tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Rok po tym, jak pierwszy raz zobaczyłem Stefanię przy rododendronach. – Iwan znów zagłębił się we wspomnieniach. – Hrabia z żoną planował wyjechać do Warszawy obejrzeć pierwszą gonitwę na torze wyścigów konnych. Siostry Stefanii wraz z mężami miały tam na nich czekać, a później z rodzicami wrócić na Kresy, na rodzinny zjazd. Stefania symulowała chorobę, żeby móc zostać ze mną. Bałem się jak cholera, że jej plan się powiedzie.

– Dlaczego? – spytałam zaskoczona. – Nie chciał pan jej zobaczyć?

– Chciałem, oczywiście, że chciałem, panienko Sofijo, ale co innego pisać listy, a co innego stanąć twarzą w twarz z osobą, której wyjawiało się swoje sekrety i uczucia.

– Fakt – stwierdziłam, zjadając się jabłkiem. – Taka konfrontacja z pewnością musiała być stresująca.

– I była! Odkąd przeczytałem w liście, że jej plan się udał i zostaje w pałacu sama, nie wiedziałem, gdzie zagrzać miejsca. Ze stresu kompletnie straciłem apetyt. Kiedy wróciłem do domu, matka już czekała z barszczem. Chociaż przepadałem za tą zupą, to jak dzieciak grzebałem łyżką w talerzu. Bliźniacy podśmiewali się, że pewnie Oksana zawróciła mi w głowie. Widzieli kilka razy, jak wracaliśmy wspólnie z pracy i dziewczyna patrzyła na mnie maślanymi oczyma. Zgromiłem ich spojrzeniem. Matka kazała wracać im do pielienia warzywnika, choć chyba myślała podobnie jak oni. Usiadła naprzeciw i powiedziała, że jeśli chcę wziąć za żonę Oksanę, to ona nie będzie miała nic przeciwko, ale

żebym poczekał, aż bracia skończą szkołę, by mogli pójść do pracy bardziej wykształceni niż ja. Nie zdołałem wyznać jej prawdy, chociaż bardzo tego potrzebowałem. To nie tak, że nie mogłem wziąć Polki za żonę. Wręcz przeciwnie. Małżeństwa mieszane były dość często spotykane na tamtych terenach, ale mieszały się ze sobą rodziny zaprzyjaźnione. Obieccy nie mieli dobrej sławy. Nie zrobili nic złego, zawsze starali się pomóc, ale byli bogaci. Obrzydliwie bogaci. A przez Ukraińców przemawiała zazdrość o posiadanie ziemi na własność. Uważali, że Polacy po pierwszej wojnie światowej zwyczajnie im ją zabrali, a do tego prawie wszyscy mieli wyższy status społeczny. W moich kręgach wciąż się powtarzało, że przez Polaków nie ma wolnej Ukrainy i nie będzie jej, dopóki oni tu będą. Kiedy zacząłem pracę u hrabiego, wielu znajomych przestało utrzymywać ze mną kontakt. Z czasem nawet bliżsi koledzy całkiem odwrócili się ode mnie, twierdząc, że przesiąknęłam polszczyzną. Sąsiadki gadały matce, że niepotrzebnie traci siły, bo syn i tak odwrócił się od Ukrainy, a choroba na nią przyszła za zdradę ojczyzny. W takiej sytuacji nie mogłem bardziej się pograżać, więc przytaknąłem matce i poprosiłem, żeby nic nie opowiadała sąsiadkom o Oksanie, dopóki sam jej nie pozwolę.

– Nie rozumiem – stwierdziłam z konsternacją. – Skoro sytuacja była taka napięta i społeczność ewidentnie zaczęła się dzielić ze względu na narodowość, to dlaczego pan się wyłamał i nawiązał bliski kontakt z hrabianką?

– Ludzie coraz częściej wykazywali wobec siebie wrogość, ale byli też tacy, którzy latami przyjaźnili się z Polakami i żadne nastroje narodowe nie mogły wpłynąć na te więzi. Ja zawsze miałem neutralne poglądy polityczne. Mój ojciec powtarzał, że kiedy do niego strzelają, on wyciąga chleb na pojednanie. Przyjąłem sobie do serca te słowa jako schedę po zmarłym autorytecie i nigdy nie postrzegałem Polaków jako okupantów. Teraz myślę o tym, co powiedziałaś, i widzę, że gdybym nie przejął po ojcu tolerancji wobec wszystkich nacji i miał bardziej nacjonalistyczne poglądy, nigdy nie byłbym w stanie darzyć Stefanii uczuciem. A przynajmniej nie byłoby to uczucie pozytywne. Zewsząd docierały do mnie informacje o formowaniu się OUN.

Popatrzyłam na niego zaskoczona. Na lekcjach historii w szkole sprawnie omijano temat Ukrainy i jej kwestii w okresie wojennym, ale „OUN” brzmiało złowrogo. Iwan zauważył moją konsternację i wytłumaczył:

– Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów. Od kilku lat zrzeszała młodych i nieco starszych mężczyzn, którzy dla uzyskania niepodległej i czystej Ukrainy godzili się na wszelkie przejawy agresji względem innej narodowości.

Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy może mi coś powiedzieć. Spojrzał przenikliwie i zabrał głos:

– „Wrogi element”. Takim nazywano Polaków, Żydów, Czechosłowaków i innych, którzy zamieszkiwali Kresy. Należało usunąć ich za wszelką cenę, by oczyścić teren.

Wybałuszyłam oczy na te słowa, a Iwan zaczął oddychać ciężko i nerwowo zaciskał dłonie. Obserwowałam staruszka, w którym mimo sędziwego wieku sączyła się rozdrapywana co jakiś czas rana przeszłości.

– Ale pan chyba nie... – zaczęłam, chociaż nie wiedziałam, jak sformułować pytanie. Nigdy wcześniej nie przeszło mi przez myśl, że ten miły emeryt mógłby dopuścić się niewybaczalnych czynów. Jego przyjemne usposobienie wykluczało taką ewentualność, a z drugiej strony pomyślałam, że skoro nie potrafił zapomnieć o tym, co się wydarzyło, musiało mieć to związek z jakąś brutalną prawdą.

– Nie. A przynajmniej nie przed wojną – przerwał mi. – Wtedy nie przypuszczałem, że mógłbym kogoś skrzywdzić, i mam sobie za złe, że nie zrobiłem nic, żeby zmienić bieg wydarzeń. Tutaj macie takie trafne powiedzenie: „Mądry Polak po szkodzie”. Teraz jestem uczulony na wszelkie przejawy agresji, ale wtedy uznałem, że to niewinne słowa, które nigdy nie zamienią się w czyny. Tego dnia, gdy dowiedziałem się o możliwości spędzenia czasu sam na sam ze Stefanią, pierwszy raz dostrzegłem to, co stało się zgorą i przekleństwem reszty mojego życia. Słońce chyliło się ku zachodowi, a ja obserwowałem pełen jaskrawych kolorów spektakl na niebie. Rozmyślałem nad tym, jak potoczy się następny dzień i czy relacja ze Stefanią nie okaże się tylko platonicznym

uczuciem, kiedy do płotu przy naszym domu podeszła zgraja młodych chłopaków ze wsi. Czekali na moich braci, którzy w pośpiechu kończyli jeść kolację, bo na głodnego matka nie pozwalała nam nigdzie wyjść. Patrzyłem na nich i z niedowierzaniem słuchałem jadu, jaki sączył się z ich ust. Potok słów pełnych nienawiści, przesycony chęcią zemsty, wbijał się we mnie niczym skute lodem sztylety i mroził krew w żyłach. Chociaż byłem od nich starszy o dobre kilka lat i trochę już w życiu widziałem, stałem jak wryty. Coraz bardziej brutalne odzywki wprawiały towarzystwo w ekstazę. Nie mogłem zrozumieć, skąd w tych młodzieńcach tyle zjadliwości. Przecież z większością osób, które szykanowali, znali się od dziecka. Bracia wybiegli z domu i razem z tamtymi poszli w stronę lasu. Wróciłem do chaty i spytałem matkę, czy wie, z kim spotykają się jej synowie i jakie tamci mają wartości. Odpowiedziała, że cieszy się, że właśnie z nimi spędzają czas, bo młodzi mają ducha patriotyzmu i dbają o losy swojej ojczyzny. Żałowała, że zdrowie jej nie pozwala do nich dołączyć, bo gdyby tylko była młodsza, sama walczyłaby o los wolnego narodu i ukraińskiej ziemi. Byłem zdumiony jej postawą. Wyrzucałem sobie, że skupiłem się na relacji ze Stefanią, zapominając, że powinienem dbać o rodzeństwo tak, jak ojciec dbał o mnie, zanim umarł. Powinienem przekazać im wartości, których ani czas, ani okoliczności nie mogłyby zburzyć. – Westchnął, przetarł dłonią nos i wąsy.

Pozwoliłam mu zamknąć szczelnie to wspomnienie. W końcu znów zabrał głos:

– Następnego dnia, gdy pokonywałem drogę do Obieckich, u skraju lasu dostrzegłem zgliszcza stodoły Bielawskich. Otrzeptałem się z pierwszej myśli, jakoby moi bracia mieli coś z tym wspólnego. Zamiast wrócić do domu i rozprawić się z nimi, zastanawiałem się, jak przebiegnie spotkanie z hrabianką. Dochodząc do przypałacowej stajni, zauważyłem, że Stefania już na mnie czeka. Podeszedłem bliżej i powiedziałem „dzień dobry”. Odpowiedziała uśmiechem. Była równie mocno zdenerwowana, co ja. Staliśmy naprzeciw siebie, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. Czułem, że powinienem coś zrobić, jednak umysł odmówił współpracy. Wskazała na polne kwiaty, które trzymałem

w ręce, i spytała, czy to dla niej. Kiwnąłem głową, a ona uśmiechnęła się i sięgnęła po bukiet. Zaciągnęła się jego zapachem, cmoknęła mnie w podzięce w policzek, a ja ciągle nie mogłem wydusić z siebie słowa. Nie stać mnie było, żeby coś jej zaoferować, więc powiedziałem, że żadne kwiaty nie są równe jej urodzie i że chciałbym zabrać ją na koniec świata, ale póki co, mogę zaproponować tylko swoje towarzystwo. Tak słodko oblała się rumieńcem...

Wzrok Iwana powędrował w stronę rododendronów. Patrzyłam, jak jego twarz się rozchmurza, a usta rozciągają w przyjemnym uśmiechu.

– I stwierdziła, że wszystko już zaplanowała. Wskazała ręką kosz, na którego wieku leżał czerwony koc, i kazała iść za sobą. Oburzyłem się, twierdząc, że muszę najpierw oporządzić konie, bo gdyby jej ojciec nagle wrócił do posiadłości, mógłby mnie zwolnić za niewykonanie obowiązków. Zaśmiała się głośno i stwierdziła, że teraz to ona jest moim panem i też może mnie zwolnić, jeśli wykażę się niesubordynacją. Poszliśmy do parku, w głębi którego był urokliwy staw. Przed naszymi oczami malowała się lazurowa tafla wody, na której rozwijały skrzydła łabędzie, a kaczki nurkowały w poszukiwaniu pokarmu. Otaczały nas dęby i sosny... Stefania opowiadała, że dzień wcześniej poprosiła ojca, żeby zamontował w stawie fontannę, a on nie dość, że wyraził zgodę, to w dodatku zaproponował, żeby wybudować tu oranżerię. Przyglądałem się, jak chodzi po trawie, zaaferowana opowieścią, śmiesznie przy tym gestykułując. Pierwszy raz mogłem długo i bez skrepowania obserwować jej ruchy, mimikę twarzy, słuchać barwy głosu. Zwiewna, żółta sukienka stanowiła kontrast do otaczającej nas zieleni. Słońce stało wysoko na niebie, a przed upałem chronił cień drzew oraz lekka bryza, która wprawiała sukienkę Stefanii w ruch. Obserwowałem ten spektakl coraz śmielej, wędrując wzrokiem po jej ciele. Wyobrażałem sobie, jak może wyglądać nieokryta gustownymi tkaninami skóra. Rozpiąłem guziki koszuli, odsłaniając tors, podwinąłem rękawy nad łokcie i siedząc na kocu, rozglądałem się dookoła, starając się skupić myśli na otaczającym nas parku. One jednak wciąż kierowały się w stronę Stefanii, odzierając ją z ubrania. Chyba wyczuła moje napierające spojrzenie, bo chrząknęła i spytała, czy podam jej wodę z koszyka. Sięgnąłem po dzban,

napełniłem kubek, a ona usiadła obok mnie i przez przypadek oblała się napojem. Jej nerwowy śmiech był oznaką jej zakłopotania, a mnie rozczuliła ta nieporadność. Woda spływała wąską stróżką po jej szyi i zmierzała w stronę dekoltu. Zaschło mi w ustach na ten widok, a chwilę później przestałem już panować nad oglądą. Starłem dłonią wodę z jej ciała. Drżała pod wpływem mojego dotyku. Pieściłem aksamitną skórę opuszkami palca, sunąc po jej szyi. Siedziała napięta jak struna, cicho pomrukując. Zamknęła oczy, delikatnie rozchyliła wargi, a ja odebrałem to jako zaproszenie i pocałowałem ją. Słodkie usta przyjęły mnie z godnością rangi oficerskiej, chociaż byłem zwykłym chłopem ze wsi. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, oparła głowę o moje ramię. Przez dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu, bo wszystkie słowa wydawały się niegodne zakłócania tej chwili. Mieliśmy siebie i nic więcej się nie liczyło.

– Czyli jednak tego dnia nie sprzątał pan w stajni? – spytałam przekornie, gdy Iwan na dłuższą chwilę zamilkł, kiedy jednak ujrzałam jego zawadiacki uśmiech, wiedziałam, że ich randka przy jeziorze nie zakończyła się na jednym pocałunku.

– Sprzątanie stajni było bardzo przyjemne tego dnia – odparł i omiół ogród spojrzeniem. Następnie przerzucił wzrok na mnie, przeszywając mnie na wskroś. Ciepło rozsadzało mnie od środka, a wyobraźnia powędrowała w rejony, które wywoływały dreszcz podniecenia.

– Chyba nie chcę znać tych szczegółów – stwierdziłam, po czym dotknęłam policzków, które żarzyły się czerwienią ze skrępowania.

Staruszek wybuchnął gromkim śmiechem i stwierdził, że i tak nie miał zamiaru dzielić się tamtym doznaniem.

– Panie Iwanie – popatrzyłam na niego niemal przez palce – nie spodziewałam się po prostu, że tak szybko narodzi się między wami... – Wertowałam w głowie listę słów, ale żadne nie było odpowiednie. Jako laiczka w relacjach damsko-męskich z trudem wypowiadałam każdy synonim zbliżenia. – Namiętność – wydusiłam w końcu.

– Namiętność to już buchała z listów, jakie do siebie pisaliśmy. Trzydziestego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku po

prostu skonsumowaliśmy spisane pragnienia. Proszę się tak nie rumienić. Pewnie niejedno pani w życiu widziała.

– Yyy... Tak, tak. Niejedno – odparłam, skupiając wzrok na kubku herbaty.

Było mi wstyd, że skończyłam dwadzieścia sześć lat, a mimo to wciąż byłam dziewicą. Słuchałam zwierzeń tego mężczyzny, nie mając w życiu ani jednego faceta. Spojrzałam ze smutkiem na fasadę Domu Pomocy Społecznej i utwierdziłam się w przekonaniu, że w tym miejscu to raczej nie znajdę towarzysza życia. A już na pewno nie takiego, który byłby moim rówieśnikiem.

– Proszę się tak nie gorszyć – zaczął Iwan i pogłaskał mnie przyjacielsko po ramieniu. – W moich czasach ludzie nie czekali latami, żeby się kochać. Jeżeli pojawiło się uczucie, to nikt nie tracił czasu na umawianie się czy chodzenie latami za rękę. Po kilku miesiącach pisania do siebie listów i tak mieliśmy długi staż znajomości w porównaniu z innymi parami. Każdego z nas poturbowała pierwsza wojna światowa. Każdy stracił ojca, wujka czy kogoś bliskiego. Chcieliśmy kochać, żyć pełną piersią i cieszyć się teraźniejszością. Z perspektywy czasu widzę, że to było najlepsze, co mogliśmy dla siebie zrobić, tym bardziej że kolejna wojna wybuchła tak szybko. Kiedy obserwuję teraz młodych, którzy egoistycznie patrzą tylko na swoje dobro, jest mi ich żal. Podbijają świat, robią kariery, a miłość zostawiają na potem. Wciągnięci w młyn życia zapominają, że to ona jest sensem i wartością, dla której zostaliśmy stworzeni.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale zdałam sobie sprawę, że jestem żywym przykładem tego, o czym mówił. Goniłam w życiu za wieloma rzeczami, ale miłość zostawiałam w tyle. Naiwnie założyłam, że mam na to czas, bo moi rodzice żyli. Gdy nagle zostałam sama na świecie, nie potrafiłam nawet przeżywać normalnie żałoby, ponieważ potrzebowałam wsparcia, opieki, rozmowy. Tych wszystkich rzeczy, które mógłby dać mi mąż, gdybym go miała. Tymczasem przykleiłam się do emeryta, słuchając jego wspomnień, jakby opowiadał moją historię rodzinną. Spojrzałam na niego zrezygnowana. Zmarszczył czoło i posłał mi ciepłe, choć pełne litości spojrzenie, które było nie do zniesienia.

Z trudem przełknęłam ślinę i pospiesznie podziękowałam mu za tak obszerną opowieść, a następnie wymigując się pracą, uciekłam do stróżówki. Zamknęłam za sobą drzwi, oparłam się o nie plecami i chciałam wybuchnąć płaczem. Pozwolić, żeby głośny krzyk spłoszył te wszystkie pesymistyczne myśli, które niczym kruki obsiadły moją duszę, pozostawiając na niej czarne plamy. Całe morze czarnych plam. Otworzyłam usta, ale nie byłam w stanie wydobyć ani słowa. Chociaż w środku cała dygotałam i byłam na skraju płaczu, łzy nie chciały przekroczyć brzegu powiek. Ta chwila pozostawiła mnie z kolejnym krukiem na duszy.

Nie pozwoliłam sobie trwać długo w tym stanie. Oplukałam twarz w toalecie i patrzyłam na swoje odbicie, starając się złagodzić jego wyraz. Napięte mięśnie, szczękościsk i oczy, które stanowiły ciemną próżnię, nie były zachęcającym widokiem. Jeżeli chciałam zmienić swoje życie, musiałam coś ze sobą zrobić, ale krok, który musiałam postawić, z każdym dniem robił się dłuższy, a ja coraz mniej gotowa na to, by go wykonać.

**12 lipca 1939 roku,
Stanisławów**

– Mmm, cóż to za mieszanka! – mruknęła Stefania chwilę po włożeniu do ust kolejnego kawałka ciasta z owocami i bitą śmietaną.

Jagna Dobrowolska patrzyła na przyjaciółkę z niedowierzaniem, nie mogąc uwierzyć, jak to możliwe, że człowiek w ciągu roku jest w stanie tak diametralnie zmienić swoje usposobienie.

Siedziały w najlepszej cukierni w Stanisławowie, którą Stefania dotychczas uznawała za wylęgarnię wyrachowanych dam, delektujących się specjałami Krowickiego, patrzących, jak tuż za oknem tyle dzieci potrzebowało wsparcia. W końcu niewiele osób mogło pozwolić sobie na kawę w hotelu Union, a co dopiero na pełny deser. Jagna zazwyczaj nie stroniła od pomocy biednym, ale w jej mniemaniu charytatywność wcale nie musiała powodować ograniczeń, które zwykła narzucać sobie Stefania. Dobrowolska lubiła przepych, którym dzięki ojcu mogła się otaczać. Uważała, że jedzenie ma pieścić kubki smakowe, i nie zamierzała rezygnować z serwowania rozkoszy swojemu podniebieniu. Gdy czuła się dobrze, z łatwością przychodziło jej niesienie pomocy innym.

Jeszcze rano zastanawiała się, jak podejść Stefanię. Rzadko bywała w Stanisławowie, a takiej cukierni jak w hotelu Union nie spotkała nigdzie indziej. Duża, przestronna sala, stanowiąca hotelowe lobby, wyposażona w liczne okrągłe stoliki, na które narzucono śnieżnobiałe, pachnące i wykrochmalone obrusy, stanowiła formę luksusu, której w tym dniu pragnęła Jagna. Krzesła w stylu ludwikowskim, podobne do tych, które miała w domu, sprawiały, że nie czuła się wyobcowana,

a miękki, ciemny dywan tłumił odgłosy kroków. W tle grał na pianinie zatrudniony na stałe muzyk, a lekkie akordy komponowały się z rozkoszami podniebienia, których nie doświadczała nigdzie indziej. Z westchnieniem wyobrażała sobie, jak lodowy deser komponuje się z gorącą, aromatyczną kawą, miękkie krzesło dba o jej plecy, a lekka perfumowana aura przenosi ją w odległe, przyjemne tereny podświadomości.

Teraz siedziała nad ulubionym deserem i nie mogła się przestawić na chwilę relaksu. Patrzyła na przyjaciółkę i analizowała jej zachowanie. Jagna spodziewała się, że propozycja zjedzenia deseru w hotelu Union zostanie obarczona długim wywodem o szkodzie w społeczeństwie, jaką wywołują drogie lokale, przyczyniające się do pogłębiania różnic społecznych. Jednak zanim zdołała spytać, Stefania zaproponowała właśnie to miejsce na odpoczynek po udanych zakupach. Naręcza toreb wypełnionych drogimi ubraniami włożyły do samochodu, który Stefania dostała w prezencie urodzinowym od ojca i który z dumą prowadziła jako wyzwolona kobieta z zachodu, a nie jak wychowana w duchu arystokracji młoda mężatka.

Nie widziały się od ślubu Stefanii i teraz trudno im było znaleźć tematy do rozmów. Rok rozłąki wydawał się przepaścią dzielącą ich przyjaźń, której nie mogły przeskoczyć. Kiedy Stefania oświadczyła, że nie wróci na uczelnię, ale wyjedzie na Pomorze z Karolem, w Jagnie coś pękło. Miała wrażenie, że jakaś część jej duszy umarła, ponieważ była ze Stefanią zżyta jak z nikim innym. W końcu oprócz wspólnych studiów dzieliły również stancję, wspomnienia i przekonania. Obie miały arystokratyczne pochodzenie i jak dotąd rozumiały się bez słów, chociaż Jagna w odróżnieniu od Stefanii zawsze wydawała się bardziej skryta, mniej atrakcyjna i potrzebowała więcej energii na to, by przyswoić jakiegokolwiek informacje. Jednak czytając listy od Stefanii słane z Pomorza, odnosiła wrażenie, że zamieniły się rolami. Toksyczny, impulsywny i zaborczy mąż zdawał się tłumić w Stefanii wszelkie pokłady tego, co dotychczas wydawało się Dobrowolskiej cechami niedoścignionymi. Wtłoczenie przyjaciółki w ramy usługującej mężowi gospodyni domu, obrywającej za każdy przejaw niesubordynacji,

poniżanej i gardzonej, powinno odbić się na jej pewności siebie, otwartości czy ufności względem ludzi. Tymczasem kiedy spotkały się twarzą w twarz i kurtyna opadła, Jagna poczuła się oszukana, ponieważ Stefania wyglądała, jakby za sprawą magicznej mocy, jeszcze piękniej niż w dniu ślubu. Jej oczy lśniły, jakby skrywały w sobie diamenty, nieskazitelna cera nabrała wyrazu, z twarzy biła pewność siebie, ale też dojrzałość, a ciemne włosy nie falowały już niesfornie, lecz każdy idealnie zakręcony lok zdawał się być na odpowiednim miejscu. Ta sama Stefania, która jeszcze na uczelni nie przywiązywała wagi do ubioru i wolała upodobnić się do ekspedientki lwowskiego domu mody niż do dziewczyny z wybiegu, teraz rozprawiała nad tym, jakie koronki, gorsety i biustonosze zamówić u najlepszej krawcowej w Warszawie. Zdecydowanie nie wydawała się kobietą, która przez ostatnie miesiące siedziała zamknięta w kuchni, zastraszona i odsunięta od rodziny. Nie wyglądała jak ofiara kata, lecz zakochana, przeżywająca najjaśniejszy moment swojego życia.

Stefanię zachwycało wszystko wokół, a uśmiech nie schodził jej z twarzy. Nawet tu, w hotelu Union, była zafascynowana każdym detalem, który kiedyś powodował u niej mdłości, chęć odrzucenia wszystkich ziemskich dóbr i przyłączenie się do chłopów lub chociaż zrobienie dla nich czegoś, co poprawiłoby komfort ich egzystencji. Teraz chłoneła wszystko, jakby możliwość przeżywania takiej chwili budowała w niej szczęście.

Jagna nie mogła przetrwać tej zmiany. Obserwowała przyjaciółkę i z niesmakiem zastanawiała się, czy to wszystko, o czym pisała Stefania w listach, wydarzyło się naprawdę, czy było tylko zmyślonymi bajkami, żeby wzbudzić w niej współczucie i zainteresowanie swoją osobą.

– Patrzysz na mnie, jakbym była jakimś wytworem wyobraźni, ale jestem tu, Jagna. To ja, stara dobra Stefania, chociaż już nie Obiecka. – Dziewczyna zaśmiała się w głos i ostentacyjnie oblizwała łyżeczkę po deserze ku uciechu siedzących nieopodal młodych bankierów.

Dobrowolska uśmiechnęła się lekko.

– Wydajesz się jakaś inna. Wiem, że Karol nie był dla ciebie dobry, ale... – zawiesiła głos – ...wydaje się, jakbyś mimo to była zakochana,

a nie nieszczęśliwa.

Stefania pobladła, z trudem przełknęła ślinę i rozejrzała się na boki, a kiedy upewniła się, że nikt jej nie słyszy, odparła szeptem:

– Bo się zakochałam. Naprawdę.

Biła się jeszcze z myślami, nie wiedząc, czy może opowiedzieć Jagnie o swoim uczuciu, o Iwanie i o tym wszystkim, dzięki czemu dostrzegła piękno, dobro i słodycz życia. Miała ochotę śpiewać, tańczyć na ulicach, obrzucić nieszczęśliwych swoją radością, przyjąć w ramiona wszystkie dzieci pragnące troski i wykrzyzczyć światu, że kocha, że miłość to najlepsze, co może spotkać ludzi. Z drugiej strony czuła przeszywający niepokój, który pojawiał się zaraz po przyływie radości i szeptał do ucha, że to, co robi, jest grzechem, że jej uczucie jest zakazane, bo przecież oddała się przed Bogiem innemu.

Była żoną generała Wojska Polskiego, córką arystokraty, a serce i łóżko dzieliła z ukraińskim chłopem, ze stajennym, na którego widok ugięła jej się kolana, miękło serce i wirowało w głowie. Będąc z nim, żyła na granicy snu i jawy, życia i śmierci, w ciągłym zawieszeniu czasoprzestrzeni. Na samo wspomnienie jego dotyku oddech jej przyspieszał, a kiedy wracała myślami do namiętnych chwil, czuła ciepło w podbrzuszu. Nikt nigdy nie miłował jej z takim oddaniem, wiedzą i pasją. Iwan reagował na każde jej westchnienie, każdy jęk czy myśl, którą nie wiedziała, jakim cudem odczytywał. Miała wrażenie, że wie o niej wszystko, a nawet więcej niż ona sama. Był jej uzupełnieniem i pasował jak klucz do zamka, który otwierał wrota nierealnej przyjemności. Odkąd pierwszy raz ich nagie ciała przywarły do siebie, miała wrażenie, że narodziła się na nowo. Wszystko wokół stało się jakby piękniejsze, jaskrawsze, idealnie pasujące do krajobrazu. Przemawiało przez nią przeświadczenie, że oto jest to, co przytrafia się nielicznym, i że ona urodziła się tylko po to, by mogła przeżyć to uczucie. Nie miała wątpliwości, że Iwan jest jej jedyną miłością. Taką, o której czytała w książkach, taką, którą czuła w powietrzu na zaślubinach jej sióstr, a która w żaden, nawet najmniejszy sposób nie objawiła się między nią a Karolem. Od kilku miesięcy wstawała z łóżka z nieukrywaną lekkością i czuła jedność z tą ziemią, z pałacem, z Iwanem. Jej ciało

pasowało do niego jak gwiazdy do nieba. Był kroplą, która poiła jej zaschniętą duszę. Każdy jego dotyk leczył pokryte sińcami ciało, każdy pocałunek sprawiał, że odradzała się na nowo, a kiedy oddała mu się cała, wiedziała, że już nigdy do nikogo innego nie będzie należeć. Iwan był jej przeznaczeniem od zawsze. Był jej zapisany w gwiazdach, sprowadzony na jej drogę przez Boga i chociaż z tyłu głowy wciąż słyszała słowa Cyganki, że to uczucie sprowadzi na jej rodzinę cierpienie, nie umiała i nie chciała mu się oprzeć. Nie potrafiła zrezygnować z tego, co sprawiało, że była lepszym człowiekiem. Odkąd zrozumiała, że kocha Iwana, każda walka, każda ideologia i próba buntowania się nie miały sensu. Mogła obdarzać innych wyłącznie dobrem, czuła, że jest nim wypełniona po brzegi.

– Ostatnio w liście czytałam coś innego – stwierdziła z przekąsem Dobrowolska, wyrywając Stefanię z rozczulającego zamyślenia. – Podobno Karol...

– Karola nie ma – przerwała jej Stefania półszepem. – Wyszłam za niego z przekonania, że to będzie dla mnie odpowiednie, a dokonałam dokładnie tego wyboru, od którego uciekałam. Teraz moje serce należy do innego, chociaż zdaję sobie sprawę, że nigdy nie będę mogła żyć z nim tak, jak bym tego pragnęła.

Powietrze między nimi zgęstniało. Jagna przez ułamek sekundy patrzyła oniemiałym wzrokiem na przyjaciółkę, a później zamknęła otwarte ze zdziwienia usta.

– Przrzekałaś! – podniosła głos. – Ślubowałaś przed Bogiem miłość i wierność!

Stefania spuściła głowę, nie chcąc pokazywać po sobie emocji. Nie była głupia. Wiedziała, co robi i jak to wygląda. Marianka, widząc, jak Stefania wraca w pomiętej spódnicy, z nitkami słomy we włosach i z wypiekami na twarzy, powtarzała, że tym właśnie buduje sobie drogę do wiecznego potępienia.

– Wiem – powiedziała szeptem. – Wiem o tym! Co noc śni mi się koszmar, w którym jestem w kościele i mówię, że kocham Karola, choć to nieprawda. Szłam do ślubu z grzechem na ustach, ale gdyby Bóg nie był temu przychylny, przerwałby ceremonię!

Podniosła wzrok na Jagnę, a ta ze złością pokręciła głową. By ukryć swoje skrepowanie, Stefania sięgnęła po łyżeczkę i przesuwiała nią po brudnym talerzu, malując na nim bazgroły. Nie czekając, aż Jagna skomentuje jej słowa, postanowiła rozgrzeszyć się ze swojego zachowania.

– Codziennie zastanawiam się, jaką karę zapłacę za swoje wybory, ale czyż to nie ślub z Karolem był dla mnie karą? Czy nie zapłaciłam za to swoim ciałem, które poddawało się biciu i poniżaniu? Czyż mój posag nie wynagrodził mu krzywd, jakich doznał od mojej rodziny po śmierci ojca? Z każdym dniem widzę coraz wyraźniej, że nie mam takiej mocy sprawczej, by uciec od przeznaczenia. Ono się wypełnia na moich oczach, a ja mogę mu się albo bacznie przyglądać i mieć nań wpływ, albo poddać. Wiesz, że chciałam odwrócić bieg. Robiłam wszystko, by słowa Cyganki nie stały się rzeczywistością, ale mam wrażenie, że tylko pograżyłam się bardziej. Pamiętasz, jak profesor Lichocka opowiadała o ruchomych piaskach? Czuję, jakbym właśnie została wrzucona w takie miejsce. Im bardziej się buntuję, tym bardziej zapadam się w czeluść bez dna. Jednak teraz jest przy mnie ktoś, kto trzyma mnie za rękę i próbuje wydostać z tej sytuacji.

Jagna patrzyła z niedowierzaniem i rosnącą frustracją. Zaciśnięte wargi uwydatniały rumieniące się policzki, jakby właśnie wykonywały nad wyraz trudną i ciężką pracę. Dziewczyna o zazwyczaj łagodnym spojrzeniu mrużyła oczy, jakby chciała siłą umysłu wystrzelić w stronę przyjaciółki toksyczne sztylety, które nie tyle zranią jej ciało, co rozleją w jej umyśle pewność, by zawróciła na wcześniejszą drogę.

Stefania miała wrażenie, że emocje buzujące w Dobrowolskiej lada moment znajdą ujście. Widziała, że przyjaciółka nie akceptuje tej decyzji.

– Nie możesz mieć wszystkiego! – wycedziła Jagna przez zęby. – W życiu jest miejsce dla każdego, a ty za wszelką cenę chcesz zagarnąć wszystko!

– Ależ to nieprawda! – obruszyła się Stefania. – Chcę być szczęśliwa. Chcę kochać i być kochaną. Czy to tak wiele?

– Jak zwykle nie widzisz swojej winy! Biedna, mała Stefania, której trzeba wszystko dawać, a na każdy występik przymykać oko! Ten twój trzymający za rękę wie, że masz męża?

– Wie, ale co to ma do rzeczy? I tak nigdy nie będzie nam dane mieszkać razem.

– To po cóż się go uczepiłaś jak mucha końskiego zada?! Ty już swojego męża znalazłaś, więc pozwól, by i on mógł żyć szczęśliwie u boku kobiety, która jest mu pisana na całe życie, a nie tylko na chwilowe uniesienie.

– Skąd pewność, że to nie ja jestem dla niego tą pisaną na całe życie?

Jagna gwałtownym ruchem zdjęła z kolan serwetkę i cisnęła nią o stół.

– Wybacz, ale ja nie zamierzam temu przyklaskiwać. Zawsze brałaś od życia wszystko, co chciałaś, a ja nie miałam nic. Siedziałam skulona w twoim cieniu, licząc na to, że kiedyś los da mi to samo lub że chociaż zbiorę te skrawki, które dla ciebie nie będą miały znaczenia... Ale widzę, że ty nigdy nie nauczysz się, żeby brać od życia tylko tyle, ile potrzebujesz. Za każdym razem zagarniasz coraz więcej, a to, co robisz teraz... – Wstała szybko, trącając kolanem blat stołu, przez co pucharek po lodach przewrócił się z głośnym brzdękiem. Momentalnie wzrok bankierów i kelnera skupił się na ich stoliku. Jagna podniosła palec wskazujący i z westchnieniem powiedziała:

– Niech Bóg ma cię w opiece, Stefka, kiedy przyjdzie czas rozliczeń!

Nim Stefania zdążyła coś powiedzieć, Jagna wyszła z cukierni, trzaskając za sobą drzwiami i zostawiając przyjaciółkę z poczuciem przegranej. Dziewczyna przez chwilę trwała w letargu, próbując pozbierać myśli po tym, co usłyszała, chociaż w głowie dudniło jej słowo: „Dlaczego?”. Dlaczego życie zatrzaskuje jej okno przed nosem, kiedy ona właśnie zaczęła zachwycać się widokiem? Gdy zaczęła chłonać podmuchy wpadające przez uchylone skrzydło? Miała wrażenie, że nikt, komu ośmieliła się powiedzieć prawdę o swoich uczuciach, nie był w stanie jej zrozumieć. Czowała na sobie wzrok bankierów i kelnera, który mimo braku gości przechadzał się między stolikami, żądny plotek. Stefania była nieszczęśliwa, zupełnie jakby Jagna, wychodząc, zabrała jej całą radość, która towarzyszyła jej od jakiegoś czasu.

Siedziała przed brudnym talerzem i z rezygnacją patrzyła przez szybę, jak skąpana w słońcu ulica Sapieryńska się zaludnia; spieszyli nią spoceni, zamyśleni, biedni ludzie o smutnych twarzach. Chciało jej się płakać, ponieważ wiedziała, że Jagna miała rację, a jednocześnie marzyła tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w ramionach Iwana, by sprowadził na jej ciało ukojenie, nawet jeśli miało być tylko na chwilę i oprowiane w strach, by nikt nie dojrzał ich bliskości.

– Gorszy dzień? – usłyszała, a zaraz po tym zobaczyła, jak na miejscu, które zwolniła Jagna, siada Antek.

– Antek, zawsze zjawiasz się na czas w godzinie mojego zagubienia – powiedziała pozbawionym energii głosem.

– Cóż, moja droga, przyrzekłem to sobie, gdy ty nie byłaś nawet świadoma mojego istnienia – stwierdził, rozsiadając się na krześle i posyłając jej szczery, przyjazny uśmiech.

Stefania uśmiechnęła się krzywo i poczuła mdłości. Po tych słowach Antka jeszcze bardziej wstrząsnęło ją to, co chwilę wcześniej wyrzuciła jej Jagna. Antek zawsze był na każde jej zawołanie. Czekał tylko, aż skinie palcem i powie, żeby coś dla niej zrobił. To samo było z Warotem na uczelni i wieloma chłopakami, których twarze teraz niczym w niemym filmie przewijały jej się przed oczyma. Westchnęła głośno, zadając sobie w myślach pytanie: Czy faktycznie chciała od życia zbyt wiele?

Antek patrzył na Stefanię i utwierdzał się w przekonaniu, że mimo zmian, jakie nastąpiły w jej życiu, on nadal postrzega ją tak samo. Zdumiewała go swoim pięknem, którego teraz była wyjątkowo świadoma. Jej twarz, wsparta na delikatnych i zadbanych dłoniach, była jak rzeźba, której widokiem nie mógł się nasycić. Starannie zrobione loki, które opadały do połowy pleców, czy finezyjnie wykończony kołnierzyk sukienki rozpałały jego wyobraźnię. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, by zabrać choć trochę trosk z jej barków. Nie zważając na otoczenie, przechodniów czy przyglądających im się bankierów, chciał ją dotykać, gładzić po ręce czy przytulać. Patrzył na nią czule, a konieczność hamowania uczuć sprawiała mu wręcz fizyczny ból.

Siedziała przed nim, oczekując pocieszenia, a on, choć pragnął spełnić jej wszystkie marzenia, prócz dobrego słowa nie mógł ofiarować nic więcej.

Pamięć przeniosła go do dnia ślubu Stefanii i Karola, kiedy jako *persona non grata* pojawił się na przyjęciu w Psarach. Obrzucany przez Obieckich złośliwymi spojrzeniami, palił papierosa, przyglądając się swojej jedynej miłości, która właśnie stała się żoną innego.

Wiadomość o jej ślubie była jak ukłucie gorącym sztyletem, ale Antoni wciąż nie dopuszczał do siebie myśli o tym, że to stało się naprawdę. Tamtego dnia w grobowym nastroju udał się pod pałac, ubrany na czarno, i lustrował wszystko wokół. Spodziewał się, że jego serce zostanie pochowane w chwili złożenia przez Stefanię wiecznego zobowiązania względem jej wybranka. Jednak gdy zobaczył, że w sukni ślubnej czuje się wyraźnie skrępowana, odczuł satysfakcję. Patrzył i analizował każdy jej ruch, a przecież od dawna znał je wszystkie na pamięć. Po wibracji w jej głosie był w stanie rozpoznać, w jakim jest humorze, a rozumienie mimiki jej twarzy już dawno opanował do perfekcji. W dniu ślubu Stefania nie kryła się z niezadowoleniem. Nadal pamiętał, jak wymuszała uśmiech do zdjęć, jak ściągała i zakładała obrączkę, jakby ta ciągle ją uwierała, lub jak jeszcze w porze obiadu jej wzrok krzyczał, że chce uciec najdalej stąd... I już wiedział, że Mieczysław zmusił córkę do zamążpójścia.

Późnym wieczorem Karol groził Antkowi, że jeśli ten zrobi cokolwiek, by zaszkodzić temu małżeństwu, do końca swoich dni będzie gnił w więzieniu jako wróg polityczny, a tych dni z pewnością nie będzie wiele. Śmierć za kratami była ostatnią rzeczą, jaką Antek widział w swojej przyszłości. Jednak mimo zapewnień, jakie złożył Filipowiczowi o braku uczucia względem Stefanii, nadal mu na niej zależało i nie zamierzał rezygnować. Wiedział, że widmo wojny jest coraz bliżej, i beczelnie liczył na to, że Karol nie wróci z frontu. A wtedy droga do serca Stefanii znów będzie dla niego otwarta.

**28 czerwca 1997 roku,
Wrocław**

Szłam z tacą pełną kubeczków jednorazowych, w których znajdowały się porcje leków dla moich podopiecznych. Obiegnęłam wzrokiem salę i próbowałam ułożyć w myślach trasę między stolikami, dopasowując leki do podania w trakcie i po posiłku.

– A panienka dziś w pracy? – zagadnął Iwan, gdy minęłam się z nim tuż przy wejściu.

– Czasem tak bywa – odparłam sucho, chociaż z reguły nie bywało.

Zazwyczaj w sobotę jeździłam do rodzinnego domu, jednak tego dnia nie byłam w stanie tego zrobić. Potrzebowałam wyrwać się z żałobnego kołowrotka, a poza DPS-em nigdzie nie mogłam znaleźć sobie miejsca.

– To dzisiaj ciąg dalszy opowieści, przy kawie parzonej po turecku? – Puścił oczko, a ja westchnęłam.

Byłam zmęczona emocjami, które dopadły mnie w trakcie jego ostatniej opowieści, a w zasadzie podczas puenty. Bałam się, że tym razem wpędzi mnie w kolejne wyrzuty sumienia i jeszcze głębsze poczucie degradacji mojego i tak już marnego życia.

– Nie wiem, czy dam radę – powiedziałam, starając się jakoś załagodzić swoją niechęć. – Nie czuję się dziś najlepiej i...

– Ale dziś będą same dobre rzeczy – przerwał, kładąc dłoń na moim barku. – W końcu miłość kwitnie. Spójrz na tę piękną scenerię! Idealnie pasuje do tego, o czym chciałbym wspominać.

„Miłość kwitnie? Pff, dobre sobie” – pomyślałam z przekąsem, posyłając mu karcące spojrzenie. Zaśmiał się na widok mojej miny i powiedział, że

będzie na mnie czekał, po czym ulotnił się jak dym papierosowy, który bardzo chciałam poczuć w płucach.

Dwie godziny później stałam w korytarzu i przyglądałam się Iwanowi, który siedział na tarasie i dumiał nad czymś, patrząc przed siebie. Dzielili nas ciemna stołówka, a on w blasku słońca nie mógł dostrzec mojej postaci. Wahałam się, czy jestem gotowa na słuchanie historii miłości jego życia, podczas gdy sama nie przeżyłam nic podobnego, a na świecie prócz Tośki nie miałam nikogo, na kogo mogłabym przelać swoje uczucia. Stałam w półmroku, słyszałam głośnie tykanie zegara, a z upływającym czasem moja niepewność rosła. Zdałam sobie sprawę, że jedyna rzecz, która mogłaby mi pomóc, to urlop. Urlop od pracy, podopiecznych, historii wojennych. Urlop od swoich myśli, od poczucia przegranej i od samotności.

– Nie idziesz do Iwana? – spytała Włodzia, jedna z moich podopiecznych, która od początku podpytywała mnie o relacje z tym staruszką, a teraz pojawiła się przede mną niczym zjawą z *Opowieści wigilijnej* Dickensa.

– Zastanawiam się – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Nad czym? Wasze rozmowy obudziły w nim życie. Dawno nie widziałam takiego blasku w jego oczach.

– Cóż...

Chciałam powiedzieć, że we mnie te rozmowy powodują konflikt interesów, ale ugryzłam się w język.

Przypatrywałyśmy mu się z ukrycia. Siedział zamyślony na tarasie, sunąc palcem po brzegu szklanki z kawą i zdawał się pogrążony w smutku.

– Przyjechał tutaj szukać ukochanej, która musiała uciekać w czasie wojny. Podzieliła ich nienawiść narodów. Poczucie winy, choć całkiem nielogicznie, nosi w sobie od wielu lat i gdyby nie przeciwności losu wybaczyłby sobie wszystko. Ale czasem trzeba pogodzić się ze swoim przeznaczeniem – mówiła z wyraźnym smutkiem.

– Odszukał Stefanię? – spytałam z zaciekawieniem.

– Można tak powiedzieć, chociaż nie było im dane porozmawiać. Zmarła miesiąc przed jego przyjazdem.

Wybałuszyłam oczy, a w kącikach pojawiły się łzy. Przełknęłam z trudem ślinę, czując, że moje wcześniejsze rozterki nagle stały się nieistotne. Patrzyłam to na niego, to na nią i nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– To strasznie niesprawiedliwe – ciągnęła Włodzia. – Każdy z nas tutaj nosi w sobie skutki wojny. Jednak staramy się je chować w cieniu i próbować ułożyć sobie życie. Ale Iwan nie potrafi otrząsnąć się z przeszłości i ruszyć do przodu. Wiesz, że sam się tu zgłosił? Wpłacił horrendalną kwotę na ośrodek, żeby móc tu wegetować do końca swoich dni. Powtarzał, że jego życie się skończyło, gdy stanął na jej grobie, a tutaj będzie czekał na śmierć. Nie widziałam, żeby się uśmiechał, robi to chyba tylko podczas waszych rozmów. Ostatnio zauważyłam, że w jego oczach tańczą iskierki. Nie zostawiaj go samego.

Westchnęłam. Chciało mi się płakać, ponieważ wiedziałam, że od śmierci rodziców sama potrzebowałam otulenia ciepłym kocem troski, a dawanie wsparcia Iwanowi wydawało mi się teraz ponad moje siły.

– Mówił, że mu ją przypominam – powiedziałam z rezygnacją.

– Więc tym bardziej go nie porzucaj. Pozwól, żeby radość rozgościła się w jego sercu, póki jeszcze Bóg nie wezwał go do siebie – powiedziała i pchnęła mnie do przodu. – No idź, dziecko, idź. Nie każ mu czekać.

Obróciłam się do niej z delikatnym uśmiechem i łzami w oczach, nie mając siły na jakiegokolwiek protesty. Przeszłam przez długą stołówkę i wyszłam na taras. Iwan rozpromienił się na mój widok. Uniósł kubek.

– Wiedziałem, że panienka nie oprze się dobrej kawie.

– Świetnie mnie pan zna, panie Iwanie – odparłam z wymuszonym uśmiechem i usiadłam obok niego na ławce. Nagrzane szczebelki zapiekły w gołe uda, wychodzące spod pielęgniarskiego fartucha. Instynktownie syknęłam, co wywołało u staruszka uśmiech. – Czekam na tę obiecaną opowieść o kwitnącej miłości!

Upiłam łyk kawy. Chciałam mieć tę historię już za sobą.

– Tuż przed wojną zaczęło się cudowne lato w Psarach. Najlepszy okres w moim życiu. Prawie wcale nie padało, ale też nie było upalnie. Wszystko pięknie obrodziło i natura zdawała się razem z nami cieszyć tym uczuciem. Stefania codziennie wymykała się, żeby spędzić ze mną

choć chwilę. Ja udawałem, że pracuję, ale myślami wciąż byłem przy niej. Zdarzało się też, że uciekała na całe noce i wtedy nie wracałem już do domu. Szwendaliśmy się po okolicy, nie mogąc się sobą nacieszyć. Mieliśmy kilka swoich miejsc na terenach należących do jej ojca, w których chowaliśmy nasze ubrania, koce i jedzenie na czas schadzek. Kochałem ją jak wariat i przy każdej możliwej okazji okazywałem jej miłość, a gdy odwzajemniała uczucie, czułem się najszcześniejszym facetem na tej planecie. Byliśmy parą i nie widzieliśmy świata poza sobą, chociaż czasy, w których żyliśmy, nam nie sprzyjały. Zły los węszył wokół i tylko czekał na okazję, żeby nas zdemaskować. Stefania coraz częściej powtarzała, że zrobi dla mnie wszystko. W imię miłości była gotowa zrzec się majątku. Mezalians nie stanowił dla niej problemu, ale mnie coraz częściej dobijały myśli o wspólnej przyszłości. Pragnąłem być tylko z nią, jednak obawiałem się, że nie starczy mi odwagi na życie pod Lwowem. Na ucieczkę i rozpoczęcie przyszłości w innym miejscu nie miałem pieniędzy. Życie smakowało mi wtedy jak te cukierki anyżowe, które przynosiła na spotkania. Uwielbiała je i delectowała się ich smakiem, jednak dla mnie pięknie wyglądający papierek skrywał tylko pozorną przyjemność, ponieważ już sam zapach wywoływał we mnie odruch wymiotny. Opakowanie kusiło kolorami, ale wiedziałem, że niesmak spowodowany własną próżnością na długo pozostanie w ustach. Byłem pełen sprzeczności. Z jednej strony zakochany, a z drugiej przerażony konsekwencjami tej relacji... – Zamilkł na chwilę, odetchnął kilka razy.

Upił łyk kawy.

– Kiedy zaczęły się zniwa i coraz szybciej robiło się jasno, trudno było nam się rozstać. Ciemność była naszym sojusznikiem, ale w blasku dnia musieliśmy uważać, żeby się nie zdradzić. Stefania zawsze wypytywała rodziców o ich plany i kiedy była pewna, że naszą tajemnicę uda się utrzymać, planowała bardzo rozległe randki. To były najlepsze chwile w moim życiu. Nocami obserwowaliśmy gwiazdy na połaciach nieba i zasypialiśmy wtuleni w siebie. Wszystko wokół pachniało naszym uczuciem, a gdy zaczynało świtać, odprowadzałem Stefanię pod stajnię, zaczynałem oporządzać konie, a ona niepostrzeżenie wracała do pałacu.

Jednak pewnego ranka jej ojciec wyruszył na polowanie. Spaliśmy wtuleni w siebie w jednej z ich stróżówek, na skraju lasu. Nagle obudził nas wystrzał z broni i odgłos jazdy konnej. Głosy zbliżały się do nas w zastraszającym tempie. W pośpiechu zerwaliśmy się z koca, lecz nie zdążyliśmy się rozstać, gdy zobaczył nas hrabia. Zamurowało nas. Staliśmy w progu chatki, w ciszy. Mieczysław gromił nas wzrokiem, a między nami wybrzmiewał tylko oddech zdyszanego i zmęczonego szybkim galopem konia. Byliśmy w pełni świadomi tego, co czeka mnie za spoufalanie się z hrabianką, ale nikt nie śmiał się odezwać. Hrabia w końcu wybuchnął i kazał Stefanii wracać do domu, a mi nie pokazywać się więcej na oczy. Ona krzyczała, powtarzając, że nigdzie nie pójdzie, ale jej ojciec nie dawał za wygraną. Kipiał ze złości, a las drżał od jego krzyku. Stefania schowała się za mną. Hrabia zeskokczył z konia i siłą starał się wyciągnąć ją ze stróżówki, co przy jego nie do końca sprawnej nodze było z pewnością okupione ogromnym bólem. Cały czas ciskał we mnie coraz podlejszymi obelgami; niektórych słów nawet nie rozumiałem, ale zdawałem sobie sprawę, że nie należą do przyjemnych. Szarpaliśmy się z nim dłuższą chwilę, co z boku musiało wyglądać kuriozalnie. – Zaśmiał się do swoich wspomnień, co mnie zdziwiło. – On napierał na mnie, ja jedną ręką go odpychałem, drugą starałem się chronić Stefanię, która ciągle krzyczała i prosiła ojca o wyrozumiałość, o przebaczenie. Jednak w tamtej chwili to było ponad jego siły. Nie mógł pojąć, jaką bezczelnością wykazał się jego stajenny, że ośmielił się tknąć córkę, a z drugiej strony miał żal do córki, że pozwoliła na takie zbliżenie z chłopem. – Iwan uśmiechnął się lekko, upił łyk kawy i przez chwilę studiował moją twarz. W końcu westchnął i powiedział: – Musieliśmy wyglądać komicznie. Jak duże dzieci, które kłócą się o to, kto powinien bawić się zabawką, zamiast znaleźć sposób na wspólną zabawę. Teraz się z tego śmieję, ale w tamtym momencie byłem przerażony. Mój cały świat w jednej chwili się zawalił. Rzeczywistość dała mi z sierpowego w twarz i zrozumiałem, że nie tylko straciłem pracę i dziewczynę, ale też z uwagi na kontakty hrabiego będę zmuszony wyjechać. Moja chwila rezygnacji okazała się szansą dla Mieczysława. Złapał Stefanię za ramię i przeciągnął ją na swoją stronę. Ona jedną ręką kurczowo trzymała się

mojego przedramienia, a drugą nieporadnie starała się wydostać z ojcowskiego uścisku. Czułem, jak jej wilgotna od potu dłoń zsuwa się z mojej ręki. Jeszcze przez chwilę przytrzymałem jej palce w swojej dłoni, jednak w końcu wymknęła się cała. Krzyczała, żebym coś zrobił, ale stres odebrał mi całą pewność siebie. Starałem się uspokoić sytuację; tłumaczyłem hrabiemu, że nie robiliśmy nic złego i że to tylko tak niestosownie wyglądało, ale stwierdził, że niestosowne byłoby, gdybym na nią patrzył, a ja splamiłem jego rodzinę swoją „ukraińską juchą”. Splunął mi w twarz, po czym szarpnął Stefanię i ruszyli w stronę pałacu.

– O matko! – powiedziałam, przykrywając dłonią usta. – To się porobiło!

Iwan zaśmiał się w głos i poklepał mnie po kolanie.

– A podobno panienka nie chciała dzisiaj słuchać moich wspomnień. Zarumieniłam się.

– E tam, kobieta jest zmienną i nie zawsze jej słowa należy brać dosłownie. Proszę mówić dalej – powiedziałam, składając dłonie jak do modlitwy.

– Dobrze, już dobrze. – Wypił ostatni łyk kawy i po chwili znów zaczął mówić: – Słowa hrabiego dudniły mi w głowie przez kilka dni. Były jak proroctwo, które niebawem miało się wypełnić. Przez wiele lat później analizowałem tę sytuację na wszystkie możliwe sposoby i szukałem odpowiedzi, co mogłem wtedy zrobić, żeby zapobiec tragedii. Teraz, kiedy czuję oddech śmierci na plecach, wiem, że nic nie zrobiłem, bo najzwyczajniej w świecie nic nie mogłem zrobić. Nie widziałem Stefanii tydzień, może dłużej. W niedzielę, po obiedzie, siedziałem z matką na ławce przed domem. Dumaliśmy nad pogodą, a Stefania tak po prostu pojawiła się przed naszym płotem. Kiedy ją zobaczyłem, serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Była zmęczona, spocona upałem i miała na sobie brudną od kurzu sukienkę, ale dla mnie i tak wyglądała jak anioł, który przyszedł ukoić moją potarganą duszę. Padliśmy sobie w ramiona, podniosłem ją i całowałem, szczęśliwy, że znów mam ją tak blisko. Ujęła moją twarz w dłonie. Nie mówiła nic, ale wiedziałem, że musiała poświęcić wszystko, by do mnie wrócić. Po chwili odstawiłem ją na

ziemię i obróciłem się, żeby przedstawić ją rodzinie. Zobaczyłem, jak matka stoi obok ławki i trzyma się za serce. Jej gniew mało nie rozsadził naszej chaty. Zaczęła bluzgać, wcale nie mniej niż wcześniej hrabia Obiecki. Miałem nadzieję, że Stefania nie rozumie ukraińskiego i nie dotkną jej słowa matki, tak jak dotknęły mnie. Czułem się wtedy jak mały, bezbronny szczeniak, który dostaje porządne lanie za to, że dla zabawy pogryzł nowe buty swojego pana. I to wcale nie była metafora. Kiedy matka w szale zaczęła tracić słowne argumenty, rzuciła się na mnie z pięściami. Zasłoniłem Stefanię, która na pewno nie spodziewała się takiej reakcji ze strony innej kobiety. Ja natomiast znałem poglądy swojej matki i przypuszczałem, że nie będzie zadowolona z naszego związku. Ludzie ze wsi od jakiegoś czasu gadali o mnie i Stefanii, a odkąd hrabia nas nakrył, wieść szybko rozeszła się po okolicy i plotki wezbrały na sile. Matka wypierała z siebie te informacje, a ja nie komentowałem sprawy, spisując naszą miłość na straty. Kiedy jednak zobaczyła nas razem, nie zastanawiając się długo, wyгнаła nas z podwórka. Poszliśmy do lasu, gdzie od strony północnej hrabia miał kolejną stróżówkę. Mieszkaliśmy tam przez kilka dni. Aż nastał wrzesień i tego lata niewiele różnił się od lipca. Noce były jeszcze ciepłe. Czasem zastanawiam się, jakim cudem udało nam się wtedy przetrwać praktycznie bez jedzenia, ale jak widać, miłość potrafi karmić nie tylko serce. Mniej więcej tydzień później, kiedy odpoczywaliśmy nad rzeką, podeszła do nas pokojówka Stefanii i stwierdziła, że szuka nas od dwóch dni, ponieważ wybuchła wojna i Stefania musi wracać do pałacu. Stefi udawała, że ta wiadomość nie zrobiła na niej żadnego wrażenia, ale widziałem w jej oczach cień przerażenia. Sam byłem w szoku na wieść o wojnie. Stefania zgodziła się na powrót do domu pod warunkiem, że wróci tam ze mną. W końcu po dwóch dniach przekonałem Stefanię, żeby się nie upierała, bo najważniejsze było teraz to, by przeżyć, a nasze uczucie i tak będziemy pielęgnować. Następnego dnia poszliśmy do pałacu. Wtedy pierwszy raz przemierzałem drogę do Obieckich przez park główną aleją. Do tej pory starałem się jak najmniej rzucać się w oczy, lecz tego dnia oficjalnie kroczyłem pod rękę ze Stefanią, wśród równo przyszyżonych krzewów i marmurowych posągów. Pałac powoli

wyłaniał się z za drzew. Z oddali błyszcząły w słońcu trzy wieże, pokryte blachą. Z każdym krokiem czułem, jak moje ciało pustoszą dreszcze i zimne poty. Stefania ścisnęła mnie za ramię, podążając obok w milczeniu. Zdawała się opanowana, chociaż czułem, że drży. Wysoko nad wejściem do pałacu widniał rodzinny herb Obieckich, a do drzwi przymocowana była kołatka z wizerunkiem lwiej paszczy. Z duszą na ramieniu weszliśmy do środka. Pierwsze, co zobaczyłem, to niskie stopnie prowadzące na piętro, po których schodziła matka Stefanii. Nie kryjąc łez wzruszenia, zamknęła córkę w szczelnym uścisku, a później spojrzała w moją stronę. Pochyliłem głowę na znak szacunku i skupiłem wzrok na marmurkowej posadzce, która ułożona była na wzór kompasu. Hrabina przywitała się ze mną, siląc się na uśmiech, chociaż z jej oczu biła czysta niechęć. Poczuliśmy się nieswojo. Każdy z pokoi w tym pałacu był co najmniej dwa razy większy od mojej rodzinnej chaty. Nigdy przedtem nie widziałem też takich pięknych i zapewne drogich mebli, kunsztownie wymalowanych, wiszących na ścianach obrazów czy wazonów pełnych żywych kwiatów. Kazano mi zaczekać w przedsionku, a Stefania z matką udały się do pokoju po lewej na naradę rodzinną. Minuty dłużyły się jak godziny. Zaczęłem nerwowo przestępować z nogi na nogę. Spocone ze stresu dłonie wytarłem w spodnie, które prosiły się o pranie. Docierały do mnie strzępy rozmów, płaczu i krzyków. Ojciec warczał na córkę. Jego strach o rodzinę i własne życie był wręcz namacalny. Mieczysław był bardzo obeznany w ideologii Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Wiedział więcej niż ja o ich celach i planach działania. Odniosłem jednak wrażenie, że wrzucił mnie do jednego worka z nastawionymi wrogo do Polaków Ukraińcami, podpierając się tylko informacjami o mojej narodowości. Nie mogłem ręczyć za innych, tym bardziej że w mojej najbliższej rodzinie poglądy patriotyczne stanowiły fundament życia, jednak swojego sumienia byłem pewien jak nigdy wcześniej i nigdy później. Kierowała mną czysta, pierwsza i świadoma miłość do jego córki, ale żeby móc to zrozumieć, musiał mnie poznać. Obawiałem się, że nie uda się nam porozmawiać na neutralnym gruncie.

Iwan umilkł i w zamyśleniu potarł brodę. Jego wcześniejszy optymizm gdzieś się ulotnił.

– W końcu drzwi się otworzyły i hrabia nakazał mi iść z nim na górę – powiedział. – Bez słowa sprzeciwu spełniłem jego prośbę. Kiedy znaleźliśmy się na piętrze, weszliśmy do jednego z pokoi. Obiecki zamknął za nami drzwi i kazał mi usiąść na sofie. Spojrzałem na swoje spodnie i na wystawny mebel, po czym stwierdziłem, że postoję. W odpowiedzi ojciec Stefanii uniósł brwi i nie rozdrabniając się, powiedział, że mam szczęście, iż w okolicy nie ma jej męża, bo wtedy byłoby już po mnie. Nie rozwiódł się nad naszą relacją. Właściwie to w jego monologu ani razu nie usłyszałem, że zwraca się do mnie. Dowiedziałem się natomiast, że od kilku dni trwała wojna i że niebawem wyjadą całą rodziną z tych terenów. Zdawał sobie jednak sprawę z siły charakteru córki, dlatego zgodził się, żebym przez jakiś czas pozostał w pałacu, ale nasze uczucie miało się zakończyć. Miałem to zrobić tak, żeby Stefania zrozumiała swój błąd, a przy okazji nie cierpiała długo po rozstaniu. Gdybym się nie zgodził na tę propozycję, jeszcze tego samego dnia Stefania miała wyjechać, a ja nigdy więcej już bym jej nie zobaczył. Z żalem w sercu przystałem na to, licząc po cichu, że z czasem jego stosunek do mnie złagodnieje. Tego dnia nie widziałem już Stefanii. Pomieszczenie dla służby, w którym mnie ulokowali, było jak nasączona chemikaliami klatka; wżerała się w moją psychikę. Niechęć, jaką żywiły wobec mnie pokojówki i gospodyni, zabierała tlen w tej nowej rzeczywistości. Strach połączony z żalem i nienawiścią bił z ich oczu. Nie wiedziałem, skąd w tych kobietach takie odczucia, ale następnego dnia Misza, który opiekował się ogrodem, uświadomił mi, że moi bracia należą do bandy szykanującej Polaków, a spalona stodoła, którą niedawno widziałem, była ich sprawką. Wszyscy myśleli, że jestem szpiegiem, który chce zniszczyć Obieckich od środka. Koniem trojańskim wysłanym do pałacu przez Ukraińców! Kiedy otrząsnąłem się z szoku, chciałem rozmówić się z braćmi. Wieczorem pobiegłem do wsi, ale matka nie wpuściła mnie do domu, nazwała polskim psem i oświadczyła, iż żałuje, że mnie urodziła. Poszedłem na grób ojca i przez pół nocy wylem z bezsilności wobec sytuacji, w jakiej się znalazłem. Czułem, że

sprawiłem mu zawód. Pragnąłem znaleźć wyjście z mroku, ale ciemność, jaka wokół mnie zapadała, była dopiero początkiem moich trosk.

Jego rozbiegany wzrok i kropelki potu na czole wywołały we mnie niepokój. Szybki, płytki oddech był sygnałem, że pamięć przywołuje przykre wspomnienia. Zmęczone oczy zasłaniała kurtyna łez. Pogłaskałam go po ramieniu i powiedziałam, że wystarczy na dzisiaj. Uśmiechnął się delikatnie, lecz w tym uśmiechu nie widać było ulgi, ale ogromny żal do ludzi i wydarzeń młodości.

Po raz pierwszy przeszła mi przez głowę myśl, że ładunek emocjonalny, który chciał z siebie zrzucić ten staruszek, będzie trudny do udźwignięcia i że podeszłam do tego zbyt lekkomyślnie. Nie miałam wykształcenia psychologicznego; te wspomnienia były jak rysa na jego pamięci, którą ktoś powinien pomóc mu wygładzić. Ja sama nie otrząsnęłam się jeszcze po śmierci rodziców; zamiast dokładać sobie kolejnych negatywnych emocji wywołanych wspomnieniami Iwana, powinnam była najpierw przepracować własną żałobę. Na moich ramionach spoczęła ogromna obawa, że pozwalając Iwanowi zrzucić z siebie ten ciężar, wbiłam gwóźdź do własnej trumny.

**17 września 1939 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Wrześniowy wieczór był chłodny i Stefania, zarzuciwszy na ramiona szal, ciaśniej oplotła go sobie wokół rąk założonych na piersi. W strachu nasłuchiwała, czy tego wieczoru znów będą przelatywać nad nimi niemieckie samoloty, które od kilku dni bombardowały Stanisławów. Stała na tarasie, a powietrze osiadało gęstą mgłą na wszystkim wokół. Każdego dnia z niepokojem patrzyła na ogród, wypatrując w nim niemieckich żołnierzy, ale teraz wyjątkowo towarzyszyła jej nie tyle obawa, ile przeczucie, że „zaraz się zacznie”. Przeświadczenie, które nią targało, było podobne do uczucia podniecenia, towarzyszącego jej za każdym razem, gdy czekała na spektakl z Ireną Ładosiówną w Polskim Teatrze imienia Stanisława Moniuszki w Stanisławowie. Z tą różnicą, że teraz nie mieszało się z radością, a ze strachem. Paralizującym lękiem o życie swoje i swojej rodziny.

Codziennie dostawali informacje o kolejnych terenach zajętych przez niemiecką armię, o bombardowaniach, morderstwach czy upadających liniach frontu, z każdym dniem przesuwających się coraz bliżej Psar. W ciągu kilku dni Kresy stały się małym skrawkiem polskiego terytorium niezajętego jeszcze przez najeźdźców. Ojciec mówił, że ostatnia nadzieja leży w tej ziemi, w województwie stanisławowskim, ostatnim bastionie oporu przed niemieckim wojskiem, przed agresją, która w zastraszającym tempie opanowała całą Rzeczpospolitą.

Na Kresy uciekali wszyscy. Z zajętych przez hitlerowskie wojsko terenów przybywała arystokracja, inteligenci, chłopci. Jedni jechali samochodami lub furmankami, inni szli pieszo, z walizkami, tobołkami

i dziećmi na rękach. Fala ludzkich istnień przedzierała się na wschód, a Kresy przyjmowały każdego, kto tego potrzebował. Ziemia wyjątkowo obrodziła w tym roku i mogła dać schronienie swoim rodakom.

Najwyższe polskie władze ewakuowano w okolice Kołomyi, a w pałacu Obieckich było tłoczno jak dawniej. Do Psar zjechały się siostry Stefanii, których mężowie musieli zostać na froncie oraz długo niewidziana Julia Zambrocka z dziećmi – dawna przyjaciółka Róży. W Psarach z napięciem wyczekiwano informacji, że wojna się skończyła i wszyscy będą mogli wrócić do swoich domów.

– Ile może trwać to zamieszanie? – zastanawiała się Anna, która bardzo przeżywała rozłąkę z mężem.

Na początku wszyscy powtarzali, że za tydzień, góra dwa wszystko będzie jak dawniej. Polska odeprze ataki i życie wróci do swojego biegu, ale z każdym dniem ulatywała nadzieja na prawdziwość tych słów. Dwa tygodnie minęły, a zamiast cieszyć się z zakończenia wojny, z drzeniem obserwowali, jak Polska zostaje zagarnięta przez hitlerowskie Niemcy.

Stefania była wykończona niepewnością i samotnością. Zaciągnęła się powietrzem, w którym dało się wyczuć intensywny zapach gotowanych przez kucharkę grzybów.

Z każdym dniem w pałacu było coraz mniej służby, aż trzy dni temu Stefania zauważyła, że prócz Marianny i kucharki nie ma już nikogo. Rankiem piątego września nie pojawił się żaden z Ukraińców, następnego dnia kilku polskich chłopów przyszło do Róży i, patrząc na nią przepaszająco, wymówiło służbę, tłumacząc się koniecznością zadbania o własne rodziny. Nie protestowała. Wiedziała, że w czasach wojny należy opiekować się rodziną, a nie pałacem. Zwołała zebranie i oświadczyła, że kto chce, może zostać, a komu spieszno do rodziny, niech nie ogląda się na Obieckich, tylko bez wyrzutów sumienia odejdzie. Wypłaciła wszystkim wynagrodzenie za cały wrzesień i dołożyła po dwieście złotych, co było równoważne z połową pensji, a Mariannie i kucharce codziennie dziękowała za obecność.

Stefania od tygodnia nie widziała się z Iwanem. Następnego dnia po tym, jak przelotem spotkali się w pałacu, na podłodze w swoim pokoju znalazła list. Kiedy udawało mu się przedostać na piętro, umykając

przed czujnym spojrzeniem Marianny, wsuwał listy przez szparę między drzwiami a podłogą. Zazwyczaj były to wiersze – pełne adoracji, tęsknoty i szacunku. Jednak tego dnia napisał tylko, że musi zaopiekować się matką i wróci do niej tak szybko, jak będzie to możliwe. Nie wiedział, ile go nie będzie, ale był pewien, że jej nie zostawi. Codziennie wypatrywała go tęsknym wzrokiem, a każdy kolejny poranek zamiast pociechy potęgował ból w jej duszy. Na samo wspomnienie jego dotyku czuła przeszywający dreszcz, który ranił serce.

Kiedy ich uczucie ujrzało światło dzienne, nic już nie było takie samo. W pałacu wszyscy prócz ojca patrzyli na nią jak na trędowatą, a Mieczysław traktował ją jak powietrze. Matka odzywała się tylko wtedy, gdy już musiała, a siostry przy każdej możliwej okazji wyrzucały jej, jak mogła posunąć się do czegoś takiego. Stefania błagała ojca, by Iwan mógł z nimi zamieszkać w pałacu, licząc na to, że jeśli będą blisko, rodzina się do niego przekona. Zamiast tego Mieczysław zalewał chłopaka tyłoma pracami, że ten nie mógł wygospodarować dla Stefanii nawet kilku minut w ciągu dnia. Kiedy się zorientowała, że w nocy ojciec zamyka ją w sypialni na klucz, najpierw była w szoku, później wypłakiwała oczy w poduszkę, aż po tygodniu przestała się buntować i przyjęła to jako formę kary. Poczucie osamotnienia z każdym dniem przybierało na sile, a ona wiedziała, że nie ma już przy sobie nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Ciemność coraz szybciej ogarniała park wokół pałacu, a z oddali słychać było nadlatujące samoloty. Matka przyszła po nią na taras i bez słowa chwyciła za ramię, jakby Stefania była szmacianą lalką. Dziewczyna nie protestowała. Przecież wiedziała, że musi się schronić. Od kilku dni, gdy samoloty krążyły po niebie coraz częściej, w pałacu gasły wszystkie światła, by w ciemności piloci nie dostrzegli ich domu. Za dnia pałac wyłaniał się zza wysokich koron drzew, ale w nocy park stanowił dla niego kamuflaż.

Siedzieli w salonie, pogrążeni w ciemnościach. Słychać było tylko szept modlitw lub stukanie laski Mieczysława, który chodził od okna do okna i wyglądał nadlatujących samolotów.

– Gdzież twój obrońca? Gdzież twój wybawca? – szepnęła z pogardą Wanda do Stefanii. – Dobrze, że Karol tak daleko od domu i nie widzi, co wyprawiasz.

Stefania nie skomentowała. Ukryła twarz w dłoniach i przeniosła się pamięcią do jednej z sierpniowych nocy, kiedy to leżała w objęciach Iwana na kocu, na wzgórzu nieopodal pałacu. Chłoneła jego zapach, a on łamaną polszczyzną opowiadał, jak będzie wyglądała ich przyszłość. Córeczka, którą nazwą Maria, będzie podobna do niej, tyle że spod burzy falowanych, ciemnych włosów będą wyglądać niebieskie jak lipcowe niebo, pełne ufności oczy. Okrągłe, rumiane policzki przetnie maleńki, prosty nosek, lekko zadarty po babci Róży. Później syn, Jan albo Wincent, wysoki po nim, pewny siebie po niej. Silny charakterem jak Mieczysław, ale z sercem na dłoni jak nieżyjący ojciec Iwana. A oni, mimo upływającego czasu, nadal będą w sobie zakochani. Będą mieszkać w domku na wzgórzu, tak by mogli cały czas sycić duszę widokiem bujnej przyrody, która od początku była ich sprzymierzeńcem. Biały murowany dom, nie tak duży jak pałac, ale z co najmniej czterema izbami, tak by każdy mógł mieć swój kąt, z okiennicami drewnianymi i obowiązkowo z filarami przed głównym wejściem. Okryty dachówką, której układania Iwan miał się uczyć u swojego wuja, najlepiej czerwoną, ale mogła być też brązowa w zależności od dostępności. Siadaliby na ławce przed domem w otoczeniu rododendronów – i w spokoju, pijąc herbatę, obserwowaliby zachód słońca. Nie musieliby się ukrywać, koczować w lasach ani uważać, żeby się zbytnio nie afiszować. Byliby dla siebie. Na zawsze.

Objęła się ciasno ramionami i, powstrzymując łzy, wyobrażała sobie, że to jego ręce. Zacisnęła usta, by unieruchomić trzęsącą się wargę, i była wdzięczna Bogu za tę głęboką ciemność. Za to, że mogła karmić swoją tęsknotę bez okutych w złość spojrzeń.

Bombardowanie trwało kilka godzin. Załamany Mieczysław jak w transie powtarzał, że z jego ukochanego miasta nic już nie zostanie. Jeszcze na początku września cieszył się tym, że z uwagi na jego stan zdrowia jego karta mobilizacyjna do wojska została anulowana, ale teraz przebywanie w pałacu ciążyło mu jak nigdy wcześniej. Czuł się

odrzucony i niepotrzebny, a brak bieżących informacji o sytuacji w kraju tylko wzmagał niepokój.

Na dworze zaczynało się przejaśniać i od przeszło godziny nie słychać już było silników samolotów. Mieczysław westchnął z ulgą na myśl o tym, że Pan dał jego rodzinie i przyjaciołom kolejny dzień życia, że kolejny dzień państwo polskie istnieje na mapie świata. W salonie panowała cisza. Dzieci Zambrockiej spały na kozetce, którą Stefania z Marianną przeniosły kilka dni wcześniej z holu. Mała Anielka i Henio wyglądali rozkosznie. Kobiety siedziały przy stole, przysypiając. Róża z trzema córkami walczyła ze snem po nieprzespanej nocy, a Julia Zambrocka oparła głowę na skrzyżowanych na stole ramionach i w nienaturalnej pozycji spała, cicho pomrukując.

Mieczysław przyglądał się kobietom w milczeniu. Dobrze pamiętał pierwsze bombardowanie, kiedy wszyscy nasłuchiwali nadlatujących samolotów. Krew gęstniała mu od strachu nie tyle o swoje życie, ale o życie kobiet i dzieci, nad którymi sprawował pieczę. Następną noc kobiety w pałacu już się buntowały i chciały wracać do łóżek. Twierdziły, że wolą się wyspać i umrzeć w miękkiej, pachnącej pościeli anizeli przy stole w jadalni. Jednak Mieczysław nie chciał słyszeć żadnych sprzeciwów. Wiedział, że armia niemiecka bardzo prędko przesuwa się w ich stronę i gdyby okazało się, że trzeba uciekać, tutaj, w salonie miał je wszystkie przy sobie; gdyby spały w łóżkach, przy jego niepełnosprawności nie zdołałby obejść na czas wszystkich pokoi, żeby postawić kobiety na nogi. Narażenie ich na śmierć byłoby dla niego hańbą, której do końca życia nie mógłby sobie wybaczyć.

Już miał je budzić, by rozeszły się do swoich pokoi, kiedy wokół pałacu rozległy się obce, liczne głosy. Mieczysław słyszał odgłosy przedzierania się przez park i mocne, dudniące barytony, choć nie potrafił rozpoznać konkretnych słów.

– Szybko! Wstawajcie! – rzucił głośnym szeptem, ale odpowiedziało mu tylko pomrukiwanie Julki Zambrockiej.

Na tyle szybko, na ile pozwalały mu siły, podszedł do stołu i potrząsnął żoną, która pisnęła i odskoczyła jak poparzona.

– Cicho, kobieto! Wojsko się zbliża. Uciekajcie do spiżarki, natychmiast!

Przerażenie w oczach Róży zmroziło mu krew w żyłach. Po chwili wszyscy pędem, możliwie jak najciszej, biegli przez salon do kuchni, a stamtąd do ukrytych za szafą z przetworami drzwi, które prowadziły do ciemnej spiżarki.

Kobiety wraz z dziećmi ukryły się w ciemności, wśród zawekowanych przetworów, warzyw i słoików miodu. Mieczysław z trudem przesunął szafę, nie dosuwając jej całkiem do ściany, tak by umożliwić uchylenie drzwi i doprowadzenie powietrza do spiżarki.

Rozległy się głośne śmiechy i walenie do drzwi wejściowych, a zaraz potem do pałacu bezczelnie wtargnęli żołnierze. Mieczysław był na granicy zawału. Prosił w myślach Boga, by nic im nie zrobili. Kiedy wszedł do salonu, jego oczom ukazało się kilku mężczyzn, biednie ubranych, w brudnych, podartych łachmanach i z karabinami przewieszonymi na sznurkach przez ramię. Wyglądali ubogo, jak zaciągnięta do wojska zgraja chłopów. Po głosie rozpoznał, że nie była to armia niemiecka, ale Rosjanie. Co robili na tych terenach, nie miał pojęcia. „Czyżby połączyli siły z Trzecią Rzeszą?” – pytał się w duchu.

– Burzuj! – rzucił jeden z nich, a reszta wybuchnęła śmiechem.

Mieczysław stał odrętwiały, nie wiedząc, co zrobić. Kilku mężczyzn rozglądało się po pomieszczeniach z uznaniem, kilkudziesięciu chodziło wokół pałacu, obserwując otoczenie. Chociaż nie wyglądali jak armia, to mieli przewagę liczebną i w jednej chwili mogliby go zabić, a on przecież musiał dbać o rodzinę.

– Wody? – Sięgnął po stojący na stole dzban, ale Rosjanin, który wydawał się przywódcą całej zgrai, jednym ruchem odrzucił naczynie, które spadło na podłogę i roztrzaskało się.

– Wy by dali nam wódki – powiedział, okraszając słowa gardzącym uśmiechem.

– Wódki – powiedział Mieczysław drżącym głosem, jakby nie dowierzał temu, co usłyszał. – Tak, już daję – stwierdził i chwiejnym ze stresu krokiem przeszedł do kuchni, upewniając się, że szafa stoi nietknięta.

Miał wrażenie, że słyszy głośne bicie serc ze spizarki, a może był to jego własny puls, który zagłuszał wszelkie inne dźwięki.

Część żołnierzy rozsiadła się w salonie, reszta błędziła po pomieszczeniach, śmiejąc się i zabierając co cenniejsze rzeczy. Starał się wsłuchać w ich rozmowy, ale nie znał dobrze rosyjskiego. Przez dwadzieścia lat pokoju starał się zapomnieć język, który dudnił mu w głowie w najgorszych chwilach na froncie. Teraz kursował kilka razy między kuchnią a salonem, usługując bandzie sowieckich chłopów, przynosząc wódkę, kielbasę i kiszonki. Wierzył, że jeśli dobrze ich ugości, nie zrobią mu nic złego, nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego są na tych terenach.

Po kilku chwilach i trzech wypitych kieliszkach szef bandy rozkazał swoim żołnierzom odpocząć przed pałacem, a w salonie zostało tylko kilku jego towarzyszy. Przegryzając kielbasę i mlaskając przy tym głośno, zwrócił się do Mieczysława:

– Daleko do Warszawy?

Hrabia uniósł brwi ze zdziwienia.

– Daleko – odpowiedział zdawkowo.

– Wy nie mówcie jak obrażony. Polski już nie ma. Teraz będziecie Sowietami – odparł tamten po polsku z rosyjskim akcentem, który brzydził Mieczysława. – Mówię wam, burżuju. Polski już nie ma, a i was nie będzie! – Rozejrzał się dookoła, wznosił rękę ku górze. – Przychodzimy, by wyzwolić polski lud, chłopów, robotników i wszystkich pracujących dla panów, burżujów i obszarników!

Mieczysław przełknął głośno ślinę i poczuł, jak ze stresu zaczyna go piec w klatce piersiowej.

Żołnierze zawtórowali śmiechem i wznieśli toast, z radością częstując się kolejnymi porcjami kielbasy.

– Nie bójta się, burżuj. Dobry pan jesteś. Nakarmiłeś, ugościłeś, to nic ci nie zrobimy, ale nie my jedyni tu się sprosimy. Niedługo zabraknie ci wódki i zakąski, a wtedy... – Wyszczrzył zęby, wyciągnął szyję i przejechał po niej ręką.

Towarzystwo znów wybuchnęło śmiechem, a Mieczysław już wiedział, że gdy tylko żołnierze odejdą, zapakuje, co tylko zdoła zmieścić

w samochodach, i wraz z rodziną ucieknie. Nie wiedział jeszcze dokąd, ale był pewien, że ucieczka będzie jedynym słusznym wyjściem.

**30 czerwca 1997 roku,
Wrocław**

– Z perspektywy czasu uważam, że wojna nigdy nie przychodzi niepostrzeżenie. Agresor zawsze czai się jak wilk na owce. Śledzi, obwąchuje i szuka śladów. Owce czują, że zbliża się niebezpieczeństwo, ale starają się normalnie funkcjonować. Jednak z pozoru beztrudne spacerowanie po łąkach kończą się z chwilą, gdy pierwszy wilk postawi swą łapę na pastwisku. Z czasem jedna z owiec budzi się w nocy i słyszy nawoływanie watahy. Druga z trzecią czują pod skórą lęk o swoje życie i chociaż beczą między sobą, to wciąż naiwnie wierzą, że wilki znajdą sobie inne stado do zaatakowania. Tak też było tym razem. Od paru miesięcy dochodziły nas słuchy o mobilizacji wojsk do kolejnej wojny światowej. A we wrześniu, kiedy wojsko hitlerowskie od zachodu przedzierało się przez Polskę, od wschodu zaatakowali Sowieci. W mojej wiosce Ukraińcy z nadzieją upatrywali upadku polskiego państwa, sądzili bowiem, że doprowadzi on do utworzenia ich własnego niepodległego państwa; dlatego z radością witali armię hitlerowską. Mieczysław z przerażeniem szeptał żonie o tym, czego się dowiedział, i twierdził, że wojna skończy się, nim wojsko dotrze na Kresy. Na mnie patrzył z dużą dozą niepewności, ale miałem wrażenie, że z każdym dniem coraz łatwiej znosi moją obecność, chociaż ja czułem się niegodny przebywania w pałacu. Moje pochodzenie ciążyło mi na barkach, a kolejne wiadomości o sabotażach organizowanych przez Ukraińców przyjmowałem z odrazą. Nie tak powinno walczyć się o niepodległość! – Iwan spuścił głowę i zanurzył się w zadumie. – Ojciec Stefanii swój niepokój przeniósł na zachód i w tysiąc dziewięćset trzydziestym

dziewiątym roku w Niemczech upatrywał swojej śmierci. Staraliśmy się ze Stefanią nie kłuć go w oczy swoim widokiem. Niewątpliwie głównym powodem polepszenia stosunków był fakt, że nie odwiedzałem rodziny na wsi, w związku z tym nie byłem na bieżąco ze środowiskiem Ukraińców, chociaż starałem się dowiadywać o nim jak najwięcej. Oksana po kilku dniach od mojego zamieszkania zwolniła się z pałacu. Później... – Westchnął, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Matko Święta, nawet po tylu latach nadal trudno mi o tym mówić.

Położyłam rękę na jego dłoniach.

Siedzieliśmy na naszej ławce, wśród kwitnących kwiatów i soczystej zieleni. Słońce powoli przesunęło się między chmurami. Kos radośnie śpiewał, siedząc na dachu Domu Pomocy Społecznej. Taka sceneria powinna koić zmysły, a tymczasem siedzący obok mnie staruszek kolejny raz roztrzaskiwał w drobny mak swoją psychikę. Kolejne spotkania i opowieści coraz bardziej rozszarpały jego duszę. Czasem zastanawiałam się, czy aby na pewno dobrze robię, spotykając się z nim w ogrodzie i pozwalając, żeby katował się wspomnieniami. Chyba chciałam wierzyć, że rozmowa, nawet tak trudna, pomaga mu choć odrobinę uporządkować uczucia.

– Możemy zmienić temat – stwierdziłam. – Spójrz, jak pięknie jest wokół nas – dodałam z uśmiechem.

– Już dobrze – powiedział, choć w kącikach oczu nadal błyszczały mu łzy. – Po prostu po tylu latach nie rozumiem, dlaczego stało się tak, a nie inaczej. Przecież wszystko funkcjonowało jak w zegarku. A może to ja byłem ślepy na skazy i niedociągnięcia tego mechanizmu. Słyszało się o obozach pracy na zachodzie czy specjalnie wydzielonych miejscach dla Żydów, specjalnych strefach mieszkalnych. Z trudem mogłem to sobie wyobrazić. Zastanawiałem się, po co dzieli społeczeństwo i dlaczego moi rodacy popierają takie działania. Nasza społeczność, choć mała, była wielokulturowa. Żydzi w głównej mierze stanowili sektor handlowy. Zaopatrywaliśmy się u nich w produkty, których nie byliśmy w stanie wyprodukować, dlatego wzbogacali się szybciej niż ukraińscy rolnicy. Polacy, choć nie wszyscy, mieli sporo ziemi i tak jak my w większości zajmowali się rolą. Dzięki większym terenom mogli wyprodukować

więcej żywności i tym samym obracali większą gotówką niż zwykli ukraińscy chłopi. Wydawać by się mogło, że się wzajemnie uzupełniamy. Współpracowaliśmy ze sobą, nie wadząc sobie, ale wspierając w razie potrzeby i jak mi się wydawało, ta wzajemna symbioza nas jednoczyła. A jednak podział sprawiał, że ukraińska ludność czuła się gorsza przez to, że zawsze miała mniej. Pracowaliśmy u Ukraińców, Żydów i Polaków. Nasze dzieci chodziły razem do szkół, przyjaźniły się i spędzały wspólnie czas. Było wśród nas wiele mieszanych, wielokulturowych rodzin. Córki zrodzone z mieszanych małżeństw przejmowały wiarę matki, synowie wiarę ojca, to samo było z przynależnością do narodu. Jednak mimo wspólnie przeżytych lat pojawiły się nastroje antysemickie. Złość, wściekłość, zazdrość i chęć posiadania własnej ojczyzny za wszelką cenę zaślepiała Ukraińców. W cerkwi pop wyrażał swoje poparcie dla wyzwolenia ziemi z rąk Polaków oprawców, co stanowiło ciche przyzwolenie na różne formy perswazji. Głównie z tego powodu od dłuższego czasu nie chodziłem na nabożeństwa. Nie chciałem słuchać nawoływania do zrywu narodu, nie w tak bestialski i nieetyczny sposób. Nie miałem ochoty oglądać popa święcącego narzędzia zbrodni, którymi później Ukraińcy atakowali Polaków. Pewnego wrześnieowego dnia, kilka dni przed napaścią Sowietów, będąc w pałacu, zobaczyłem przez okno ogrodnika Bohdana. Machał do mnie, wyraźnie wystraszony. Od razu wyszedłem do niego. Kiedy tylko wyłoniłem się zza drzwi, Bohdan krzyknął, że moja matka umiera i kazała po mnie posłać. Chwilę zajęło mi otrząśnięcie się z szoku. Wróciłem do salonu, zabrałem z sekretarzyka hrabiny kartkę i napisałem Stefanii, że muszę spotkać się z matką, wsunąłem liścik pod drzwi i wybiegłem. Gnałem co sił w nogach przez las i pole, modląc się w duchu, żeby zdążyć. Gdy wbiegłem na podwórko przy rodzinnej chacie, mój brat Oleh rzucił się na mnie z pięściami i nazwał ścierwem. Chwilę się z nim szamotałem, ale w końcu udało mi się wbiec do chaty. Matka leżała na łóżku, przykryta pierzyną. Twarz miała czerwoną i opuchniętą, a na jej czole dostrzegłem kropelki potu. Mówiłem do niej; nie odpowiadała, trzymała się za serce, dyszała i majaczyła. Wrzasnąłem do brata, żeby poszedł po panią Łucenko, wiejską zielarkę, ale tylko zadrwił, czemu nie przyprowadziłem

pałacowego lekarza i gdzie teraz jest mój hrabia. Byłem zdumiony, że nawet w takiej chwili nie umie odpuścić. Chwilę później matka wydała ostatnie tchnienie. Nie zdążyłem pożegnać się z nią jak należy, prosić o wybaczenie ani przyrzec, że zajmę się rodziną. Siedziałem przy stole w kompletnym szoku i bezruchu, jakby matka z ostatnim tchnieniem zabrała też część mojego życia. Ośmioletni Vitali klęczał przy łóżku, obejmował ciało matki i szlochał rzewnie. Tuż obok niego łkał bezgłośnie dwa lata starszy Vadym. Bliźniacy, Oleksandr i Oleh, byli na mnie wściekli; zarzucili mi, że matka zmarła przeze mnie. Krzyczeli, że opuściłem ich dla polskiej dziwki i że teraz mam za swoje. Czasem jeszcze słyszę ich słowa... Zupełnie jakby byli tuż obok. Czasem nawet mi się to śni, ale nigdy nie udaje mi się zmienić biegu zdarzeń.

Popatrzyłam na niego uważnie. Był blady i bałam się, że może zasłabnąć. Zaproponowałam kawę zamiast herbaty, ale odmówił. Chyba chciał dokończyć tę historię.

– Bliźniacy wyszli, a ja do późnych godzin nocnych uspokajałem najmłodszych braci, którzy wciąż lamentowali nad matką, po czym stwierdziłem, że musimy iść do cerkwi umówić pogrzeb. Niechętnie oderwali się od łóżka, ale nie protestowali zbyt. Wieczorem, gdy zasnęli, pobiegłem do pałacu przeprosić za nagłe zniknięcie i wytłumaczyć sytuację. W tamtej chwili byłem rozdarty. Śmierć matki mną wstrząsnęła, ale wiedziałem też, że relacje z ukochaną ulegną zmianie, bo musiałem teraz zająć się braćmi. Rodzice Stefanii stwierdzili, że hrabianka już śpi i nie wpuszczą mnie do niej, ale rano wszystko jej opowiedzą. Z jednej strony mi współczuli, a z drugiej nie mogłem nie zauważyć, że odetchnęli z ulgą. I wtedy hrabia zdobył się na wspaniałomyślny gest. Nie wahając się ani chwili, dał mi plik banknotów i powiedział, żebym godnie pochował matkę i że ta pożyczka jest bezzwrotna. Do pałacu miałem wrócić, jak już stanę na nogi. Byłem wdzięczny ojcu Stefanii nie tyle za hojność, ile za zaufanie i szacunek, jakie mi okazał. Nie potraktował mnie z góry, tylko jak równego sobie, cierpiącego mężczyznę. Pomyślałem, że po pogrzebie matki zacznę układać sobie życie, ale kilka dni później, gdy Sowieci zaatakowali

Polskę, okazało się, że za tym niewielkim wzniesieniem, jakie udało mi się pokonać, jest góra tak ogromna, że niemal nie do zdobycia.

Patrzyłam na Iwana, który teraz skupił się na herbacie. Zawsze kończył wspominać w chwili, gdy zostawało niewiele czasu na pytania, a ja z każdym dniem miałam ich coraz więcej. Przeskakiwał ze zdarzenia na zdarzenie, przez co nie zawsze udawało mi się łączyć je w ciąg przyczynowo-skutkowy, a historia miłości jego i Stefanii pozostawała pełna luk. Poprzedniego wieczoru podzieliłam się tym spostrzeżeniem z Toską; powiedziała, żebym nie wywierała na niego presji, bo pamięć z wiekiem blaknie, a historie, które w niej pozostają, to jedynie esencja przeżytych lat.

Teraz, gdy tak siedziałam obok Iwana, zrozumiałam, że zbliżamy się do przełomowego momentu. Miałam tylko nadzieję, że odważy się wyznać swoje największe sekrety, a mnie uda się wyłuskać z nich to, co jest cierniem w jego sercu, i w końcu zrobić wszystko, by ta rana się zablizniła. Chciałam spytać, czy zamieszkał ze Stefanią, jak przebiegał pogrzeb w cerkwi, czy naprawił stosunki z braćmi, ale moim oczom ukazała się skwaszona kierowniczką. Od rana była na mnie cięta, a kiedy zobaczyła, że siedzę i plotkuję z Iwanem, podczas gdy moi podopieczni zdążyli już zjeść obiad, a nadal nie otrzymali leków, nie pozostawiła na mnie suchej nitki. Przeprosiłam Iwana i szybko wróciłam do obowiązków, z nadzieją, że doba natychmiast minie i uda nam się powrócić do momentu, w którym skończyliśmy.

**27 września 1939 roku,
Stanisławów**

Stefania z mocno bijącym sercem oparła się o ścianę jednej z kamienic. Patrzyła na obskurne, obdrapane ściany, z piętrzącymi się do nieba oknami, w większości pobitymi, zapewne od nocnych bombardowań. Z niektórych ścian gdzieniegdzie prześwitywała czerwona cegła, inne były całkiem nagie i pozbawione elewacji; po niektórych nie zostało kompletnie nic.

Ciasne podwórko, które od ulicy oddzielało wydrążone w kamienicy przejście, sprawiało wrażenie bezpiecznego. Nieutwardzony kawałek terenu ogrodzony był licznymi drzwiami prowadzącymi do mieszkań w przytulonych do siebie budynkach. Pośrodku placu stał niewielki metalowy pręgierz, z którego wychodziły sznurki, aż do haczyków przy niektórych oknach na parterze. Na kilku sznurkach suszyły się ubrania i pościel; była bardzo brudna, jakby ktoś o niej zapomniał. Pod jedną z klatek schodowych leżała rzucona niedbale szmaciana lalka, zwrócona twarzą do ziemi i przykryta burzą żółtych wełnianych włosów, oraz otwarta na oścież, wybebeszona walizka. Stefania pomyślała, że ktoś musiał prędko uciekać z mieszkania. Z pewnością do Rumunii, tak jak polskie władze kilka dni wcześniej, o czym wszyscy mówili z niesmakiem.

Stefania zobaczyła przed oczyma rozwścieczonego ojca, który, gdy tylko dowiedział się o tym procederze, zaczął wrzeszczeć: „Zdrada! Uciekają jak szczury z tonącego okrętu! Wstyd! Wstyd i hańba!”. Stefania nie kryła oburzenia faktem, że prezydent Mościcki wraz z Naczelnikiem i całą switą postanowili ewakuować się do Rumunii, starała się jednak

zrozumieć ich pobudki i nie być hipokrytką jak ojciec, który mimo niezadowolenia z postępów władzy sam próbował uratować swoją rodzinę, przygotowując się do ucieczki na Węgry. Bał się, że Sowieci prędzej czy później zabiją wszystkich z rodu, tak jak uprzedził ich przebywający w ich domu *komandir*. Ucieczka w takiej sytuacji wydawała się naturalnym odruchem, Mieczysław uważał jednak, że nie każdy powinien sobie na nią pozwolić. Prezydent Mościcki i jego współpracownicy brali odpowiedzialność za cały kraj, a nie tylko za swoje dobro, i wedle Obieckiego powinni zostać tutaj, by poprowadzić Wojsko Polskie do zwycięstwa. Stefania nie chciała go bardziej zasmucać, ale zdawała sobie sprawę, że nadzieje na to, iż Polska wygra wojnę, rozwiewały się coraz szybciej. Wszyscy upatrywali ratunku ze strony Anglii i Francji, ale ten nie nadchodził.

Rankiem matka z Anną, Wandą i Zambrocką wszywały w ubrania kosztowności, które jeszcze cudem zostały w pałacu po napadzie bandy Sowieców. Róża zarządziła, że na podróż każdy musi być ubrany „na cebulę”, a w każdej warstwie ubrań musi być zabezpieczony choć jeden pierścionek, jeden kolczyk lub niewielki plik banknotów.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać – mówiła, wszywając pierścionek ze szmaragdem w poły filcowego płaszcza.

Zambrocka ze zwieszoną głową pracowała pilnie, a wtulone w jej spódnicę dzieci kwiliły cicho. Stefania była już zmęczona płaczem Anielki i Henia, którzy nie przestawali szlochać od momentu opuszczenia pałacu przez Sowieców.

Jeszcze kilka dni wcześniej Stefania była pod wrażeniem spokoju dzieci. Gdy siedziały w spizarce, były tak cicho, że czasami zastanawiała się, czy w ogóle oddychają. Ukrywali się w ciemności nieco ponad dobę, chociaż wydawało im się, jakby minęło kilka dni, nie jeden. Gdy tylko Mieczysław upewnił się, że bandyci odeszli odpowiednio daleko, odsunął szafę i wypuścił ich ze spizarki, a wtedy wszyscy nagle się rozplakali, uwalniając emocje duszone w sobie przez cały czas zamknięcia. Gdy kobiety się uspokoiły, wyciąłowały i odpowiednią ilość razy przeżegnały, życie znów potoczyło się w miarę normalnie. Jednak dla dzieci Zambrockiej napaść musiała być traumatycznym przeżyciem i nie

potrafiły się z niego otrząsnąć. Dlatego, kiedy ojciec powiedział, że trzeba jechać do Stanisławowa po nowe dokumenty, dzięki którym ukryją swoje arystokratyczne pochodzenie, Stefania pierwsza rzuciła się do wyjazdu. Ojciec miał nadzieję, że do Wiśniewskiego pojedzie wraz z nim jedna ze starszych córek, ale wszystkie schowały głowy w piasek i ostatecznie Stefania zaproponowała, że do miasta pojedzie z Marianną. Wiedziała, że dziewczynie też ciążyło zamknięcie w pałacu.

– Przebierzemy się w ubrania Marianki i dzięki temu nie będziemy rzucać się w oczy. Tatku, ty utykasz, a kto wie, może będzie trzeba zostawić samochód, biec albo się komuś tłumaczyć, po co się przyjechało. Wiśniewski mnie zna, nie będzie robił problemów z wydaniem dokumentów. Tak będzie bezpieczniej dla wszystkich – namawiała ojca, który niechętnie, ale mając na względzie swój stan zdrowia, przystał na propozycję córki.

Teraz, gdy stały przytulone do ściany stanisławowskiej kamienicy, Stefania złapała Mariannę za rękę i utwierdziła się w przekonaniu, że postąpiły słusznie. Jej przyjaciółka stała jak zahipnotyzowana, zzieleniała na twarzy ze strachu, ale na szczęście już nie dyszała tak mocno od biegu, jak chwilę wcześniej. Stefania chciała się upewnić, czy na ulicy jest już bezpiecznie, ale Marianna ścisnęła ją mocniej za rękę; postanowiły, że jeszcze przez chwilę odpoczną, nabiorą siły i odwagi, a zaraz potem ruszą w kierunku komisariatu, który choć był blisko, to w tych okolicznościach wydawał się być na drugim końcu świata.

Kiedy godzinę temu zajechały do Stanisławowa dawnym citroenem Rosalie, którego właścicielką od niedawna była Stefania, miały wrażenie, że miasto było wymarłe. Cicha panująca wokół zapowiadała nadejście kataklizmu. Zaparkowały samochód na Sapieryńskiej, ponieważ z powodu zrzuconego na ulicę gruzu nie mogły jechać dalej, a Stefania, obawiając się kolejnej stłuczki, nie chciała poruszać się samochodem po nieznanym uliczkach miasta. Przeszły kawałek drogi, gdy dobiegły ich odgłosy z uliczki po lewej. Szuranie, warczenie, głośnie burczenie silników i tupot butów o bruk wywołały w nich popłoch. Szybko schowały się za winklek jednego ze sklepów Schumanna, kapelusznika, i z niedowierzaniem obserwowały przesuwaną się po ulicy kolumnę

czołgów, dział ciągniętych przez ciągniki gąsienicowe, samochodów ciężarowych z wojskiem i sprzętem wojskowym oraz piechotę składającą się z niejednolicie ubranych, brudnych mężczyzn z bronią, która choć wyglądała skromnie, to z pewnością spełniała swoje zadanie. Kiedy grupka żołnierzy dostrzegła je z oddali, Stefania z Marianną uciekły w pierwsze miejsce, które wydawało się bezpieczne, i teraz trwały w głębi podwórka jednej z kamienic, bojąc się wyrzucić na zewnątrz.

– Wydaje mi się, że już poszli – szepnęła Stefania po chwili.

– Poczekajmy jeszcze – wydusiła Marianna przez ściśnięte gardło.

– Daj spokój. – Stefania postanowiła być twarda. – Nie możemy stać tu w nieskończoność. Na trzy! Raz, dwa...

– Co wy tu robicie, dziewczęta? – dobiegł je zza pleców czyjś głos.

Stefania z Marianną pisnęły ze strachu.

– Cicho! Życie wam niemiłe?

Odwróciły się pospiesznie i ujrzały w parterowym oknie starą, pomarszczoną kobietę, która patrzyła na nie ciemnozielonymi oczyma z troską, ale i pewnym niezadowoleniem, jakby przekonaniem, że robią coś nieprzyzwoitego.

Gwar dochodzący z Sapieryńskiej znów przybrał na sile. Tym razem ktoś biegł, słychać było tłuczenie szkła i krzyki kobiety.

Dziewczyny stały nieruchomo, patrząc z niepokojem to na staruszkę w oknie, to na bramę prowadzącą do głównej ulicy.

– Chodźcie szybko! Nie możecie tak stać! – zdecydowała staruszka i zniknęła w ciemności mieszkania.

Dziewczyny z powodu pulsującego w nich strachu nie mogły się ruszyć, jakby wrosły w ziemię; po chwili jednak, kierowane intuicją, niemal równocześnie wskoczyły na trzy schodki i rzuciły się biegiem do mieszkania kobiety. Otworzyła im, nim zdążyły zapukać, a gdy wpadły do środka, cicho zamknęła za nimi drzwi i ostrożnie przesunęła zamek za metalową zasuwkę. Przyłożyła palec do ust. Po chwili, gdy na dworze znów ucichło, zaproponowała herbatę. Odmówiły niemo, ale kobieta i tak ją zaparzyła.

– Co tu robicie same? – spytała bez ogródek, sadowiąc się w wysłużonym fotelu.

– Mamy sprawę do załatwienia na komendzie – odparła pospiesznie Stefania. – Za pani pozwoleniem przeczekamy chwilkę, aż uspokoi się na ulicy, i pójdziemy.

– To wy nie wiecie, że na komendzie nie ma już nikogo?

– Jak to? – spytała zaskoczona Stefania i poczuła, jak w gardle rośnie jej gula.

– Na komendzie nikogo nie ma. Wszystkich wywieźli – odpowiedziała smutno.

– Jak to? – powtórzyła przerażona Stefania.

– Dziecko... – Kobieta westchnęła. – Co tu się dzieje, to istna Sodomia i Gomora! – Przeżegnała się. – Najpierw przyszli Niemcy, a Ukraińcy witali ich jak wybawicieli, kwiaty pod nogi rzucali i bramy wjazdowe robili. Żebyśmy my jeszcze im co uczynili. Każdy pomagał tym biedakom, jak mógł, a gdy zaatakowali nas hitlerowcy, oni pierwsze, co zrobili, to się z nimi zbratali. Nie do pomyślenia. Nie do pomyślenia... – Kiwała głową. – A niemieccy żołnierze w nagrodę za ciepłe przywitanie wydali im nas jak mięso dla zagłodzonych psów. Uzgodnili, że w mieście będzie rządziła milicja ukraińska. Ale jaka to milicja, dziecko, jak to same miastowe szumowiny, normalnie ubrani, tylko opaski czerwone pozakładali. Biegają po mieście z pistoletami na sznurkach! – Machnęła ręką. – Trzy dni napadali na Polaków, mordowali żołnierzy polskich, policjantów, urzędników, grabili mieszkania i sklepy, a jak już nie mieli broni, żeby siłą się z nami rozprawić, to robili to podstępem. Zwołali wszystkich policjantów, tych czynnych i na emeryturze, na komendę, że niby broń mają oddać, a potem wszystkich po kolei do więzienia upychali. Jak ta z góry, młoda Wołczakowa, płakała, jak lamentowała, ale cóż się dziwić, skoro sama z dwójką małych dzieci została. Przedwczoraj przyprowadziła mi dzieci na chwilę, bo Sara, ta Żydówka od Schumanna, powiedziała, że pomoże jej męża wyciągnąć, ale oczywiście nie za darmo! Nawet w takich okolicznościach liczy pieniądze... Wołczakowa wszystkie oszczędności wybrała z domu, ja i Przędzielska spod ósemki pożyczyłyśmy, ile mogłyśmy. Młoda biegała po całej kamienicy, prosiła wszystkich sąsiadów o grosz, ale żaden więcej nie pomógł. Cóż się dziwić, skoro reszta mieszkańców to Niemcy, tak

samo cieszą się naszą sytuacją jak Ukraińcy. Jedyne plus ich mieszkania tutaj to bezpieczeństwo. Gdy tylko zaczęły się naloty, Müller z synami malował kominy na biało, żeby piloci wiedzieli, że tu mieszkają rodacy i tej kamienicy nie wolno zniszczyć. Przędzielska mówiła, że syn dwa dni później wszedł na dach, a tam pół miasta białymi kominami świeciło... – Kobieta zamyśliła się na chwilę. – Wołczakowa nie zebrała wszystkich pieniędzy, ale i tak pobiegła na komendę, żeby zanieść zapłatę i ubrania dla męża... Żeby nikt nie zauważył, że to policjant ucieka. Paczkę z jedzeniem mu naszykowaaliśmy, bo nie wiadomo, jak to będzie, może pod osłoną nocy będzie trzeba za miasto uciekać i koczować w lesie przez jakiś czas. A tu wszystko na marne, bo Sowieci wjechali, więźniów nie pozwolili ruszyć, aż w końcu ogłosili, że wszystkich będą wywozić. Wołczakowa, jak wszystkie żony i matki osadzonych, poszła pod komendę z nadzieją, że Edkowi udało się zbiec i że nie zobaczy go wśród mężczyzn. Z duszą na ramieniu odliczała każdego, kto w popłochu wsiadał do ciężarówki i z każdym wrzuconym na pakę istnieniem rosła w niej nadzieja, że się udało. Jednak Edziu przedostatni powłóczył nogami na zesłanie. Pobity, posiniaczony, brudny i w podartej koszuli szukał jeszcze wzrokiem w tłumie ukochanej, a to był tak przeraźliwie zimny poranek... Mżawka moczyła wszystko wokół, ciężkie chmury wisiały nisko, porywisty wiatr uderzał ze wszystkich stron. Edek posłał żonie pełne miłości i tęsknoty spojrzenie, po czym zniknął w napakowanej po brzegi ciężarówce. Wołczakowa w południe przyszła po dzieci cała rozpalona, z opuchniętymi od płaczu oczami. Długo nie mogła słowa z siebie wydusić, tylko łyzy ocierała. Teraz, dzieci, na próżno szukać kogoś na komendzie. Chyba że wy za Sowiec biegacie. Ich tam dzisiaj pod dostatkiem.

Obrzuciła dziewczyny karcącym spojrzeniem. Marianna siedziała skulona i cicho pochlipywała, a Stefania z wybałuszonymi oczyma wpatrywała się w staruszkę.

– Nie, nie. My szukamy Wiśniewskiego. Jurka Wiśniewskiego.

– Wiśniewski to jeden z pierwszych poległ – stwierdziła smutno kobieta. – Zabili go, bo ponoć był na usługach tego arystokraty Obieckiego. Za to teraz tylko śmierć. Zresztą Obiecki też już pewnie nie

żyje, Sowieci zawzięci są na elitę. Ja to Obieckiemu nie wróg, mnie hrabia nic złego nie zrobił, ale rolnicy... Ci to teraz mają pole do popisu. Ino patrzeć, jak się mścić będą.

Stefania głośno przełknęła ślinę, a Marianna momentalnie przestała płakać, jednak nie podniosła wzroku, ponieważ czuła, jak policzki zaczynają jej płonąć. Stefania po latach nauki we Lwowie nauczyła się nie reagować na jawnie okazywaną niechęć względem jej rodziny.

– Tak, z pewnością – rzuciła Stefania, próbując ułożyć sobie w myślach plan działania, i momentalnie zrozumiała, że jedyną osobą, która w tej sytuacji mogłaby jej pomóc, jest Antek. – Po stokroć dziękujemy pani za wyczerpujące informacje.

– Przynajmniej miałam się do kogo odezwać – stwierdziła staruszka ze słabym uśmiechem.

– Chyba już zrobiło się spokojniej – odezwała się Marianna zachrypniętym głosem, a Stefania wyczuła w jej głosie paniczną potrzebę wyjścia z mieszkania.

– Tak, chyba już lepiej – odpowiedziała, po czym wstała, podeszła do okna i, nie odsuwając firanki, rozejrzała się po ulicy Sapierskiej, na której nie było widać żywej duszy. – Dziękujemy bardzo za gościnę i schronienie – zwróciła się do staruszki, po czym podeszła do niej i przytuliła ją, a potem skinieniem głowy ponagliła Mariannę w kierunku wyjścia.

– Dziękujemy – rzuciła jeszcze Marianna, zatrzymując się w progu, i wyszła za Stefanią z mieszkania.

Stuk pantofli o brukowany chodnik rozbijał się echem o fasady kamienic. Szły pogrążone we własnych myślach, raz na jakiś czas rzucając spłoszone spojrzenia na budynki. Za firankami dostrzegały poruszające się cienie i czuły na sobie wzrok wystraszonych oczu. Wszystko wokół było szare, brudne, zamknięte. Szyby wystawowe, które właściciele naiwnie uszczelnili taśmą, wierząc, że to uchroni ich dobytki przed bombardowaniem, straszyły teraz szklanymi kłami, które okalały spowite cieniem witryny, porozrzucane meble, manekiny i wszystko to, co nie było potrzebne szabrownikom. Mijały gruzowiska, spalone samochody, wszędochy i plamy krwi i coraz jaśniej zdawały sobie

sprawę, że te wszystkie artefakty były tylko dowodami zbrodni, o której nikt tu nie chciał mówić głośno. Stanisławów na pozór pogrążony w spokoju nie dogorywał po zadanych ranach, ale miało się wrażenie, że ciągle wydaje z siebie pełne obawy oddechy, które teraz gęstniały, opadając na ulicę mleczną mgłą.

Marianna nie śmiała zapytać Stefanii, dlaczego ludzie darzą hrabiego taką niechęcią, ale miała wrażenie, że jej przyjaciółka doskonale zna odpowiedź. Przepęnliona strachem, wiernie dotrzymywała jej kroku, chociaż zeszywniałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Marianna zastanawiała się, co ją podkusiło, by towarzyszyć Stefanii. Od kilku lat praktycznie nie wyściubiała nosa z pałacu. Jeżeli już musiała gdzieś wyjechać, to udawała się na targ do Rohatyna, żeby pomóc kucharce w zakupach. A były to przyjemne wyprawy, którym towarzyszył śmiech otyłej Baški. Dobierając produkty na bale, święta czy imprezy organizowane w pałacu, kucharka zawsze kierowała się trzema zasadami: wszystko musiało być ładne, pachnące i krągłe, jak ona sama. Każdy produkt najpierw dokładnie oglądała, wąchała i porównywała z innymi. Mięso klepała sążnie, a rękę miała dwa razy większą od Marianny i kiedy tłuszcz falami przechodził na kolejne partie, stwierdzała, że to odpowiednia sztuka: krągła, mięciutka i obfita w zdrowy tłuszcz, jak ona sama. Wspomnienie jednego z takich wyjazdów pojawiło się teraz w głowie dziewczyny, powodując u niej bolesne ukłucie w sercu i przeświadczenie, że już nigdy więcej nie spotka jej taka beztroska.

Ostatnim razem w Stanisławowie Marianna była za dziecka. Pamiętała piękno rozbudowującego się miasta, w którym ludzie obdarowywali się uśmiechami i zagadywali; kobiety mawiały do siebie „dzień dobry”, mężczyźni dostojnie uchylali kapelusza i skinieniem okazywali szacunek. Sklepy, wystawy, fontanny, ławeczki, piękna kolegiata i nowoczesne kamienice z bogato zdobionymi frontowymi elewacjami sprawiały, że czuła się tu jak w domu. Nie, żeby w pałacu było jej źle, ale ulice miasta tuliły ją do swojej piersi jak matka dziecko. Przechadzając się wtedy po Stanisławowie, czuła silną przynależność do tego miejsca, jedność z nim i spełnienie. Wiedziała, że gdyby nie Obieccy,

to właśnie w tym mieście byłoby jej miejsce na ziemi. Teraz wyrzucała sobie, jak bardzo była naiwna, wierząc, że podczas wojny miasto nadal będzie w pełnym rozkwicie. Uderzyło ją, jak bardzo przytłaczała ją otaczająca sceneria. Spowita szarością, podziurawiona od bombardowań, przybrudzona krwią i nadzwyczaj cicha metropolia sprawiała wrażenie konającej zwierzyny. Marianna nie chciała na to patrzeć. Nie chciała przykrywać takim widokiem swoich ciepłych wspomnień.

Po drugiej stronie ulicy kręciło się kilku chłopaków. Przyglądali się ich Citroenowi z zaciekawieniem, lecz zawadiackie uśmiechy i ciemny nieżyczliwy wzrok sprawiały, że strach paraliżował Mariannę jeszcze bardziej.

– Nie patrz na nich – rzuciła surowo Stefania.

Dziewczyna pokornie spełniła prośbę przyjaciółki, wbijając spojrzenie w bruk. Odliczała w myślach kroki i marzyła tylko o tym, by bezpiecznie wrócić do samochodu i szybko dojechać do pałacu. Grupa podrostków przyglądała im się z zaciekawieniem i rosnącą niezdrową ekscytacją. Mieli ze sobą grube, obrane z kory gałęzie, które niepokoiły Stefanię. Kątem oka zerknęła w ich stronę i, widząc ich lubieżne uśmiechy, wiedziała, że nie poprzestaną na obserwacji.

– Boże, żebyśmy tylko zdążyły uciec – szeptała pod nosem.

Przyspieszyły kroku, a widząc, że chłopcy zeszli z chodnika na ulicę, rzuciły się biegiem.

Udało im się dopaść Citroena i wsiąść do niego, lecz chłopcy zaraz znaleźli się tuż przy nim; szarpali za klamki, chcąc dostać się do środka. Stefania drżącą ręką próbowała przekręcić kluczyk w stacyjce, a jednocześnie czuła, że trzymana klamka powoli wymyka jej się z uścisku. Wreszcie silnik zawarczał głośno; jedna gałąź z hukiem opadła na maskę samochodu, później na dach, a po kilku sekundach Stefania z Marianną miały wrażenie, że gałęzie atakują samochód z każdej strony, przy akompaniamencie krzyków zgrai chłopaków, którzy z dumą skandowali hasła: „Precz z elitą!” i „Śmierć burżuazji!”.

– Jedź! – krzyczała Marianna na skraju płaczu. – Jedź!

Stefania bała się potrącić stojącego przed maską chłopaka, który na jej oko nie miał więcej niż dwanaście lat. Po chwili skarciła w myślach swój

empatyczny opór. Gdy jedna z gałęzi uderzyła w szybę na wysokości jej oczu i ukazała się rozdzierająca szkło pajęczyna, Stefania zrozumiała, że nastały czasy, w których nie wolno podchodzić do wszystkich z sercem na dłoni, a chronić należy przede wszystkim siebie. Mocno nadepnęła pedał i ruszyła do przodu, czując, jak serce boleśnie łomocze jej w piersi, a całe ciało nieprzyjemnie drży.

**1 lipca 1997 roku,
Brzezia Łąka**

Minął miesiąc od śmierci rodziców. Jechałam do rodzinnego domu autobusem, wachlując się ulotkami nauki jazdy. Upał dawał się we znaki, chociaż była dopiero ósma rano. Wiedziałam już, że nie dam rady dłużej tak funkcjonować. Moja rzeczywistość dzieliła się na pięć dni pracy w Domu Pomocy Społecznej i na dwa dni weekendu, kiedy harowałam w polu wokół rodzinnego domu. Ciągły pęd sprawiał, że byłam wyczerpana. Po pracy trudno mi było zdążyć na popołudniowy autobus, a w okresie wakacyjnym było to jeszcze trudniejsze. Dlatego, żeby jakoś połączyć pracę i opiekę nad rodzinnymi hektarami, potrzebowałam samochodu, i to w trybie pilnym.

Mimo ogromnego nakładu pracy wydawało mi się, że gospodarstwo ciągle stoi odłogiem. Pan Stanisław nie dawał mu rady w pojedynkę, sam zresztą miał dość liczne sady. I tak byłam mu bardzo wdzięczna za to, że opiekował się zwierzętami; powoli jednak dojrzywałam do decyzji o pożegnaniu się z nimi. Nie znałam się na trzodzie. Ojciec nie przekazał mi tej wiedzy, a sama też zbyt mało o nią nie zabiegałam. Chociaż podpatrywałam go przy pracy, to strach, że mogłabym niechcący zrobić im krzywdę, nie pozwalał mi się zbliżyć do tych stworzeń. O ile przyrządzanie posiłków z podrobów nie sprawiało mi trudności, o tyle opieka nad zwierzętami zagrodowymi już tak.

Rozłożyłam przed sobą ulotki nauki jazdy i starałam się wybrać tę, która do mnie najbardziej przemówi. Wcześniej nie planowałam robić prawa jazdy, ale dwa dni temu przekonałam się, że nic w moim życiu nie jest takie, jakie się wydawało, i najwyższa pora podjąć radykalne kroki.

Miałam wrażenie, że los ze mnie zadrwił. Kolejny raz dał mi do zrozumienia, że nie mam wpływu na to, co dla mnie zapisał. Wszystkie moje plany, ucieczki i wybory okazały się nietrafione, a ja zawracałam z narzuconej sobie drogi do punktu wyjścia. Do domu, gospodarstwa, ojcowizny, od której uciekałam tyle lat, a która teraz była tym, co zaprzętało moją głowę w każdej wolnej chwili. Biła z tej ziemi energia, która przyciągała mnie tajemnicą, zabraną przez rodziców do grobu – mogiły, nad którą pierwszy raz od pogrzebu nie zamierzałam stać godzinami.

Przypomniałam sobie wydarzenia sprzed dwóch dni. Siedziałam wówczas w kancelarii, na skórzanym fotelu, który z jednej strony dawał poczucie chłodu, a z drugiej nieprzyjemnie przyklejał się do spoconego ciała. Każdy mój ruch wywoływał krępujące odgłosy. Wiatrak przymocowany do kasetonów sufitowych delikatnie wprawiał w ruch nagrzane powietrze. Ciemne hebanowe i najpewniej antyczne meble sprawiały wrażenie drogich. Teczki i segregatory leżące niedbale na biurku oddzielały mnie od notariusza. Mężczyzna w kwiecie wieku i z widoczną nadwagą wsunął dwa palce za kołnierz, żeby trochę poluzować idealny węzeł krawata. Strużka potu spływała mu po skroni. Zastanawiałam się, czy poci się tak bardzo ze względu na upalne popołudnie, czy jednak z uwagi na tuszę.

– Wszystko się zgadza. Proszę schować dowód osobisty – odezwał się mocnym basem, po czym położył przede mną dokument. – Teraz otworzę i odczytam testament.

Kiwnęłam głową na znak akceptacji. Ze stresu zaschło mi w gardle i drżącą dłonią sięgnęłam po stojącą przede mną szklanekę z wodą.

– „Wrocław, 1 lipca 1990 roku. Testament. Ja, Maria Buchowska z domu Babicz, urodzona 29 listopada 1940 roku w Londynie”.

– Przepraszam – wtrąciłam. – Tu jest błąd. Moja mama nie urodziła się w Londynie.

– Owszem, droga pani. Urodziła się tam. A przynajmniej na to wskazują dokumenty.

Z trudem przełknęłam ślinę, a serce zaczęło szybciej pompować krew.

– Jeśli pani pozwoli, będę kontynuował.

– Dobrze – wydukałam, chociaż zgoda była podyktowana wyłącznie stresem, bo w mojej głowie rozbijały się myśli o kłamstwie, jakim matka karmiła mnie, odkąd pamiętałam.

Przed oczyma zobaczyłam siebie jako dziewięcioletnią dziewczynkę, która siedziała przy kuchennym stole; wokół unosił się zapach duszonej wątróbki i dochodzących ziemniaków, a ja próbowałam napisać opowiadanie pod tytułem: „Moja rodzina, moja ojczyzna”, za które później otrzymałam najlepszą ocenę w klasie. „Pochodzimy z Wrocławia, kochanie. Ja, ty i twój ojciec urodziliśmy się w tym mieście, a teraz płodzimy plony w jego powiecie” – tamte słowa matki słyszałam tak wyraźnie, jakby dopiero co je wypowiedziała.

Notariusz chrząknął, po czym kontynuował odczytywanie testamentu.

– „Na wypadek śmierci cały mój majątek oraz majątek dziedziczony po mojej matce, Ewie Babicz, przekazuję swojej córce Zofii Buchowskiej urodzonej 16 marca 1970 roku we Wrocławiu. Podpisano: Maria Buchowska”. Czy przyjmuje pani majątek wraz z całym inwentarzem?

– Tak – powiedziałam po chwili.

– Proszę zatem podpisać te dokumenty – odparł, podsuwając mi pod nos plik kartek, na których drżącą ręką wpisałam swoje nazwisko.

– Świetnie, skoro mamy to już za sobą, przekazuję pani akty własności. Proszę w przyszłym miesiącu zgłosić się do kancelarii. Wtedy już oficjalnie będzie pani wpisana w akty wszystkich nieruchomości. Gratuluję nabycia majątku – oznajmił, kładąc na biurku szarą teczkę.

Wstał, wyciągnął spoconą rękę w moją stronę, a ja bez słowa również wstałam i z niesmakiem ją uścisnęłam.

– Dziękuję. – Sięgnęłam po teczkę.

Nie rozumiałam tej sytuacji. Jakich nieruchomości stałam się właścicielką? Domu i obory? Schowałam teczkę do torebki i wyszłam na zewnątrz. W tym dusznym pokoju brakowało mi tlenu. Chociaż miałam wrażenie, że nie tyle było to spowodowane upałem, ile odpowiedzialnością, jaka na mnie spadła za powierzone mienie.

„Dlaczego mama nigdy nie wspominała, że urodziła się w Londynie? Jaka tajemnica była związana z tym miejscem, skoro całe życie nie

mogłam się o tym dowiedzieć?” – zadawałam sobie w myślach pytania bez odpowiedzi.

Gdy otworzyłam drzwi, parne powietrze uderzyło mnie w twarz. Wyszłam na niedawno wybrukowany chodnik, wstąpiłam do pierwszego lepszego sklepu po butelkę wody i od razu wypiliśmy duszkiem. Usiadłam na ławce w cieniu drzewa i położyłam na kolanach szarą teczkę związaną na kokardkę. Taką, jakich miałam kilka na studiach. Gładziłam dłonią tekturę i odwlekałam jej otwarcie. Jednak im dłużej czekałam, tym bardziej bałam się zajrzeć do środka.

„Mleko już się rozlało, Zośka. Nie ma sensu teraz się nad tym zastanawiać...” – powtarzałam w myślach.

W końcu wyjęłam na światło dzienne wszystkie dokumenty. Z akt wynikało, że odziedziczyłam trzy domy i kilka sporych kawałków ziemi. Jednak najbardziej zaskoczyło mnie to, że oprócz znanej mi od zawsze wsi w dokumentach pojawiała się nazwa: Ołdrzychowice Kłodzkie. Nie słyszałam o niej wcześniej.

Teraz ze wspomnień wyrwało mnie gwałtowne szarpnięcie autobusu i następujące po nim wołanie kierowcy, który kazał mi opuścić pojazd, bo za chwilę zawraca do Wrocławia. Niezdarnie wpakowałam wszystkie dokumenty do torebki i wysiadłam. Postawiłam stopę na nagrzanym asfalcie i w jednej chwili pożałowałam, że założyłam sandały. Tumany kurzu, jakie pozostawił po sobie odjeżdżający autobus, otoczyły mnie z każdej strony, ale miałam wrażenie, że największa ich ilość skumulowała się między rzemykami sandałów. Już w tej chwili wiedziałam, że po spacerze na cmentarz i gospodarstwo będę miała całe stopy w pęcherzach. Zakląłam cicho pod nosem, mając nadzieję, że nikt mnie nie usłyszy. Otrzepałam się z tych myśli, przestawiając umysł na realne myślenie. Odkąd w tamtym miesiącu zmarło dwóch mieszkańców Brzeziej Łąki, już tylko trzy domy były zamieszkałe. Rozejrzałam się dokoła, zastanawiając się, czy ten koniec świata, na którym postanowili osiedlić się moi rodzice, kiedyś wypełni się ludźmi. Westchnęłam i ruszyłam w drogę na cmentarz. Szybko uporządkowałam miejsce spoczynku rodziców, odmówiłam kilka zdrowasiek i, nie wdając się z nimi w myślową dyskusję, popędziłam do domu. Chciałam znaleźć

potwierdzenie aktów notarialnych. Jakieś dokumenty, zdjęcia, cokolwiek, co byłoby kolejnym puzzlem w mojej historii. Kilka godzin później w domu panował niesamowity bałagan, a moja ciekawość nadal nie została zaspokojona. Mama nie zostawiła dla mnie nic, co jakkolwiek wyjaśniałoby słowa testamentu. Ot, masz trzy domy, oborę i kilka kawałów ziemi. Rób z tym, co chcesz, i gospodaruj, jak uważasz, ale nie pytaj, skąd to wszystko się wzięło.

Zostałam wychowana w przeświadczeniu, że jesteśmy biednymi rolnikami, którzy tylko dzięki ciężkiej pracy utrzymują się na tym padole. Aż nagle okazało się, że nie jestem biedną rolniczką, ale jedyną spadkobierczynią mienia opływającego na łączną wartość kilku milionów złotych.

– Gdzie tu sens? Gdzie logika? – zadawałam sobie pytania, na które nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi.

**29 września 1939 roku,
Korostowice**

Słońce powoli wdzierało się między ciężkie pluszowe zasłony w kolorze parzonej kawy. Stefania otworzyła oczy i przez chwilę studiowała otoczenie.

Znad puchowej pierzyny, obleczonej poszarzałą bawełnianą pościelą, wyłaniały się proste, pomalowane na biało ściany. Komoda i szafa bez zbędnych zdobień, niewielkie biurko z drewnianym krzesłem bez obicia. Krzyż powieszony nad pomalowaną na biało wąską futryną, a tuż obok drzwi niewielka drewniana ławeczka, na której pogrążona w zamyśleniu siedziała Marianna.

Stefania z trudem poprawiła się na łóżku i delikatnie uniosła, opierając głowę o twarde drewniane wezglowie. Czuła, jak ból rozsadza jej czaszkę, żołądek robi fikołki, a lewa ręka nieprzyjemnie boli, jakby ciążył na niej worek pełen kamieni. Powoli przypominała sobie ostatnie wydarzenia.

Nieudany wyjazd do Stanisławowa wyświeślał się w jej głowie migawkami, które rozdzielały ostre, przeszywające dźwięki wystrzeliwanych z pistoletów naboju. Pogrążony w szarości Stanisławów, strzał, przechodzące kolumną wojsko sowieckie, strzał, smutne oczy starej kobiety w mieszkaniu przy Sapieryńskiej, strzał, obijany gałęziami samochód, strzał, otoczona przez wojsko fabryka Babiczów, z której żołnierze wynosili meble, skrzynki z amunicją i nieprzetopioną blachą, strzał, Antek patrzący na nią smutnym wzrokiem, strzał, zakrwawiona sukienka i ramiona Antka, strzał, ciemność oprawiona w ból.

Dotknęła głowy, która była gorąca i wilgotna. Poczuła, jak treść jej żołądka coraz szybciej przesuwa się w górę przełyku.

– Nie ruszaj się – powiedziała spokojnie Marianka.

– Niedobrze mi – stwierdziła z trudem Stefania.

– To przez alkohol.

– Alkohol?

– Kazali ci pić, żebyś nie czuła bólu. Lekarz nie miał morfiny. Wszystko mu skonfiskowali i nawet nie miał czym wyjąć ci kuli z barku. Na szczęście mama Antka miała jeszcze zestaw nożyczek, którymi przed wojną strzygła ludzi – zawiesiła głos i ze łzami w oczach spojrzała na Stefanię. – Boże, Stefi, co za diabeł nas podkusił, żeby jechać po te dokumenty. – Ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała cicho.

Stefania podniosła pierzynę i z niedowierzaniem spojrzała na swoją lewą rękę owiniętą bandażem, który przeciekł; na białej poduszce widoczna była duża, brązowa plama zaschniętej krwi. Ręka od łokcia aż do dłoni mieniła się różnymi kolorami, które przechodziły między żółcią, różem, fioletem i zielenią.

Stefania zastanawiała się, czy teraz podzieli los ojca. W końcu tak jak on została postrzelona. Upomniała się w duchu, nie powinna lamentować nad swoim losem. Wiedziała, że musi być silna i mimo przeciwności spełnić prośbę ojca. Żadna z kobiet zgromadzonych w pałacu nie zdobyła się na odwagę, by pojechać po dokumenty, które pozwoliłyby im na ucieczkę z pogrążonego w wojnie kraju. Czuła, że tylko ona podoła temu zadaniu, że dzięki temu uzyska przebaczenie rodziny. Musiała tylko chwilę odpocząć. Nabrać sił i pozbierać myśli, które mimo że krążyły rozproszone po jej głowie, miały jeden wspólny wydźwięk.

Czuła, że nastały czasy niebezpieczne, które pozwolą wrogom jej ojca wprowadzić w czyn nieprzychylne myśli czy szukać zemsty. Nie wiedziała, jak uratować siebie, swoją rodzinę, ale prosiła Boga, by ich oszczędził, by dał jej mapę, dzięki której będzie mogła odnaleźć bezpieczną ścieżkę.

Z zamyślenia wyrwało je stukanie do drzwi. Chwilę później do pokoju weszły mama i siostra Antka. Władzia Babiczówna położyła na biurku

tacę z aromatyczną herbatą, która wypełniła pokój zapachem lipy i miodu, oraz dwie pszenne bułki wysmarowane masłem i malinową konfiturą.

– Stefanko, jak dobrze, że już wstałaś – powiedziała starsza kobieta o miłym, troskliwym spojrzeniu. Przysiadła na brzegu łóżka, rzuciła okiem na ranę Stefanii, po czym zwróciła się do córki: – Władziu, przynieś, proszę, miskę z wodą i prześcieradło.

Dziewczyna bez słowa obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

– Jedzcie, dziewczyny – zwróciła się Babiczowa do Marianny i Stefanii. – Może nie jest to wykwinne danie, do których przywykłyście w pałacu, ale doda wam trochę energii. Zwłaszcza ty, Stefanko, musisz jeść.

Władzia ponownie weszła do pokoju, dzierżąc w rękach niewielką emaliowaną miskę, znad której unosiła się para; przez ramię miała przewieszane prześcieradło. Mysie włosy zaplecione na karku w ciasny warkocz, cienkie, blade brwi, jasne niewidoczne rzęsy oraz szare spojrzenie, które nie zmieniło się od czasów szkolnych, sprawiały, że nadal wyglądała dziecinnie. Chociaż w białym fartuchu na jasnoniebieskiej bawełnianej sukience przypominała pielęgniarkę.

Stefania leżała na łóżku, a Łucja Babicz delikatnie przemywała jej opuchniętą, zakrwawioną ranę. Stefania przyglądała się pomarszczonym dłoniom, które z godnością wykręcały nadmiar wody z pociętego na kawałki prześcieradła. Ciepło wzroku i przenikliwa troska, jaką rozpościerała nad Stefanią mama Antka, sprawiły, że dziewczyna poczuła gorycz w sercu. Myśl, że nigdy nie doświadczyła tak przejmującego, bezkrytycznego i rozczulającego dotyku ze strony swoich najbliższych, napawała ją smutkiem. Wszystko w jej rodzinie było sztuczne. W wyuczonych, arystokratycznych ruchach nie znalazło się miejsce na czułość. Opanowanie i wstrzemięźliwość były jednymi z głównych cech rodziny Obieckich. Stefania zrozumiała, że nie potrzeba jej w życiu tych wszystkich wygód, strojów czy wykwinnego jedzenia. Ciepło rodzinnego ogniska w zupełności by wystarczało... Do pewnego momentu bliskość i troska rodzinna jawiły się jej jako atrybut biedniejszych, którzy niewiele w życiu posiadali, więc dzielili się tym, co

mieli – miłością: prawdziwym, szczerym uczuciem, które nie miało metryki, herbu ani bogactwa.

Nie wiedzieć czemu w chwili, gdy miała już przemytą ranę, poczuła w sercu bolesne ukłucie zawodu. Troskliwe ruchy mamy Antka sprawiły, że Stefania zateęskniła za opieką, jaką otaczał ją Iwan. Nie mogła zrozumieć, dlaczego odszedł, skoro tak dobrze było im razem. Była gotowa zostawić dla niego wszystko. Uciec ze środowiska przesiąkniętego chęcią posiadania coraz większego majątku. Odgrodzić się od niesprzyjającej rzeczywistości i karmić się uczuciem, jakie się pojawiło między nią a biednym Ukraińcem. Chociaż wciąż słyszała od rodziny przytyki, że zhańbiła swój ród romanssem ze stajennym, a w dodatku wszystko wskazywało na to, że Iwan zakpił sobie z jej uczuć oraz z opinii chlebobawców, nie mogła o nim zapomnieć. Stale towarzyszyło jej ciepło pocałunków, jakimi Iwan obdarowywał jej ciało. Mimo upływu czasu miała wrażenie, że pamięć o nich nie niknie, a wręcz przeciwnie, że czuje je jeszcze mocniej. Wstrząsnął nią dreszcz na wspomnienie elektryzującego spojrzenia chłopaka, a serce przyspieszyło rytm, jak gdyby znów był tuż obok. Nie potrafiła złościć się na jego nieobecność, ale z coraz bardziej dławiącym utęsknieniem pragnęła jego powrotu. Potrzeba pogoni za uczuciem, które zawładnęło nią całą, była silniejsza niż rozgoryczenie wywołane zniknięciem ukochanego. Powinna się wstydzić swojego zachowania. Powinna otrząsnąć się z tego grzesznego zauroczenia, przez które odsunęła się od niej cała rodzina, a mimo to nie potrafiła, nie chciała z niego zrezygnować. Bo jak zapomnieć o czymś, co było dla niej niczym oddech na polnej łące, jak powietrze nasycone słodkim zapachem letnich kwiatów? Jak zapomnieć o chwilach, w których spełniało się jej największe marzenie? Czasem miała wrażenie, że łączące ich uczucie było tylko dobrym snem, po którym nie zostało nic prócz dławiącego rozczarowania. Nade wszystko pragnęła znów znaleźć się w jego ramionach, pozwolić, by otulił jej serce, by rzeczywistość rozmyła się jak fatamorgana.

Poczucie porażki wciąż walczyło w niej z błogimi wspomnieniami. Czowała coraz bardziej, że przepowiednia Cyganki spełnia się na jej oczach,

dzień po dniu, i podczas każdej modlitwy prosiła Boga, by zlitował się nad nią i odmienił bieg jej życia.

– Antek wrócił – oznajmiła z radością Władzia i wypadła z pokoju.

Łucja pospiesznie zebrała do miski kawałki brudnego opatrunku i powiedziała, że Władzia zaraz zmieni prześcieradło, po czym ruszyła na dół, by przywitać się ze swoim dzieckiem.

Stefania milczała, próbując skupić się na strzępach rozmów, jakie docierały do pokoju, ale słyszała co trzecie słowo. Po chwili w drzwiach stanął Antek z mamą i siostrą. Spojrzał na Stefanię wzrokiem pełnym troski i ulgi, choć ona widziała, że czuje się przytłoczony.

– Możemy porozmawiać w cztery oczy? – spytała, wprawiając resztę towarzystwa w konsternację.

Czuła się wyjątkowo skrępowana, gdy tyle par oczu patrzyło na jej niedołężność. Zawsze starała się być silna i z podniesionym czołem realizować zadania, jakie stawiało przed nią życie, lecz teraz, gdy była zależna od osób, które wpatrywały się w nią jak w święty obrazek, czuła zażenowanie. To uczucie nie pomagało jej w układaniu w głowie planu na najbliższą przyszłość. Chciała wiedzieć, na czym stoi i jak wygląda sytuacja w kraju. Wiedziała, że Antek nie będzie owijał w bawełnę i z westchnieniem, ale przekaże jej wszystko, tak jakby była partnerem do negocjacji, a nie kruchą arystokratką. Nigdy taka nie chciała być, więc za wszelką cenę z uporem starała się udowodniać światu, że wyjdzie cało z każdej próby, na jaką wystawi ją życie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że swoim zachowaniem podświadomie przyciągała coraz to wyższe przeszkody.

Kobiety w ciszy wyszły z pokoju, a kiedy Antek upewnił się, że zeszedł do kuchni, zbliżył się do Stefanii i przysiadł na łóżku. Wpatrywali się w siebie w ciszy, próbując siłą wzroku wymusić na drugiej stronie wypowiedzenie na głos myśli kłębiących się w ich umysłach. Oboje nie wiedzieli, jak ubrać je w słowa, choć solidarnie twierdzili, że przyjacielska rozmowa zawsze była jedyną drogą do rozwiązania problemów. Choć postrzegali swoją relację zupełnie inaczej, to łączyła ich zgodność co do tego, że potrafili ze sobą rozmawiać w sposób wzniosły, twórczy, a jednocześnie uzupełniający. Byli dobrymi kompanami,

przyjaciółmi znającymi siebie do ostatniej kropli krwi. Potrafili wzajemnie rozpoznać w sobie wszystko i jednym spojrzeniem rozszyfrować każde zawirowanie w swoich duszach. Antek odbierał tę umiejętność jako synonim miłości. Natomiast Stefania traktowała go jak prawdziwego przyjaciela, na którym zawsze mogła polegać, i nie było to z jej strony górnolotne stwierdzenie. Teraz, patrząc sobie w oczy, wiedzieli, że sytuacja, w jakiej się znajdują, to dopiero początek trudnych do pokonania przeszkód. Żadne z nich jednak nie wiedziało, jak zacząć rozmowę, jak przekazać drugiej stronie swoje obawy i lęki.

Antek miał świadomość, że Stefania musi znać prawdę. Jakkolwiek byłaby ona dla niej przykra, musi poznać wszystko, by móc się odrodzić jak feniks z popiołów, jako jeszcze silniejsza istota, choć czasem miał wrażenie, że już bardziej silnym niż ona być się nie da. Stefania co jakiś czas dokładała do swojego pancerza coraz więcej blach, które spawała siłą charakteru. Antek pragnął być tym, który zrzuci z niej wszystkie warstwy zbroi i zaopiekuje się tą małą dziewczynką, która chowała się na samym dnie jej duszy. Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że jest już blisko, stawało się coś, co odrzucało go na sam początek drogi, i musiał kolejny raz przebijać się przez wszystkie warstwy. Teraz, gdy nastaly czasy trudne, niedorzeczne i niesprawiedliwe, obawiał się, że każde jego słowo będzie kolejnym pancerzem, kolejną partią zbrojeń, którą Stefania narzuci sobie na barki, a on już nie będzie umiał jej z nich wyswobodzić. Im bardziej odwlekał rozmowę z nią, tym trudniej było mu zacząć.

W końcu odezwała się pierwsza.

– Zdaję sobie sprawę, że nie mogę cię prosić o rzeczy niewykonalne. Domyślam się też, że podczas mojej niedyspozycji sytuacja w kraju stała się bardzo napięta, ale znasz mnie i wiesz, że poradzę sobie z każdym ciosem. Wyrzuc z siebie to wszystko, co ma ci myśli – mówiąc to, położyła swoją dłoń na dłoni Babicza, twardej i zgrubiałej od pracy.

Antek ściągnął krawat, odpiął guzik przy kołnierzu koszuli, która teraz nad wyraz mocno go uwierała. Przełknął ślinę i, nie patrząc jej w oczy, powiedział:

– Nie wiem, jak ubrać w słowa to, co dzieje się za murami domu. Spełnieniem moich marzeń było, byś znalazła się w tym pokoju z moją rodziną, ale nie w takich okolicznościach i nie w takim stanie. Zawsze otrzymuję od losu to, czego pragnę, szkoda tylko, że to on decyduje o czasie i... całej otoczce.

W odpowiedzi mocniej ścisnęła jego dłoń i świdrując spojrzeniem duszę, ponagliła go wzrokiem, by wydusił z siebie to, co miał na końcu języka. Widok jej wątych palców spoczywających na jego ręce koił jego zmysły, więc nie spuszczać z nich wzroku, powiedział:

– Twojego ojca aresztowano. Jest w Stanisławowie, w więzieniu razem z innymi działaczami politycznymi, oficerami i elitą – umilkł, nie wiedząc, jak przekazać jej kolejne wieści. Postanowił się zdobyć na brutalną szczerość. – Ostatnio w tym więzieniu zamknięto policjantów... Strasznie ich skatowano, a potem wywieziono w głąb ZSRR. Nikt nie wie, co się z nimi stało i czy w ogóle jeszcze żyją... Poruszyłem wszystkie swoje doświadczenia, żeby pomóc twojemu ojcu uciec, ale obawiam się, że teraz jest już na to za późno.

Przez twarz Stefanii przeszedł cień strachu, a oczy zaszklily się od łez.

– Niemożliwe – powiedziała butnie, potrząsając głową. – Na pewno da się coś zrobić. Przede wszystkim musimy wyciągnąć ojca z więzienia. W Stanisławowie jest żydowska rodzina, która za pieniądze może pomóc, tylko musimy się pospieszyć – mówiła drżącym głosem. – A gdybyś mógł zawieźć mnie do pałacu, to poszukałabym w terminarzach ojca nazwisk ludzi, którzy mają koneksje. Wy też nie możecie tu zostać. Musi się udać.

– Stefanko, wiesz, że moje serce od dawna należy do ciebie i zrobiłbym wszystko, by cię uratować, ale w tych okolicznościach... – Nie miał odwagi na nią spojrzeć. – Sowieci skonfiskowali prawie cały mój majątek, zostawili tylko marne ochłapy i brak perspektyw na działalność firmy, a wczoraj... – zawiesił głos. – Wczoraj skapitulowała Warszawa. Trzecia Rzesza i ZSRR podzieliły się Polską jak mięsem przy kolacji. Pomoc z Anglii i Francji, na którą tak wszyscy czekali, nie nadeszła. Polska umarła, a my oficjalnie zostaliśmy wcieleni do Związku Radzieckiego. Wszyscy urzędnicy, działacze, policjanci zostali zamknięci w więzieniach lub rozstrzelani, a wojsko... – Westchnął głęboko. – Mówi się, że wszyscy

zostaną umieszczeni w obozach jenieckich, oczywiście ci, którym udało się przeżyć walki, więc nie wiadomo, co z twoim mężem. Nie lubiłem go nigdy – uniósł wzrok – ale teraz jest mi go żal.

Stefania wyglądała na wystraszoną i dezorientowaną. Błysk zaciętości w oku, który do tej pory jej towarzyszył, zgasł, a zamiast niego pojawiło się zwątpienie.

– Ojciec mówił, żeby lepiej oddać im ten Gdańsk – powiedziała cicho, patrząc w okno, za którym było szaro od padającego deszczu.

Mżawka, którą dostrzegła chwilę po przebudzeniu i która nie zapowiadała nic poważniejszego, teraz zmieniła się w ścianę wody zalewającej okoliczne tereny. Z trudem mogła dostrzec wyłaniający się z oddali las i nieliczne zabudowania. Miała wrażenie, że złe wiadomości spłynęły na nią równie nieoczekiwanie jak deszcz – zmyły z niej ostatnie resztki nadziei na lepsze jutro.

Nadziei na spotkanie Iwana.

**4 marca 1940 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Stefania stała pośrodku salonu, wpatrując się w ogród. Ręka pulsowała nieprzyjemnie i dziewczyna najchętniej położyłaby się do łóżka; postanowiła jednak zrobić wszystko, by jak najszybciej powrócić do pełnej sprawności, a wiedziała, że leżąc, nie wykona należytej pracy mięśni. Powoli podeszła do okna, próbując dostrzec zarys samochodu Antka, choć w głębi duszy pragnęła ujrzeć Iwana.

Z czasem jej ciało przestało reagować na wspomnienia ich płomiennego uczucia. Zapominała, jak Iwan gładził jej ciało i całował. Niekiedy tylko zaszywała się w swoim pokoju, wyciągała schowane na dnie komody z bielizną małe pudełko, w którym trzymała listy od niego. Nieudolnie napisane, czasem z poprzestawianym szykiem zdań lub słowami nie o takim znaczeniu, jakie pasowało, ale przesiąknięte miłością, tęsknotą i pragnieniem. Gładziła koperty, wahała i przykładła do piersi, a później patrzyła na nie, przypominając sobie chwile, kiedy je otrzymała. Wszystkie listy znała na pamięć, każde słowo było wyryte w jej sercu. Nade wszystko pragnęła, żeby znów się urzeczywistniły. Tymczasem trwała w zadumie, ogrzewając się ciepłem dogasającego uczucia.

Gdy Stefania wróciła w październiku do pałacu, wystraszone kobiety witały ją z nieukrywaną ulgą. Czekwały na wiadomości; marzyły o tym, by uciec w bezpieczniejsze rejony, ale żadna wyprawa nie miała prawa się udać. Antek nie znalazł sposobu na to, by wywieźć je dokądkolwiek. Wszędzie panowała wojna, a oni nie mieli już nikogo, kto mógłby wyrobić im fałszywe dokumenty. Za przynależność do elity, partii czy

inteligencji w najlepszym wypadku groziło więzienie. Sowieci hołubili chłopstwo i prowadzili powszechną nagonkę na majątnych. O rodzinie Obieckich nie mówiło się dobrze jeszcze przed wojną i niejednemu nóż otwierał się w kieszeni na sam dźwięk nazwiska hrabiego. Teraz, gdy zniknęły wszelkie zahamowania, Obieckie drżały o swój los. Chciały żyć za wszelką cenę, choćby nawet miały wyrzec się arystokratycznej krwi. A kiedy dowiedziały się, że Mieczysława wywieziono z więzienia w nieznanym kierunku, radość z powrotu Stefanii zamieniła się w lament nad losem ojca i męża.

Stefania przetarła dłonią zaparowaną od oddechu szybę i ciasniej otuliła się płaszczem. Od kilku dni nie miały już opału, chociaż przez całą zimę ogrzewały tylko jadalnię, w której przebywały cały dzień. Wiosna jednak jak na złość nie chciała przyjść i nocami było jeszcze bardzo zimno. Reszta pomieszczeń stała zamknięta na klucz. Poza tym niewiele w pałacu zostało życia z czasów dawnej świetności. Meble, obrazy, wystawione na widok drogocenne wazy, radio, telefon i wiele innych rzeczy zostało skonfiskowanych przez NKWD. Konie, które były chlubą Obieckich, służyły sowieckiej armii na pochodach. Z majątku zostało niewiele. Poza wszytą w ubrania biżuterią, rulonami pieniędzy, które po zrównaniu kursu złotego i rubla codziennie traciły na wartości, kobiety nie miały już prawie nic, co mogłoby utrzymać je przy życiu.

Mieszkanie w pałacu było odziane w nieprzerwany lęk. Sowiecka propaganda nakazywała ludności rozprawiać się z Polakami, których chłopci i ludność ukraińska postrzegali jako swoich ciemnych. Ukraińscy nacjonałiści mieli wręcz jawne przyzwolenie na to, by działać wedle uznania, więc pałac w Psarach systematycznie był plądrowany. Oksana, dawna pokojówka Róży, nachodziła je wraz z bandą chłopów i szantażując Obieckie podpaleniem posiadłości, wyłudzała kolejne zapłaty w zamian za pozorne bezpieczeństwo.

Antek przyjeżdżał raz na tydzień. Przywoził jedzenie, leki i mydło, jeżeli udało mu się to zdobyć w Stanisławowie. Stefania z nadzieją wypatrywała przyjaciela, choć wiedziała, że każda kolejna wizyta Babcza w pałacu wiązała się z coraz większym ryzykiem.

O ile w Psarach agresja wrogów polskości przejawiała się tylko napadami na bogatsze domy, o tyle w Stanisławowie i okolicach dochodziło do brutalnych i barbarzyńskich napaści na Polaków, których wyrzucano z domów, aresztowano lub posyłano na białe niedźwiedzie. Nikt nie wiedział, gdzie dokładnie wywożono tych ludzi, ale pewne było, że droga prowadziła w głąb Rosji. Nikt nie miał pewności, czy wychodząc z domu, jeszcze do niego wróci. Ludzie często ginęli bez wieści. Pozostawało mieć nadzieję, że nie zostali zamordowani.

Stefania uspokoiła się, gdy zobaczyła w oddali zbliżający się motocykl. Choć środek transportu był niecodzienny, zdawała sobie sprawę, że ktoś mógł pozbawić Antka samochodu, tak jak ich pozbawiono większości ziemi wokół pałacu. Kiedy motocykl był już blisko, Stefania zorientowała się, że to nie wyczekiwany gość, ale nieznajomy mężczyzna o krępej budowie ciała, w kasku, odziany w stary, zniszczony płaszcz przepasany paskiem. Stefania z trudem przełknęła ślinę, czując, jak robi jej się niedobrze ze strachu.

– Poczekajcie tutaj – powiedziała Róża do siedzących przy stole kobiet.

Stefania obróciła się i spojrzała na blade twarze sióstr, Zambrockiej i jej dzieci, Marianny oraz kucharki. Wszystkie milcząco wymieniały między sobą pełne obawy spojrzenia.

– Może ja pójdę – stwierdziła cicho Stefania.

Od dłuższego czasu łapała się każdej okazji, by wrócić do łask. Pomagała kucharce w gotowaniu, chodziła do lasu nazbierać gałęzi, chociaż jedną ręką szło jej to niezdarnie, a następnie razem z Marianną składowała je w pokoju gościnnym. Z powodu chłodu, jaki panował w pałacu, drewno nie wysychało porządnie, więc paliło się z trudem. W sieni leżało kilka gałęzi, na które każdy zerkał niecierpliwie. W końcu lepiej spalić to niż meble. Ojciec, gdyby wrócił, nie wybaczyłby im pozbycia się ręcznie rzeźbionych szaf i komód. Tyle rzeczy zostało im zawłaszczzone, że utrzymanie ostatnich rodzinnych skarbów stało się dla nich priorytetem. W końcu nadal naiwnie wierzyły w to, że wojna lada dzień się skończy i świat wróci do normalności.

Stefania z przerażeniem pomyślała o tym, że w ciągu ostatnich dni nie udało jej się uzbierać ani kawałka drewna. Wszystkie niżej rosnące

gałęzie już poodcinała lub oberwała, a nie miała siekiery ani drabiny, by dostać się po kolejne. Żywiła nadzieję, że Antek znajdzie czas, by pomóc im zgromadzić odpowiednią ilość drewna na opał.

– Jesteś jeszcze młoda. Gdyby strzelali od progu, to mnie będzie najmniej szkoda – stwierdziła w pewnym momencie Róża.

Stefanię zmroziły słowa matki. Patrzyła na nią z trwogą; ostatnie miesiące przepełnione strachem dodały Róży lat. Była blada i wydawała się stale zmęczona, a twarz, która z każdym dniem pokrywała się nowymi zmarszczkami, zupełnie nie przypominała tej, która była jej wizytówką w ostatnich latach. Zazwyczaj ponętna figura straciła krągłości, a wypiełgnowane dłonie, oznaka arystokratycznego pochodzenia, pokrywały bolesne zgrubienia. Matka twierdziła, że to z zimna i że tak działa na nią wojna, ponieważ po tułaczce podczas pierwszej wojny światowej również uskarżała się na zapalenie stawów.

Kilka minut później ciszę w salonie przeciął dźwięk stukania do drzwi. Róża natychmiast poszła otworzyć, zgromadzone w salonie kobiety zamarły. Stefania miała wrażenie, że w oczekiwaniu na matkę wszystkie zastygły niczym pozbawione życia posągi.

Po chwili Róża wróciła, trzymając w ręku kopertę.

– Do ciebie – powiedziała drżącym głosem, przekazując list córce.

Wanda trzęsącymi się dłońmi otworzyła kopertę, a kiedy przeczytała zawartość, osunęła się na krzesło, oszołomiona, a zaraz potem wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Róża rzuciła się na podłogę, tuląc do piersi swoje dziecko, którego szloch rozdzierał serca.

Stefania podeszła i wzięła kartkę, by przeczytać treść.

Warszawa, 17 listopada 1939 roku

Szanowna Pani!

Biuro informacyjne PCK stwierdza, że w posiadanej rejestracji strat Wojska Polskiego figuruje major Zygmunt Sochaczewski, urodzony w 1902 roku, który zmarł na skutek działań wojennych dnia 8 listopada 1939 roku w szpitalu wojennym w Giżycach, powiat Płock. Wymieniony został pochowany na miejscowym cmentarzu w Giżycach.

Z poważaniem

Stefania pierwszy raz od miesiący pomyślała o Karolu. Nie miała od niego wiadomości od momentu jej ucieczki z Pomorza. Zastanawiała się, czy jeszcze żyje. Czy ona też dostanie list z informacją o śmierci męża? Gdyby tak się stało, nie zamierzała rozpaczać jak Wanda; i nie darzyła męża uczuciem ani trochę podobnym do tego, jakie miała wobec Zygmunta jej starsza siostra. W zasadzie to nie odczuwała wobec niego żadnych pozytywnych emocji.

Do dziś nie wiedziała, dlaczego zdecydowała się związać z człowiekiem, którego kompletnie nie знаła. Z perspektywy czasu zrozumiała, że Karol od początku jawnie ją krytykował i stale deklarował swoją niechęć do jej rodu, którą z początku naiwnie składała na karb jego sarkastycznego usposobienia. Podczas balu był jedyną nieznaną jej osobą, a przy tym jedynym mężczyzną, który wpisał się w jej odpowiedź na przepowiednię Cyganki. W dodatku Mieczysław za młodu przyjaźnił się z ojcem Karola, więc szybko zaakceptował ten związek. Zaślubiny w kręgach arystokratycznych były normą i budowały poczucie wspólnoty, a w przypadku ślubu Stefanii i Karola mogły ponownie połączyć dwa zwaśnione rody.

Nie przypuszczała, że związek z nią będzie dla Karola swego rodzaju zemstą nawet wtedy, gdy odzyska już od Obieckich tereny, które należały do Filipowiczów. Tuż po ślubie, choć była pewna, że nie darzy męża żarliwym uczuciem, miała jednak w sobie sporo nadziei na dobrą przyszłość u jego boku. Rzeczywistość uderzyła ją w chwili, gdy przebywała na Pomorzu, niedaleko Władysławowa, w małej chacie na pustkowiu, do której wywiózł ją Filipowicz. Gdy wyraziła niechęć wobec takich warunków życia, Karol wymierzył jej siarczysty policzek, a następnie zamknął ją w pokoju na trzy dni, a sam wyjechał w nieznanym kierunku. Pozostawiona bez jedzenia, picia oraz pieniędzy przeżywała katusze. Każda minuta dłużyła się jak godzina, a strach o życie paraliżował każdy jej ruch. Na samo wspomnienie tamtych chwil zasychało jej w gardle, a żołądek robił się nieprzyjemnie ciężki. By otrząsnąć się z przykrego obrazu, przywołała w pamięci dzień, kiedy

Karol wrócił do chaty w towarzystwie starej kobiety imieniem Ludmiła, która miała być ich kucharką, a stała się dla Stefanii podporą i powierniczką. Spędzały razem całe dni na rozmowach, gotowaniu lub spacerach po wybrzeżu. Przez wszystkie wspólne miesiące Ludmiła roztaczała nad Stefanią parasol niemal babcinej troski, pod którym kobieta chroniła się po każdej awanturze czy ciosie zadany przez Karola. Ponadto Ludmiła była wspaniałą kucharką, zielarką oraz szwaczką. Stefania miała wrażenie, że staruszka znała wszystkie rośliny, jakie rosły wokół ich chatki, i z każdej zieleniny potrafiła wyczarować pyszną strawę lub lekarstwa na różne schorzenia. Stefania po trochu z nudów, a po trochu z zamięłowania do nauki chłoneła wszystko, co tamta jej przekazywała, uznając, że taka wiedza to skarb, który kiedyś może uratować jej życie. Patrząc z perspektywy czasu, była wdzięczna Bogu za to, że postawił na jej drodze Ludmiłę. Wojenna zawierucha zmuszała Stefanię do korzystania z różnych umiejętności, a wiedza, jaką posiadała dzięki staruszce, była w tej chwili nieocenionym darem.

Filipowicz z racji pełnionej funkcji często wyjeżdżał na Hel, gdzie dowodził portem wojennym. Tak przynajmniej mówił i w to chciała wierzyć Stefania, chociaż mając w pamięci jego warszawską zdradę, upatrywała w tych wyjazdach spotkania jej męża z kolejnymi kochankami. Kiedy po jednym z jego powrotów do chaty wyczuła wokół munduru aurę kobiecych perfum i alkoholu, wykrzyczała mu w twarz, że nie zamierza dłużej znosić takiego upokorzenia i wraca do rodziców. Karol rzucił się na nią z pięściami, a wtedy Ludmiła uderzyła go mosiężną patelnią w głowę. W odruchu złości Filipowicz pchnął staruszkę, która z impetem poleciała na blat kuchenny.

Stefania nadal nie potrafiła wyrzucić z głowy widoku nieruchomych oczu Ludmiły, która leżała w kałuży krwi. Rzuciła się natychmiast w jej kierunku, lecz nie była w stanie jej już pomóc. Niemo wpatrywała się w staruszkę, drżącymi dłońmi podtrzymując jej głowę, z której ciekła strużka ciepłej krwi. W chwili gdy Ludmiła wydała ostatnie tchnienie, Stefania zastygła w bezruchu i niedowierzaniu – śmierć przyszła niespodziewanie szybko i tak po prostu zabrała z jej życia ukochaną

powierniczkę. Filipowicz beznamiętnie spojrział na leżącą kobietę, upił łyk wódki, po czym chwycił Stefanię za ramię, podniósł ją i zagroził, że jeżeli jeszcze raz mu się postawi, z nią postąpi tak samo. Stefania uległa skinęła głową, poczekała, aż Karol wypije do końca alkohol i zaśnie na kanapie, jak miał w zwyczaju, a potem pod osłoną nocy uciekła i pierwszym pociągiem udała się do Warszawy, a stamtąd do Stanisławowa.

Teraz, w domowej zawierusze, wśród lamentu i płaczu, nie zauważyła nawet, jak do salonu wszedł Antoni. Stał wystraszony w drzwiach, obserwując całą sytuację. Stefania podeszła do niego.

– Wyjdźmy na zewnątrz – powiedziała.

Kątem oka zobaczyła leżący tuż przy drzwiach worek. Był dużo mniejszy niż ostatnim razem. Domyśliła się, że w mieście coraz trudniej o jedzenie, nie mówiąc już o innych produktach potrzebnych do przeżycia.

Wyszli na taras.

– Co się stało Wandzie? – spytał z troską Antoni.

– Właśnie dostała list z informacją, że jej mąż nie żyje – odpowiedziała beznamiętnym tonem Stefania, chociaż w głębi duszy czuła smutek; lubiła szwagra, a że niejednokrotnie mieli takie samo zdanie na temat spraw społecznych czy polityki, powróciły do jej pamięci migawki z rozmów okraszonych zrozumieniem i zjednaniem w ważnych kwestiach. Zygmunt jako jedyny z rodziny tak jak ona dostrzegał zbyt jaskrawe różnice w warstwach społecznych i chętnie włączał się w pomoc biednym.

Antek westchnął ciężko.

– W Stanisławowie takie listy to norma. Nawet nie chcę myśleć, ile ta wojna osieroci dzieci, ile kobiet pozbawi oparcia. Nie jestem pewien, czy uda nam się po tym wszystkim podnieść.

Stefania spojrzała na przyjaciela z westchnieniem. Ona też nie miała siły o tym myśleć. Każdy dzień przynosił przykre informacje, a każda wizyta Babicza była lawiną złych wiadomości. Na początku Stefania bardzo przeżywała każdy atak, każde wywłaszczenie czy śmierć; teraz przyjmowała to jedynie z westchnieniem i coraz większą obojętnością.

Antek w ostatnich kilku miesiącach spowaźniał. Twarz mu stężała, a wokół ust i na czole pojawiły się głębokie bruzdy. Patrząc na niego, Stefania miała wrażenie, że Antoni ciągle nad czymś się zastanawia; jednocześnie twarz wykrzywiona grymasem kazała jej przypuszczać, że jego myśli owiane są grozą.

– Co się stało? – spytała bez ogródek.

Antoni nie wiedział, jak ma jej przekazać wieści z miasta. Stefania traktowała go jak korespondenta wojennego, który opowiadał jej o życiu w mieście pod okupacją; jednak z każdym dniem życie pod butem Sowietów sprawiało mu coraz większy ból, odcinało tlen i podduszało. Pragnął wyrwać się z ich szponów, a wszystko wskazywało na to, że to dopiero początek niewoli.

– Nic takiego, moja droga. Twoja nieskażona wojną twarz powinna taka pozostać – powiedział, patrząc jej szczerze w oczy i siląc się na uśmiech.

– Dobrze wiesz, że ci nie odpuszczę! Mów, co się dzieje w mieście.

– Nie pomyślałaś, że czasem nie ma sensu bycie nieustępliwym na siłę? W tych czasach niewiedza jest błogosławieństwem. – Uśmiechnął się smutno.

Stefania wywróciła oczami.

– Bzdura. Niewiedza może być błogosławieństwem dla osób o chwiejnej psychice. Mnie wiedza daje możliwość reakcji i przygotowania się do działania. Jeśli nie wiesz, że ogień jest gorący, włożysz do niego dłoń. Ale jeżeli ktoś cię uprzedzi o skutkach poparzenia, będziesz za wszelką cenę unikał bliskiego kontaktu.

Antek zacisnął usta w wąską kreskę. Stefania wiedziała, że robił wszystko, by ją chronić, ale zawsze starała się być niezależna i wojna nie zmieniła jej usposobienia. Musiała wiedzieć, na czym stoi. Tylko pełnia wiedzy o sytuacji, w jakiej się znajdowała, dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

– Dzieją się złe rzeczy – wydusił z siebie Antek z westchnieniem rezygnacji, nie patrząc jej w oczy. Zawsze tak robił, jak gdyby czuł, że przegrywa pod naporem jej silnej osobowości, a jednocześnie jakby wiedział, że nie jest w stanie się nią zaopiekować.

– To znaczy?

– NKWD prowadzi dziwną grę – zawahał się, ale pod naporem jej wzroku kontynuował. – Niespełna miesiąc temu pod osłoną nocy umundurowani Sowieci pukali do drzwi mieszkańców tarnopolskiego, kazali im się szybko pakować. Wywozili całe rodziny na najbliższą stację kolejową... Poupychali ich do wagonów dla bydła. A stamtąd... wywozili w głąb ZSRR. Nikt nie wie dokąd... Ale wielu ich powywozili... Bardzo wielu...

– Skąd o tym wiesz?

– Ludzie gadają. Poza tym widać, że Stanisławów opustoszał. Na ulicach częściej słyhać ukraiński niż polski. W urzędach na próżno szukać Polaka. Wszystkich zwolnili, skatowali w więzieniu lub wywieźli. Wolne posady Sowieci obsadzili swoimi ludźmi, Żydami lub Ukraińcami, którzy teraz dumnie panoszą się po mieście. Ciągłe słyhać zaczepki i skandowane hasła o tym, że tu będzie wolna Ukraina. Zdaje się, że na Kresach jest miejsce dla wszystkich prócz Polaków.

– Biedni ludzie – stwierdziła Stefania.

Antek przytaknął.

– Najgorsze jest to, że takich akcji ma być więcej. Jeden z moich byłych pracowników, młody Skórski, przyszedł do mnie wczoraj z ostrzeżeniem, że NKWD planuje kolejne deportacje i jako przedsiębiorca powinienem zaszyć się gdzieś, gdzie mnie nie znajdą.

Po plecach Stefanii przebiegł zimny dreszcz.

– I przyszedłeś ukryć się w pałacu? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie wygłupiaj się, Stefka. Przecież nie mógłbym zostawić matki i siostry na pastwę losu.

– Więc? – dociekała.

– Chyba znalazłem sposób, w jaki możemy stąd uciec – wyznał szeptem.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Potrzebujesz do tego mojej akceptacji? Dobrze wiesz, że zgodzę się na każdą formę ucieczki.

Antek bił się z myślami. Zastanawiał się, jak ma jej przekazać, czego naprawdę od niej potrzebuje. Czuł, że ta prośba uwłacza jego godności.

Z drugiej strony, czy w obliczu śmierci ważne było, kto będzie sponsorem wyprawy?

– Potrzebuję do tego dużo pieniędzy – zaryzykował, stawiając wszystko na jedną kartę.

– Ile?

Gdy Antek rzucił kwotę, Stefania wybałuszyła oczy ze zdziwienia. Pięćdziesiąt tysięcy za przerzucenie człowieka do Wielkiej Brytanii było ogromną sumą. Wiedziała, że majątek, jaki im pozostał, nie wystarczy, żeby uratować wszystkich domowników. Przetarła czoło i ze zdumieniem stwierdziła, że ma bardzo zimne palce.

– Jest jeszcze jedna wiadomość, nie wiem, czy nie gorsza od pierwszej – powiedział Antek, patrząc jej w oczy.

Spojrzała na niego w milczeniu.

– Wyjazd jest możliwy już za trzy tygodnie.

Stefania poczuła, jak w żołądku rośnie nieprzyjemna kula, a głowa boleśnie pulsuje.

**4 lipca 1997 roku,
Ołdrzychowice Kłodzkie**

Siedziałam z Tośką w autobusie relacji Wrocław–Kłodzko i obserwowałam, jak krajobraz wokół nas się zmienia, a z każdym przejechanym kilometrem rosną przed nami pasma górskie. Ścisnęłam pod pachą torebkę, do której schowałam akty notarialne potwierdzające dziedziczenie nieruchomości. Przyjaciółka co jakiś czas pokrzepiająco klepała mnie po udzie i powtarzała, żebym się nie denerwowała. Byłam daleka od nerwów; zamiast tego czułam dziwne podniecenie na myśl o tym, że właśnie nastąpiła chwila, w której odkryję sens kłamstw, jakimi faszerowali mnie rodzice przez lata życia na wsi.

Kiedy dojechałyśmy do Kłodzka, moje serce zabiło nieznanym mi rytmem. Patrzyłam na fasady budynków, czując dziwną przynależność do tego miejsca. Zaciągnęłam się powietrzem i ten oddech był pierwszym, jaki wzięłam w nowej rzeczywistości. Ruszyłyśmy w stronę dworca autobusowego i kiedy miła pani z informacji powiedziała, że busik do Stronia Śląskiego odjeżdża za piętnaście minut, usiadłyśmy na ławce i zjadłyśmy kupione w cukierni pączki. Oblizywałam klejące się od lukru palce i patrzyłam na zmieniające się nad naszymi głowami niebo. Z południa nadciągały wielkie chmury deszczowe i raczej się nie zapowiadało, żeby ulewa przeszła bokiem. Gdy dojechałyśmy do Ołdrzychowic Kłodzkich, deszcz spadał już z nieba wielkimi kroplami, w kilka chwil mocząc nasze sukienki, po tym jak wysiadłyśmy z busa. Drogę do domu, którego adres widniał w aktach notarialnych, pokonywałyśmy na raty, wbiegając pod kolejne drzewa i jak psy otrzepywałyśmy się z nadmiaru wody. Ulewa przybierała na sile.

Przystanęłyśmy na chwilę pod wielkim dębem, wokół było szaro od deszczu. Poczuliśmy, że błądzimy po omacku. Nie znałyśmy tej wsi, nie było też nikogo, kogo mogłybyśmy spytać o drogę. Tylko dziwny rytm mojego serca wyznaczał tempo tej wędrówki. I to on kazał mi ruszyć dalej.

Kiedy zobaczyłam przed sobą zniszczoną zębem czasu bramę wjazdową pomiędzy dwoma filarami z pięknymi rzeźbionymi liśćmi, zamarłam.

– Ja tu już byłam – powiedziałam powoli, zatrzymując się przed jednym z nich i nie zważając już na to, że nadal intensywnie pada.

– Coś mówiłaś!? – krzyknęła Tośka.

Szum spadających kropel wzbierał na sile i z trudem mogłyśmy się porozumieć.

– Byłam tu już! – odpowiedziałam równie głośno.

– Kiedy? – Tośka szarpnęła bramę, otwierając ją na oścież.

– Nie wiem, ale pamiętam te filary. Musiałam być wtedy dzieckiem.

Dotknęłam ornamentów, starając się przypomnieć sobie, po co tu wówczas przyjechałam, ale moja pamięć nie była łaskawa.

– Chodź, bo się przeziębisz. – Tośka złapała mnie za łokieć i siłą przyciągnęła w stronę budynku.

Pałacyk otoczony był gęstymi zaroślami, zapomniany przez ludzi i ukryty przed niechcianymi gośćmi. Zniszczona, zdobiona freskami elewacja i prześwietlająca przez odpadający tynk czerwona cegła nie zachęcały do wejścia.

Tośka dobijała się do drzwi, poruszając żeliwną kołatką w kształcie pyska ryczącego lwa. Z każdym stuknięciem moje serce przyspieszało rytm, gwałtownie transportując krew do wszystkich komórek. Złapałam się za pierś i odetchnęłam kilka razy, próbując się uspokoić. Przeszył mnie dreszcz, który bardziej niż spadającymi na odkryte ramiona kroplami spowodowany był podnieceniem, które ogarnęło mnie na dziwnie znajomy widok.

– Cholera! Nikogo nie ma! – Zrezygnowana Tośka oparła się czołem o futrynę.

Przetarłam ręką mokrą szybę okna usytuowanego dość blisko gruntu i zajrzałam do środka.

– Nie wydaje się, żeby to był pustostan – powiedziałam z zaciekawieniem, przeskakując wzrokiem po kolejnych meblach, których zarysy widziałam przez okno. – Poza tym nie dostałam przecież kluczy.

– Myślisz, że odziedziczyłabyś dom z lokatorami? – Tośka popatrzyła na mnie cynicznie.

– Kto to wie? – Wzruszyłam ramionami i zajrzałam za węgiel budynku. – Hej! Jest tu kto?

– Zośka, a ty jesteś pewna, że dotarliśmy pod dobry adres?

Spojrzałam jeszcze raz na mokrą kartkę z rozmazanym od wody adresem i porównałam z tabliczką na fasadzie. Wszystko się zgadzało. Obeszłam budynek dookoła, łudząc się, że jest jeszcze jedno wejście, przy okazji zaglądając w okna. Każde z pomieszczeń było urządzone w raczej dawnym stylu. Na podwórku walały się pojedyncze cegły i dachówki. W końcu stanęliśmy wraz z Tośką pod ogromnym drzewem na tyłach i rozejrzałyśmy się po ogrodzie. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie bardzo zaniedbanego. Stalowe ażurowe krzesła wylaniające się spośród wysokiej trawy niemo prosiły o odrdzewiacz. Drewniana pergola ledwo trzymała się pionu. Zastanawiałam się, czy rozpada się ze starości, czy może pod naporem obfitych rozmiarów różanych krzewów. Omiotłam wzrokiem cały teren. Na początek potrzebował kilku dni w towarzystwie kosiarki, a później – pewnie wielu tygodni pracy...

Po godzinie błąkania się bez celu po posesji, brodząc po kostki w błocie, postanowiłyśmy wrócić do Kłodzka i przyjechać do Ołdrzychowic następnego dnia, w nadziei, że ktoś będzie w domu. Wychodząc na drogę, mało nie wpadłyśmy pod koła jadącego samochodu w kolorze wiśni, który mijając nas, chlapanął brudną wodą z kałuży. Nasze i tak już mokre od deszczu sukienki zdobiły teraz wielkie, szarobrunatne plamy.

– Pięknie! – Tośka zacisnęła pięści, a w jej oczach pojawiły się ogniki złości.

Patrzyłam na nią i było mi przykro.

– W sumie i tak byłyśmy całe przemoczone – usiłowałam rozładować atmosferę, ale bez szczególnego entuzjazmu.

Czułam wzbierającą falę rozgoryczenia i zawodu. Chciałam odkryć rodzinną tajemnicę, uchwycić jakiś szczegół przeszłości, a poza pewnym przeziębieniem niczego nie udało nam się złapać.

Tymczasem wiśniowy samochód po kilku przejechanych metrach zahamował i zaczął się cofać w naszą stronę. Kiedy auto zatrzymało się tuż przy nas, przyciemniana szyba powoli się opuściła i zobaczyłam niewiele starszego od siebie blondyna o pociągłej twarzy i zielonych oczach.

– Przepraszam! Nie chciałem was ochlapać – powiedział, wyraźnie zaskoczony. – Nie przypuszczałem, że ktoś tu będzie.

– W porządku. – Zrobiłam z dłoni daszek, żeby lepiej widzieć rozmówcę. – Nie wie pan, kto tu mieszka? – Wskazałam budynek za sobą.

– Wiem, ale nie jestem pewien, czy mogę udzielać takich informacji – stwierdził butnie i posłał mi zadziorny uśmiech.

– Jaki bezczelny! – Tośka wychyliła się z za moich pleców. – Chyba nie zdajesz sobie sprawy, młody człowieku, z kim masz do czynienia.

Zaśmiał się i odsłonił równe, choć nieco pożółkłe zęby. Było w jego twarzy coś przyjemnego i łagodnego, co sprawiało, że czułam, iż można mu ufać.

– Ano nie zdaję sobie sprawy – odparł.

– Jestem właścicielką tego budynku, ale widzę, że jest zamieszkały – wytłumaczyłam.

Przez chwilę przyglądał mi się bacznie, jak stoję w strugach deszczu, po czym wysiadł i otworzył przede mną drzwi samochodu.

– Proszę wsiadać – powiedział. – Zawiozę was do osoby, która opiekuje się tym domem.

Już miałam wsiąść, gdy Tośka pociągnęła mnie w swoją stronę.

– Chyba zwariowałaś! – wyszeptała oburzona. – Nie znasz tego typu i chcesz gdzieś z nim jechać? A jak to gwałciciel i seryjny morderca?

Chłopak najwyraźniej usłyszał te słowa, bo wybuchnął śmiechem.

– Wolisz stać tu i moknąć? – spytałam po cichu.

Widziałam, że jest zmęczona podróżą, a pogoda wyjątkowo uprzykrzyła nam pobyt w tym miejscu. Znałam Tośkę na tyle długo, że zdawałam

sobie sprawę z tego, jak bardzo nie znosi deszczu, a wysuszenie się i ciepła herbata będą lekarstwem na jej podły nastrój.

– Może uda nam się dzisiaj przenocować w moim domu. Zaoszczędzimy trochę grosza, a przy okazji może dowiemy się czegoś ciekawego. – Popatrzyłam na nią błagalnym wzrokiem.

– No nie wiem – odpowiedziała z przekąsem.

– Ale ja wiem! Czuję to! – Złapałam jej rękę w obie dłonie i spojrzałam w oczy.

Westchnęła, po czym zwróciła się do chłopaka.

– Mój ojciec jest naczelnikiem policji we Wrocławiu. Nie wyjdiesz z pierdła, jak coś nam zrobisz! Już zapamiętałam numery rejestracyjne.

– Pogroziła palcem w jego kierunku, co wywołało tylko kolejny wybuch śmiechu.

– Andrzej. – Wyciągnął do mnie rękę.

Kiedy się uśmiechał, w okolicach oczu i ust pojawiały się zmarszczki mimiczne.

– Zofia – odpowiedziałam i uściśniłam rękę.

Miał spracowane, duże dłonie i przyszło mi na myśl, że osoba o takich dłoniach musi być opanowana i dojrzała. Przez kilka sekund patrzył mi w oczy, po czym musnął kciukiem wierzch mojej dłoni, a po mnie przeszedł dreszcz. Uniósł brew w geście zrozumienia mojej reakcji i skierował wzrok na Tośkę.

– Antonina. – Przyjaciółka delikatnie musnęła jego dłoń, po czym szybko założyła ręce na piersiach.

Usadowiłam się na tylnej kanapie. Cicha jazzowa muzyka płynąca z głośników koła zmysły, a fakt, że nie padał na nas deszcz, sprawił, że poczułam się nieco zrelaksowana, mimo że mokre ubranie nieprzyjemnie kleiło się do ciała i moczyło tapicerkę. Krępowало mnie to, ale w myślach się uspokajałam, bo w końcu Andrzej sam zaproponował, że nas podwiezie.

– To dokąd jedziemy? – spytałam.

– Do mojej babci – stwierdził i zerknął we wsteczne lusterko.

Nasze spojrzenia się skrzyżowały, a ja zaskoczona uniosłam brwi.

– Twoja babcia opiekuje się moim domem? – spytałam, nie dając wiary temu, co usłyszałam.

– Tak. Długo czekała, aż zjawi się ktoś z rodziny pani Babicz. Na pewno ucieszy się z wizyty.

– Jestem wnuczką – dodałam, jak gdyby ta informacja miała cokolwiek zmienić.

– Domyśliłem się. Jesteś za młoda na córkę.

Znów posłał mi uśmiech, a ja nie potrafiłam utrzymać powagi. Tośka przyglądała nam się z boku i przewracała oczami z zażenowania.

– Przyjeżdżam tu codziennie sprawdzić, czy ktoś się przypadkiem nie pojawił. Czasem przywożę tu babcię. Przyznam szczerze, że już straciłem chęci, żeby patrolować tę okolicę, ale dzisiaj wyjątkowo nalegała, żebym pojechał, i proszę... – Uśmiechnął się szczerze. – Miała dobre przeczucie.

– Litości! – odezwała się Tośka. – Myślisz, że ta fałszywa śpiewka nas poruszy?

– A niby dlaczego miałbym kłamać?

– Może chcesz nas wykorzystać, zabić, a ciała zakopać w lesie. O! Tamten jest całkiem niedaleko. – Wskazała palcem na niewielki zagajnik po lewej.

– Proszę cię. – Prychnął. – Myślisz, że brudna i przemoczona stanowisz dla mnie łakomy kąsek? Otóż, droga koleżanko, jestem zaręczony i nie w głowie mi takie przygody.

Tośka naburmuszyła się jeszcze bardziej i spięła ze złości. Zrobiło mi się głupio za jej zachowanie i skupiłam wzrok na swoich paznokciach, a w mojej głowie jak echo rozbrzmiewało słowo „zaręczony”. Skarciłam się za nieposkromione myśli o Andrzeju, które nieoczekiwanie pojawiły się w mojej głowie. Kilka wymienionych spojrzeń wystarczyło. Znów popatrzyłam na jego odbicie w lusterku. Skupiał się na drodze. Gęste, jasne brwi delikatnie schodziły w dół łuku brwiowego, podkreślając ładne wypukłe czoło przecięte kilkoma wstęgami zmarszczek. Oczy koloru dojrzałej oliwki idealnie pasowały do jego przyrumienionej opalenizną twarzy. Wyglądał jak ucieleśnienie moich wyobrażeń o kimś, kogo mogłabym zaprosić do swojego życia.

Musiał czuć na sobie mój wzrok, bo momentalnie spojrzał w lusterko, a ja nie zdążyłam uciec spojrzeniem. Uśmiechnął się, ale tym razem jego uśmiech nie zadziałał na mnie tak jak poprzednio. Widmo narzeczonej nie pozwalało mi odbierać jego uprzejmości jako ewentualnego flirtu. Szarpnięcie samochodu i głośne zaciągnięcie hamulca ręcznego zakończyły moje rozmyślenia.

– Jesteśmy – powiedział łagodnie.

Przed nami piętrzył się duży budynek, jeden z tych, które budzą zachwyty wśród mieszczuchów. Wysoki, z jasną elewacją, filarami i kilkoma balkonami. Żywopłot z tui odgradzał go od zwirowej drogi. W oddali widać było jeszcze trzy wille w podobnym stylu, bo trudno było je nazwać zwykłymi domami.

Ruszyliśmy za Andrzejem, podziwiając równo przystrzyżoną trawę i zadbany ogród w stylu japońskim.

– Zapraszam – powiedział, otwierając nam drzwi do willi. – Czego się napijecie? Kawy, herbaty?

– Herbaty – odpowiedziałyśmy chórem.

Wnętrze było jeszcze bardziej nowoczesne i dystyngowane, niż się spodziewałam. W swoich mokrych i brudnych sukienkach pasowałyśmy do tej scenerii jak wół do karety. Andrzej wyciągnął dla nas gościnne kapcie i zaprosił do salonu. Skórzane jasne sofy stały pośrodku, a w oknach wisiały długie do ziemi firany i zasłony, równo upięte z dwóch stron. Ścianę naprzeciw sof ozdobiła lakierowana dębowa meblościanka z wbudowanym telewizorem, a na przeciwległej wisiały różnej wielkości miecze, sztylety, trofea myśliwskie i niedźwiedzia skóra. Spojrzałyśmy z Toską po sobie, zaniepokojone tym widokiem. W domu panowała cisza. Tymczasem Andrzej oświadczył, że zaraz wróci i mamy się rozgościć.

– Jak nie wróci z babką, to uciekamy przez okno – szepnęła Tośka, wskazując na drzwi balkonowe.

Z trudem przełknęłam ślinę, po czym pokiwałam głową z aprobatą. Chwilę później doszły nas dźwięki kroków i kobiecego, zachrypniętego, lekko piskliwego głosu. Z ciemnego korytarza wyłonił się Andrzej, prowadząc pod rękę szczupłą, chwiejącą się staruszkę o białych jak

śnieg, cienkich włosach, splecionych na szyi w kok i ze zmarszczkami spływającymi kaskadami z twarzy.

– Matko Przenajświętsza! – Kobieta przyłożyła dłonie do ust.

Podeszła bliżej, dotknęła mojego policzka, po czym spojrzała mi w oczy, raz za razem powtarzając, że to niemożliwe. Odsunęłam jej dłoń z twarzy i, trzymając ją w rękach, powiedziałam na jednym tchu:

– Dzień dobry, jestem wnuczką Ewy Babicz. Właśnie odziedziczyłam dom, którym się pani opiekuje. Dziękuję za pani zaangażowanie.

– Widzę kochanie, widzę, że jesteś Ewuni. Marysia jest z tobą?

Oczy zaszły mi ścianą łez i z trudem panowałam nad trzęsącą się brodą. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak nazywał moją mamę. Mania, Marynia, Maria... Ojciec posługiwał się różnymi zdrobnieniami, ale nie tym. Imię „Marysia” było jak definicja ukochanego dziecka, otoczonego troską i miłością, więc dlaczego to dziecko niechciało mieć kontaktu ze swoją rodziną?

– Moja mama umarła. Trzy miesiące temu. Zaraz po tym, jak odszedł tata – powiedziałam trzęsącym się głosem.

Przyjaciółka złapała mnie za rękę, a ja odetchnęłam ciężko.

– Och, Zosieńko... – zaczęła staruszka, po czym przytuliła mnie.

Ten gest był jak otwarcie wstrząśniętej butelki z wodą gazowaną. Zaczęłam szlochać, a ona gładziła mnie po włosach i nuciła kołysankę.

– Wypłacz się, dziecino – powiedziała spokojnie babcia Andrzej.

Wydawało się, jakby ktoś łyżkami zabierał z dna mojego serca całą złą energię, żal i poczucie krzywdy, jakie od tak dawna mi towarzyszyły. Ciepło wątego ciała sprawiało, że czułam się jak w domu, jak na spokojnej, letniej polanie. Staruszka tuliła nie tylko moje ciało, ale też i duszę. Wiedziałam, że nie jestem już sama, że znalazłam odpowiedź na wszystkie pytania i nie muszę być już silna, zdana tylko na siebie. Ukojenie, które na mnie spłynęło, sprawiło, że poczułam, jak wraca do mnie nadzieja na lepsze jutro.

Po dłuższej chwili się uspokoiliłam, przeprosiłam i ze skrępowaniem opadłam na sofę. Andrzej pojawił się w progu z kubkami aromatycznej herbaty, a jego babcia kazała mu przynieść dla nas suche ubrania. Przebrałyśmy się naprędce w łazience; wyglądałyśmy śmiesznie

w męskich koszulkach i dresach, ale to było dla nas zdecydowanie lepsze rozwiązanie niż siedzenie w przemoczonych sukienkach. Kiedy w końcu usiadłam naprzeciw staruszki, wyznała, że nie może nadziwić się, jak bardzo jestem podobna do swojej babci.

Wybuchnęliśmy z Tośką śmiechem. Opowiedziałam o tym, jak Iwan oznajmił mi kiedyś, że jestem podobna do pewnej hrabianki.

– Iwan? – spytała z trudem staruszka.

Jej dotychczas blada twarz stała się niemal biała.

– Iwan Nazarenko – odparłam pewnym tonem.

– Znalazł cię... Jak to możliwe? – Wyglądała na wystraszoną.

– Prędzej chyba ja znalazłam jego – powiedziałam z uśmiechem i dotknęłam jej pomarszczonej dłoni. – Nie wiedziałam, że pani też go zna. Cóż za zbieg okoliczności. Zatrudniłam się w Domu Pomocy Społecznej, w którym mieszka, i tak się poznaliśmy. Z czasem nawet się zaprzyjaźniliśmy, a w wolnych chwilach Iwan wspomina swoją młodość i uczucie, jakie łączyło go z hrabianką, tą, do której ponoć jestem bardzo podobna. Kiedy opowiem mu, co mi się przydarzyło, to nie uwierzy – trajkotałam.

– Bezczelny! – oburzyła się babcia Andrzeja. – Jak śmie mieszać cię w tę sprawę po tylu latach?! Dobrze, że Ewa nie dożyła tej chwili. – Przeżegnała się i wzniosła oczy ku niebu.

– Nie rozumiem. – Odetchnęłam głęboko. – Iwan to bardzo miły człowiek. Musi pani chodzić o kogoś innego. – Uśmiechnęłam się lekko.

– Dziecko drogie, nie wymawiaj więcej przy mnie tego imienia! – Staruszka podniosła palec w ostrzegawczym geście. – Zrób to z uwagi na pamięć o swojej babce i matce.

– Słucham? – spytałam zdezorientowana. – Z uwagi na pamięć o matce, która całe życie mnie oszukiwała i nawet na łożu śmierci nie chciała wyznać sekretu? Czy może z uwagi na babkę, której nawet nie pamiętam? Dlaczego wszyscy ukrywają przede mną prawdę? – podniosłam głos.

– W imię dobra.

– Czyjego dobra?

– Rodziny – odpowiedziała z dezaprobatą babcia Andrzeja.

– Rodziny? – Parsknęłam śmiechem – Rodziny nie znam! Może nawet jej nie mam. Oczywiście nie licząc mojej przyjaciółki, która jest dla mnie jak siostra. – Poklepałam Tośkę po udzie. – Nigdy nie widziałam żadnej ciotki, wujka ani kuzynostwa, ale mam dbać o ich dobre imię? To śmieszne, bo oni o mnie nie dbają. Poza tym, co ma wspólnego Iwan z moją babką? Pewnie pomyliła pani osoby, bo z tego, co opowiadał, to jego dziewczyna nazywała się Stefania Obiecka, a nie Ewa Babicz.

– Twoja babka to Stefania Obiecka. Musiała zmienić dane ze względów bezpieczeństwa – wypaliła staruszka.

Spojrzałam na nią kompletnie zaskoczona.

„Twoja babka to Stefania Obiecka” – to zdanie kotłowało się w mojej głowie we wszystkich możliwych barwach, tonach i odcieniach, w wyobrażeniach, jakie miałam po wspomnieniach Iwana, w zapachu rododendronów, w kolorowych snach, które zdarzały się po naszych ostatnich rozmowach, w obrazie kresowego rajy, jaki stworzył przed moimi oczami... W wyobraźni zobaczyłam teraz swoją babkę i Iwana. Ich miłość, pałac, dobre chwile. Nie mogłam uwierzyć, że dzięki niemu poznałam namiastkę siebie i swoich korzeni.

Po chwili się zorientowałam, że siedzę z otwartymi ustami. Zmieszana zamknęłam je i przełknęłam ślinę. Ciszę przerwała babka Andrzeja.

– Iwan umiał zbałamucić panienkę i zapewne przedstawił siebie w najlepszym świetle... Ale zamiast z nią być w najgorszych chwilach... Wolał się bić...

Podniosłam dłoń na znak, by nie mówiła więcej.

– Iwan – weszłam jej w zdanie – jest dobrym, skrzywdzonym przez los człowiekiem. A z tego, co teraz pani mówi, najwyraźniej jest też moim – zawiesiłam głos – dziadkiem.

Staruszka westchnęła, pokręciła głową i ze skupieniem studiowała moją twarz, delikatnie poruszając ustami. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu się na to nie zdecydowała.

Siedziałam napięta jak struna, chociaż gotowała się we mnie krew, a emocje buchały niczym para nad wrzątkiem i przyspieszały oddech. Żuchwa zaczęła boleć od zaciskania, a ja za wszelką cenę starałam się

wyglądać na spokojną. W końcu wzrok staruszki złagodniał. Westchnęła głośno i powiedziała:

– Pohamuj emocje, drogie dziecko. Osądzisz wszystkich, gdy będziesz znała cały obraz wydarzeń. Poczekaj tu na mnie.

Andrzej, który do tej pory bacznie przysłuchiwał się naszej wymianie zdań, wstał bez słowa i podał babce ramię. Udali się na korytarz, a następnie poszli schodami na piętro domu. Po chwili znów pojawili się w salonie. Staruszka trzymała coś w dłoni, a jej wnuk niósł sporej wielkości pudło.

– Proszę. – Sięgnęła po moją dłoń i położyła na niej zdobiony mosiężny klucz. – W pudełku masz dokumenty i zdjęcia. Zacznij od notesu oprawionego w czerwoną skórę. Przyjadę do was jutro, a teraz Andrzej was odwiezie.

Z nieukrywaną ulgą, a jednocześnie sporym lękiem przejęłam stare pudełko, które ledwo zdołałam unieść w trzęsących się rękach. Pożegnałam się pospiesznie, zaprosiłam na niedzielną herbatę i dłuższą rozmowę. Świat wokół wirował, a pakunek wydawał się bombą z opóźnionym zapłonem. Zupełnie jakby wybuch prawdy miał spowodować, że życie, jakie znałam, przestało mieć sens, a pytania się mnożyły.

W drodze powrotnej Andrzej z nami nie rozmawiał, tylko patrzył w skupieniu na drogę. W ciemności trudno było dostrzec jego minę. Obserwowałam więc pracę dłoni, które głaskały kierownicę lub wędrowały na dół, by zmienić bieg. W każdym jego ruchu widać było troskę i szacunek do samochodu. Nagle zatrzymał kasetę z muzyką jazzową i przekręcił gałkę radia, po czym wewnątrz auta przeszył piskliwy głos spikerki radiowej:

„Obfite deszcze, które w ostatnich dniach nawiedziły tereny Niemiec, Austrii oraz Czech, przywędrowały do Polski. Od kilku godzin intensywnie pada na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie. Synoptycy alarmują, że lokalnie mogą przekroczyć nawet czterokrotnie średnie miesięczne sumy opadów. Władze Czech już dziś alarmowały o przekroczeniu wałów i wylewaniu się wody na okoliczne gospodarstwa rolne. W ciągu najbliższych dni spodziewamy się, że fala kulminacyjna

dojdzie do Polski. Więcej informacji w głównym wydaniu *Wiadomości*. Tymczasem zagrają dla państwa Skaldowie”.

Z głośników popłynęła znana piosenka.

– O czym ona mówi? – spytałam przerażona, patrząc w lusterko, w którym na zmianę wylaniały się i znikały oczy Andrzeja. Światło mijanych przez nas latarni pozwalało mi choć przez chwilę przyglądać się jego twarzy.

– O powodzi.

– Czyli?

Spojrzał na mnie poirytowany.

– Nie macie rzeki tam, skąd pochodzicie?

– Przez Wrocław płynie Odra, ale moja rodzinna wieś jest daleko od jakiegokolwiek rzeki, więc nigdy wcześniej nie doświadczyłam nic podobnego. Macie tu jakąś rzekę?

Westchnął wyraźnie zniesmaczony. Popatrzył we wsteczne lusterko i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Uniosłam brwi w oczekiwaniu.

– Mamy – odparł. – Białą Łądecką. Wpływa bezpośrednio do Nysy Kłodzkiej i o ile dobrze pamiętam, jest też w dorzeczu Odry.

– Występuje z brzegów? – wtrąciła Tośka.

– Odkąd żyję, nie zdarzyła się taka sytuacja.

Spojrzałyśmy po sobie z przyjaciółką i odetchnęłyśmy z ulgą.

Na zewnątrz wciąż lało, tak że podwórko mojego nowego domu w ciągu kilku godzin zamieniło się z bagna w bajoro. Pożegnałyśmy się z Andrzejem i przebiegłyśmy przez wodę, chlapiąc sobie nogi do połowy ud. Sprawnie poradziłam sobie z zamkiem w drzwiach, a gdy weszłyśmy do środka, uderzył mnie charakterystyczny piżmowo-waniliowy zapach, który przywołał wspomnienie dzieciństwa – drobne, pomarszczone, kobiece dłonie, ozdobione pięknymi złotymi pierścieniami z fioletowymi i zielonymi kamieniami.

**3 sierpnia 2018 roku,
Oldrzychowice Kłodzkie**

– O matko i córko! W końcu się dowiemy, co to za tajemnica! – Marika pisnęła z podekscytowania.

Zdziwiła mnie jej ekscytacja. Do tej pory wydawało mi się, że traktuje spotkania ze mną wyłącznie jako pracę, teraz jednak ucieszyłam się, że zaangażowała się w moją historię nie mniej niż kiedyś ja w historię Iwana.

– Chyba po to właśnie tu jesteś, żeby się dowiedzieć – odpowiedziałam z uśmiechem, chociaż jej entuzjazm nieco wybił mnie z rytmu.

– Tak. Przepraszam, że przerwałam. Muszę przyznać, że całkiem sprawnie pani idzie – odparła, majstrując coś przy dyktafonie.

– To prawda. Wbrew powszechnej opinii, gdy robi się szaro i zaczyna mżyc, czuję się dobrze. Moje ciało jest spokojne, pewnie dlatego, że taka pogoda idealnie odzwierciedla mój stan ducha... I słowa jakoś łatwiej przechodzą mi wtedy przez gardło.

Spojrzałyśmy za okno. Nad ogrodem zaczęła tworzyć się mgła, która przysłoniła bujną roślinność.

– Masz ochotę wyjść na zewnątrz? – spytałam.

– Ale jak to? Przecież pada.

– Ale to nie deszcz, tylko mżawka – odpowiedziałam spokojnie.

Marika spojrzała na mnie pełnym napięcia wzrokiem. Otworzyła usta i coś powiedziała, ale jej słowa nie dotarły do moich uszu. Znów poczułam, jak moja dusza oddala się od ciała, a w uszach rozlega się nieznośny pisk, z każdą sekundą coraz głośniejszy. Nerwowo rozejrzałam się po ścianach i chociaż znałam tu każdy kąt, to uczucie

niezidentyfikowanego lęku o życie oładnęło mną bez reszty. Serce przyspieszyło pracę, a oddech stał się szybki i płytki. Drżącymi palcami starałam się odpiąć guzik bluzki pod szyją, by ułatwić sobie zaczerpnięcie powietrza, lecz już po chwili nie byłam w stanie utrzymać swoich dłoni w jednej pozycji. Poruszały się swoim rytmem, nie słuchając mózgu, który próbował nad nimi zapanować. Zacisnęłam zęby, ale mięśnie twarzy, zaproszone przez ręce do tańca, zaczęły drgać. Tośka przybiegła, przywołana przez Marikę, i włożyła mi tabletkę pod język, po czym przytrzymała żuchwę, żeby lek nie wypadł. Marika stała przy komodzie i przyglądała się tej scenie, zasłaniając usta dłonią. Na jej miejscu pewnie też bym tak zareagowała. Nie codziennie ogląda się napady niekontrolowanych ruchów płasawicznych. Po chwili Tośka wpakowała jej dyktafon do torebki i odprowadziła do wyjścia, pozostawiając moje wprowadzone w ruch ciało w fotelu.

„Trzydzieści minut, dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia osiem...” – powtarzałam sobie w myślach, starając się skupić wzrok na zegarze. Systematyczność, z jaką przesuwają się wskazówki, gasiła mój lęk i kierowała rytm ciała na dobre tory. Za dwadzieścia pięć minut tetrabenazyna zmniejszy stężenie monoamin w zakończeniach nerwowych i poruszające się mięśnie zaczną słabnąć, aż całkiem przestaną się ruszać. Wtedy opadnę bezwładnie na tapicerowany w kwiaty fotel wykończona niekontrolowanym ruchem płasawicznym. Licealna sztafeta wokół boiska szkolnego nie wysysała kiedyś ze mnie tyle energii, ile teraz te napady. Tośka wepchnie we mnie parę łyżek zupy i do późnego wieczoru będę modlić się o koniec tego cierpienia.

Kiedy mija pół godziny, a ja dalej telepię się na wszystkie strony, wiem, że na powrót do stanu, w którym znajdowałam się jeszcze dwie godziny temu, jest już za późno. Moja niepełnosprawność krążyła po całym krwiobiegu, zabijając przy okazji i tak już nieliczne neurony w mózgu. Tośka klęczy przy mnie ze łzami w oczach. Obie jesteśmy świadome straty, jaka nas teraz dotyka. Przyjaciółka drżącą ręką wyciska z blistra kolejną tabletkę i przepaszając mnie, ponownie aplikuje do ust. Mrugam porozumiewawczo, rozumiejąc jej obawę. Za kilka dni, kiedy apatia i otępienie chwilowo miną, będzie mogła ze mną porozmawiać.

Nie powiem jej, jak się czuję, bo depresję z pewnością można by ze mnie wybierać łyżkami. Zagłębię się we wspomnieniach z czasów, gdy byłam jeszcze młoda, zdrowa i względnie ładna. Może pomyślę o Andrzeju, moim pierwszym mężczyźnie, i jego dłoniach, które pomagały mi uprzątnąć teraz już całkiem spowity mgłą ogród. O jego delikatnie wyrzeźbionym ciele, oplatającym mnie ze wszystkich stron, gdy pierwszy raz spędziliśmy wspólną noc. Albo powrócę myślami do mojego męża, Wojtka, kiedy zobaczyłam go pierwszy raz w szpitalu, gdy stał razem z Toską i obmyślali grafik na kolejny tydzień. Spojrzeliśmy sobie w oczy nie jak nieznajomi, ale jakbyśmy znali się całe życie. Wtedy pojawiło się we mnie uczucie pewności, spokoju i zrozumienia, jakby przeznaczenie pokazało nam rozwiązanie zagadki naszego istnienia i samotnych lat. Może wrócę do Iwana i Stefanii, do ich uczucia, które było ponad podziałami. Może tak się stanie, jeśli jeszcze otworzę oczy...

**7 marca 1940 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Promienie słońca delikatnie przebijały się przez jaskrawozielone liście. W ciągu kilku dni znacząco wzrosła temperatura i teraz przyroda gwałtownie budziła się do życia. Wszystko wokół zaczynało nabierać kolorów. Kos radośnie śpiewał kolejną pieśń, a dzięcioł stukał o konar pobliskiego drzewa. Przypałacowy park odradzał się po długiej zimie.

Stefania, przechodząc alejką, myślała o tym, jak dźwięki natury potrafią łagodzić jej rozognioną głowę. Świat wydawał się taki sam jak przed wybuchem wojny, choć ona – Stefania – była już inna. Nie potrafiła się cieszyć tym, co widziała wokół. W jej sercu rozgościł się smutek i nie zamierzał się wynieść. Beznamiętnie obserwowała okolicę, którą znała od dziecka, a która w tych dziwnych, wojennych czasach należała nie do jej rodziny, a do Związku Radzieckiego.

Szła powoli, przez cały czas starając się zachować czujność i w razie potrzeby rzucić się do ucieczki, ponieważ napady bojówek ukraińskich na polskie domostwa były coraz bardziej powszechne i coraz bardziej krwawe. Wielu Polaków z obawy o swoje życie nocą wolało spać w lesie. Do pałacu w Psarach co chwila dochodziły bolesne informacje o zbrodniczych atakach na zamożnych Polaków, którzy okrzyknięci „obszarnikami” byli mordowani w swoich posesjach, a domy, dwory czy pałace po krwawej masakrze doszczętnie plądrowano, a później podpalano.

Stefanię przestało zaskakiwać to, że w każdej chwili może umrzeć. Codziennie rano budziła się z myślą, że oto dostała od Boga kolejny dzień. Kolejny dzień okraszony strachem o to, czy dożyje do wieczora.

Nadal nie mogła uwierzyć, jak bardzo zmieniło się życie w ciągu kilku miesięcy. Trwanie pod sowiecką okupacją zdawało się nie do ujarzżenia. Miała wrażenie, że wraz z nowymi zasadami, jakie na nich narzuciły władze, utraciła swoją buntowniczą naturę. Przyjmowała wszystko z pokorą, choć wiara w to, że Polska odzyska niepodległość, uleciała z niej bezpowrotnie.

Mieszkanie w Psarach było dla niej utrapieniem i jednocześnie podporą. Pozbawiona radia, telefonu i prasy, nie wiedziała, co się dzieje w kraju. Antek wyjechał do Lwowa. Twierdził, że znalazł dojście do kogoś, kto pomoże im uciec do Wielkiej Brytanii. To tam gromadziła się polska elita i to tam kobiety z rodu Obieckich mogły zyskać bezpieczeństwo, tym bardziej teraz, gdy w okolicy z trudem można było ujść z życiem. Ucieczka stanowiła jedyne wyjście.

Kiedy Stefania powiedziała matce o planie Antka, ta przekazała mu wszystkie oszczędności, które skrupulatnie rozpruła z ubrań. W swoim płaszczu oraz w płaszczach córek pozostawiła po jednym pierścionku z drogocennym kamieniem. Stwierdziła, że każdy jest wart tyle, by w razie potrzeby uratować ich życie.

Od kilku dni Stefania mieszkała znów w swoim pokoju, choć nie każdej nocy spała w łóżku. Na zmianę prowadziły warty, sprawdzając, czy nikt pod osłoną ciemności nie atakuje pałacu. Wizja ucieczki była blisko, więc za wszelką cenę chciały przeżyć. W razie napadu na pałac miały zbiec do jednej ze stróżówek ojca, które porozmieszczane po lesie stanowiły jakiś rodzaj schronienia. Stefania raz w tygodniu przechadzała się po okolicy, sprawdzając, czy chatki nadal stoją nienaruszone.

Tego dnia, gdy zbliżyła się do jednej ze stróżówek, zauważyła, że ktoś siedzi pod drzwiami. Z daleka nie widziała dokładnie, kto to jest, ponieważ mężczyzna zdawał się pogrążony w myślach i miał nisko pochyloną głowę. Aż w pewnym momencie podniósł twarz ku słońcu, które przedzierało się przez gęstwinę drzew. Stefania na ten widok zamarła.

Przyłgnęła plecami do drzewa, starając się uspokoić bijące w piersi serce i przyspieszony oddech. Obróciła się ponownie w nadziei, że miraż sprzed jej oczu nie zniknie i mężczyzna nadal będzie tam, gdzie go

ujrzała. Patrzyła na niego w milczeniu, nie mogąc uwierzyć. To był on! Siedział pod ich miejscem i czekał na nią, jak gdyby wiedział, że zaraz mają się spotkać!

Szła do niego, nie zwracając uwagi na zapadające się w błocie pantofle ani na pędy jeżyn zahaczające o jej suknię, a on mimo to zdawał się jej nie dostrzegać. Dopiero gdy była na tyle blisko, by usłyszał jej kroki, spojrzał na nią z równym niedowierzaniem, co ona na niego. Wstał i podszedł do niej, trochę z obawą, ale i radością.

Patrzyli na siebie w milczeniu, próbując uwierzyć w to, co widzą. Stefania obserwowała, jak twarz Iwana się zmienia i spod gęstego zarostu wyłania się uśmiech, który tak kochała. Jego źrenice się rozszerzyły, a radosne iskierki zaczynały tańczyć na tle niebieskozielonych tęczęwek. W końcu ujął jej twarz w dłonie i zamknął jej rozchylone ze zdziwienia usta pocałunkiem. Odpowiedziała mu namiętnie, łapczywie chwytając jego wargi. Zatopiła dłonie w jego włosach, które dawno niestrzyżone, falami przechodziły przez jej palce. Wciąż nie dowierzała temu, że jest przy niej i kocha, jakby rozstali się wczoraj, nie miesiące temu.

Zachłannie zrzucili z siebie ubrania i zachłysnęli nieznaną dotąd pasją. Po raz pierwszy od tak dawna mogli być blisko siebie. Opadli na miękki mech. Iwan całował ją prędko, nie mogąc skupić się na jednym miejscu; świdrował ustami jej szyję i piersi, a kiedy przeszył ją swoją męskością, Stefania cicho westchnęła, wbijając paznokcie w jego łopatki. Pozwalała mu na dzikość ruchów, na zachłanność dotyku i na gwałtowność. Poddała mu się cała, czując na nagich piersiach jego wilgotny od potu tors. Wsłuchiwała się w jego przyspieszony oddech, wtórując cichymi jękami, aż w końcu fala rozkoszy rozlała się po jej podbrzuszu, a on z głośnym tchnieniem opadł na nią całym ciężarem ciała.

Trwali w zawieszeniu, jakby ta chwila była nierzeczywistym marzeniem i, nie chcąc jej przerywać, mocno się obejmowali. Stefania, wdychając jego zapach, cicho załkała, łzy ciekły jej bezgłośnie wzdłuż skroni, a on scałowywał je i gładził ją po włosach. W tych łzach i jego

czułości było wszystko. Począwszy od lęku i tęsknoty, po żal za utraconymi miesiącami.

Stefania utwierdziła się w przekonaniu, że ich miłość po tak długiej rozłące nie skończyła się, nie zatrzymała ani nie spowszechniała, ale nabrała wyrazu i pasji. Kiedy opadł obok niej na plecy, dostrzegła kilka zabliznionych ran ciętych i dużą bliznę po oparzeniu. Dotykała ich opuszką palca, dławiąc w sobie szloch. Nie wiedziała, co przeżył, ale była pewna, że nie opuścił jej celowo.

– Gdzie byłeś? – spytała, gdy uspokoiła w sobie emocje.

– Kiedy zmarła moja matka, musiałem zająć się braćmi, a gdy pod koniec września hrabina powiedziała mi, że zostałam zastrzelona w Stanisławowie, wstąpiłem do Wojska Polskiego, żeby walczyć. Nie miałem ochoty trwać tu bez ciebie, więc z pamięci do naszej miłości chciałem oddać życie za twój kraj. Chciałem być z tobą nade wszystko, choćby to wiązało się ze śmiercią.

Stefania usiadła, zalewając się łzami. Miała wrażenie, że wspomnienia biczą jej serce. Matka wielokrotnie wypominała jej, że Iwan ją wykorzystał i zostawił. Nie chciała wierzyć, nie chciała się temu poddać, a teraz, gdy poznała prawdę, nienawidziła Róży za to, że matka, widząc jej ból, robiła wszystko, by córka wyrzuciła Iwana ze swojego życia tylko dlatego, że był biednym Ukraińcem. Udało jej się zniszczyć w niej radość życia, ale miłość przetrwała, kolejny raz dając dowód, że jest silniejsza niż wszystkie inne uczucia.

– Zostałam postrzelona, ale przeżyłam i czekałam na ciebie wiele miesięcy – powiedziała, połykając łzy.

– Nie płacz, moja piękna. – Iwan scałowywał z jej twarzy słone krople i ponownie zatopił się w jej ustach.

Tym razem kochali się spokojnie, z czułością pieszcząc swoje rany. Z każdym westchnieniem wyrzucali z siebie resztki bólu, tęsknoty i strachu. Napęlniali się siłą swojego uczucia. Miłość była ważniejsza niż narodowość, wojna i niechęć ich rodzin. Miłość była odpowiedzią na nienawiść i zło czające się za rogiem. Była ich tarczą przeciw terażniejszości, dawała nadzieję na wspólną przyszłość w lepszym świecie. Była wszystkim, co trzymało ich przy życiu.

**5 lipca 1997 roku,
Ołdrzychowice Kłodzkie**

Miałyśmy nadzieję, że w domu, który odziedziczyłam, będzie nam wygodnie. Niestety rzeczywistość pozbawiła nas złudzeń. Dach wciąż przeciekał, przez co w pokojach unosił się nieprzyjemny zapach stęchlizny. Parkiet skrzypiał przy każdym kroku, doprowadzając nas do szewskiej pasji, a w nocy słyhać było przebiegające po podłodze myszy. Poza ciepłem nie było w tym miejscu nic, co tworzyłoby przytulną atmosferę. Czułam się jak w muzeum wypełnionym pamiątkami rodzinnymi, które były mi kompletnie obce, a czasem miałam wrażenie, że sama jestem eksponatem, któremu bacznie przyglądają się ludzie z obrazów.

Po pierwszej nocy spędzonej w Ołdrzychowicach sytuacja na zewnątrz diametralnie się zmieniła. Deszcz spadał z nieba w niewyobrażalnych ilościach, tak że rankiem nie byłyśmy w stanie wyjść na zewnątrz. Droga przekształciła się w rzeczkę, która z każdą godziną wzbierała na sile. Widziałyśmy, jak wartkim strumieniem spływa na niżej położony teren. W domu miałyśmy tylko radio, a z niego oprócz kilku piosenek rozbrzmiewało jedno słowo, jak mantra powtarzane przez kolejnych spikerów: Powódź!

Fala kulminacyjna przechodząca przez Czechy zbliżała się do Polski z niewyobrażalną siłą i niszczyła wszystko na swojej drodze. Wraz z podnoszeniem się poziomu wody wzrastał nasz strach. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać, jednocześnie każdy zdawał sobie sprawę, że nie będzie to nic dobrego. Drżałyśmy o losy naszych bliskich i znajomych, ale uwięzione na wsi w Kotlinie Kłodzkiej nie mogłyśmy

zbyt wiele zrobić. Byłyśmy świadome tego, że Wrocław jako miasto z każdej strony otoczone Odrą bardzo ucierpi w tej powodzi; mogliśmy tylko słuchać nowinek o mobilizacji w kolejnych miastach. Ludzie zabezpieczali wały przeciwpowodziowe workami z piaskiem, uciekali w bezpieczne tereny, a ci, którzy musieli zostać na terenach zalewowych, gromadzili żywność i wodę. Nie znałyśmy Ołdrzychowic, nie wiedziałyśmy nawet, czy jest w tej wsi jakikolwiek sklep, a przy sobie miałyśmy tylko dwie drożdżówki. Nalałyśmy trochę kranówki do literatki, a kiedy nie dostrzegłyśmy w niej żadnych zanieczyszczeń, poczułyśmy się trochę spokojniej.

Andrzej przyjechał do nas po południu i przywiózł jedzenie, zgrzewkę wody na kilka dni oraz dwa albumy ze zdjęciami, które znalazła jego babka. Przeprosił, że nie przyjechała z nim, ale w tej sytuacji nawet on bał się wychodzić, zdawał sobie jednak sprawę, że odseparowane od świata nie przeżyjemy bez jedzenia, a sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Obserwowałyśmy przez okno, jak chłopak odchodzi, a woda sięga mu do połowy łydki. Przerazał nas fakt, że znalazłyśmy się w obcym miejscu, zdane tylko na siebie. Strach zamieniał się w zniechęcenie. Byłyśmy pielęgniarzkami, wykształconymi w duchu pomocy innym ludziom, a w ważnej chwili zagrożenia nie mogliśmy wesprzeć potrzebujących. Niemoc i poczucie przymusowego zamknięcia stało się dla mnie początkiem depresji. Nawet stan wojenny nie był tak przerażającym przeżyciem, jak dwa tygodnie lipca 1997 roku.

Z braku zajęć kilkakrotnie przeglądałam pamiętniki i zdjęcia, które dostałam od babki Andrzeja, i sama byłam pod wrażeniem swojego podobieństwa do babci Ewy – chociaż powinnam raczej powiedzieć: Stefanii. Tośka wciąż powtarzała, że to wręcz nieprawdopodobne i że genetyka nigdy nie przestanie jej zaskakiwać. Chodziła po pokoju, przykładała mi do twarzy kolejne fotografie, wzdychała albo komentowała coś pod nosem. Ja natomiast siedziałam na dywanie i kartkowałam zapiski w poszukiwaniu wspomnienia Iwana. Nie było go na żadnym zdjęciu, a czytając relacje kolejnych dni, miałam wrażenie, że zaczynają się z opóźnieniem. Wspomnienia, którymi raczył mnie Iwan, były piękne i dobre, ale w wersji mojej babci nie znalazłam wzmianki ani

o nim, ani o pałacu. Nie było też informacji o Kresach. Z zapisków dowiedziałam się póki co, że tęskniła za matką i siostrami. Wyrzucała sobie brak zacięcia w budowaniu dobrych relacji z nimi, choć uparcie powtarzała, że gdyby nie ich śmierć, nie byłaby w stanie przeżyć do końca wojny. Nigdy też nie dowiedziała się, co się stało z jej ukochanym ojcem i pierwszym mężem.

Wciąż łudziłam się, że odnajdę choćby jedną nitkę łączącą historię mojej babci i Iwana, że nie jest to tylko moje przypuszczenie lub co gorsza, wymyślona przez niego bajeczka. Po kilku godzinach zrezygnowana i zmęczona myśleniem dałam sobie spokój. Wciąż wierzyłam w to, że nie poznałam Iwana na próżno. Chciałam nawet od razu zadzwonić do niego i pochwalić się tym, co udało nam się ustalić, ale w domu nie było telefonu. W zasadzie nie interesowało mnie, dlaczego moja babcia zmieniła nazwisko. Moje myśli skupiały się wokół jednego pytania: Czy to możliwe, żeby Iwan był moim dziadkiem?

Dobrze zapamiętałam tamten dzień. Pierwszy raz od kilku lat uwierzyłam w to, że nic w moim życiu nie dzieje się przypadkiem i że wszystkie kroki, które podejmowałam, a wraz z nimi wszelkie porażki, miały zaprowadzić mnie do jednego miejsca. Rozpierało mnie szczęście, ponieważ w końcu nie czułam się sama na świecie. Wiedziałam, że mam kogoś bliskiego i że łączy nas nie tylko przyjaźń międzypokoleniowa, ale całkiem możliwe, że również więzy krwi. W moich myślach byli też rodzice, którym nieprzerwanie zadawałam różne pytania i których prosiłam o siłę, żeby przeżyć powódź. Nie rozumiałam nadal, dlaczego z premedytacją pozbawili mnie wszystkich informacji rodzinnych, ale nie byłam już na nich zła. Kierowało mną przeświadczenie, że prędzej czy później odkryję prawdę i zaakceptuję wszystkie wybory mojej matki, a następnie podziękuję w modlitwie za to, co dla mnie zrobiła.

Gdy rankiem następnego dnia wyjrzałyśmy przez okno, z przerażenia odebrało nam mowę. Zalana była nie tylko droga za bramą, ale całe podwórko – teraz zamieniło się w rwącą rzekę, natomiast mój dom był jedną z wielu oddalonych od siebie wysepek. Odległy las, który rósł na wzniesieniu, wyłaniał się z brudnej, pomarańczowoburej tafli. Woda sięgała już tak wysoko, że niewiele brakowało, aby zaczęła się wlewać do

domu. Nie wiedziałyśmy, co robić, obie spanikowałyśmy. Nerwowo biegałyśmy po pokojach, szukając czegoś, co mogłoby nas uratować. W końcu uszczelniliśmy dół drzwi zwiniętym w rulon dywanem, jednak szybko zaczął przeciekać. Zaczęłyśmy wynosić bardziej wartościowe rzeczy na piętro. Chciałyśmy uciekać, ale nie wiedziałyśmy dokąd. Miotaliśmy się między jednym oknem a drugim, wołałyśmy o pomoc, ale najbliższy zamieszkały budynek, położony kilkadziesiąt metrów dalej, usytuowany był na nieco niższym terenie, przez co mieszkająca tam rodzina znajdowała się w dużo gorszej sytuacji niż my. Wychylali się z okien na piętrze, a ich dom do połowy parteru zalany był wodą. Krzyczeli coś, ale szumiąca woda i odległość skutecznie tłumiły unoszące się w przestrzeni dźwięki. Przytuliliśmy się do siebie i zaczęłyśmy płakać, by po chwili pokrępiąco uspokajać się nawzajem, wierząc, że ten koszmar wreszcie się skończy, a my wyjdziemy z niego cało. Na szczęście pod wieczór przestało padać, chociaż stan wody systematycznie się podnosił. Spałyśmy na zmianę, monitorując jej poziom, a następnego dnia w pokoju na parterze było jej ponad metr. Nieprzyjemny zapach, który unosił się poprzedniego dnia w domu, był lekkim smrodkiem w porównaniu z obrzydliwym fetorem, do którego tego dnia nie sposób było się przyzwyczaić. Za oknem woda pokrywała już połowę elewacji i pływało w niej wszystko, co tylko mogłyśmy sobie wyobrazić. Ciągnęła za sobą to, co napotkała na drodze, a my miałyśmy wrażenie, że obok nas przesuwa się nie fala powodziowa, ale brejowa zupa. Były w niej połamane gałęzie, szczątki domów, ale też utopione zwierzęta, które obijały się o budynki i drzewa.

Słońce przedzierało się przez nisko zawieszony biały obłok. Ciepłe, lipcowe południe mogło być idealną porą do leżakowania, gdyby nie widok z okna. Cały dzień przesiedziałyśmy, patrząc na krajobraz niczym nieprzypominający tego sprzed kilku dni. Woda spowolniła nurt i teraz już powoli przesuwała się do przodu. Wokół było przerażająco cicho i tylko czasem jakaś pływająca gałąź zaszurała o elewację. Już nie lamentowałyśmy nad swoim losem. Pograżone we własnych myślach niewiele się odzywałyśmy. Po południu kajakiem podpłynął do nas starszy człowiek, który transportował prowiant dla potrzebujących. Był

wyraźnie zaskoczony, że jesteśmy w tym miejscu, ponieważ na co dzień w budynku nikt nie przebywał. Po zapoznaniu się i wymienieniu kilku uprzejmości poinformował nas, że najgorsze za nami i w sumie Ołdrzychowice tak bardzo nie ucierpiały, bo od Chałupek do ujścia Nysy Kłodzkiej było tyle wody, aż zabrakło podziałki na łatach wodowskazowych. Niewiele nam mówiły określenia, którymi się posługiwał, ale sama wysokość, jaką osiągnęła fala powodziowa, była porażająca. Według relacji mężczyzny Kłodzko znajdowało się już pod wodą i zawały się cztery kilkusetletnie kamienice; tu jej stan będzie powoli opadał i woda będzie ściekała na niższe partie terenu.

Przypuszczenia sąsiada się sprawdziły. Po kilku dniach w Ołdrzychowicach i okolicy wody nie było. Budynki zostały naznaczone równą linią przez falę powodziową. Elewacje długo schły, a ludzie liczyli straty. Woda spłynęła do Wrocławia i na tereny przybrzeżne, gdzie od kilku dni utrzymywał się jej bardzo wysoki poziom. Kiedy uprzątnęliśmy dom i teren wokół niego, a drogi były przejezdne, wróciliśmy do stolicy Dolnego Śląska.

Nasze wynajmowane mieszkanie było nienaruszone. Woda zatrzymała się kilka ulic dalej. Odetchnęliśmy z ulgą, a następnie postanowiliśmy się rozdzielić i wrócić do swoich miejsc pracy.

Szpital, w którym pracowała Tośka, tylko otarł się o falę, więc personel miał mnóstwo pracy. Natomiast teren, na którym znajdował się Dom Pomocy Społecznej, nadal znajdował się pod wodą. Dowiedziałam się od sąsiadów, że policja pływa amfibią i pomaga wszystkim, którzy ucierpieli, transportując żywność tam, gdzie tylko może. Nad miastem stale kursowały helikoptery, a ludzie stłoczeni w mieszkaniach czy na dachach budynków czekali na pomoc. Pobiełam na komisariat, by zasięgnąć języka. Okazało się, że policja niebawem będzie w okolicy Domu Pomocy Społecznej, więc wyprosiłam, żeby zabrali mnie ze sobą. Niechętnie, ale zgodzili się to zrobić, marudząc, że to pierwszy i ostatni raz oraz żebym sobie nie wyobrażała, że amfibia to taksówka. No i skoro chcę jechać, to będę musiała tam zostać. Nie miało to dla mnie znaczenia. Najważniejsza była rozmowa z Iwanem i próba powiązania jego wspomnień z pamiętnikami babki. Oczyma wyobraźni widziałam,

jak padamy sobie w ramiona, mówię do niego „dziadku”, a on nazywa mnie swoją wnuczką. Los okaże się dla nas łaskawy i sprawi, że nie będziemy na tym świecie pojedynczymi jednostkami, ale rodziną, której tak bardzo nam obojgu brakowało.

Siedziałam w metalowej konstrukcji między żołnierzami i obserwowałam zalane przez powódź tereny. Na tych obszarach woda nie opadała, było jej więcej niż w centrum miasta. Obraz, jaki zobaczyłam w swoim miejscu pracy, był tragiczny. Woda sięgałaby mi do piersi. Udało mi się wyskoczyć z amfibii akurat na schody prowadzące do wejścia; pomoczyłam sobie nogi aż po uda. Razem z policjantem wypakowałam wodę, środki higieniczne, pieczywo, owoce i kilka paczek papierosów, unosząc brwi na widok ostatniego produktu, na co mundurowy zaśmiał się i stwierdził, że dla niektórych właśnie to jest niezbędne do życia. Gdy tylko przestąpiłam próg, Włodzia rzuciła mi się na szyję. Cała roztrzęsiona zaczęła chaotycznie streszczać, co się działo, i dziękować, że do nich wróciłam.

– Dostaliśmy karę od Boga za swoje grzechy! – krzyczała, a ja przewróciłam oczami na to stwierdzenie.

– Już będziemy grzeczni i nic złego nam się nie stanie – uspokoiłam ją.
– Gdzie jest Iwan? – spytałam od razu, czując, że nie dam rady dłużej utrzymać w sobie tajemnicę, jaką odkryłam w Ołdrzychowicach.

– Iwan? – Jej oczy zaszły mgłą, a usta wykrzywiły się w podkówkę.

– Co się stało z Iwanem? – Mój oddech niepokojąco przyspieszył.

Włodzia stała naprzeciw mnie blada jak ściana. Mocno zaciśnięte usta i łzy w jej oczach nie były dobrym znakiem.

– Włodziu, co się stało z Iwanem? – spytałam jeszcze raz, choć słowa grzęzły mi w gardle.

Za jej plecami pojawiła się moja kierowniczką. Spojrzała mi w twarz i spokojnym głosem powiedziała:

– Iwan siedział na ławce w ogrodzie, gdy puścił wał na Odrze. Woda z impetem wlała się przez ogrodzenie... Iwan dostał zawału... Upadł w wodę...

Czułam się tak, jakbym utknęła w dusznym tunelu, a głos kierowniczką odbijał się od jego ścian. Brakowało mi tchu, nogi się pode

mną ugięły, a przed oczami robiło się ciemno. Wyobraziłam sobie, jak woda pojawia się za plecami Iwana, uderza go i przewraca twarzą do ziemi. Fala, która nie jest czystą wodą, ale zlepkiem wszystkich przedmiotów zabranych aż z Kotliny Kłodzkiej. Ciało kotłujące się między gałęziami, zwierzętami, kawałkami płotów i domów, które nie utrzymywały się na powierzchni... Nie, to niemożliwe! Krzyk rozdarł moją duszę, a poczucie sensu egzystencji towarzyszące mi od kilku dni uleciało bezpowrotnie.

**29 marca 1940 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Noc iskrzyła się gwiazdami, a wokół panowała kojąca zmysły cisza. Stefania, siedząc na parapecie, przytulała kolana do brody i patrzyła na trwające w bezruchu gwiazdy, tęsknym wzrokiem wspominając wszystko, co spotkało ją w rodzinnym domu. Stojący na środku stołu zegar wybił drugą w nocy. Pozostało kilka godzin do wyjazdu i Stefania zamiast cieszyć się z rychłego bezpieczeństwa, czuła rosnący w duszy niepokój.

Rankiem Antek z matką i Władzią mieli przyjechać po nich ciężarówką. Babicz dla wszystkich kobiet zorganizował habity zakonne, a dla siebie mundur czerwonoarmisty. Oficjalnie mieli jechać do szpitala psychiatrycznego, by pomóc przy pacjentach. W rzeczywistości planowali zatrzymać się w lesie nieopodal Lwowa, gdzie stacjonowała garstka niewybitych przez NKWD żołnierzy podziemia wraz z oficerem Szczygiełskim, który był przyjacielem Antka ze szkolnej ławy. Następnej nocy mieli wylecieć do Wielkiej Brytanii. Mężczyźni z oficerem zmierzali do Londynu jako wsparcie dla lotnictwa, natomiast reszcie na wyspach miała pomóc kuzynka Obieckich, hrabina Ławrynowicz.

Stefania wiedziała, że musi wyjechać, żeby móc przeżyć wojnę. Wokół pałacu z każdym dniem było coraz bardziej niebezpiecznie. Po pierwszej deportacji ludności mówiono o rychło zbliżającej się kolejnej wywózce. Jednak nie tylko to było powodem do zmartwień. Gloryfikowana przez władzę ludność ukraińska coraz śmieiej atakowała Polaków i praktycznie codziennie zdarzały się najazdy bojówek nacjonalistycznych na polskie majątki czy domostwa.

Stefania ubolewała, że nie może zobaczyć się z Iwanem, który musiał wracać do swoich obowiązków. Choć był Ukraińcem, opowiedział się po stronie polskości i teraz działał w podziemiu. To było trudne, ponieważ NKWD skutecznie rozbrajało wszystkie siatki konspiracyjne. Lecz gdy tylko jedna grupa działaczy podziemia zostawała zdemaskowana, od razu rodziła się kolejna.

Iwan w rodzimych kręgach był traktowany jako zdrajca, który z miłości do Stefanii wyrzekł się swojego narodu, swojej rodziny i walki w imię dobra; jego bracia Oleksandr i Oleh, związani z Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów, wydali na niego wyrok śmierci, nawołując swoich popleczników do schwytania go.

Kiedy ostatnim razem leżeli wtuleni w siebie na łące u podnóża pola, jeszcze nie tak dawno należącego do rodziny Stefanii, powiedziała mu o swoim planie ucieczki. Z pełnym przekonaniem poparł jej pomysł i przyrzekł, że gdy wojna się skończy, odnajdzie ją, choćby na końcu świata.

Pogrążona w myślach Stefania nie dostrzegła delikatnego światła przedzierającego się ze wschodniego zagajnika. Ogrzewała się ciepłem swoich wspomnień i nadzieją na lepsze jutro, gdy do jej uszu dobiegły krzyki: „Hurra! Hurra! Śmierć Obieckim”. Nim zdążyła krzyknąć: „Mamo!”, okno obok niej zostało roztrzaskane przez wpadający do środka kamień. Chwilę później usłyszała krzyk sióstr, płacz dzieci Zambrockiej i zobaczyła, że za pałacem roi się od pochodni, które biegiem zbliżały się do budynku.

– Zaszli od tyłu. Nie widziałam ich! – tłumaczyła pospiesznie Stefania, gdy hrabina w sukni i płaszczu pojawiła się na schodach.

Od dawna spały, a w zasadzie drzemały kompletnie ubrane i przygotowane do ucieczki w każdej chwili.

– Szybko, zakładaj płaszcz! – krzyknęła Hrabina do Wandy, która zdezorientowana stanęła tuż za matką.

Wszyscy zbiegali po schodach i kierowali się do kuchni, przez którą planowali uciec do ojcowskiej stróżówki, choć kobiety nie były pewne, czy owa jeszcze stoi, czy nie jest pogrążona w płomieniach. Już miały wybiec z pałacu, gdy natrafiły na bandę chłopów z błyszczącymi w świetle

pochodni nożami, widłami i siekierami. Ten widok je przeraził; rozjuszony głosy mężczyzn oraz pełne zdradzieckich uśmiechów twarze wprawiły je w osłupienie. Cofnęły się do pałacu i stanęły w grupce pośrodku salonu, a z każdej strony dobiegały je rozochoczone krzyki. Wiedziały, że nie mają drogi ucieczki. Modliły się tylko w duchu, by Bóg ocalił je od śmierci. Dzieci Zambrockiej zanosili się płaczem i tuliły do matki, a hrabina z córkami starała się hardo stać na nogach, choć w duszy każda z nich dygotała z przerażenia.

Drzwi wejściowe do pałacu zostały wyłamane, a pierwszą osobą, którą zobaczyły w środku, była Oksana dumnie krocząca po marmurowej posadzce. Z podniesionym czołem i nienawiścią w oczach zbliżała się do wystraszonych, przytulonych do siebie kobiet. Cień Oksany, oświetlonej pochodniami, falował na tle ogołoconych z obrazów ścian. Szła równym krokiem, przy akompaniamencie krzyków oraz stukania butów. Wyglądała jak przywódczyni, która królowała nad chłopską hołotą.

Podniosła rękę, a tłum skandujących chłopów, którzy wtargnęli za nią, ucichł. Oksana podeszła do Stefani i, patrząc jej w oczy, powiedziała:

– I co teraz, polska dziwko? – Splunęła jej w twarz.

Stefania nie odpowiedziała. Powoli wyjęła z kieszeni płaszcza haftowaną chusteczkę i przetarła czoło. Oksana przez chwilę patrzyła na nią z wyższością, po czym splótła ręce za plecami i zaczęła się przechadzać wokół kobiet.

– Myślałyście, że jesteście lepsze od nas, bo macie pieniądze? – Ponownie stanęła naprzeciw Stefani. – Że możecie sobie brać wszystko, co wam się podoba? – Uderzyła kobietę w twarz.

– Nic tobie nie zabrałam – wycedziła Stefania przez zęby.

– Więc Iwan to nikt? Miło mi to słyszeć. Przekażę mu przy pierwszej możliwej okazji!

Zaśmiała się szyderczo, a Stefania poczuła, jak nogi miękły jej w kolanach i zaczyna brakować jej powietrza. Przez myśl przeleciało jej, że Iwan powiedział swoim rodakom o planowanej ucieczce, czym skazał mieszkańców pałacu na śmierć. Nie mogła w to uwierzyć, ale nieprzejednany wzrok dawnej pokojówki sprawiał, że dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę z sytuacji, w jakiej znajdują się

Obieckie. Oksana, widząc jej brak reakcji, ponownie uderzyła ją w twarz, tym razem pozostawiając na policzku krwawy ślad po paznokciach.

– Oksano, nie mamy teraz pieniędzy – powiedziała drżącym głosem hrabina. – Oszczędźcie nas dzisiaj, a jutro możesz wrócić i dostaniesz tak dużo pieniędzy, że nie zdołasz ich unieść.

– Jutro? – krzyknęła dziewczyna. – Jutro będziecie padliną dla sępów!

Tłum zawtórował gromkim śmiechem i krzykiem.

– Śmierć Obieckim! – rozbijało się o ściany pałacu.

Oksana podniosła dłoń, dając znak mężczyznom, którzy momentalnie rzucili się na kobiety, rozdzielając je między siebie jak mięso rzucone na pożarcie dzikim zwierzętom, po czym mocno szarpnęła Stefanię za włosy i powiedziała:

– Dla ciebie mam wyjątkowych gości.

Stefania kątem oka widziała, jak chłopci biją jej matkę, siostry, Zambrocką i dzieci. Jak próbują zedrzeć z szarpiących się kobiet suknie, wykręcają im dłonie, policzki, podduszają. Nieposkromiony kobiecy krzyk, przepełniony strachem i bólem, przeszywał umysł Stefanii na wskroś, a gdy płacz Henia Zambrockiego został stłumiony, po tym, jak rosły osilek rzucił chłopcem o ścianę, wzdrygnęła się przerażona. Henio leżał bezwładnie na podłodze w miejscu, gdzie przed wojną stał fortepian, a z nosa wypływała mu strużka krwi.

Do salonu weszło dwóch mężczyzn o aryjskiej urodzie. Wysocy, szczupli, a jednocześnie o mocno zarysowanych barkach i mięśniach widocznych pod przybrudzonymi koszulami. Patrzyli na Stefanię z żarzącą się nienawiścią, a ich diabelskie uśmiechy nie zwiastowały nic dobrego. Z trudem przełknęła ślinę i modliła się w duchu, by oszczędzili jej życie.

– Przedstawiam ci Oleha i Oleksandra, braci Iwana – powiedziała z dumą Oksana.

Jeden z nich podszedł do Stefanii, po czym mocno uderzył ją w twarz. Poczowała, jak pod naporem uderzenia osuwa się na podłogę. Nie wiedziała, czy bardziej boli ją pulsujący policzek, czy głowa, z której dręczycielka wyrwała garść włosów. Miękki pukiel opadł na podłogę tuż

przy twarzy Stefanii. Oleksandr kopnął ją kilka razy w brzuch, a wtedy ból rozpanoszył się po całym arystokratycznym ciele. Zamknęła oczy, lecz drugi z braci Iwana chwycił ją za ramię i jak szmacianą lalkę podniósł wysoko, po czym oparł o ścianę, a gdy wierzgała pod jego naporem, uderzył ją z pięści w policzek. Krew z rozciętej wargi prysnęła na jasną atlasową sukienkę. Mężczyzna chwycił Stefanię za szyję i podniósł wyżej, zahaczając jej kokiem o kinkiet. Wisiała na swoich włosach jak na szubienicy, a każdy oddech, każdy ruch powodował napięcie skóry i ból od karku po kraniec pleców.

– Patrz, polska dziwko! – Drugi z braci Iwana szarpnął ją w dół, tak że poczuła, jak włosy powoli odrywają się od skóry. – Patrz, jak niszczymy ci rodzinę!

Stefania pisnęła z bólu.

– Tak samo jak ty zniszczyłaś naszą! – powiedział pierwszy, po czym splunął jej w twarz.

Stefania nie chciała oglądać tego, co rozgrywało się w salonie, dotąd chlubie pałacu i miejscu, w którym wyprawiono tyle bankietów oraz przyjęć. Kiedy przymykała oczy, brat Iwana wymierzał jej policzek, a ona, uwieszona na kinkiecie, kołysała się. Przez ścianę łez widziała porozkładane po stole i podłodze ciała sióstr, matki, Zamrockiej i małej Anielki, które pobite, z rozdartymi ubraniami, były brutalnie gwałcone przez chłopów. Kobiety miały mokre od płaczu twarze i chociaż były całe zakrwawione, to nadal krzyczały i próbowały się wyrwać. Jedyne mała Anielka nie wydawała z siebie dźwięków. Jej twarzyczka, jakby pozbawiona życia, z szeroko otwartymi oczyma, była skierowana ku sufitowi. Kiedy znęcający się nad nią nastoletni chłopak kończył ją gwałcić, kazał jej spojrzeć sobie w twarz, lecz dziewczynka nie zareagowała. Wściekły Ukrainiec chwycił ją wówczas za szyję i uderzając o podłogę wątłym ciałem, krzyczał, żeby patrzyła na niego, bez efektu. Po chwili jej twarz stała się bardzo blada, powieki przykryły rozwarte oczy, a Stefania zrozumiała, że Anielka odeszła. Wstrząsnął nią dreszcz, a spazmy płaczu targnęły ciałem, które bolało teraz na równi z duszą.

Poczuła siarczysty policzek, który sprawił, że ciepła krew przelała się przez jej twarz.

– Patrz, dziwko! – krzyknął z furią Oleksandr.

Patrzyła więc, co chwila zanosząc się płaczem, gdy kolejne ciało odarte z godności było pozbawiane życia. Na ogołconych z sukni piersiach Wandy oprawcy wyryli literę „L” jako znak przynależności do Lachów, a następnie wbili jej w pierś nieprzydatny, długi nóż kuchenny. Matka leżała w kącie, w kałuży krwi. Jej twarz skierowana do parkietu była przykryta gęstymi, potarganymi włosami.

Reszty Stefania nie widziała, ponieważ Oleh ściągnął ją na podłogę i pchnął w stronę drzwi wejściowych, po czym skopał ze schodów, aż cała poobijana wylądowała na zimnym żwirowym podjeździe. Usłyszała wtedy, że nie zasługuje na to, by zostać zarżnięta w pałacu. Rozdarł zapięty na jej brzuchu płaszcz i podniósł suknię. Wierzgała pod nim, próbując się wyswobodzić, lecz brutalnie chwycił ją za naderwane do krwi włosy. Miała wrażenie, że przy kolejnym szarpnięciu Oleh wyrwie je wszystkie. Zaczęła okładać go pięściami, a wtedy podeszło dwóch chłopaków, chwyciło ją za ręce i, depcząc po nich, wbiło jej dłonie w twarde żwir. Zacisnęła zęby, hamując krzyk, i zamknęła powieki, nie chcąc patrzeć na swojego oprawcę, kiedy rozdzierał jej podbrzusze mocnymi szarpnięciami. Poruszał się szybko, gwałtownie i mocno. Miała wrażenie, że każde jego pchnięcie rozkrawa ją na pół. Kiedy pot z jego twarzy ściekał na jej policzki, czuła obrzydzenie i mdłości. Zamykała oczy, nie mogąc patrzeć na nienawiść bijącą z jego twarzy, iskrzący furią wzrok czy na usta wykrzywione w diabelskim grymasie. Gdy zwyrodnialec skończył taniec w jej ciele, zaciągnęła się powietrzem, a wtedy poczuła, jak kolejny mężczyzna siłą wdziera się do jej łona. Krzyk rozdarł jej klatkę piersiową, ku uciechu obserwujących scenę chłopaków.

Przy trzecim gwałcie nie miała już siły się szarpać. Leżała beczynnie, obezwładniona bólem i bezsilnością. Płakała, krzyczała w duszy i chciała znaleźć w sobie moc, by uciec, póki jeszcze jej nie zabili, ale kierowani nienawiścią mężczyźni byli jak w transie, który dodawał im nadludzkiej mocy.

Nagle okrucieństwo następujących po sobie gwałtów zostało przerwane przez ogłuszający huk z wnętrza pałacu. Wszyscy spojrzeli za siebie.

Ogromny płomień trawił zasłony i wynurzał się na elewację. Stefania nie wiedziała, co spowodowało wybuch, od którego pękły szyby, a kilka odłamków szkła raniło ją w odkryte nogi. Z przerażeniem spojrzała na taras, gdzie leżało zmasakrowane ciało Wandy, której rozdartą sukienkę okrywała peleryna z wyszarpanych z jej brzucha wnętrzności.

Stefania patrzyła, jak płonie dorobek życia jej rodziny, zdając sobie sprawę, że to kara za jej miłość do Iwana.

Spróbowała się podnieść, a wtedy podszedł do niej Oleksandr i przybił nożem jej dłoń do zimnej ziemi. Krzyk rozdarł jej płuca, a z zagajnika poderwały się kraczące wrony. Oleksandr chciał się zamachnąć i dokończyć dzieła, ale nie wiedzieć czemu odpuścił. Rzucił trzymanym w ręce nożem na oślep, a ten wbił się w bok Stefanii. Jęknęła z bólu. Zaraz potem stanął nad nią jakiś mężczyzna i kopniakiem wbił nóż w jej ciało aż po drewnianą rękojeść.

– Idziemy – rzucił Oleksandr. – Ta polska dziwka i tak zaraz zdechnie.

Towarzystwo rozchodziło się z radosnym śpiewem na ustach. Ich głośny tryumf potęgowało echo wydobywające się z lasu.

– Śmierć Lachom! Śmierć Obieckim! – Stefania usłyszała dobiegający z oddali krzyk Oksany, jedynej kobiety w całej bandzie.

Leżała na podjeździe, zanosząc się płaczem. Patrzyła, jak niebo powoli jaśniej, a wschód słońca maluje na nim różowe chmury. Do jej nozdrzy dochodził swąd palonego pałacu i ciał bliskich. Nie prosiła już Boga, by ją ocalił. Zamknęła oczy w nadziei, że umrze.

**20 sierpnia 2018 roku,
Oldrzychowice Kłodzkie**

Śniłam, że płynę. Niespiesznie poruszam się po ogromnej tafli wody, a wokół nie ma nic więcej. Ja, woda i niebo, na którym nie ma ani jednej chmury, a wokół nie widać nawet skrawka zieleni. Chciałabym zamknąć oczy i zrezygnować. Opuścić walkę, ponieważ wiedziałam, że nie dotrę szczęśliwie do celu. Nie dopłynę, bo nie czeka mnie żaden przystanek, bezpieczny ląd ani dobre zakończenie podróży. Mogłam tylko wegetować i czekać, aż przypadkiem zachłysnę się wodą na tyle poważnie, że utonę. Zanurzyłam w wodzie podbródek, usta, nos... I zaczęłam się krztusić.

Otworzyłam oczy. Nadal leżałam w swojej sypialni, otoczona dębowymi regałami, na których piętrzyły się stosy książek. Tośka przybiegła, złapała mnie pod ramiona i przerzuciła na brzuch. Głową zwisałam teraz z boku łóżka, a ślina spływała bezwładnie na podłogę. Byłam całkowicie świadoma tego, co się ze mną dzieje. Choroba zabierała mi ciało kawałek po kawałku. Podstawowe funkcje życiowe zaczynały zamierać i chociaż umysł czasem płatał mi figla, to był w dużo lepszej kondycji niż mięśnie. Kiedy z trudem podniosłam się do pozycji półsiedzącej, przyjaciółka popatrzyła na mnie i wybuchnęła płaczem. Skryła twarz w dłoniach, niepotrzebnie chcąc zataić przede mną chwilę słabości. Było mi przykro i pragnęłam jej zawtórować, ale nie byłam w stanie. Łzy spływały bezwładnie po moich policzkach, kołysane delikatnymi drganiami mięśni twarzy.

– Tak się boję, Zośka – odezwała się w końcu, przyglądając się miętolonej w dłoniach, mokrej od łez chusteczce. – Za każdym razem zastanawiam się, czy to dziś jest ten dzień, w którym umrzesz.

Myślałam, że mamy więcej czasu, że jeszcze daleko do... – zawiesiła głos. – Kiedy nie mogłaś przelić warzyw, blendowałam je. Kiedy zachłysnęłaś się kremem, dodawałam więcej wody. Dzisiaj zachłysnęłaś się śliną, a ja wiem, że nie uda mi się długo podtrzymać tego stanu, nawet gdybym miała cię karmić przez sondę. Twój ból jest też moim bólem. – Spojrzała mi w oczy. – Po każdym napadzie leżysz w łóżku pozbawiona sił. Ja, gdy patrzę na to z boku, czuję, jakby ktoś mi odrywał kawałek duszy. Już mnie prawie nie ma...

– Wiem – powiedziałam z trudem. – Jesteś moją siostrą. Kocham cię. – Wypowiadane przeze mnie słowa coraz bardziej przypominały dziecięcą, niewyraźną mowę.

– Ja ciebie też kocham, siostró. – Podeszła i przytuliła się do mnie. Ścisnęła mocniej, gdy poczuła, jak moje ręce drżą.

Przez chwilę trwałyśmy tak, połykając łzy.

– Odwołam dziś Marikę.

– Nie – wydukałam.

– Jak to nie? Nie jesteś w stanie mówić, to po co ma przychodzić?

– Dam jej pudełka – powiedziałam powoli.

– Daj już spokój z historią twojej babki. Nie cofniesz nikomu życia, nawet jeśli dowiesz się prawdy o ich losie.

Wiedziałam, że Tośka ma rację, ale nie chciałam przerywać opowiadania Marice. Była moim rytuałem. Nową odskocznią od problemów. Powodem normalnego funkcjonowania, którym kiedyś ja byłam dla Iwana.

– Nie byłoby mojego życia, gdyby babka się nie uratowała.

„Poza tym muszę się dowiedzieć, co tam się wydarzyło. Dlaczego mama odsunęła się od niej? Może Marika rozwiąże ten sekret” – pomyślałam, bo nie byłam w stanie się wysłować.

Tośka westchnęła głośno. W jej oczach zobaczyłam rezygnację, zupełnie jakby chciała mi powiedzieć, że przecież mnie też niedługo nie będzie. Wiedziałam, że nie zdążę wyznać Marice wszystkiego, ale czułam, że jesteśmy już bardzo blisko. Choroba nie wzięła się znikąd, a ja u schyłku życia nadal nie wiedziałam, kto należał do mojej rodziny i gdzie brało swój początek to, co trawiło mnie od tylu lat. Jesteśmy nierozzerwalnie

połączeni z naszymi krewnymi, a przedłużając pamięć o nich, pozwalały na nowo dostrzec związek przyczynowo-skutkowy i zależności między nimi a nami. Miałam też cichą nadzieję, że kiedy Paweł dowie się o losach swojej rodziny, postanowi kontynuować moją misję i dbać o dziedzictwo naszego rodu. Zdawałam sobie sprawę, że nie byłam dobrą matką, nie wszystkie moje decyzje były dla niego przyjemne, ale nadal naiwnie wierzyłam, że uda nam się naprawić tę relację. Wierzyłam, że Paweł przyjmie to, co mamy zapisane w genach z pokorą. Nauczy się tak jak ja wybaczać światu, sobie i odnajdzie spokój duszy, którego tak potrzebuje.

– Proszę, Tosiu – powiedziałam z trudem, a przyjaciółka musiała się wsłuchać, żeby zrozumieć moje słowa.

Język ciążył mi w ustach coraz bardziej i każdy jego ruch wiązał się z ogromnym wysiłkiem. Coraz wolniej przetwarzałam w głowie informacje o tym, jak powinnam go ułożyć, żeby poprawnie się porozumiewać.

– Dobrze. Zrobię to i mam nadzieję, że znajdziemy sposób, żebyś przekazała jej wszystko, co masz do powiedzenia.

Uśmiechnęłam się z aprobatą i ulgą. Wiedziałam, że ta dojrzała kobieta, która patrzy na mnie z troską, zrobi wszystko, żeby pomóc mi przetrwać codzienność. Biegłyśmy razem przez życie, ale na mojej bieżni co chwila pojawiały się przeszkody. Na początku przeskakiwałam je z łatwością i tylko delikatnie zmieniały moje wyniki w sztafecie. Z czasem przeszkody zaczęły rosnąć; doping i wsparcie Tośki jeszcze pozwalały na przeskakiwanie ich, lecz za każdym razem coraz bardziej zostawałam w tyle. Teraz na mojej trasie stały bardzo wysokie płotki, ale nadzieja, jaką karmiła mnie przyjaciółka, sprawiała, że zaczynałam ufać sobie na tyle, by wierzyć, iż nauczę się je choćby obchodzić. Może nie będę już zdobywała podium, ba, nie będę nawet w pierwszej dziesiątce, ale wierzyłam, że przemierzę tę trasę, a satysfakcja z ukończonego biegu będzie większa niż ze złotego medalu.

Kilka godzin później siedziałam na tarasie i obserwowałam zielone połacie ogrodu. Wspomnienia pierwszej miłości pojawiły się przed moimi oczami jak fatamorgana.

Była jesień 1998 roku. Nie pracowałam już w DPS-ie, bo po śmierci Iwana nie potrafiłam funkcjonować w tamtym miejscu. Wszędzie widziałam jego śmiejące się oczy i przyjemną twarz. Nie potrafiłam też zagrzać sobie miejsca w rodzinnym domu, więc postanowiłam się przeprowadzić do Ołdrzychowic Kłodzkich.

Zwykła uprzejmość, z jaką traktował mnie Andrzej, szybko zaczęła się przeradzać w coś więcej. Początkowe nieśmiałe próby dotyku z czasem stały się normą, a z każdym dniem zamiast przyjacielskich cmoknięć w policzek buziak od niego wędrował bliżej ust. Prawie wszystkie rozmowy były zabarwione erotycznymi podtekstami. Andrzej zerwał z narzeczoną, więc nie musiałam się martwić, czy jego zainteresowanie mogę odbierać poważnie, czy nie. Pewnego dnia pędziliśmy wino z przepisu jego babci, która w moim życiu zaczęła odgrywać rolę dobrej cioci. Ugniatałam kiście winogron w misce, a Andrzej przekładał je do szklanej butli. Co jakiś czas wznosiliśmy toasty, w ramach świętowania po doprowadzeniu ogrodu do ładu, upijając się nalewką babci. Kiedy w misce zaczynało brakować owoców, Andrzej klęknął przede mną i zaczął dotykać moich nóg. Jego dłonie ścierały z nich rozbryzgane winogrona, a z każdym dotykiem wznosiły się coraz wyżej. Upojona domowym trunkiem, czułam, jak rozsadza mnie fala uniesienia. Zatopiłam palce w jego blond włosach, a on doszedł dłońmi do pośladków. Nie protestowałam, kiedy błędził nimi w moich majtkach. W końcu wstał i posadził mnie na komodzie. Zatopił się w moich ustach, całując z namiętnością, o jakiej nie miałam wcześniej pojęcia. Nigdy przedtem i nigdy później nie doznałam tak silnego pożądania. Poddałam się tej żądzy posiadania jego ciała na wyłączność. Nawet teraz, dwadzieścia lat później, doświadczam siły tego przyciągania.

Marika przeszła przez próg tarasu i usiadła obok, po czym przeprosiła za brak pomocy podczas ostatniego spotkania, ale wytłumaczyła, że paraliżuje ją silny stres i nie jest w stanie nic zrobić. Nie miałam do niej żalu. Wiedziałam, że Tośka jest w pogotowiu i w razie czego zrobi wszystko, co będzie trzeba. Teraz też ratowała mnie z niekorzystnej sytuacji. Usiadła naprzeciw nas na ratanowym fotelu i powiedziała:

– Pani Mariko, tak jak wspominałam, Zofia nie jest w stanie kontynuować opowieści. Nie chce jednak rezygnować z pani usług.

Dziewczyna siedziała skrępowana, zerkając to na mnie, to na Antoninę.

– Dlatego postanowiła, że przekaże pani materiały do dalszej analizy. Proponuję, żeby wróciła pani do nas już nie z dyktafonem, ale z informacjami, jakich dowie się pani o życiu jej babki, hrabiny Stefanii Obieckiej-Filipowicz. Wierzę, że pani doświadczenie pomoże rozszyfrować historię rodziny Obieckich. Gdyby pojawiły się jakieś nieścisłości, postaramy się je sprostować lub wyjaśnić pewne kwestie. Wynagrodzenie oczywiście pozostaje bez zmian, w tym tygodniu wyślę pani przelew za ostatni miesiąc.

– Postaram się spełnić pani prośbę, jednak z doświadczenia wiem, że większość dokumentów z Kresów uległa zniszczeniu podczas wojny – stwierdziła ze smutkiem Marika i uśmiechnęła się do mnie delikatnie.

Przeszkadzał mi fakt, że nie mogę się odezwać. Ciało było jak klatka, a obumierający ośrodek mowy okazał się najdotkliwszą z ułomności.

– Jak już pani zauważyła, na stole leży pudełko. Jest to ten sam karton, który Zofia otrzymała od pokojówki swojej babki, zanim osiedliła się w Ołdrzychowicach Kłodzkich. W środku znajdują się zdjęcia i skrawki wspomnień. Na prośbę Zofii dołączyłam teczki z informacjami, jakie zdołała zgromadzić podczas lat poszukiwań prawdy, jednak z uwagi na nieustępliwość Rosji niewiele udało się zdobyć – wyrzuciła z siebie Antonina.

Dziewczyna siedziała w milczeniu, oddychając głęboko i najwyraźniej nie wiedząc, co odpowiedzieć. W końcu zebrała myśli i ciszę przerwał jej melodyjny głos:

– Rozumiem. Postaram się sprostać oczekiwaniom pani Zofii. Jest mi przykro z powodu zaistniałej sytuacji, tym bardziej że przerwałyśmy opowieść tak nagle, jednak postaram się dać z siebie wszystko i pani nie zawieść. – Dotknęła mojej dłoni i popatrzyła na mnie z uśmiechem. W odpowiedzi skinęłam porozumiewawczo głową. – W takim razie nie zajmuję paniom czasu i idę pracować nad tekstem. Widzimy się jutro o dwunastej i mam nadzieję, że to, czego się dowiedziałam, panie

zadowolili. Pani Zofio, życzę szybkiego powrotu do zdrowia. – Wstała i pożegnała się, zabierając ze sobą pudełko.

Tośka odprowadziła ją do drzwi, a następnie wróciła i zajęła jej miejsce.

– No to w końcu zobaczymy jej warsztat pisarski i doświadczenie genealogiczne – skomentowała.

Pokiwałam twierdząco głową.

– Posiedź tu sobie do obiadu, a ja poszukam w Internecie czegoś na temat komunikacji. Przecież nie możesz tak po prostu przestać paplać, prawda?

Uśmiechnęłam się do niej i znów zatopiłam we wspomnieniach. Tęsknota za Iwanem już przygasła, chociaż od dwudziestu dwóch lat nie odważyłam się pojechać do Wrocławia. To miasto zabrało mi wszystko, co było dla mnie ważne. Najpierw odarło z wyobrażeń, później ukazało fałsz i obłudę mojego życia, a następnie zabrało mężczyznę, który był kimś więcej niż staruszką z Domu Pomocy Społecznej.

**21 sierpnia 2018 roku,
Odrzychowice Kłodzkie**

Marika skończyła czytać, a ja oczyma wyobraźni widziałam swoją babkę, która z chwilą zakończenia szkoły została rzucona w wir dziwnych splotów zdarzeń.

– Wyszło świetnie – powiedziałam powoli.

– Staralam się oddać ducha Stanisławowa i pałacu. Co prawda pani Stefania niewiele pisała o mieście, ale teraz wszystko można znaleźć w Internecie.

Podniosłam brwi w wyrazie zaskoczenia. Marika zaczynała mi imponować. Jej chęć i zaangażowanie wzruszały mnie, a widok przepełnionej dumą dziewczyny utwierdzał mnie w przekonaniu, że wybrałam odpowiednią osobę do tej nad wyraz ważnej dla mnie roli.

– Była pani na Ukrainie szukać rodzinnego pałacu? – spytała dziewczyna.

– Kiedyś chcieliśmy go odnaleźć – wtrąciła Antonina, która siedziała obok mnie na sofie i popijała herbatę. – Ale to były czasy, w których ten budynek należał do państwa, i nie dało się go zobaczyć. Nawet liczne próby kontaktu z ambasadą i potwierdzenia, że Zofia jest spadkobierczynią, niewiele pomogły.

– Rozumiem. Może kiedyś tak było – powiedziała Marika, wyraźnie zadowolona z siebie. – Ale teraz do wszystkiego jest łatwy dostęp online. Nawet do pałacu.

Spojrzałyśmy po sobie z Tośką wyraźnie zaskoczone, a jednocześnie podniecone tą informacją. Dawno odpuściłam już sobie drażnienie tego wątku z uwagi na brak dostępu do dokumentów i chorobę, która stała

się moim utrapieniem. Miałam pamiętniki babki, kilka zdjęć, wspomnienia Iwana, więc uważałam, że i tak powinnam być wdzięczna losowi za to, co mi ofiarował.

Marika klikała coś na tablecie, przesuając palcem w górę i w dół, aż w końcu wstała z fotela i podeszła bliżej nas. Zrobiłyśmy jej miejsce na sofie, by usiadła między nami.

– Proszę spojrzeć. – Ustawiła tablet przed sobą, tak żebyśmy mogły dobrze widzieć. – Pałac, w którym mieszkała pani babka, wciąż stoi. Co prawda jest splądrowany i niszczeje, ale ludzie go odwiedzają i udostępniają zdjęcia na tej stronie.

Dziewczyna przesuwała pojawiające się obrazy.

Zza zarośli i drzew wyłaniała się pomarańczowa fasada budynku, oblepiona licznymi gzymsami, mniej lub bardziej zdobionymi. Wyrastało też z niego kilka wieżyczek pokrytych blachą. Od razu przypomniałam sobie, jak Iwan mówił, że dach pałacu błyszczał w słońcu. Wtedy musiał być to fantastyczny widok, teraz gdzieś dach pokrywała rdza. Kiedy skończyły się zdjęcia ukazujące pałac z zewnątrz, pojawiły się kolejne, tym razem z wnętrza. Płytkie schody nadal stały, jednak poza zdobioną posadzką nie przetrwało nic więcej. Bez szyb, okiennic, drzwi i z gołymi, obdrapanymi do czerwonej cegły ścianami pałac wyglądał upiornie. Kolejne fotografie, na których widoczne były dziury w podłogach na piętrze, wydarte ze ścian kable i mnóstwo porozsypywanego gruzu, wprowadziły mnie w stan melancholii. Nie miałam siły, żeby zająć się tym budynkiem, a jednocześnie czułam wręcz fizyczny ból, gdy widziałam, w jakim jest stanie. W mojej wyobraźni istniał jako piękny, zadbane budynek, pełen dzieł sztuki i ręcznie struganych mebli, którego wspomnienie wolałam pielęgnować, niż patrzeć na to, co się z nim stało na przestrzeni lat.

– Wystarczy – powiedziałam, a łzy napłynęły mi do oczu.

Poczułam, jak ten naród, usilnie lub nie, niszczy moje dziedzictwo. Rozczarowanie pomieszane z bezsilnością zawładnęło moim ciałem...

**30 marca 1940 roku,
Psary – województwo stanisławowskie**

Antoni Babicz już z daleka widział unoszącą się nad pałacem pomarańczową łunę. Modlił się w duchu, by był to tylko pożar lasu, choć rozum podpowiadał mu, że może byłoby to prawdopodobne w sierpniu, ale nie pod koniec marca, gdy nocami pojawiały się jeszcze przymrozki. Nie chciał dopuścić do siebie wiadomości, że jego ukochanej coś się stało. Nie teraz. Nie na chwilę przed odlotem do ziemi obiecanej.

Kiedy pałac wyłonił się zza zakrętu, Antek nie dowierzał w to, co zobaczył. Lewa strona budynku była brudna od sadzy, a wewnątrz dogorywało po pożarze. Płomień trawił teraz dorodne drzewo, rosnące tuż przy tarasie. Okna pozbawione szyb z daleka zionęły grozą, a przed pałacem leżały dwa zmasakrowane ciała. Na tarasie spoczywała jedna z Obieckich; wiedział to, bo charakterystyczne długie, ciemne włosy arystokratki spływały kaskadą między marmurowymi kolumnami, prosto na budzące się do życia krzewy. Spojrzał na drugą postać i wiedział, że to Stefania. Jej ciało, włosy i smukłe nogi rozpoznałby wszędzie. Na ten widok jego serce niebezpiecznie wzmogło rytm i biło w piersi jak oszalałe. Nie czekając, aż Michał zatrzyma ciężarówkę na podjeździe, Antek wyskoczył z paki i biegiem rzucił się w stronę Stefanii. Był kilka metrów od niej, a mimo to miał wrażenie, że nie da rady dobiec, ponieważ ze stresu nogi trzęsły mu się jak galareta. Padł na ziemię tuż przy niej, a widok jej ciała wstrząsnął nim bez reszty.

Leżała tuż przy schodach do pałacu, odziana w płaszcz i podartą sukienkę, która nie osłaniała zakrwawionego, pełnego siniaków ciała. Zastygła w lekko wygiętej pozycji, jakby chciała skulić się w sobie, lecz coś

jej przeszkadzało. Kiedy przejechał wzrokiem po jej ciele, zobaczył, że są to dwa noże wbite aż po rękojeść. Jeden przyspilał jej dłoń do ziemi, drugi wystawał z boku. Nogi pokryte były licznymi odłamkami szkła.

Antek poczuł, jak ciemnieje mu przed oczami. Przez chwilę z trudem oddychał, aż w końcu wstrząsnął nim dreszcz, a następujący po nim płacz sprawił, że chłopak skulił się w sobie i wył nad ciałem jak skatowany pies. Wszystkie pieniądze i wszelkie starania okazały się pozbawione sensu, bo nie było jej przy nim. Od tak dawna istniała w jego życiu, że teraz nie wyobrażał sobie, iż mogłoby jej tak po prostu zabraknąć.

Po chwili usłyszał dobiegający z tarasu krzyk matki i siostry. Niemo patrzył, jak bliskie jego sercu kobiety, ubrane w zakonne habity, zbliżają się do niego. Przerazenie sprawiało, że dotąd blade, zdenerwowane twarze teraz były niemal białe. Matką wstrząsnął widok Stefanii. Rzuciła się na kolana tuż przy nim i zalała łzami. Objął matkę ramieniem, chcąc dodać jej otuchy, choć sam czuł, że jego życie straciło sens.

Władzia w ubraniu zakonnicy, nie bacząc na wygląd koleżanki, pochyliła się nad jej twarzą.

– Antek, ona żyje! – powiedziała cicho, z niedowierzaniem. – Żyje! – Dotykała jej po policzkach i dłoni.

Antek poczuł, jak fala płaczu ogarnia jego ciało z jeszcze większą siłą.

– Stefania – powiedziała cicho Władzia, pochylając się kolejny raz nad dziewczyną. – Stefania! – powtórzyła, lecz Obiecka milczała.

Antoni wyciągnął drżącą dłoń i dotknął jej czoła. Było gorące i wilgotne. Momentalnie oprzytomniał, odetchnął głęboko i wstał z kolan. Obrócił się za siebie i zobaczył Michała, który wyszedł z pałacu wystraszony. Antoni szybko pojął, że to, co musiał zobaczyć wewnątrz, było najstraszniejszym ze snów. Jego blada, wykrzywiona w bólu twarz drgała spazmatycznie.

Antoni podbiegł do niego.

– Tamta dziewczyna żyje! Masz dostęp do jakiegoś lekarza?

Młody chłopak niemo potwierdził, drżącą ręką wyjął z kieszeni papierosy i próbował odpalić jednego. Antek odruchowo spojrzął na

taras, na którym leżała siostra Stefanii z wyrwanymi z brzucha wnętrznościami. Jej twarz zastygła w bólu i zaskoczeniu, a oczy pozostawały szeroko otwarte.

– Mój Boże – szepnął, po czym obrócił się i zwymiotował na marmurową posadzkę. – Jak w środku? – spytał po chwili Michała.

– Jeszcze gorzej niż tu – stwierdził chłopak, zaciągając się papierosem.

– Antek, chodź! – zawołała Władzia, a ten od razu podbiegł do klęczącej siostry.

– Słyszysz? – spytała Babiczówna.

– Nie – stwierdził zgodnie z prawdą, ponieważ mocno bijące serce tłumilo w nim wszystkie zmysły.

– Mówi, żeby dać jej płaszcz – powiedziała Łucja.

– Masz na sobie płaszcz, kochana – stwierdził Antek i dotknął twarzy Stefanii.

Delikatnie rozchyliła powieki, z których wypłynęły łzy, a on poczuł, jak serce mu przyspiesza. W tejże chwili poprzysiągł sobie, że gdy tylko ją uratuje, zrobi wszystko, by jej oprawcy ponieśli najsurowszą karę.

– Ma gorączkę. Musimy ją okryć. Może w domu jest jakiś pled, cokolwiek? – spytała Władzia, patrząc na niego dużymi, szarymi oczyma.

Jej opanowanie zaczynało udzielać się grupie. Zachowanie Władzi było godne podziwu, a jej racjonalne myślenie tym, czego najbardziej potrzebowali w tej chwili. Antoni nigdy nie myślał o sobie w kategoriach słabości, teraz jednak wiedział, że jego siłą i motorem napędowym do działania była Stefania. Uczucie do niej wyzwalało w nim heroiczne męstwo, odwagę i potrzebę działania.

Kiedy NKWD grabiło jego fabrykę, Stefania postanowiła mu pomóc. Pierwszy raz jawnie i bez żadnych wątpliwości stanęła po stronie ich przyjaźni. Starła się przekonać żołnierzy, żeby zostawili jego dziedzictwo w spokoju. Z podniesionym czołem i postawą godną arystokratki zawstydziła funkcjonariusza pewnym siebie, naszprycowanym argumentami głosem. Aleksiej Fiedorczyk z błyskiem w oku stwierdził, że uległby jej prośbom, gdyby oddała mu swoje ciało. Oburzona, nie patrząc na okoliczności, wojenną zawieruchę i przewagę liczebną okupantów, spoliczkowała go, a wtedy on bez najmniejszych

oporów strzelił w jej ramię. Pewnie też strzeliłby kolejny raz, gdyby nie fakt, że huk wystrzału spowodował, iż podczas załadunku długi, nieprzetopiony stop stali wymknął się żołnierzom z rąk, spadając jednemu na stopę. Antek chwycił wtedy Stefanię w ramiona i szybko zawiózł do swojego rodzinnego domu, nie patrząc na okoliczności ani konsekwencje takiej ucieczki. Wtedy zadziałał instynktownie w obronie ukochanej.

Teraz, kiedy był pewny, że ona żyje, wiedział, że kolejny raz będzie musiał stoczyć walkę o przywrócenie jej do zdrowia. Świadomość, że są tak blisko bezpiecznej przyszłości, mobilizowała go do działania. Wierzył całym sercem, że gdy uciekną, bez oporów będzie mógł się nią opiekować. A trwanie przy jej boku było spełnieniem jego marzeń, odkąd ją zobaczył, nie mógł więc pozwolić, żeby tak po prostu przestać o nie walczyć.

– Mamy habity – stwierdziła cicho Łucja, wyrywając syna z konsternacji.

– Mamo, spójrz na siebie. Jesteś cała brudna od krwi, zresztą ja też. W takich strojach okazemy się niewiarygodni, gdy zatrzyma nas kontrola – zauważyła przytomnie Władzia. – Założymy habity przeznaczone dla sióstr Stefanii.

– Masz rację, córeczko – stwierdziła Łucja, po czym podniosła się, zamierzając pójść do pałacu.

Michał wstrzymał ją gestem ręki.

– Niech pani tam nie idzie. Ja poszukam – powiedział, a po chwili zniknął w pałacu.

Nie minął kwadrans, jak pojawił się na tarasie, rozkładając ręce.

– Meble spłonęły. Na górze w pokojach wszystko jest splądrowane, wyniesione lub zniszczone – stwierdził.

Antek raz po raz zerkał na leżące na tarasie ciało Wandy i na chłopaka, który zaciągał się papierosem. Michał spojrzał na Babcza i zrozumiał go bez słów; westchnął głęboko, po czym skinął porozumiewawczo głową. Na miękkich nogach podeszli na kraniec tarasu. Babcz pochylił się nad Wandą, próbując nie patrzeć na jej rozorany brzuch. Poczul, jak zółć podchodzi mu niebezpiecznie wysoko,

zdołał jednak powstrzymać wymioty. Drżącymi dłońmi zamknął jej powieki i delikatnie podniósł zimne, sztywne ciało; z pomocą Michała obrócił je delikatnie twarzą do posadzki, po czym szybkim ruchem zsunął z niej przybrudzony krwią filcowy płaszcz.

Kiedy podeszli do Stefanii, Władzia miała już przy sobie prowizoryczną apteczkę.

– Musimy jej to wyjąć – powiedział Michał i skinieniem głowy wskazał na noże.

– Absolutnie! – oburzyła się Władzia. – Nie jestem lekarzem, ale na kursie sanitariuszek jeszcze przed przyjazdem Sowietów uczyli nas, żeby nie wyciągać ciał obcych z rany. Inaczej ranny może się wykrwawić.

– Tak czy siak, musimy ją oderwać od ziemi i uciekać. Mam wrażenie, że jesteśmy obserwowani – skwitował Michał, wbijając w ziemię niedopałek papierosa.

Antek chwycił za rękojeść noża wbitego w dłoń Stefanii i powoli pociągnął go w górę. Dziewczyna głośno jęknęła z bólu. Władzia oderwała z jej sukienki kawałek materiału, zwinęła w kulkę, a następnie kazała Stefanii zagryzać. Chwilę później delikatnie przenieśli dziewczynę do ciężarówki i okryli płaszczem po Wandzie. Silnik zawarczał głośno; ruszyli, oddalając się od pałacu i pozostawiając po sobie wzburzony od kół żwir na podjeździe.

EPILOG

5 października 2019 roku,

Wrocław

Cmentarz Świętego Wawrzyńca witał mnie wielką bramą z czerwonej cegły. Na drzewach gdzieś pojawiły się już kolorowe liście, które dodawały temu miejscu uroku. Pogoda jak na październik była zachwycająca. Na niebie, prócz kilku smug po samolotach, nie było ani jednej chmurki.

Wszelobocny spokój koił moje zmysły.

„Po przeszło dwudziestu latach niewiele się tu zmieniło” – pomyślałam, poprawiając się na wózku inwalidzkim.

Tośka przyniosła ostatnio inne tabletki, których innowacyjne działanie hamowało ruchy płasawicze, lecz cudowny lek miał też swój mankament. Silne oddziaływanie na ośrodek nerwowy pozbawiało mnie wszelkiej siły. Siedziałam więc skulona w wózku, który przyjaciółka pchała w kierunku grobu Iwana.

Czułam, że jestem u schyłku życia, a moja misja niebawem się skończy, więc ostatni raz, znając już całą prawdę, chciałam stanąć przy nim. Nadal byłam pod silnym wpływem wiadomości, które przyniosła Marika. Poczucie satysfakcji z odkrycia prawdy mieszało się we mnie z rozczarowaniem i smutkiem. Wiele razy wizualizowałam sobie dalsze losy mojej babci i Iwana. Ich wspólna przyszłość jawiła się w kolorowych barwach, nie wiedziałam tylko, co poróżniło tych dwoje zakochanych ludzi, których uczucie było silniejsze niż status społeczny, niż narodowość. Prawda okazała się nakreślić zupełnie inny scenariusz, którego nie potrafiłam przyjąć do wiadomości.

Przez wiele lat próbowałam dowiedzieć się jak najwięcej o losie swoich przodków. Uzyskać wyjaśnienie, dlaczego wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej. Domyślałam się, że wojna krzyżowała szyki, zmieniała punkty widzenia i zmuszała do wielu rzeczy, na które ludzie w zwyczajnych okolicznościach nie mieliby odwagi. Jednak krwawa, okrutna i pozbawiona sensu zbrodnia nie mieściła się w moim umyśle.

* * *

Kiedy Marika z posępną miną pojawiła się w moim domu, wiedziałam, że dotrwałyśmy do kresu historii mojej babci.

– Znalazłam coś, co zamknie na zawsze pani dociekania – powiedziała zaraz po uprzednim „dzień dobry”. – Muszę tylko uprzedzić, że jest to bardzo bolesne i wstrząsające. Nie jestem pewna, czy jest pani gotowa na to, z uwagi na pani stan.

Kiwałam porozumiewawczo głową, chociaż nie wiedziałam, czego mam się spodziewać.

Marika odchrząknęła, rozłożyła przed sobą gęsto zadrukowaną kartę i zaczęła czytać:

– „Umorzenie śledztwa w sprawie ludobójstwa dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach narodowości polskiej na terenie byłego powiatu stanisławowskiego. Wrocław, 14 maja 1997 roku. Agnieszka Siemowit, Prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu postanawia umorzyć śledztwo w sprawie dokonanej w okresie od marca 1940 roku do grudnia 1944 roku na terenie byłego powiatu stanisławowskiego przez nacjonalistów ukraińskich na obywatelach narodowości polskiej zbrodni ludobójstwa w celu wyniszczenia tej grupy narodowościowej, w wyniku czego śmierć poniosło nie mniej niż 209 osób, a nieustalona liczba osób odniosła ciężkie obrażenia ciała. Na podstawie zeznań świadka Iwana Nazarenko oraz dostarczonych przez niego licznych dokumentacji oraz zdjęć postanawiam umorzyć śledztwo z uwagi na udokumentowaną śmierć sprawców zbrodni...”.

Kiedy skończyła czytać obszernie zeznania Iwana, po moich policzkach spływały wodospadem łzy. Nie potrafiłam wyobrazić sobie bólu, jaki przeżywali Iwan i Stefania. Momentalnie zrozumiałam, dlaczego staruszek nie potrafił sobie z nim poradzić przez całe swoje życie.

– Jest jeszcze jedna ważna sprawa – powiedziała Marika, gdy uspokoiłam się na tyle, że zamiast pocieszać mnie, mogła kontynuować. – Iwan przez pięć lat pozostał w Psarach i, współpracując z polskim podziemiem, wykonał szereg akcji odwetowych, pozbawiając życia wszystkich biorących udział w napadzie na pałac w Psarach. Przyznał się do zabicia między innymi swoich braci czy Oksany Czernow. Stefania Obiecka-Filipowicz jako jedyna z rodu przeżyła wojenną gehennę, szczęśliwie doczekawszy końca wojny w Wielkiej Brytanii, u swojej ciotki hrabiny Apolonii Ławrynowicz. Potem wyszła za mąż za Antoniego i zmieniła imię. Pani pradziadek, hrabia Mieczysław Obiecki, po wywózce z więzienia w Stanisławowie został deportowany do obozu jeńców w Starobielsku, gdzie został rozstrzelany wraz z liczną grupą polityków, policjantów, działaczy społecznych i przedstawicieli polskiej inteligencji. W Starobielsku wraz z nim tragicznie zginęli między innymi jego przyjaciele, profesorowie Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie. Karol Filipowicz zmarł na froncie w pierwszych dniach wojny. Niechlubna sława Iwana budziła postrach nie tylko wśród ludności ukraińskiej. Chęć zemsty za krzywdy zadane przez jego naród przez długi czas stanowiła jego jedyny cel. Uważam, że to było powodem, dla którego pani mama ukrywała się przed światem i ze strachu przed Iwanem nie chciała mieć kontaktu ze swoją matką, Stefanią. Nazarenko od lat szukał kontaktu z hrabianką Obiecką. Wiedział, że przeżyła wojnę, jednak odnalazł ją dopiero po jej śmierci. Często pojawiał się w Ołdrzychowicach w nadziei, że spotka pani mamę, która prawdopodobnie nie była jego córką, a...

– ...dzieckiem zrodzonym z gwałtu – dokończyłam za nią.

– Właśnie – skwitowała Marika. – Pani mama bała się Iwana. Sądziła, że on uzna ją za dziecko jednego ze swoich braci... I że na niej również zechce się zemścić. Mimo że jej matką była Stefania.

Wieczorem, kiedy siedziałam w salonie razem z Tośką i emocje powoli zaczynały opadać, wciąż nie mogłam uwierzyć w to, czego się dowiedziałam. Prawda, do której przez tyle lat dążyłam, okazała się powodem cierpienia dla każdej ze stron, a wojna, kiedy spoglądało się na nią z perspektywy miłości Stefanii i Iwana, okazała się przegraną obu narodów.

– Nie przypuszczałam, że tak to wyglądało – mówiła Tośka, patrząc na fotografię mojej babki, którą wyjęła ze zwróconego przez Marikę pudełka.

Kiwnęłam głową na znak zrozumienia, chociaż wciąż mieszały się w niej słodkie wspomnienia opowieści Iwana z okrutną przeszłością, którą trudno mi było objąć rozumem. Zastanawiałam się, czy gdybym wiedziała wcześniej o losach swojej rodziny, to umiałabym tak po prostu odpowiedzieć sobie na dręczące mnie latami pytania. Czy gdyby Iwan powiedział mi wszystko przed śmiercią, zdołałabym ukoić jego serce? Z westchnieniem utwierdzałam się w przekonaniu, że nie.

Kolejny raz pojęłam, że w życiu jest odpowiedni czas na poznawanie i wspomnianie, na doświadczanie złego i na wybaczenie, ale też na dźwiganie swojego krzyża. Wybierając życie, decydujemy się na pewnego rodzaju jego akceptację z całym dobrodziejstwem inwentarza. Z jego słońcem, pejzażami, miłosnymi uniesieniami, ale i obciążeniami. Niekiedy zdarza się, że przez większość życia ponosimy konsekwencje swoich działań i tak jak Iwan cierpimy do końca swoich dni. A czasem dostajemy cierpienie w prezencie. Ot tak, nie prosząc się o nie, nie zasługując na nie... Otrzymujemy je niejako w spadku.

Tak też było ze mną.

Teraz, u schyłku życia, zrozumiałam, że choroba była nie tylko w mojej krwi, ale też we krwi mojej mamy, tyle że u niej nie zdążyła się ujawnić. Jednak coraz bardziej mutowała; ja już wiedziałam, że nie będzie mi dane dożyć sędziwego wieku. Ale, co dziwne, kolej losu nagle przestała mnie przerażać. Teraz, kiedy znałam prawdę o swojej rodzinie, mogłam sobie wszystko ułożyć, a akceptacja choroby stała się formalnością. Płasawica Huntingtona nie pojawiła się znikąd, ale definiowała moje korzenie. Nie tylko te ze strony Obieckich – bogatych arystokratów – ale

też te z rodziny Nazarenko lub jednego z gwałcicieli mojej babci. Ich krew, choć wyparta ze świadomości mojej mamy i babki, krążyła w moich żyłach. Czy taka krew, niefizycznie, ale jednak przepełniona nienawiścią, mogła przynieść coś dobrego?

* * *

Wózek szarpnął nieprzyjemnie, wyrywając mnie ze wspomnień.

– Dojechałyśmy – powiedziała Tośka, ustawiając wózek w taki sposób, by mieć dojscie do nagrobka.

Patrzyłam na brudną, ciemną płytę z medalionem Iwana. Mimo upływu lat ciemny marmur nadal wyglądał imponująco. Niedługo po pogrzebie, z szacunku dla naszej relacji, ufundowałam mu ten pomnik. Teraz patrzyłam na niego z pewną dozą niepewności i bólu.

Odmówiłam zdrowaśkę, po czym spojrzałam na zegarek. Wiedziałam, że nadszedł czas, by zmierzyć się z ostatnim spotkaniem.

– Pora iść – powiedziałam z trudem do Antoniny, która chwyciła za rączki wózka i pchnęła do wyjścia.

– Boisz się? – spytała przed bramą.

– Czego?

– No wiesz, że cię zwyzywa, wygna, przeklnie, rzuci się z pięściami... Różnie może być. Pamiętam, że na początku choroby też zdarzało ci się wybuchać nieuzasadnioną złością.

– Sam prosił o spotkanie, więc chyba nie po to, żeby mnie dobić – powiedziałam powoli, z nutą sarkazmu.

Umówiliśmy się w parku Szczytnickim. Antonina twierdziła, że skrajnym chamstwem jest zapraszać chorą matkę do parku pełnego ludzi, ale ja rozumiałam Pawła. Dźwięki natury napawały mnie spokojem, nawet jeśli były nieco zagłuszone przez spacerowiczów. A przecież w naszej chorobie utrzymanie spokoju duszy było najważniejsze, a zarazem najtrudniejsze. Byłam pewna, że syn doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Siedział na ławce, a słońce przeskakujące między delikatnie poruszonymi wiatrem liśćmi co chwila rozświetlało jego twarz. Trwał

tak, z przymkniętymi powiekami, jak gdyby sceneria i zabawa ze światłem sprawiały mu przyjemność. Dostrzegłam jego lekki uśmiech. Przez chwilę zastanawiałam się, czy aby się nie zakochał. Wydawał się taki rozmarzony, zadowolony i spokojny. Zupełnie jakby był całkiem zdrowy.

Kiedy usłyszał szelest wózka sunącego po przyschniętych liściach na parkowej alejce, ocknął się i obrzucił mnie troskliwym spojrzeniem. Wstał z ławki, po czym przytulił moje wątle, pozbawione energii ciało. Poczułam falę ciepła, a wzruszenie wypłynęło ze mnie w postaci rzewnych łez.

– Nie płacz, mamuś – powiedział. Dawno nie zwracał się do mnie takimi słowami, a ja patrzyłam na niego z radością i nadzieją. Może jednak nie wszystko stracone?

Paweł starł z mojej twarzy słone kropelki.

– Zobacz, jaki świat jest piękny.

Spojrzałam w niebo. Słońce raziło mnie w oczy, osuszając wciąż mokre od spływających łez policzki. Lekki wiatr szumiał łagodnie, a wokół przyjemnie pachniało wilgocią.

Usiadł na ławce i przysunął wózek bliżej siebie. Spojrzał mi głęboko w oczy, jakby chciał dotrzeć do zakamarków mojej duszy i powiedzieć, że przebacza lata krzyków i awantur.

– Zdaję sobie sprawę, że nie chciałaś nigdy, by tak się stało. I wiem też, że bardziej niż mnie boli cię to, że ja również jestem chory.

Wzruszenie sprawiło, że słowa, które chciałam wypowiedzieć, ugrzęzły mi w gardle.

– Jednak mam dla ciebie cudowną informację. – Sięgnął po leżącą za nim kopertę i z podnieceniem przekazał ją mnie.

– Co to? – wydukałam.

– Zgłosiłem nas do innowacyjnego zabiegu medycyny regeneracyjnej, który będzie polegał na manipulacji neuronalnymi komórkami progenitorowymi. Przeszczep komórek w przypadku naszej choroby jeszcze nie jest dobrze znany i na razie nie jest dostępny w Polsce, ale dzięki niemu można przywrócić funkcje neuronów.

– Nie rozumiem – wyznałam zgodnie z prawdą.

– Możemy zostać wyleczeni! – krzyknął uradowany.

– Naprawdę?

– Tak, mam! Naprawdę!

Poczułam znów łzy wzruszenia.

– Nie wiem tylko, czy mamy wystarczająco dużo pieniędzy, ale jeżeli nie, to postaram się zrobić wszystko, by je zdobyć.

– Ile jest potrzebne?

– Trzy miliony – powiedział szeptem.

Westchnęłam głośno.

– Pawełku – zaczęłam, choć miałam pustkę w głowie. – Przyjechałam tutaj, bo chciałam się z tobą pożegnać. Jestem... – Przełknęłam ślinę, próbując uspokoić przyspieszony rytm serca. – Czuję, że jestem już u schyłku życia. Nie mam siły dłużej walczyć, ale ty jesteś jeszcze młody i ta operacja to dla ciebie ogromna szansa.

– Mam, nie mów tak. Nie wolno się poddawać.

– W twoim ciele nie zaszło jeszcze zbyt wiele zmian. Operacja w twoim przypadku nie będzie tak inwazyjna. Mnie musieliby wymienić cały mózg.

– Mam, proszę – powiedział, patrząc na mnie błagalnym wzrokiem.

Chwyciłam go za rękę. Nieporadnie wsadziłam dłoń do kieszeni płaszcza i wyjęłam lniany woreczek. Położyłam sakiewkę na dłoni Pawła i zamknęłam ją w uścisku.

– Te pierścionki były zaszyte w płaszczech mojej babki i jej siostry. – Zamilkłam na chwilę, zmęczona wypowiedzianymi słowami. – Zachowały się w rodzinie dzięki kobiecie, która zajmowała się pałacem po wojnie. Wierzę, że stało się to właśnie po to, byś mógł teraz odciąć się od choroby.

Paweł drżącymi dłońmi rozsypał woreczek i wysypał na dłoń złote pierścienie. Kamienie mieniły się w słońcu.

– Prawie osiemdziesiąt lat temu te pierścionki miały za zadanie sprawić, że ród Obieckich przetrwa. Teraz nastąpiła idealna chwila, by tego dokonać.

– Ale to dziedzictwo naszego rodu – powiedział Paweł.

– Ty jesteś przyszłością naszego rodu. Nie dwa szlachetne kamienie okryte złotem – stwierdziłam.

Paweł umilkł, a po chwili ciszy zamknął mnie w objęciach. W tym uścisku było wszystko, czego brakowało mi przez ostatnie lata. Miłość, akceptacja, zrozumienie, pokora i wdzięczność. Poczulałam się lekko i przyjemnie. Oddech spowolnił swój rytm, a na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

Paweł wrócił z nami do Ołdrzychowic, by spędzić ze mną trochę czasu, a ja poczułam, że spełniłam swój obowiązek, chociaż w gruncie rzeczy mało było w tym mojej zasługi, a więcej przypadkowości losu. Kiedy patrzyłam, jak Paweł siedzi na tarasie i z przyjemnością obserwuje przygotowujący się do zimy ogród, poczułam, że ogarnia mnie spokój.

„Oto wypełniłam swój los” – pomyślałam, patrząc na iskrzące się na niebie gwiazdy. „Albo pomogli mi go wypełnić rodzice oraz Stefania i Iwan” – dokończyłam, nie dowierzając, że ich postacie pojawiły się przed moimi oczyma. Byli tacy szczęśliwi, radośni i promienni. Mama wyciągnęła ku mnie ramiona, a ja wpadłam w nie przepelniona radością.

* * *

– Zasnęła – powiedział Paweł, przykładając palec do ust.

Antonina spojrzała na niego, a później na Zofię Buchowską, swoją wieloletnią przyjaciółkę i powierniczkę. Zobaczyła jej pełną spokoju, łagodnie uśmiechniętą twarz i wiedziała, że to nie będzie krótki sen; że nie spotkają się rano i nie powiedzą sobie „dzień dobry”, ale zobaczą się dopiero po drugiej stronie nieba.

KONIEC

Jelcz-Laskowice, 27 września 2021 roku

OD AUTORKI

W napisanie tej powieści włożyłam wiele wysiłku – zarówno fizycznego, jak i psychicznego – i mam wrażenie, że już brakuje mi słów... Jednak z szacunku do Was, moich Czytelników, nie potrafiłam zostawić pewnych kwestii niewyjaśnionych.

Historia Stefanii i Iwana nie powstałaby, gdyby nie odwaga osób, które zdecydowały się otwarcie mówić o swoich wojennych traumach i rodzinnych wspomnieniach, których mnie oszczędzono, a do których z własnej woli od dawna staram się dokopać. Mimo że powieść jest fikcją literacką i poświęciłam przeszło rok na jej napisanie oraz możliwie najbardziej wierne oddanie rzeczywistości, której częścią byli również moi przodkowie, to jednak pewne informacje zawarte w powieści mijają się z prawdą historyczną.

Z uwagi na mój dość silny patriotyzm nie mogę zostawić pewnych kwestii bez sprostowania. Gdybym jednak coś pominęła, przepraszam – całą winę za niedopowiedzenia, mijanie się z prawdą czy błędy w tekście biorę na swoje barki, wszak nie jestem z wykształcenia ani polonistką, ani historyczką, a piszę z potrzeby serca. Dlatego jestem w pełni świadoma, że mogłam pewne rzeczy pominąć lub przeinaczyć. Niemniej – nie było to moim zamiarem.

Wykorzystany w powieści fragment dokumentacji sądowej został przeze mnie przepisany z oryginalnego wyroku i na potrzeby niniejszej historii zmieniłam w nim kilka szczegółów. W rzeczywistości umorzenie śledztwa w sprawie ludobójstwa obywateli Polski zamieszkałych na terenie byłego powiatu stanisławowskiego odbyło się 14 maja 2012 roku

we Wrocławiu. Wówczas to pani Lilianna Ciepłoch (Prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu) umorzyła śledztwo w sprawie zbrodni dokonanej od sierpnia 1941 roku do grudnia 1944 roku na terenie województwa stanisławowskiego na nie mniej niż 209 osobach narodowości polskiej przez nacjonalistów ukraińskich. Mimo licznych zeznań świadków ludobójstwa nie udało się ustalić tożsamości sprawców zbrodni. Cały dokument jest powszechnie dostępny w archiwum IPN oraz na stronie internetowej tej instytucji. To właśnie on stał się podstawą do napisania tej powieści, a jednocześnie swoistą dziurką od klucza w odkrywaniu przeze mnie historii moich przodków.

Od początku wojny na terenach ciągnących się od Lwowa do Stanisławowa działały polskie i ukraińskie organizacje konspiracyjne, sprzeciwiające się sowieckiej okupacji; jednak już wiosną i latem 1940 roku NKWD doprowadziło do ich rozbicia i w praktyce zaniku tej działalności. Działacze zarówno polscy, jak i ukraińscy zostali aresztowani, skazani, a następnie straceni. Nieznane są mi informacje na temat osób, które ocalały.

Na podstawie licznej przeczytanej przeze mnie dokumentacji wysnuwam wnioski, że w rzeczywistości po wprowadzeniu paszportyzacji w listopadzie 1939 roku nie było możliwości ucieczki z terenów okupowanych przez ZSRR do Wielkiej Brytanii, a deportacje na Syberię czy do Kazachstanu obejmowały również elitę i ostałą przy życiu arystokrację. Jednak wojna budziła w ludziach ogromne pokłady determinacji w walce o życie, nie twierdzą więc ze stuprocentową pewnością, że nikomu taka ucieczka się nie udała. Nieznane są mi historie osób, które zbiegły, jednak zakorzeniona we mnie nadzieja i intuicja podpowiadają mi, że byli i tacy, którym duch wolności nie pozwalał się podporządkować; że uciekli i przeżyli wojnę w bezpiecznym miejscu.

Wykorzystany w powieści pałac przetrwał wojenną zawieruchę. Dziś mieści się w miejscowości Pryozerne na Ukrainie i można do niego swobodnie wejść. Obecnie budynek niszczeje, a ostatni znany mi z nazwiska właściciel, Ludwik Rey, zmarł w 1940 roku.

Większość wykładowców Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie została rozstrzelana przez Niemców w lipcu 1941 roku w tzw. mordzie profesorów lwowskich. Niewielu doczekało późnej starości w wolnej Polsce.

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń zawartych w powieści jest przypadkowe, a cała historia stanowi mieszaninę moich myśli, wyobrażeń, jest wypadkową góry przeczytanych książek czy dokumentacji IPN z domieszką wspomnień ocalałych, których teraz została garstka. Po cichu liczę na to, że historia Kresów Wschodnich nie odejdzie w niepamięć, ale mimo upływu lat będzie nadal żywa w naszych sercach.

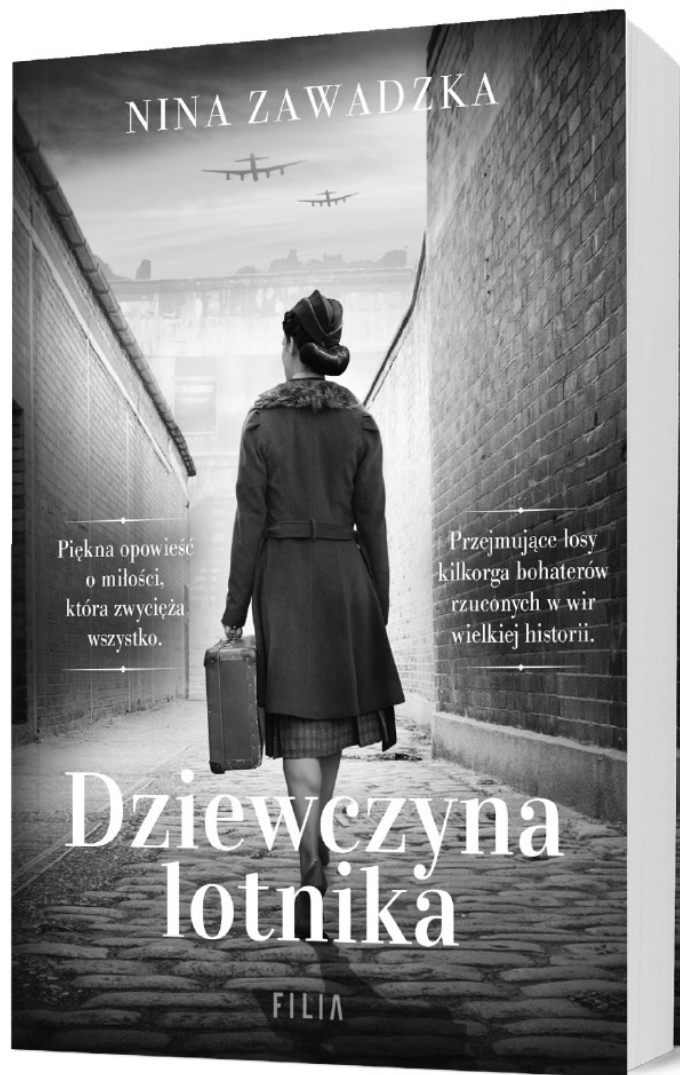
Serdecznie dziękuję całej załodze wydawnictwa Filia za spełnienie mojego największego marzenia i nawiązanie współpracy już po czterech godzinach od przesłania tekstu. Nawet teraz, gdy minęło kilka miesięcy od pierwszego telefonu, słyszę w myślach każde słowo z tamtego dnia, każdą pochwałę i uznanie. W szczególności dziękuję panu Mateuszowi Bandurskiemu za rozmowy, po których zawsze czuję się tak, jakbym za chwilę miała otrzymać medal na olimpiadzie.

Dziękuję mojej kochanej redaktorce Malwinie Kozłowskiej za ogromne zaangażowanie oraz szczegółową pracę nad tekstem mimo lawiny nieprzychylnych zdarzeń. Jestem Ci ogromnie wdzięczna za poświęcony czas, cenne wskazówki oraz jednomyślność podczas wprowadzania zmian.

Na koniec dziękuję swojemu mężowi, który w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy przymykał oko na moje zaniedbania w domowych obowiązkach i przejął je na swoje barki, a co weekend w ciszy czekał przez kilka godzin, aż poczuje, że wszystkie słowa, myśli i odczucia zostały przelane na papier. Dziękuję Ci za wszystko!

Nina

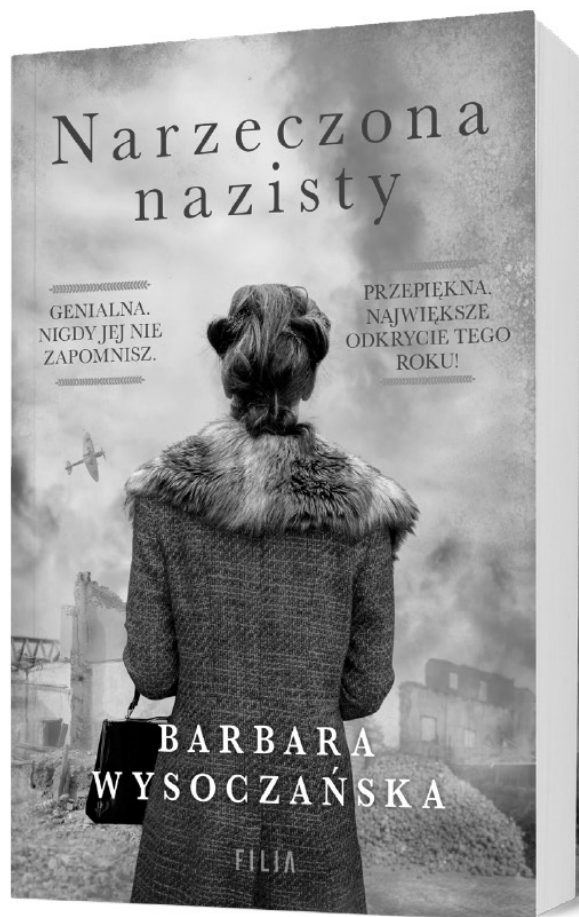
PIĘKNA OPowieść o ŻYCIU W CIENIU WOJNY,
O ZNISZCZONYCH MARZENIACH I O MIŁOŚCI,
KTÓRA ZWYCIĘŻA WSZYSTKO.



AK WIELE MOŻNA POŚWIĘCIĆ, BY URATOWAĆ
UKOCHANĄ OSOBĘ?
CZY MIŁOŚĆ RZUCONA W WIR OKRUTNEJ HISTORII
W KOŃCU ZWYCIĘŻY?

FILIA

**Czym była miłość w obliczu gigantycznej nienawiści,
śmierci i poniżenia?**



„Przepiękna, cudowna, idealna.
Jedna z najpiękniejszych książek,
jakie czytałam. To będzie
największe odkrycie tego roku!”

Justyna Chaber / ONA CZYTA

„Genialna. Powieść dla fanów
Słowika Kristin Hannah. Ta
historia pochłonie cię bez reszty.
Nigdy jej nie zapomnisz.”

Magda Sobczak, Radio Pogoda

FILIA

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Cytat

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

EPILOG
OD AUTORKI

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Copyright © by Nina Zawadzka, 2021
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Zdjęcie na okładce: © Miguel Sobreira/Trevillion

Redakcja: Malwina Kozłowska
Korekta: Jarosław Lipski, „DARKHART”
Skład i łamanie: „DARKHART”

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-748-9

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.